

MICHAEL DIAMOND RESNICK – popularny autor science fiction, którego książki przetłumaczono na ponad 20 języków. Pięciokrotny laureat nagrody Hugo (nominowany 30 razy), zdobywca Nebuli (11 nominacji) oraz licznych laurów przyznanych pisarzowi m.in. we Francji, Japonii, Hiszpanii, Chorwacji oraz Polsce.

Według Locusa, rejestrującego na swojej stronie www zwycięzców najważniejszych nagród, jako twórca opowiadań, wysunął się na czoło wszystkich, żyjących i nieżyjących, pisarzy SF.

Amerikanin, urodzony w roku 1942, w Chicago. Ojciec Laury, autorki SF uhonorowanej Nagrodą Campbella. Od lat 60. aktywny w środowisku fantastycznego fandomu.

„Na tropie wampira” to 2. tom cyklu o przygodach detektywa J.J. Mallory’ego. Polecamy również space operę „Starship”, którą rozpoczyna „Bunt”.

**NATROPIE
WAMPIRA**





przełożył
Robert J. Szmidt

fabryka słów
Lublin 2009

SPIS CYKLU

I. Na tropie jednoroźca

II. Na tropie wampira

*Dedykuję Carol, jak zwykle,
oraz przyjaciółkom Mallory'ego (i moim przy okazji):*

*Catherine Asaro Joan Bledig Laurze Frankos Cokie
Cavin Lindzie Donahue Lindzie Dunn B.J. Galler-Smith Pauli
Goodlett Adrienne Gormley Janis Ian Michaele Jordan Fionie Kel-
leghan Kay Kenyon Nancy Kress Yvonne MacDonald Julii Man-
dala Maureen McHugh Heidi Ruby Miller Debbie Oakes Kristine
Kathryn Rusch Josephie Sherman Jane Yolen i pewnej pani z Co-
lorado*

Rozdział pierwszy

18.30 -18.55

wieczór halloweenowy

Pomieszczenie to w niczym nie przypominało biura de-tektywa.

Na biurku stojącym pod jedną ze ścian znajdowało się kilka serwetek, kubek na herbatę - jeden z tych naprawdę wykwintnych - parę ołówków i długopisów ułożonych równiutko obok aparatu telefonicznego oraz oprawiony w inkrustowane ramki ferrotyp przedstawiający otyłą kobietę ze sztucerem w rękę, stawiającą tryumfalnie stopę na karku upolowanej gorgony.

Druga strona pokoju wyglądała za to, jakby nie sprzątano jej od wielu miesięcy, jeśli nie lat - co zresztą było bardzo bliskie prawdy. Na ścianie wisały dwie rozkładówki z panienkami „Playboya”, którym partnerka Mallory’ego z uporem maniaka domalowywała magicznym markerem biustonosze i majtki. Pod nimi stał gigantyczny kosz na śmieci, otoczony wianuszkiem jedenastu zmiętych papierowych kubków po kawie, które John Justin cisnął w mniej więcej odpowiednim kierunku, chybiając za każdym razem dosłownie o włos. W pierwszej szufladzie solidnego biurka spoczywała dyżurna flaszka, w drugiej cały stos nieprzeczytanych czasopism pulpowych, a w ostatniej bielizna i skarpety na zmianę.

W kuchni natomiast - pomieszczenia te jakiś czas temu pełniły rolę najzwyklejszego mieszkania stała przedpotopowa lodówka, w której znalazło się miejsce dla trzech sześciopaków piwa należących do Mallory’ego, sporej ilości plasterków

cytryny do herbaty jego współpracownicy, a także siedmiu półgallowych kartonów mleka przeznaczonych dla firmowego kota.

John Justin Mallory osunął się na krzesło, czując na karku ciężar całych czterdziestu pięciu lat życia. Zdążył już pozbyć się płaszcza, ale znoszony kapelusz wciąż tkwił na jego głowie. Stopy oparł wygodnie na krawędzi blatu, napełnił świeży papierowy kubek musującym piwem Old Peculiar, a potem podniósł nieco wyżej najświeższy egzemplarz „Gońca Wyścigowego”, tak by wiszące za nim na ścianie magiczne zwierciadło również mogło go przeczytać.

- I co o tym wszystkim myślisz? - zapytał detektyw.

- Przecież wiesz doskonale, jakie mam zdanie na ten temat.

- A ja ci mówię, że on dzisiaj będzie gotowy - upierał się Mallory. - Czuję to w kościach. Do cholery, ile wyścigów można przerznąć pod rząd?

- Zgodnie z danymi w „Gońcu” sześćdziesiąt cztery, choć to na pewno jeszcze nie koniec - odparł ze ściany Barwinek.

- Ale spójrz tylko na zakłady - powiedział detektyw. - Dziewięćdziesiąt dziewięć trylionów do jednego w stawce pięciu koni. Jeszcze nigdy w historii nie było wyższego przebiccia.

- Chyba tylko dlatego, że na tablicy zakładów nie zmieści się więcej zer - odparło magiczne zwierciadło.

- Ech, ty taflo małej wiary. Jakim cudem koń imieniem Odnot nie wygrywa każdego wyścigu, w którym startuje?

- Naprawdę chcesz, żebym ci to powiedział? - zapytał Barwinek i ziewnął przeciągle.

Istota przypominająca na pierwszy rzut oka młodą dziewczynę - choć po bliższym przyjrzeniu jej pokrewieństwo z człowiekiem nie wydawało się już takie pewne - przeciągnę-

ła się leniwie, wręcz po kociemu. Siedziała na szczycie lodówki.

- Może miałby większe szanse, gdyby wystawiano go do biegów ze słabszymi przeciwnikami -stwierdziła.

- W tym biegu ma samych słabszych przeciwników - powiedział Mallory. - Pozostałe cztery konie są od niego cięższe od dziesięciu do szesnastu funtów.

- Ja miałam na myśli prawdziwą przewagę - wyjaśniła dziewczyna-kot, mrużąc przy tym ślicznie. -Mogliby mu dać na przykład ćwierć mili forów i całe stado ślepych, trójnogich chabet do stawki.

- Nie przekonuj mnie tak bardzo, Felino - poprosił detektyw. - Bo jeszcze wezmę sobie twoje opinie do serca.

- Świetnie - ucieszyła się dziewczyna-kot. -Może dzięki temu uda się zepchnąć zamiar postawienia pieniędzy na Odłota w okolice łokci.

- Nie ma szans - podsumował jej wypowiedź Barwinek.

Feli na wykonała piękny skok i wylądowała na biurku Mallory'ego.

- Skoro twoje łokcie są teraz wolne od obciążeń, możesz je wykorzystać i posmyrać mnie po grzbiecie.

Mallory wyciągnął rękę i podrapał dziewczynę pomiędzy łopatkami, tyleż delikatnie, co automatycznie, nie odrywając oczu od kolejnej strony „Gońca Wyścigowego”.

- Źle robisz! - zaprotestowała Felina.

- Co takiego robię źle?

- Drapiesz mnie, zamiast smyrać! - lamentowała.

- A jaka to różnica?

- Taka jak między nocą a nocką - odparła wyjaśniającym tonem.

- Niech ci będzie - zgodził się Mallory i zaczął ją smyrać w tym samym miejscu. - Teraz lepiej?

Przeciągnęła się i wydała nosowy pomruk, ale zanim zdołała odpowiedzieć - nie żeby na to czekał - drzwi biura otworzyły się i stanęła w nich partnerka Mallory'ego. Podeszła do swojego biurka, ustawiła na nim brązową torbę pełną zakupów, wygładziła nieistniejące fałdy na żakiecie, odgarnęła z czoła niesforny kosmyk siwych włosów i westchnęła ciężko.

- Nie uwierzycie, jakie tłumy wyległy na ulice - powiedziała. - Jestem wykończona! Stałam godzinę po słoik kadzidła, a kolejka po czarne świece nie miała chyba końca. Wszyscy robią zakupy na ostatnią chwilę.

- Wydawało mi się, że powinni to robić tuż przed Bożym Narodzeniem - stwierdził Mallory.

- Może na twoim Manhattanie tak było, Johnie Justinie - odparła. - Tutaj celebruje się wigilię Wszystkich Świętych.

- Nazywaj sobie ten dzień, jak tylko chcesz, Winifredo, ale u nas to był stary, dobry Halloween.

- Ta nazwa przyjęła się już wśród małolatów - przyznała. - Ale dla tradycjonalistów takich jak ja to zawsze będzie wigilia Wszystkich Świętych. Powinieneś o tym wiedzieć, Johnie Justinie. Całe miasto już się szykuje do obchodów.

- Wytlumacz mi, dlaczego miasto, które tak wiele wycierpiało ze strony duchów, goblinów i innych cudaków szalejących w nim po nocy, poświęca cały boży dzień, żeby te stworzy celebrować? - zapytał chłodno detektyw.

- Patrzysz na ten problem pod niewłaściwym kątem, Johnie Justinie - stwierdziła Winnifreda. - To tylko kolejna okazja do świętowania. - Uśmiechnęła się radośnie. - Mój bratanek Rupert przyjechał w odwiedziny i zostanie u mnie na

cały tydzień. Wczoraj go odebrałam. Mam nadzieję, że spodobała mu się prezenty, które kupiłam.

- Z pewnością - powiedział Mallory. - Jak cię znam, zorganizowałaś całą masę prezentów, w których będzie mógł do woli przebierać. - Detektyw wrócił do lektury.

- O bogowie! - zawołała Winnifreda. - Ty czytasz „Gońca Wyścigowego”!

- I co z tego?

- To z tego, że ten biedny konik znowu będzie się ścigał na torze!

- Użycie słowa „znowu” mogłoby sugerować, że on już kiedyś się ścigał - wtrąciła Felina.

- Widzę - powiedział Mallory, nie kryjąc irytacji - że w tym pomieszczeniu zawiązała się prawdziwa koalicja sympatii dla konia, który nie potrafi zmusić się do odrobiny wysiłku, i człowieka, który mimo wszystko na niego stawia.

- Może on po prostu nie ma talentu do biegania - zasugerował Barwinek.

- Na sąsiedniej ulicy jest pies, który bez przerwy ucieka właścicielowi - poinformowała Felina. -Może gdyby nakarmić go Odlotem, nie miałby takiej ochoty na uciekanie.

- Czekajcie, przyjdzie taki dzień, że dobiegnie jako pierwszy, a stawka wygranej z tego biegu przejdzie do historii wyścigów.

- Czy jeśli na niego postawisz, a on wystartuje w czwartej gonitwie dnia i przybiegnie jako trzeci w dziewiątej, to też wygrasz? - dopytywała się Felina.

- Dość tego! - obruszył się Mallory i odłożył „Gońca”. - Niech wam będzie, że są święta. Opuśćcie sobie dzisiaj zakłady i zaproszę cię na kolację.

- Mamy wigilię Wszystkich Świętych - przypomniała Felina, ocierając się lubieżnie o jego nogę. - Bądź tak miły i zabierz też tę opasłą babę.

- Prawdę powiedziawszy, ta propozycja dotyczyła... mojej partnerki - odparł Mallory. - Ty zostajesz i pilnujesz biura podczas naszej nieobecności.

- Przecież tutaj nie ma nic wartościowego - obruszyła się dziewczyna-kot.

- Naprawdę tak uważasz? - wypaliło zwierciadło.

- A jaki jest pożytek z magicznego zwierciadła, które nigdy nie pokazuje filmów dla kotków? - prychnęła Felina.

- Bo nikt nie kręci filmów dla kotków - odburknął Barwinek.

- Ty w kółko pokazujesz filmy, na których jakieś panie zdejmują ubrania - kontynuowała dziewczyna--kot. - I co w tym takiego zabawnego?

- Co takiego? - zdziwiła się Winnifreda, rzucając zaskoczone spojrzenie na współnika.

- To nie tak - bronił się Mallory. - Czasem oglądam też zapasy.

- Tak, oglądasz, jak gołe baby tarzają się w błocie - przyznała Felina, marszcząc nos z obrzydzeniem.

- Mówimy tutaj o pokazach artystycznych - nie dawał za wygraną detektyw - a nie jakichś tam zawodach sportowych.

- Raczej obscenicznych - stwierdziła Winnifreda poważnym tonem.

- I nudnych - dodała Felina.

- Mogę pokazać wam gołe baby skaczące na nartach, może to będzie bardziej gustowne? - zaproponowało magiczne zwierciadło.

- A umiesz pokazywać cokolwiek oprócz gołych bab? - zapytała Winnifreda.

- Moim głównym zadaniem jest dawanie zadowolenia widzom - odparł Barwinek. - A skoro pytasz, co chciałbym pokazywać...

Powierzchnia zwierciadła zamieniła się w ekran, na którym ludzie tłoczyli się w egzotycznie wyglądającym barze.

- Wielkie mi mecyje - zachnął się Mallory. - Przecież to „Casablanca”. Tam przy pianinie siedzi Dooley Wilson, a tutaj idzie Peter Loree z dokumentami wyjazdowymi. - Ale zaraz dodał: - Nie, chyba się pomyliłem.

- Ależ skąd, masz rację - zapewnił go Barwinek.

- Przecież ten facet nie jest Bogartem, a kobieta obok niego to nie Bergman. - Mallory przyjrzał się uważniej scenie widocznej na ekranie. - Ten gość wygląda jak młody Ronald Reagan wciśnięty w smoking.

- A kobietę gra Ann Sheridan - dodało zwierciadło.

- Zatem to nie może być „Casablanca” - oświadczył Mallory.

- Ale jest. To film, który zostałyby nakręcony, gdyby udało się podpisać pierwotny kontrakt. Po nim mogę wam jeszcze pokazać Clarka Gable'a i Humphreya Bogarta w pierwotnej wersji „Człowieka, który chciał zostać królem” Johna Houstona.

- Weź przestań - poprosił detektyw. - Bez Bogiego i Bergman nie ma „Casablanki”.

- Dobrze - stwierdził Barwinek, wzdychając melodramatycznie. - Zrobiłem, co mogłem. Niektórzy ludzie wolą trwać w niewiedzy. A są i tacy, którzy za żadną cenę nie pozwolą się kulturalnie wyedukować.

Reagan i Sheridan zniknęli z ekranu, a zastąpiła ich panna Bąbelki LaTour, która kręciła biodrami w tak oszałamiającym tempie, że Mallory'emu zrobiło się niedobrze.

- Dość tego dobrego - oświadczyła ostrym tonem Winnifreda.

- Skoro pani sobie tego życzy - odparło magiczne zwierciadło i krągłości panny LaTour zostały w jednej chwili zastąpione piątym inningiem meczu ligi baseballowej z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego pomiędzy zespołami Miami Monorchids

i Gainesville Geldings.

- Wiecie - stwierdził Mallory z wyczuwalną tęsknotą w głosie - wciąż pamiętam te stare, dobre czasy, kiedy zajmowałem się wyłącznie chwytaniem prawdziwych złodziei i bandytów. A to wymagało wyjścia na ulicę. Ale na moim Manhattanie nie miałem w biurze nabzdyczonych magicznych zwierciadeł ani rozpieszczonych dziewięćdziesięciofuntowych kotek.

- Nie zapominaj, że teraz to jest twój Manhattan, Johnie Justinie - zauważyła Winnifreda. - Na dobre i na złe.

- Tylko do czasu, gdy będzie mnie karmił i smyrał - dodała zaraz Felina.

- Jesteś potwornie żarłoczna - podsumował ją detektyw.

- Potwornie to ja nie lubię biegać - odparła dziewczynka. - Jestem raczej leniwie żarłoczna.

- A skoro o jedzeniu mowa - wtrąciła Winnifreda - wspomniałeś coś o wyjściu na kolację, Johnie Justinie, czy mnie słuch mylił?

- Racja, a co mi tam, czemu by nie - odparł Mallory. - Jeśli dzisiaj naprawdę mamy święto, dzwonienie po pizzę byłoby nie na miejscu.

- I to mi się podoba - oświadczyła Winnifreda. -Dokąd idziemy?

- Gdzie zechcesz. Ale po drodze zajrzemy na moment do baru Joeya Chicago, żebyśmy mógł postawić dyszkę albo dwie na Odlota u Harry'ego Zeszyta. A potem, jeśli chcesz, możemy zabrać twojego bratanka i pójść razem na kolację.

- Godzinę temu, kiedy do niego zajrzałam, Ru-pert wciąż spał - wyjaśniła. - Wydaje mi się, że nie powinniśmy go budzić.

- Spał? - zdziwił się Mallory. - Z tego dzieciaka musi być prawdziwy nocny marek.

- To zdrowy młody chłopak, choć nieprzywykły do uroków tak wielkiego miasta - przyznała Winnifreda. - Zwiedzał je wczoraj przez całą noc.

- Skoro zdołał wrócić w jednym kawałku - Mallory wzruszył ramionami - pewnie potrafi zadbać o własny tyłek.

-Jak tylko dojdzie do siebie po zmianie czasu, oprowadzę go po najlepszych muzeach i kupię bilety do filharmonii - stwierdziła Winnifreda.

- Tak, młody zdrowy chłopak z pewnością nie marzy o niczym innym... - powiedział Mallory, starając się ukryć sarkazm, a potem zawiesił na moment głos. - Gdzie zatem chcesz iść dzisiaj wieczorem?

- Wiesz, od lat nie miałam w ustach prawdziwego steku z jednorożca.

- A podają je gdzieś w Nowym Jorku?

- Znam takie miejsce - przyznała Winnifreda. -Nazywają je „Mistyczny Rożen”. Znajduje się na rogu Leniwej i Obżarstwa.

- Zatem nie marnujmy czasu - powiedział Mallory, podchodząc do współniczki i podając jej ramię. Oparła się na nim,

ale zanim zrobili pierwszy krok, Winnifreda zachwiała się, jakby zaraz miała omdleć.

- Nic ci nie jest? - zapytał zdeorientowany John, starając się utrzymać ją w pionie.

- To tylko drobny zawrót głowy - odparła Winnifreda, opierając się o niego. - Chyba przeszacowałam z tymi zakupami.

- No, sam nie wiem - powiedział Mallory. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś była zmęczona.

- Wszyscy się starzejemy, Johnie Justinie. I choć mnie samej trudno w to uwierzyć, mam już szósty krzyżyk na karku.

- To prawda - przyznał Mallory, lecz jego niepokój nie słabł. - Ale jeszcze nigdy nie byłaś tak blada. Może po drodze powinniśmy odwiedzić lekarza, ot tak, na wszelki wypadek.

- Nic mi nie będzie - zapewniła Winnifreda i oswobodziła się z troskliwego chwytu. - Musiałam tylko chwilkę odpocząć. Już dobrze, możemy iść.

- Jesteś pewna?

Zdecydowanie skinęła głową.

- Tak, jestem tego pewna.

- Zrób to raz jeszcze! - poprosił podniesionym głosem Mallory.

- Co mam zrobić?

- Skinąć głową w taki sam sposób - powiedział detektyw, przypatrując jej się uważnie.

- O co ci chodzi, Johnie Justinie?

- Zrób, o co proszę!

Wzruszyła ramionami i po raz kolejny skinęła głową.

- Cholera! - zaklął detektyw. - Podejź do światła.

- O co chodzi? - zapytała mocno zaniepokojona.

- Jeśli powiem, uznasz, że robię jeden z tych typowych halloweenowych dowcipów - stwierdził Mallory. - Felino, pojeżdź tu, proszę, spójrz na miejsce, które pokazuję, i powiedz, co widzisz.

- Dwie małe dziurki - oświadczyła dziewczyna--kot.

- A gdzie je widzisz?

- Na szyi.

- Poważnie mówisz? - zapytała Winnifreda.

- A po jaką cholere miałbym cię okłamywać? -zapytał Mallory. - Od jak dawna czujesz te zawroty głowy?

- Od dzisiaj - odparła. - Za pierwszym razem poczułam je podczas zakupów, ale usiadłam na moment i zaraz przeszły. Drugi raz miałam je tutaj. Jak sam widzisz, nie trwają zbyt długo.

- Tylko te dwa razy zakręciło ci się w głowie? -dopytywał się detektyw.

- Tak.

- Zastanów się.

Nagle skrzywiła się mocno.

- Był jeszcze jeden raz.

- O której godzinie ubiegłej nocy poczułaś się niedobrze? Zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

- Skąd wiedziałeś, że miałam zawroty głowy ubiegłej nocy?

- Sama powiedziałaś, że twój bratanek przyleciał wczoraj wieczorem.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Rupert jest...

- A co jeszcze zmieniło się w twoim życiu od wczorajszego wieczora? - zapytał Mallory i wyjrzał za okno. - Kolacja może poczekać. Nawet Odlot może poczekać. Musimy jak najprędzej dostać się do twojego mieszkania.

- Skąd ten pośpiech? - zapytała Winnifreda. - Chłopak nie ruszy się z domu, więc i tak będziemy mieli sporo czasu na wyjaśnienie tego szaleństwa. Sam mi mówił, że nie ma zamiaru świętować przed siódmą, a nawet ósmą.

- Nie martwię się o to, czy go zastaniemy.

- A o co?

- Chcę mieć pewność, że spotkamy się z nim przed zmierzchem.

Rozdział drugi

18.55 -1922

Mieszkanie Winnifredy Carruthers znajdowało się trzy przecznice od biura, w jednym z najmasywniejszych gmachów, jakie Mallory kiedykolwiek widział. Drzwi wejściowe otworzył umundurowany odźwierny - koniuszek ogona wystawał mu spod długiej poły płaszcza - i już kilka sekund później jechali windą. Na chwilę przed dotarciem na siódme piętro Winnifreda doznała kolejnego ataku słabości, ale zdążyła dojść do siebie, zanim kabina zatrzymała się z lekkim szarpnięciem.

- Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz, Johnie Justinie? - zapytała, gdy wysiadali.

- Zastanawiam się, czy wystarczy, że zostaniesz w domu i odpoczniesz, czy raczej powinnaś pojechać do szpitala na transfuzję.

- Nie mam zamiaru robić żadnej z tych rzeczy - oświadczyła. - Dzisiaj wigilia Wszystkich Świętych. Cała noc zabawy.

- Sugerowałbym jednak chwilę odpoczynku - poradził Mallory. - Możesz rozpocząć świętowanie odrobinę później.

- Znowu patrzysz na ten problem pod niewłaściwym kątem, Johnie Justinie - powiedziała Winnifreda. - Jeśli faktycznie zostałam ukąszona przez wampira, mamy przed sobą najlepszą noc, aby znaleźć sprawcę całego zamieszania. Tylko dzisiaj wszystkie stwory ciemności wypełzają, aby bawić się i świętować.

- Zostałaś ukąszona - zapewnił ją detektyw. - Ale my nie wyruszamy na poszukiwania transylwańskiego arystokraty z koszmarnym akcentem. Odmieniec, który to zrobił, śpi sobie teraz smacznie w twoim mieszkaniu.

- Rupert nie jest żadnym odmieńcem! - zganiła go ostro. - To mój bratanek i wierzę, że znajdziemy racjonalne wytłumaczenie jego zachowania.

- Nie byłbym tego taki pewny - odparł detektyw z powątpiewaniem. - Jednego nauczyłem się w ciągu tych dwóch długich lat życia na waszym Manhattanie. Tutaj nic nie ma racjonalnego wytłumaczenia.

- Gadanie bez sensu - stwierdziła z naciskiem, jak za dawnych czasów. - Zaraz porozmawiamy z Rupertem i wyjaśnimy sobie wszystko.

Zatrzymali się przed drzwiami.

- To tutaj? - zapytał Mallory.

- Tak.

- Daj mi swój klucz.

- Chyba mogę otworzyć drzwi do mojego własnego mieszkania, Johnie Justinie.

- Nie radzę. Nie możesz wejść do środka jako pierwsza. Nie wiemy, co może się czaić w środku.

-Ja wiem, co tam jest! - obruszyła się Winnifreda. - Na li-tość boską, to przecież mój dom!

- Pozwól, że zacytuję ci bombową blondynę, do której wzdychałem jako szczeniak. Bóg, do diabła, nie miał z tym nic wspólnego, mawiała i miała rację!

Wyrwał jej klucz z dłoni, wsunął go do dziurki, przekręcił, a potem ostrożnie popchnął drzwi.

- Ciemno tu jak w grobowcu - mruknął.

- Muszę oszczędzać na prądzie, dopóki nie dostaniemy kolejnej sprawy - wyjaśniła Winnifreda.

Sięgnęła do kontaktu i nagle cały pokój zaalało ostre świa-tło.

- A niech mnie! - zawołał Mallory. - To robi wrażenie!

-Jestem z nich naprawdę dumna.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej - stwierdził Mallory, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od ściany po lewej. Wisiały na niej wyprawione łby gorgony, chimery, banshee, jednorożca, smoka i kilku innych bestii, których de-tektyw nie potrafił zidentyfikować. Poniżej stała szafka, w któ-rej ustawiono kilka solidnie wyglądających sztucerów i fuzji dużego kalibru. -Nie powinnaś oddać ich do jakiegoś muzeum?

- Myślałam o tym. W mojej kolekcji brakuje tylko yeti. Spędziłam w Himalajach dwa lata, starając się go upolować. Kilkakrotnie udało mi się natrafić na jego tropy, ale samego zwierza nigdy nie widziałam. A broń jest już mocno zdezelowana, trzymam ją wyłącznie ze względu na wspomnienia wra-żeń, jakich mi dostarczyła. Dopóki nie spotkałam ciebie, my-ślałam, że takie przeżycia będą należeć wyłącznie do przeszło-ści.

- Witaj, Winnifredo - powiedział ktoś trzeci. - Już wróciłaś?

Mallory podskoczył jak oparzony i zaczął się intensywnie wpatrywać w trofea na ścianie, aby zgadnąć, który to łeb mógł się odezwać.

- Kto to powiedział? - zapytał w końcu.

-Ja - odparł ten sam głos i nagle nad stojącymi w głębi salonu meblami przeleciał jaśniejący, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy ptaszek. Zatoczył krąg nad ukrytymi pod materiałem krzesłami i usiadł na ramieniu pułkownik Carruthers.

-To Słodziutki, mój latający śpiewaczek - przedstawiła go Winnifreda.

- Tylko nie pokazuj go Felinie.

Kobieta uśmiechnęła się.

-Jak myślisz, dlaczego trzymam go tutaj, a nie w biurze?

- Niewiarygodne - mruknął Mallory, przyglądając się upierzeniu ptaszka, które nieustannie zmieniało kolor. - Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę coś tak pięknego.

- Sprowadziłam go z Włoch - powiedziała Winnifreda. - Słodziutki, zaśpiewaj coś dla mojego współnika.

Ptaszek natychmiast zanucił tony melodyjnej arii z „Madame Butterfly”.

- Czyż nie jest uroczy? - zapytała pułkownik Carruthers.

- Prześliczny. Aczkolwiek nieco zbyt snobistyczny jak na mój gust.

Słodziutki natychmiast zmienił płytę i zaśpiewał „That's Amore”.

- Wystarczy już, dziękujemy - powiedziała Winnifreda i kolorowy ptaszek zamilkł.

- A to co takiego? - zapytał detektyw, wskazując gablotkę, w której spoczywały jedwabny welon i zgnieciona róża.

- To tylko pamiątka sprzed wielu lat - wyjaśniła niezbyt zręcznie gospodyni i natychmiast zmieniła temat: - Zapomniałam wystawić jedzenie!

- Ciekawe, jak wielu żebraków zdoła przemknąć obok waszego odzwiernego, żeby wspiąć się potem aż na siódme piętro? - zapytał Mallory, przechodząc obok regału wypełnionego opasłymi tomami romansów, płytami dvd z filmami o miłości i kompaktami zawierającymi najbardziej ckiwe przeboje, jakie znał, i setki tych, których na szczęście dla siebie jeszcze nie słyszał.

- Nie wystawiam jedzenia dla żebraków - wyjaśniła Winnifreda, wyjmując kilka pojemników ze stojącej w kuchni lodówki. - W każdym razie nie dla takich, o jakich myślisz - poprawiła się po chwili. Podeszła do okna, otworzyła je szeroko i poustawiała miski z jedzeniem na szerokim gzymsie. - To dla harpii - wyjaśniła. - O tej porze roku zaczynają głodować. No i mamy tutaj miniaturowego pegazika, który wyklął się nie dalej jak dwa tygodnie temu.

- Widzę w twoim zachowaniu pewną sprzeczność - zauważył Mallory.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Detektyw najpierw wskazał na łąby zdobiące salon, potem na małego pegaza, który właśnie opadł lekko na gzyms za oknem. - Zabijasz je czy dokarmiasz?

- Każde ze stworzeń, które widzisz na tej ścianie, miało szczery zamiar rozedrzeć mnie na strzępy - odparła. - Ale nawet wtedy dałam im ostatnią szansę. A spójrz na te maleństwa... - wskazała trzy nadlatujące harpie. - One potrzebują tylko odrobiny pożywienia i bezpiecznego miejsca, w którym mogą się posilić.

Nagle wyciągnęła rękę przed siebie i wsparła się o ścianę.

- Cholera! - wrzasnął Mallory. - Nigdy wcześniej nie byłem u ciebie, a tutaj jest tak interesująco, że nieomal zapomniałbym, po co przyszliśmy. Gdzie twój bratanek?

- Śpi.

Mallory spojrział za okno.

- Już zmierzcha, zaraz powinien się obudzić.

Jak na zawołanie, drzwi sypialni otworzyły się i do salonu wszedł młody, szczupły chłopak, tylko kilka cali niższy od Mallory'ego, ubrany w górę od pidżamy, szorty i rozchełstany szlafrok. Miał gęste, faliste i mocno zmierzwione włosy.

- Usłyszałem, że ktoś tu rozmawia - powiedział, mrugając oczami, jakby starał się odzyskać ostrość widzenia.

- Rupercie, oto mój współnik, John Justin Mallory - Winnifreda przedstawiła ich sobie. - Johnie Justinie, oto mój bratanek, Rupert Newton.

- Tylko nie mów na mnie Figa - poprosił chłopak. - Bardzo tego nie lubię.

- A może powinienem nazywać cię jakoś inaczej? - zapytał detektyw, podchodząc bliżej.

- Na przykład jak? - zapytał zaskoczony młodzieniec.

- No, sam nie wiem - odparł Mallory, wzruszając przy tym ramionami. - Na przykład Wład albo Nosferatu.

Rupert odskoczył, jakby coś go ukąsiło.

-Jak się o tym dowiedziałeś?

-Jestem zawodowym detektywem - odparł oschle Mallory.

- Tak przy okazji, twoja ciocia jest blada jak sama śmierć i musi trzymać się ściany, żeby nie upaść.

- Tak mi przykro, ciociu Winnifredo - powiedział Rupert. - Ja nie chciałem.

- Ty naprawdę jesteś wampirem? - zapytała z niedowierzaniem.

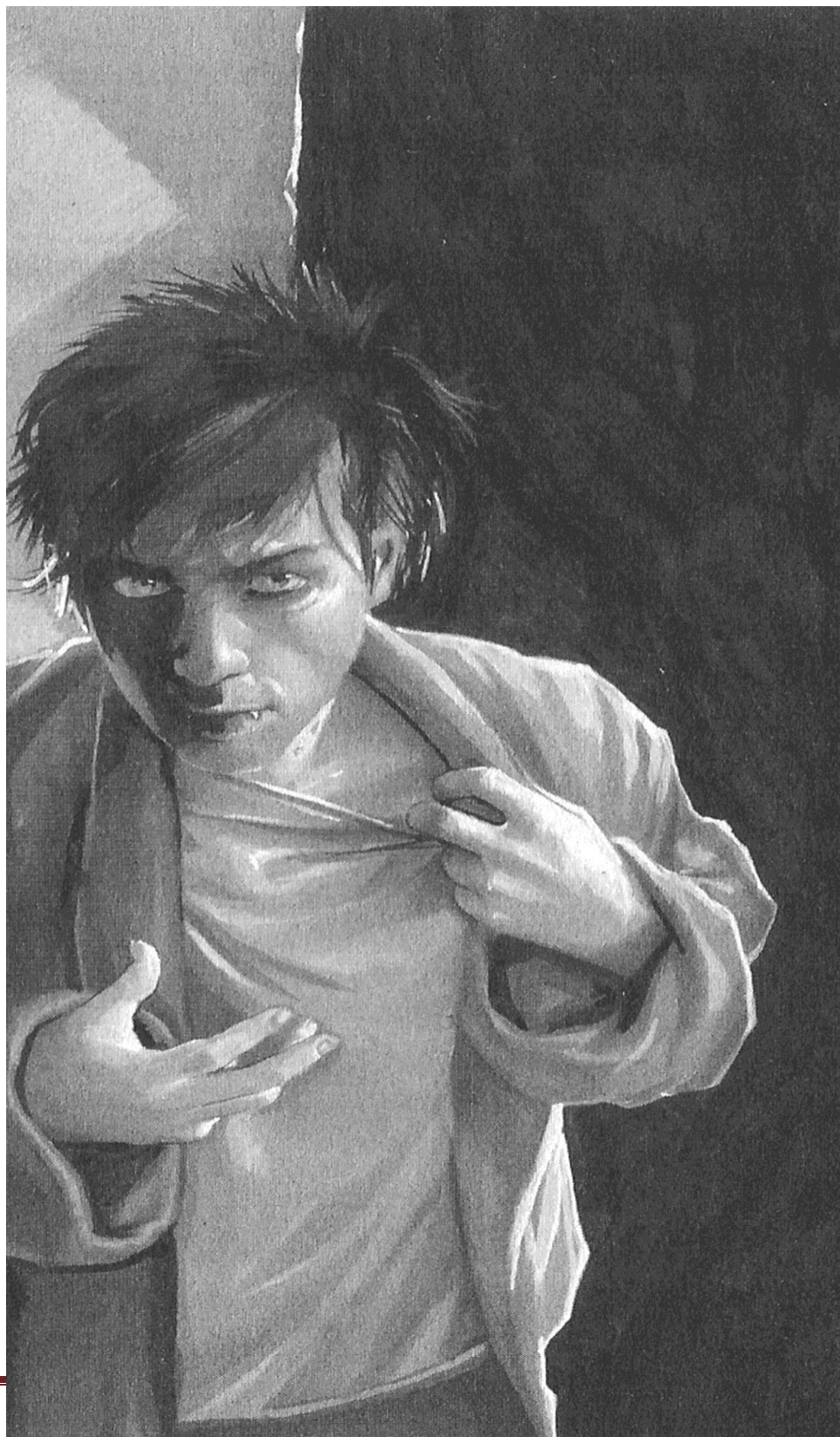
- Chyba jeszcze nim nie jest - wtrącił Mallory. -Ale zna prawdziwego wampira, prawda, Rupercie? -Wskazał palcem na kark chłopaka. - Takie same ślady jak u ciebie, tyle że on nosi je znacznie dłużej.

- Od tygodnia - przyznał ze smutkiem w głosie Rupert.

-Jak do tego doszło? - dopytywał się Mallory. -Poszedłeś w krzaki z dziewczyną, o której mówiono, że zostawia po pocałunkach nieliczne malinki?

- Nie rób sobie ze mnie jaj! - zaprotestował chłopak.

- Nie ma niczego zabawnego w byciu nieumarłym, zapewniam cię - powiedział Mallory. - Z wielką



chęcią bym ci pomógł, ale prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiem jak. A poza tym najpierw muszę zadbać o twoją ciocię.

- Nie chciałem jej skrzywdzić!

- Wierzę ci - uspokoił go detektyw. - Ale na niebie wciąż jest kilka promyków słońca. Ciekawe, co powiesz za dwie godziny?

- Nigdy nie skrzywdzę cioci Winnifredy!

-Jak sądzisz, po czym wywnioskowałem, co się z tobą stało? - zapytał Mallory. - Winnifredo, proszę, odwróć głowę. - Zrobiła, o co prosił, i mógł wskazać dwa otworki na jej szyi. - Pamiętasz moment, w którym to zrobiłeś?

Rupert wybałuszył oczy.

- Nie - powiedział i zaraz dodał: - Myślałem, że to tylko sen.

- Dobrze - przerwał mu Mallory. - Zatem gdy dopada cię zew, głód, czy jak tam chcesz sobie nazwać potrzebę kłania, nie jesteś świadomy swoich czynów, a kiedy już coś zrobisz, to tego nie pamiętasz. - Detektyw spojrzał na współniczkę. - Jak już wspominałem, on nie powinien przebywać w pobliżu ciebie.

Winnifreda już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale zrezygnowała.

- Nie chcesz zrobić krzywdy ciotce - mówił dalej Mallory, kierując te słowa do chłopaka. - Ja też nie chcę, aby stała się jej krzywda. Czy pozwolisz się zamknąć w pewnym hotelu do czasu znalezienia kogoś, kto zdoła ci pomóc?

Rupert potwierdził skinieniem głowy.

-Jak zamierzasz mnie tam zatrzymać? W moich snach staję się bardzo potężny, gdy zapada noc.

- Sprawimy, że nie będziesz miał ochoty na opuszczenie pokoju - stwierdził enigmatycznie detektyw.

- Ale jak?

- Dzisiaj wieczorem Gobliny walczą z Gremlinami w Madison Garden, relacja będzie leciała na żywo na płatnym kanale. Jeśli zostawię cię przed telewizorem z butelką plazmy krwi w dłoni i słomką, nie będziesz chyba czuł potrzeby wychodzenia na dwór?

Rupert zaczął się lekko ślinić na wzmiankę o plazmie krwi.

- Nie - przyznał, ocierając usta rękawem szlafroka, a Mallory zauważył, że jego kły zrobiły się nieco dłuższe niż przed chwilą. - Nie będę.

- Skąd wytrzaśniesz plazmę, Johnie Justinie? -zapytała Winnifreda.

- Z najbliższego banku krwi.

Rupert znów zaczął się ślinić, na dodatek dostał jakiegoś tiku i mrugał szybko oczami.

- Nie zamierzam pomagać ci we włamaniu -oświadczyła pułkownik Carruthers.

- Nie mam zamiaru niczego kraść - zaoponował Mallory.
- Zamierzam kupić ją za tego dwudziestaka, którego miałem przepuścić na Odlota.

- Tam nie sprzedają krwi normalnym obywatelom.

- Owszem, mnie sprzedadzą.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Choćby dlatego, że pójdę tam z Rupertem - odparł Mallory, wskazując na śliniącego się i mrugającego młodzieńca. - Przedstawię im sprawę prosto, albo sprzedadzą mi tę krew od razu, albo będą musieli żyć nadzieją, że chłopak nie zdoła zapamiętać, gdzie go zaprowadziłem, gdy za godzinę albo

dwie zapadnie kompletny mrok. - Detektyw uśmiechnął się. - Z pewnością nie będzie tak skuteczny jak twój nitro ekspres .550, ale posiadanie w arsenale nawet tak nieopierzonego wampira też może dać mi przewagę.

Tak naprawdę wcale nie staję się silniejszy, gdy zapada noc - przyznał Rupert, gdy przechodzili razem z Mallorym przez Drugą Aleję. Detektyw zatrzymał się na środku jezdni, aby przepuścić żółtego słonia z kierowcą na grzbiecie i dwoma pasażerami w palankinie.

- Chyba nigdy nie przywyknę do tutejszych taksówek - mruknął pod nosem.

-Tutejszych? - zapytał zdziwiony chłopak. -Skąd pan pochodzi, panie Mallory?

- Przez moment czułem neodpartą chęć stwierdzenia, że już nie jestem w Kansas - odparł Mallory, a potem wzruszył ramionami. - Cóż, mogłem trafić gorzej. Wasi taryfiarze wciąż mogliby jeździć checkerami.

- A wracając do kwestii banku krwi, panie Mallory...

-Tak?

-Jak już wspominałem, wcale nie robię się silniejszy, gdy zapadnie noc.

-I dobrze. Ty to wiesz i ja to teraz wiem. Ale jeśli zdołamy dotrzymać naszego małego sekretu, oni się nie dowiedzą, i dzięki temu być może unikniemy większych problemów ze zdobyciem tej plazmy.

- Ale czuję się tak bardzo nieswojo.

- Nic się nie martw - pocieszył go Mallory. -Wprawdzie niewiele pamiętam z moich lektur i oglądanych filmów klasy B, ale wydaje mi się, że trzeba trochę więcej niż pojedynczego ukąszenia wampira, by zmienić ciebie i twoją ciotkę w nieu-

marłe monstra. - Spojrzał uważniej w stronę młodzieńca. - Kto cię przyszpilił?

Chłopak zbył pytanie lekkim wzruszeniem ramion.

- Draconis - powiedział.

- Draconis?

- Arystoteles Draconis.

- To jakiś wampir?

- Najwyraźniej. Obudziłem się w samą porę, by zobaczyć, jak opuszcza moją kajutę.

- Twoją kajutę? - powtórzył Mallory. - Nie przyleciałeś z Europy samolotem?

Rupert pokręcił głową.

- Mam lęk wysokości, wolałem więc kupić bilet na „Królową Hermionę”.

- Boję się nawet zapytać, kim była kobieta, której imieniem nazwano ten statek - powiedział detektyw.

- Ale okazało się, że mogę zabukować miejsce tylko na „Konającym Manacie”.

- Też nieźle - stwierdził Mallory. - Ale coś mi tu nie gra. Wydawało mi się, że wampiry nie mogą podróżować wodą.

- Też mi się tak wydawało - przyznał Rupert. - Ale chyba obaj byliśmy w błędzie - dodał ze smutkiem.

- Jak wyglądał ten Draconis? - zapytał Mallory.

- Był wysoki - odparł Rupert. - Bardzo wysoki, mógł mieć nawet siedem stóp wzrostu. I przerażająco chudy, wyglądał dosłownie jak szkielet. No

i ubierał się na czarno.

- Nie miał zarostu?

Młodzieniec potwierdził skinieniem głowy.

- Tak. I miał takie ciemne, płonące oczy.

- Mógłbyś uściślić ten ostatni punkt opisu? Na moim Manhattanie wszystko byłoby jasne, ale tutaj twoje słowa mogą oznaczać wszystko, od prawdziwych płomieni po tryskające spod powiek iskry.

-Jego oczy wyglądały na takie, z których mogłyby się sypać iskry - stwierdził chłopak. - Ale jest coś jeszcze.

- Co takiego?

- Obserwowałem go, gdy krążył po pokładzie pierwszego wieczora. Był tak blady, jakby miał lada moment umrzeć na anemię. Jeśli sądzi pan, że ciocia Winnifreda była blada, to nie ma pan pojęcia o prawdziwej bladości. Draconis był biały jak przysłowiowa kreda.

- Dobra - podsumował Mallory. - Gość jest wysoki, wymizerowany i blady jak kreda.

- Nie - zaprzeczył Rupert.

Mallory zmarszczył brwi.

- Przecież sam przed momentem stwierdziłeś, że...

- Był biały jak kreda, kiedy widziałem go po raz pierwszy - Rupert wpadł w słowo detektywowi. -Ale tej nocy, gdy opuszczał moją kabinę, miał już całkiem zdrowy wygląd. Nawet wyglądał na bardziej ogorzałego od przeciętnego człowieka.

- Wydaje mi się, że możemy w tym momencie przyjąć założenie, iż ta opalenizna nie była dziełem solarium - powiedział detektyw. - Czy wiesz coś jeszcze na jego temat?

- Podśledzałem kiedyś, jak mówił, że chce zwiedzić całą Amerykę. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy wcześniej tutaj nie był.

- Świetnie.

- Świetnie? - zdziwił się Rupert.

-Jeśli nie miał na myśli żadnego konkretnego celu podróży, być może wciąż przebywa na Manhattanie. Zwiedzenie tego miasta może trwać kilka dni i nocy. A to znaczy, że mam szansę go odnaleźć.

- Proszę mi wierzyć, nie chce pan spotkać tego człowieka - stwierdził młodzieniec z wielkim zapałem.

- Dlaczego?

- Bo to przerażający osobnik. Będzie pan żył o wiele dłużej, jeśli pan go nie spotka.

- A jeśli on znów zechce possać ciebie? - zapytał Mallory. Oczy Ruperta rozszerzyły się z przerażenia.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Może zasmakował w twojej krwi. Może ma zamiar pokąsać cię jeszcze kilka razy, żeby zrobić z ciebie kumpla wampira albo nieśmiertelnego sługę. Może jest wampirem gejem i wpadłeś mu w oko. Można by spisać kilka opasłych tomów o tym, czego jeszcze nie wiem o wampirach. Ale, prawdę powiedziawszy, zdaje się, że paru autorów romansideł zrobiło to już dawno temu, lecz na moim Manhattanie.

- Naprawdę uważa pan, że on znów może mnie ukąsić?

- Powiedziałbym, że istnieje taka możliwość.

Dłoń młodzieńca wystrzeliła do przodu i schwyciła rękaw Mallory'ego.

- W takim razie cofam wszystko, co powiedziałem do tej pory. Musi go pan odnaleźć!

- Najpierw muszę usunąć ciebie z widoku -stwierdził Mallory, gdy zbliżyli się do budynku banku krwi. - Potem zajrzę do Winnifredy, żeby sprawdzić, czy u niej też wszystko w porządku. Dopiero na końcu zajmę się Arystotelesem Draconisem.

-Ale...

- Tak to załatwimy, młody człowieku - powiedział Mallory, przyspieszając kroku. Rupert spoglądał na niego przez moment w osłupieniu, a potem zdał sobie nagle sprawę, że został sam w mroku nocy, i natychmiast puścił się biegiem za detektywem.

Minutę później dotarli do banku krwi, gdzie Mallory od razu podszedł do okienka rejestracji.

- Przepraszam... - powiedział, starając się zwrócić na siebie uwagę pielęgniarki.

- Zależy, coś pan tam przeskrobał - odparła siostra.

- Słucham? - zdziwił się detektyw. - Chyba nie do końca panią zrozumiałem.

- Chodzi o te pańskie przeprosiny - wyjaśniła pielęgniarka.

- Możemy panu wybaczyć sporą zawartość alkoholu we krwi, a nawet złe wyniki cholesterolu, ale za nic nie darujemy ukrycia odry, świnki, anginy, lumbago, reumatyzmu, artretyzmu, łokcia tenisisty, zapalenia dziąseł, płaskostopia, nadkwasoty żołądka...

- Chwileczkę! - wtrącił Mallory, aby nie wysłuchać kolejnych trzydziestu schorzeń dyskwalifikujących potencjalnego dawcę. - Nie przyszliśmy tutaj, aby oddać krew.

- W święta nie skupujemy krwi - oświadczyła oficjalnym tonem pielęgniarka.

- Pani nadal mnie nie rozumie. Przyszliśmy tutaj, aby kupić trochę krwi albo chociaż plazmy dla tego tu młodzieńca.

- Jaką grupę?

- To nie ma najmniejszego znaczenia.

- Musimy wiedzieć takie rzeczy, zanim zrobimy transfuzję - upierała się siostra.

- Nie będziecie mu jej podawali dożylnie - sprecyzował Mallory. - On chce ją wypić.

Pielęgniarka spojrzała wreszcie w stronę bladego młodzieńca.

- No tak - powiedziała. - Teraz rozumiem. Błada skóra, rozszerzone źrenice, znacznie powiększone kły, no i oczywiście ani jednego włoska na palcach dłoni.

- A powinien je tam mieć?

-Jedynie w sytuacji, gdyby doszło do pogryzienia przez wilkołaka - wyjaśniła pielęgniarka. - Ale w takim przypadku powinien pan raczej odwiedzić rzeźnię, a nie bank krwi.

- Skoro doszliśmy do porozumienia, proszę mi powiedzieć, ile kosztowałyby, powiedzmy, pół galona krwi?

- Taka ilość nie wchodzi w grę - odparła pielęgniarka. - Tyle nie możemy wydać.

- Zapłacimy gotówką... z góry - rzucił znacząco Mallory. - Nie mogę ręczyć za to, co stanie się później, gdy jego łaknienie wzrośnie.

Kobieta spojrzała na Ruperta, który właśnie znów zaczął się ślinić.

-Już teraz wygląda na mocno zdesperowanego - stwierdziła.

- Nie wiem, czy uda mi się nad nim zapanować -powtórzył detektyw.

Pielęgniarka wyjęła z ukrytej pod ladą szuflady srebrny krzyż i wielką wiązkę czosnku.

- Bez obaw - powiedziała. - My nad nim zapanujemy!

Rupert zasłonił twarz obiema rękami.

- Zabierz to z moich oczu! - wrzasnął.

Kobieta odłożyła czosnek i krzyż do szuflady.

- Co pan powiedział? - zapytała z przymilnym uśmiechem.

- Nic - odparł Mallory. - Chodź, chłopcze, znajdziemy tę krew w innym miejscu.

- Chwileczkę - zatrzymała go pielęgniarka.

-Tak?

-Sugerowałabym pańskiemu podopiecznemu unikanie atakowania obcych ludzi na ulicach. Jeśli trafi na kogoś niewłaściwego, może się to skończyć dla niego bardzo boleśnie. - Ściszyła konfidencjonalnie głos: - Powszechnie wiadomo, że dzisiaj ze względu na ogromną ilość stworów nocy, które wyłazą z nor, aby świętować wigilię Dnia Zmarłych, można kupić krew w niemal każdym spożywcza. To wprawdzie wciąż jest nielegalne, ale na tę jedną noc policja przymyka oko na podobne procedery.

- Dziękujemy pani - powiedział Mallory.

- Jakby co, ja wam tego nie powiedziałam.

- Będę milczał jak grób. Idziemy, Rupercie.

Detektyw opuścił bank krwi, ciągnąc za sobą chłopaka, który najpierw zaczerpnął głęboko zimnego nocnego powietrza, a potem westchnął ciężko.

-Już mi lepiej - stwierdził, odwracając się do Mallory'ego. - Od dziecka miałem alergię na czosnek.

- Zatem to nie przemiana w wampira sprawiła, że nie mogłeś znieść jego zapachu?

- Nigdy nie potrafiłem wytrzymać w miejscu, w którym był czosnek. Zaraz łzawiły mi oczy.

- Dobrze - stwierdził detektyw. - Wydaje mi się, że umie szczerę cię w moim mieszkaniu. Po co marnować forszę na hotele? Jeśli Draconis nadal cię szuka, prędzej przeleci się po pokojach do wynajęcia niż prywatnych mieszkaniach. Nie ma szans na to, by wiedział o twoich koneksjach rodzinnych z Winnifredą, a jeśli nawet odkryje je jakimś przypadkiem, fakt, iż twoja ciotka jest moim wspólnikiem, powinien pozostać dla niego tajemnicą... - Mallory zamilkł na moment. - Na skrzyżowaniu

obok mojego mieszkania jest niewielki market. Tam kupimy krew. A kiedy już zamknę cię na cztery spusty w bezpiecznym miejscu, pojedę do Winnifredy i razem obmyślimy następne posunięcie.

-Jestem panu wdzięczny, panie Mallory, za wszystko, co pan dla mnie robi - powiedział Ru-pert. - Nigdy nie lubiłem wampirów. A teraz wszystko wskazuje na to, że stanę się jednym z nich.

- To kolejna z wielu rzeczy, którymi musimy się zająć. Trzeba się dowiedzieć, jak można odwrócić proces zwampirzenia i przywrócić cię do dawnej, ludzkiej postaci. Twoja ciotka jest o wiele lepsza w poszukiwaniu danych niż ja. Sądzę, że zlecę jej tę robotę, w czasie gdy będę się uganiał za Draconisem.

- Pssst!

Mallory zatrzymał się i dostrzegł w alejce pomiędzy dwoma apartamentowcami zielonoskórego goblina, który kiwał nerwowo ręką w jego stronę.

- Hej, pan, piękne goblinie dziewczynki!

- Pan nazywać się Mallory - odparł detektyw znudzo-
nym tonem. - Pan Piękne Goblinie Dziewczynki mieszkać w sąsiednim bloku.

- Znalazł się żartowniś - mruknął goblin i przeniósł wzrok na Ruperta. - Piękne goblinie dziewczynki, tanio jak barszcz.

- Nie jestem zainteresowany - odburknął chłopak.

- Skoro takie nie pasują, to może wyjątkowo paskudne goblinie dziewczynki, ale uprzedzam, są bardzo drogie!

- Nie, dziękuję.

- A może goblini chłopcy? - zapytał stręczyciel.

- Spadaj - zbył go Mallory.

- Goblinie staruszki?

Detektyw i chłopak przyspieszyli kroku.

- Głuchonieme, ślepe goblinki bez rąk i nóg?

- Masz nawet takie pokraki? - zdziwił się Mallory.

- Jasne - zapewnił go sutener, wyciągając z torby pokazowy młot. - Dajcie mi tylko pięć minut.

- Zapomnij! - zgasił go detektyw. - Tak tylko, z ciekawości zapytałem.

- Ciekawość jest zgubą kotów - odburknął stręczyciel i nagle pstryknął palcami. - A co powiecie na zdechłego kota?

Mallory nawet nie silił się na odpowiedź.

- Niech wam będzie! - wydarł się za nimi goblin. - Tylko się nie zdziwcie, jeśli po północy ceny pójda trzykrotnie w górę!

- Mnie dziwi już sam fakt, że ktoś chce za coś takiego płacić - powiedział Mallory, gdy zniknęli z pola widzenia alfonsa. - Jak tam z tobą, chłopcze? Trzymasz się? Mamy jeszcze przecznicę do przejścia.

- Nic mi nie będzie - zapewnił Rupert.

- Już widać neon - powiedział detektyw, gdy pokonali kolejne trzydzieści jardów.

- „Market Wciskalskiego” - przeczytał Rupert.

- Nie pozwól mu się ogłupić - poradził Malloy. - To dobry człowiek, ale czasami lubi wyzwania.

- Nie rozumiem.

- Zaraz sam zobaczysz.

Szli dalej, minęli antykwariat „Starodruki”, w którym handlowano wyłącznie przeterminowanymi dokumentami urzędowymi, potem „Bar Anina”, czyli jadłodajnię z autentycznymi produktami spożywczymi z Grecji, eleganckie biura Kartelu Szpiegostwa Przemysłowego, którego okna wzmoc-

niono tytanowymi kratami oraz „Kosz Ulki”, butik sprzedający T-shirty produkowane przez słynną hollywoodzką projektantkę Ursulę K. Ursulę.

W końcu dotarli do normalnie wyglądającego sklepu spożywczego i weszli do jego wnętrza. Właściciel tego interesu znalazł się przy nich w trzy sekundy.

- Witam pana, panie Mallory! - powiedział. - Mamy wigilię Wszystkich Świętych. Cholernie paskudną noc jak na dochodzenie.

- Nie prowadzę żadnej sprawy.

- Nie szuka pan żadnego seryjnego mordercy, albo jeszcze lepiej tria lubieżnych staruszek ekshibicjonistek? - dopytywał się Wciskalski, nie kryjąc zawodu.

- Nie. Wyszedłem tylko na zakupy.

- Krokodyle skrzydła - podpowiedział staruszek. - Mam je w specjalnej promocji.

- Krokodyle nie mają skrzydeł - odparł Mallory.

- Teraz już nie mają - zgodził się Wciskalski, wymachując nożem kuchennym. - Dam dobrą cenę za tuzin.

- Nie mam na nie ochoty.

- Dobrze, może zatem weźmie pan zęby kanarków?

- Daj pan spokój.

- Trudno pana zadowolić, panie Mallory. A co pan powie na parkę bojowników? To takie rybki - dodał szybko.

- Niech zgadnę - powiedział Mallory. - Obie są uzbrojone po pletwy w broń maszynową i noże.

- Ależ skąd. Nazywają się Ethel i Wilbur. Nienawidzą się jak wszyscy diabli. Ona wiecznie gdera, a on puszcza ją kantem z welonką, jak tylko ma wolną chatę. Wie pan, Ethel często spływa do klubu na spotkania z koleżankami.

- Zamknij się pan choć na moment, żebym mógł powiedzieć, po co przyszedłem? - zapytał Mallory.

- Czy pan aby nie uzurpuje sobie praw do mojego stanowiska pracy? - zaprotestował Wciskalski. - To ja tu jestem od sprzedawania.

- Zatem niech mi pan pozwoli powiedzieć, co pan mi dzisiaj sprzeda.

Właściciel sklepu skrzywił się paskudnie.

- Czegoś takiego nie ma w regulacjach dotyczących zawodu sprzedawcy. A co pan powie na pilotkę z goglami dla latającego węża?

- Do cholery, Seymour, albo się w końcu zamkniesz, albo pójdziemy na zakupy do Gregory'ego Zieleniaka.

- Dobrze, już dobrze - obruszył się Wciskalski, ale zaraz dodał konfidencjonalnym tonem: - Gregory nazywał się kiedyś Opaliński, ale wiecie, potem zjadł nieświeże rigatoni i...

- Potrzebuję pół galona krwi - przerwał mu Mallory.

- Jakiego rodzaju?

Detektyw wyglądał na zakłopotanego.

- No takiej normalnej, czerwonej.

- Ale jakiej? Elfiej, smoczej? A może gorgoniej?

- A jaką najczęściej biorą wampiry?

- To zależy - odparł Wciskalski.

- Od czego?

- Na przykład od tego, o jakich wampirach mówimy. Czy ten wasz jest republikaninem? Demokratą? Rojalistą? Ile ma kończyn? Może pan podać ich ilość w przybliżeniu.

- Dlaczego sam go pan sobie nie obejrzy? - zapytał Mallory.

- Powiada pan, że on tu jest? - zdziwił się Wciskalski. - Krąży wokół moich klientów?

- Jest raczej niegroźny.
- Idę o zakład, że to samo mawiały hadrozaury, widząc przechadzającego się T. reksa.
- To jeszcze dzieciak. Został ukąszony w zeszłym tygodniu.

- Ile razy?

- A skąd mam wiedzieć? - zapytał poirytowany już tą rozmową detektyw. - Rupert, chodź tutaj!

Chłopak nie odpowiedział.

- Rupert! - wrzasnął Mallory, rozglądając się po sklepie.
- Gdzie on się, u licha, podział?

Niski, łysiejący mężczyzna z kłami, które miały przy najmniej cal długości i nadawały jego twarzy buldogowatego wyglądu, zbliżył się ostrożnie do detektywa.

- Nie chciałbym panom przeszkadzać w rozmowie, ale chłopak, którego panowie szukacie, wybiegł ze sklepu nie dalej niż dwie minuty temu.

- Czy ktoś go gonił? - zapytał trzeźwo Mallory.

- A może to on kogoś ścigał? - dodał zaraz Wciskalski.

- Obawiam się, że wyglądał na mocno przerażonego - odparł niewysoki mężczyzna.

-Daj pan spokój! - zachnął się Wciskalski. -Moje ceny nie są aż tak przerażająco wysokie. Może i podniosłem je o kilkaset procent ze względu na wigilię Dnia Zmarłych, ale żeby...

- Widział pan, w którą stronę pobiegł? - detektyw nie słuchał paplaniny sprzedawcy.

- Obawiam się, że nie.

- Niech to szlag - zaklął Mallory. - I gdzie ja mam szukać zbiegłego wampira na Manhattanie?

- Mogę panu pomóc - zaoferował się łysawy kurdupel.

- Przecież pan nie wie nawet, w którą stronę pobiegł - zdziwił się detektyw.

- To prawda, proszę pana. Zniknął mi z oczu, zanim przebiegł pięć jardów.

- No właśnie.

- Ten chłopak jest zbiegłym wampirem?

- Tak.

Słyszałem, jak pan Wciskalski wspominał coś o prowadzeniu sprawy, co by sugerowało, że jest pan detektywem.

- Do czego pan zmierza?

- Do tego, że powinniśmy połączyć nasze siły. Proszę kupić mi tę krew, którą chciał pan nakarmić swojego chłopaka.

- Nie ma pan bladego pojęcia, gdzie on teraz jest - stwierdził Mallory. - Dlaczego więc miałbym kupować panu krew i co więcej, oferować panu współpracę?

- Choćby dlatego, że potrzebujemy się wzajemnie. Pan wie wszystko o zbiegach, ale nic o wampirach. - Facecik obnażył w uśmiechu garnitur wielkich zębisk. - Ja z kolei nie mam pojęcia o uciekinierach, ale posiadam naprawdę spory zasób wiedzy o dzieciach nocy.

Mallory spojrzał najpierw na kurdupla, potem na opustoszałą ulicę.

- Seymour, daj, proszę, mojemu małemu przyjacielowi flaszeczkę świeżej krwi. - Wyciągnął dłoń do nieznanomego. - Nazywam się Mallory.

- John Justin Mallory? - zapytał łysiejący mężczyzna, nie kryjąc ekscytacji. - Ten, który odnalazł jednoroźca i rozwiązał wszystkie pozostałe sprawy? To dla mnie prawdziwy zaszczyt! - Ujął dłoń detek-

tywa i potrząsnął nią z wigorem. - Nazywam się Kijaszek McGuire, a moja gra to krwi wysysanie.

- Jest pan pewien, że to dobry pomysł? - zapytał Wciskalski.

- Jestem pewien - odparł detektyw i odwrócił się do Kijaszką McGuire'a. - Nie traćmy czasu. Jest pan gotowy do drogi?

- Oczywiście - potwierdził od razu mały wampir, a potem dodał, kierując kolejne słowa do Wciskalskiego: - Proszę trzymać moją krew w zamrażalniku. Wrócę po nią, jak tylko skończymy tę misję. - Poprowadził Mallory'ego do drzwi.

- Mam spore obniżki cen na trumny! - zawołał za nimi właściciel sklepu.

Kto go dziabnął? - zapytał McGuire, gdy szli ulicą.

- Facet nazwiskiem Draconis - odparł

Mallory. - Słyszałeś o nim?

Mały wampir pokręcił wolno głową.

- Nie, chociaż znam większość wampirów mieszkających na terenie miasta. Pewnie przyjechał z Chicago albo Kansas City.

- Na twoim miejscu rzuciłbym okiem na Europę.

- Dlaczego? Tu mi dobrze.

- Chodziło mi o to, że Draconis przyjechał z Europy.

- Cóż, to nam upraszcza sprawę - oświadczył mały wampir.

- Naprawdę? - zainteresował się Mallory. - Niby jak?

- Europejskie wampiry są straszliwymi tradycjonalistami. Nie zdziwiłbym się, gdyby przytachał tu własną trumnę. I to pełną ziemi ojczystej. - McGuire aż się wzdrygnął na tę myśl. - Ja tam wolę spać w satynowej pościeli w „Plazie” albo „Waldorfie”. Tak czy inaczej, sprawa rozwiązana.

- O czym ty mówisz?

- Ty tu jesteś detektywem. Odszukaj trumnę Draconisa i poczekaj przy niej na niego. On pewnie jeszcze wierzy w te wszystkie bzdury o szkodliwości promieni słonecznych.

- Ale ty już nie wierzysz.

- Można dostać od nich poparzeń, i to dość łatwo, ale żadnego z nas w proch i pył nie zamienią - odparł mały wampir, zatrzymując się przed kolejnym barem. - Skoro mamy rozwiązanie tej sprawy za sobą, może skoczmy na jednego głębszego, aby uczcić sukces? Ty stawiasz.

- Niczego jeszcze nie rozwiązaliśmy - zaprotestował Mallory. - Wiedza o tym, że jego trumna znajduje się w mieście liczącym siedem milionów mieszkańców, a znalezienie jej to dwie różne sprawy.

- Gołe cycate babki i szwedzkie kościoły różnią się znacznie bardziej, podobnie jak płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów i kije do golfa dla leworęcznych graczy - stwierdził nieoczekiwanie McGuire. - Ale dajmy temu spokój. Możemy zaplanować następne posunięcie przy szklaneczce czegoś mocniejszego.

- Zaczynam podejrzewać, że twoja wiedza na temat wampirów wcale nie jest taka rozległa, jak twierdziłeś - powiedział oschle Mallory.

- A mnie się wydaje - odparł obronnym tonem McGuire - że powinieneś być odrobinę bardziej wdzięczny za to, że powiedziałem ci o Draconisie coś, czego wcześniej nie wiedziałeś, chociaż współpracujemy ze sobą nie dłużej niż dziewięćdziesiąt sekund... - przerwał na moment. - A teraz chodź na jednego.

- „Pustynna Oaza Ahmeda Hamiba” - Mallory spojrzał na migoczący neon. - Coś mi się widzi, że krwi tu nie podają.

- I dobrze - stwierdził McGuire. - Nie cierpię tego świństwa.

- Wydawało mi się, że jesteś wampirem.

- Jestem.

- Zatem...

- Twoja matka z pewnością zmuszała cię do jedzenia tych wszystkich zielonkawych papek, kiedy byłeś dzieckiem.

- A co to ma wspólnego z tematem naszej rozmowy?

- Nie cierpiełaś ich, ale musiałaś jeść, bo były zdrowe. Ja nie cierpię krwi, ale od czasu do czasu muszę jej trochę łyknąć. Zauważyłem jednak, że mogę oszukać organizm, i to na całym długo, popijając Krwawą Mary.

- Niech ci będzie - detektyw w końcu ustąpił. - Ale tylko jedną!

Dostali się do wnętrza baru, przechodząc przez łukowato sklepione drzwi i mijając imponującą wystawę mieczy, wśród których znajdowały się nawet okazy z dalekiej Japonii. W końcu znaleźli wolny stolik w kącie sali. Zaraz też podszedł do nich kelner w turbanie.

- Piwo i Krwawą Mary - zamówił Mallory.

- Świetny wybór, sahibie - odparł kelner. - A co dla pańskiego przyjaciela?

- Dla mnie piwo, dla niego Krwawa Mary - uściślił detektyw.

- Ze szczyptą waszego specjału - dodał pośpiesznie McGuire.

- To będzie kosztowało pięć dolarów ekstra - powiedział kelner.

- *Inshallah* - odparł mały wampir.

-Ja ci dam Bóg zapłać - warknął kelner. - Gotóweczka z góry albo nic nie dostaniecie! Już my cię dobrze znamy, Kijaszkowi McGuire!

Wampir spojrzął na detektywa.

- Przykro mi o tym wspominać, ale to ty miałeś stawiać.

Mallory wyjął z portfela pięć dolarów i podał je kelnerowi. Ten pochwycił banknot i natychmiast odmaszerował.

- Cóż to za specjał, który kosztuje więcej od samego drinka? - zapytał detektyw.

- Ajaj! - wrzasnął kelner na zapleczu. - A niech cię wszyscy diabli!

- Co to było? - zaniepokoił się Mallory.

- To właśnie ów specjał - wyjaśnił McGuire. - Facet nakłuwa palec wskazujący i dodaje kilka kropel krwi do właściwego drinka. Dzięki nim dotrwam do jutra.

- Ale dlaczego musi nakłuwać palec wskazujący? - zapytał detektyw. - Kciuk byłby lepszy, nawet chyba mniej by go bolało.

- *Palec mię świerzbi, a to dowodzi, że jakiś potwór tutaj nadchodzi* - wampir wyrecytował fragment „Makbeta”. - Pozwól, że pozostanę przy palcach wskazujących.

Z zaplecza wynurzył się kelner niosący zamówione drinki. Na palcu wskazującym miał świeży opatrunek.

- Mam nadzieję, że się nią zadławisz! - wysyczał, gdy podawał McGuire'owi jego Krwawą Mary.

- Trzymaj tak dalej, a zasłużysz na dziesięć centów napivku - odciął się mały wampir.

Nagle cała złość kelnera zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Po tysiącuroć proszę o wybaczenie, sahibie -powiedział, gnąc się w pasie. - Mam nadzieję, że nie uraziłem cię słowem

albo uczynkiem. Oby Allah obdarzył cię wieloma silnymi synami i pięknymi córkami.

- Wystarczyłaby mi dobra pogoda na Jamajce podczas jutrzejszych gonitw - odparł Mallory.

- Niestety, zapowiada się plucha - odparł kelner. - Oby Allah doprawił skrzydła nogom Księcia Biedoty.

Mallory wyjął dwadzieścia dolarów.

- Będą twoje, jeśli razem z Allahem wskażecie mi miejsce pobytu Arystotelesa Draconisa.

- Czy to nie on gra na trzeciej bazie w drużynie Pijawek z Luizjany? - zapytał kelner.

- Mówimy o mierzącym siedem stóp wzrostu wampirze, który przebywa aktualnie na Manhattanie.

Kelner zrobił zatroskaną minę.

- Dlaczego miałyby siedzieć na Manhattanie? Przecież Pijawki już za godzinę grają przeciw Troglodytom z Toledo.

Mallory schował banknot.

- Tak czy owak, dzięki.

- Zanim nas opuścisz, sahibie - kelner ściszył głos - może masz ochotę na ekscytujący taniec brzucha?

- Spiesz nam się.

- Zaręczam, że przebiorę się błyskawicznie - zapewnił kelner.

- Przebierzesz się? - zapytał Mallory.

- A kto miałby się przebierać, skoro to ja tańczę?

- Dzięki, może innym razem.

- Wasza strata - mruknął kelner, wzruszając ramionami.

- Nie wątpię - odparł Mallory, gdy facet w turbanie podszedł do innego stolika. - Kończ tego drinka, muszę zajrzeć do mojej współpracownicy.

- Wydawało mi się, że to ja jestem twoim współnikiem - powiedział urażonym tonem wampir.

- Pomagasz mi w rozwiązaniu tej sprawy. Ona jest moim stałym współnikiem. A ten gówniarz, którego szukamy, dziabnął ją w szyję ostatniej nocy. Wolałbym się upewnić, czy i ona nie zamierza zrobić tego samego komuś innemu.

- Nie ukąsi nikogo - zapewnił go McGuire. - Trzeba czegoś więcej niż jedno ukąszenie, żeby wzbudzić w ofierze pragnienie.

- Dzieciaka też ukąszono tylko raz.

Mały wampir pokręcił głową z niedowierzaniem.

- On pamięta tylko jedno ukąszenie, ale skoro mamy do czynienia z sytuacją, w której sam zakosztował krwi swojej ciotki, możemy dojść do jedynie dwóch wniosków. Albo Draconis pożywiał się na nim przez całą podróż z Europy, usypiając dzieciaka na wiele dni, wiesz, niektóre wampiry tak robią, w końcu wgryzanie się w szyję jest cholernie bolesne. Na szczęście nasza ślina jest znakomitym środkiem znieczulającym.

- Świetnie. To był pierwszy wniosek - przerwał mu Malory. - A co z drugim?

- Chłopak może być nieźle pokopany i jedyne, czego mu trzeba, to dobry psychiatra.

- Trzymajmy się pierwszej wersji - powiedział detektyw. - Widziałem ślad ukąszenia na jego szyi.

- Dobrze - zgodził się McGuire, dopijając pospiesznie drinka. - To znacznie bardziej racjonalne.

- Idziemy.

Wyszli prosto w noc, ominęli tłumy przyglądające się wyścigom smoków na sąsiedniej przecznicy i korzystając z bocznych uliczek, dość szybko dotarli do apartamentu Winnifredy.

Odźwierny - Mallory wciąż odczuwał pewien dyskomfort, traktując te istoty jak normalnych ludzi - rozpoznał detektywa i przepuścił ich bez zbędnych pytań. Chwilę później wynurzyli się z kabiny windy na siódmym piętrze.

Mallory zapukał, Winnifreda otworzyła niemal natychmiast, wyglądała o wiele lepiej niż poprzednio.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytała, mierząc wzrokiem Kijaszka McGuire'a.

- Ekspertem od wampiryzmu - odparł Mallory.

- Tak, nawet wygląda mi na jednego z nich - przyznała pułkownik Carruthers. - Wejdźcie. Życzy pan sobie filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję - odparł McGuire. - Dopiero co byliśmy na jednym głębszym. - Wampir dostrzegł trofea wiszące na ścianie. - Ma pani tutaj niezłą kolekcję - stwierdził.

- Może pan mówić do mnie Winnifredo albo pułkownik Carruthers.

- Najbardziej podoba mi się banshee.

- Wie pan coś na temat banshee, panie...

- McGuire, szanowna pani, Kijaszek McGuire, do usług. Tak, mam sporo przyjaciół pośród banshee.

Spojrzała na niego chłodno.

- Banshee to podstępna i złośliwa rasa.

- Tak, szanowna pani, co racja, to racja - przyznał od razu mały wampir. - Nie można się do nich odwrócić plecami nawet na sekundę. Ale kiedy jest się czterdziestosiedmioletnim bezrobotnym wampirem, nie ma się wielkiego wyboru. Znajduje się przyjaciół, gdzie tylko się da.

Winnifreda przeniosła wzrok na Mallory'ego.

- Zakładam, że Rupert jest już bezpieczny w hotelu.

- Wyfrunął nam z gniazdka.

- Zmienił się w nietoperza? - zdziwiła się Winnifreda. - Nie miałam pojęcia, że jego przemiana zaszła aż tak daleko.

- Chyba źle dobrałem słowa - odparł Mallory. - Wstąpili śmy po drodze do Wciskalskiego, znasz ten sklep, to tam kilka miesięcy temu przyskrzyniliśmy Skippy'ego, rekina kart kredytowych. Rupert zobaczył tam coś, co strasznie go przeraziło, i natychmiast dał nogę. Może był to sam Arystoteles Draconis, wampir, którego Rupert spotkał na transatlantyku, a może coś zupełnie innego. Nie dowiemy się, dopóki go nie odnajdziemy. Pan McGuire zaofiarował się pomóc w poszukiwaniach.

- To wielkie miasto, Johnie Justinie - stwierdziła Winnifreda. - Lepiej będzie, jeśli się rozdzielimy.

- Ty nigdzie nie idziesz - zaprotestował Mallory. - Masz siedzieć w domu i odyskiwać siły.

- Jesteśmy równoprawnymi współnikami w tym interesie, prawda?

- Przecież wiesz, że tak.

- Zatem przestań wydawać mi rozkazy - powiedziała. - Rozdzielimy się. - Ruszyła w stronę sypialni. - Poczekajcie chwileczkę, zaraz wrócę.

Weszła do sąsiedniego pomieszczenia i zamknęła drzwi.

- Pewnie chce nałożyć trochę różu na policzki, żeby jej bladość nie była aż tak oczywista - zasugerował McGuire.

Mallory tylko pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - To do niej niepodobne. Coś innego łązi jej po głowie, ale za diabła nie wiem co. - Wzruszył ramionami. - Zresztą zaraz i tak przekonamy się, o co chodzi.

- Niezły z niej myśliwy - stwierdził McGuire, przyglądając się trofeom.

- Najlepszy.

- I romantyczny - dodał mały wampir, zerkając na półki pełne romansów.

- Na tym polu, niestety, nie odniosła wielkich sukcesów - ocenił Mallory. - Ale na pewno na nie zasługiwała.

McGuire spędził kolejne kilka minut na podziwianiu przedmiotów dowodzących jednoznacznie, że ich właścicielka spędziła niemal całe życie, mierząc się z dzikimi zwierzętami i robiąc wszystko, aby uniknąć konfrontacji z bestiami zamieszkującymi betonową dżunglę - tymi, które noszą wytworzone garnitury, dzierżą w rękach nesesery, popijają martini. Zanim skończył, drzwi sypialni otworzyły się ponownie i stanęła w nich Winnifreda.

Miała na sobie bluzę koloru khaki, także szorty, wysokie buty myśliwskie i hełm korkowy. Podeszła do szafki z bronią i wyjęła swojego ukochanego nitro ekspresa .550.

- Jestem gotowa - powiedziała.

- Nie możesz iść sama - stwierdził Mallory. - Spójrz tylko na siebie. Ledwie potrafisz udźwignąć tę cholerną strzelbę.

- To jest sztucer, Johnie Justinie - poprawiła go natychmiast. - Strzelba wygląda zupełnie inaczej. Nitro ekspres zmiecie jednym strzałem każdego wampira. - Tu spojrzała na McGuire'a. - Nie bierz tego do siebie.

- Winnifredo, to niedorzeczne, powiem więcej, to pewne samobójstwo. Nie jesteś gotowa stanąć twarzą w twarz z istotą, której najprawdopodobniej kule się nie imają.

- Mam też nóż myśliwski i sporo doświadczenia - odparła. - Całkiem nieźle przysłużyło mi się przed laty.

- Nie byłeś w dżungli od niemal dekady - perswadował dalej Mallory. - Na dodatek straciłeś mnóstwo krwi. Nie pozwolę, abyś znalazła się sam na sam z Arystotelesem Draconisem.

- Nie mam takiego zamiaru.

Detektyw zmarszczył brwi.

- Przecież sama powiedziałaś, że powinniśmy się rozdzielić.

- I tak zrobimy.

- Zatem...

-W mojej sypialni mam też telefon - wyjaśniła. - Gdy poszłam się przebierać, obdzwoniłam ludzi, z którymi wyruszyłam na safari. Tragarza broni, garbarza i wiernych trolli tropicieli. Przybędą tutaj za pięć minut, a jak już zbiorę moją drużynę, wyruszymy na łowy. Po głowę Draconisa.

- I nie uda mi się odwieść cię od tego pomysłu? -zapytał Mallory.

- Nie.

Detektyw westchnął.

- W takim razie życzę ci bezpiecznych i spokojnych łowów. Powiem ci też, czego dowiedziałem się o tym Draconisie. Na imię ma Arystoteles, mierzy prawie siedem stóp wzrostu, jest chudy jak szczapa i nosi się wyłącznie na czarno.

- Została nam jeszcze jedna rzecz do zrobienia, Johnie Justinie - przypomniała mu Winnifreda. - Musimy ustalić, gdzie spotkamy się za kilka godzin, aby porównać notatki i zaplanować dalsze etapy łowów.

- To prawda, przeczesywanie dwa razy tego samego terenu nie ma sensu - przyznał detektyw. - Ja zacznę sprawdzać miasto na południe od Central Parku, ty idź od północy, spotkamy się, powiedzmy, o wpół do pierwszej.

- Gdzie?

- Czy mogę coś zaproponować? - zapytał McGuire.

- Strzelaj - powiedział Mallory.

Mały wampir padł plackiem na podłogę i chwilę później wstawał z niej mocno zawstydzony, gdyż zdał sobie sprawę, że słowa detektywa nie były skierowane do Winnifredy.

- Jest takie urocze bistro zwane „Dzwonnicą”, u zbiegu Niesamowitej i Upiornej, niedaleko południowych granic Central Parku. Znam właściciela, z pewnością pozwoli nam skorzystać z osobnej salki, żeby nikt nie podsłuchiwał, kiedy będziecie się wymieniali informacjami.

Mallory spojrzał na Winnifredę.

- Co o tym myślisz?

- Wydaje mi się, że to równie dobre miejsce na spotkanie jak każde inne - odparła.

- Dobrze - stwierdził detektyw, podchodząc do drzwi. - Nie musimy czekać, aż twoja ekipa pojawi się pod domem. Też mamy sporo do zrobienia.

- Zatem do zobaczenia o dwunastej trzydzieści - powiedziała pułkownik Carruthers. - Albo wcześniej, o ile dopisze nam łowieckie szczęście.

McGuire pospieszył za detektywem do windy i chwilę później wydostali się na świeże nocne powietrze.

- Jesteś specem od wampiryzmu - zagaił Mallory. - Powiedz mi więc, gdzie mógł się zasyć taki młody, niedoświadczony, ale mocno przerażony wampir?

- Zostałem nieumarłym, mając siedem lat - odparł McGuire. - Ale gdyby przydarzyło mi się to teraz, szukałbym towarzystwa innych dzieci nocy, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co mi się przydarzyło, i o życiu, jakie mnie czeka.

- Rozsądnie gadasz - przyznał detektyw. - A gdzie nasz przyjaciel mógłby znaleźć największą populację wampirów?

- Wydawało mi się, że znasz już odpowiedź na to pytanie - stwierdził McGuire.

- W zoo? - zapytał Mallory.
- Ależ skąd - obruszył się mały wampir.
- Może na którymś z cmentarzy?

McGuire pokręcił głową.

- Daj spokój. Jest tylko jedno miejsce, do którego mógł się udać. Vampire State Building.

- Vampire State Building? - powtórzył za nim zaskoczony detektyw. - Jaja chyba sobie ze mnie robisz?

- Widzisz uśmiech na mojej twarzy? - zapytał mały wampir.

Na Manhattanie Mallory'ego budynek ten nosił nazwę Empire State Building, ale tutaj nic nie było takie samo, o czym detektyw przekonywał się w najmniej oczekiwanych momentach.

Jeśli Mallory miał jeszcze jakieś wątpliwości, rozwiały się one, gdy przybył w towarzystwie McGuire'a pod główne wejście. Jak przed większością biurowców, także i tutaj drzwi pilnował elegancki odźwierny. Jednak w odróżnieniu od swoich kolegów osobnik ten zwisał głową w dół z żerdki zamocowanej na frontonie.

- Cześć, Borys - pozdrowił go McGuire. - Zastanawiałem się właśnie, czy nie mógłbyś nam pomóc w rozwiązaniu pewnej sprawy.

- Jasne - odparł odźwierny, z trudem tłumiąc wybuch śmiechu. - A na jaki węzeł jest zawiązana? - Borys uważa się za komika - wyjaśnił McGuire.

- Jego problem - burknął Mallory. - Miałem siedemdziesięcioletnią ciotkę, która wciąż uważała się za seksbombę.

- Borysie, to mój przyjaciel, John Justin Mallory - zaczął mały wampir. - On...

- Mallory? - powtórzył odźwierny, puścił żerdkę i łagodnie wylądował na wycieracze. - Jesteś tym facetem, który rozwiązał sprawę jednoroźca?

- Tak - przyznał detektyw. - Miło mi cię poznać.

- Czy on... hmm... dołączył do klubu? - zapytał Borys.

- Nie - odparł McGuire. - Przynajmniej na razie. Pracuje my nad pewną sprawą.

- Pracujesz dla niego?

- Jak już wspominałem, to mój przyjaciel. Pomagam mu w odnalezieniu kogoś.

- Niech ci będzie - powiedział Borys. - W każdym razie gość ma tętnice jak ta lala.

- Jeśli ktoś go tu ma ukąsić, to z pewnością będę to ja - zgasił odźwiernego McGuire. - A teraz racz wysłuchać, co pan Mallory ma do powiedzenia.

- Przestań się tak unosić - zachnął się Borys. - Tak tylko zapytałem, przez grzeczność. Czym mogę służyć, panie Mallory?

- Szukam pewnego młodzieńca, który uciekł nam dziesiętgo wieczora - wyjaśnił detektyw. - Wzrost jakieś pięć stóp i osiem cali, nie więcej niż sto sześćdziesiąt funtów wagi, włosy ciemne, oczy piwne, znaki szczególne: ślad ukąszenia na szyi. Nazywa się Rupert Newton.

- Jest pan pewien, że chłopak uciekł? - zapytał odźwierny.

- Bo jeśli to jeden z naszych, mógł po prostu odfrunąć, jak to się teraz mówi.

- Wydaje mi się, że on jeszcze nie ma pełnego członkostwa w waszym bractwie - powiedział Mallory. - Mam przecucie, że mógł uciec, aby spotkać inne wampiry, dowiedzieć się, co mu zrobiono, jak sobie z tym radzić i co go czeka w najbliższej przyszłości.

- W takim razie trafił we właściwe miejsce.
- Widziałeś go?
- Nie - zaprzeczył Borys. - Ale moje oczy nie są już takie jak dawniej. To znaczy tuż po przemianie... - zamilkł na moment. - Wydaje mi się, że on może tu być.
- Mógł pojawić się w ciągu ostatnich dziesięciu, może piętnastu minut.
- Bardzo możliwe - stwierdził odźwierny. - Wskoczyłem na jednego. - W tym miejscu McGuire zachichotał, słysząc to jakże celne określenie. - Wróciłem może dwie minuty przed waszym przyjściem.
- To wielki budynek - powiedział detektyw. - W którym miejscu powinniśmy zacząć szukać?
- Cóż, dzisiaj obchodzimy nasze święto, więc większość biur jest pozamykana - odparł Borys. - Jeśli chłopak przyszedł, pewnie siedzi teraz na dziewięćdziesiątym piętrze.
- Dlaczego właśnie na dziewięćdziesiątym?
- Bo tylko to piętro jest teraz otwarte.
- Dzięki - powiedział Mallory i ruszył do wnętrza budynku. - Jeśli zobaczysz kogoś pasującego



do opisu, capnij go, dopóki nie wrócimy - poprosił na odchodnym.

- Capnąć go? - Lewa powieka Borysa zaczęła drgać, a mięśnie na policzkach wyraźnie stężały. -Z przyjemnością.

- I jeszcze jedna sprawa. - Mallory zatrzymał się w drzwiach. - Czy w tym budynku pracuje ktoś nazwiskiem Aristoteles Draconis?

Borys wzruszył ramionami.

- Sprawdźcie w recepcji. Mamy tutaj trzydzieści tysięcy ludzi... - przerwał na chwilę. - W każdym razie część z nich to jeszcze ludzie - dodał.

- Chodź, Kijaszk - powiedział detektyw, ruszając w stronę wind.

McGuire pospieszył za Mallorym i chwilę później drzwi kabiny zamknęły się za nimi z cichym sykiem. Wnętrze natychmiast wypełniło się dźwiękami nastrojowej muzyki.

- „Strangers in the Night” - oznajmił mały wampir, gdy rozpoznał w końcu melodię. - Ach, ileż to wspomnień niesie ta piosenka.

Mallory skrzywił się.

- Nie przypominam sobie, żeby w jej treści było coś o kłusaniu.

- Żartowniś z ciebie - stwierdził McGuire. - Za chwilę zacznie mi wmawiać, że to tylko zwykła piosenka o miłości.

- Gdzieżbym śmiał.

Nagranie skończyło się, gdy mijali sześćdziesiąte piętro, i zaraz zostało zastąpione kolejnym.

- Ho, ho - mruknął mały wampir, uśmiechając się błogo. - „Fangs of the Memory”.

- Ciekawe, co znajduje się na tym dziewięćdziesiątym piętrze? - zapytał Mallory.

McGuire wzruszył tylko ramionami.

- Biura prawników, agentów literackich, wszystkich tych cholernych krwiopijców, jeśli wiesz, co mam na myśli. Rozumiesz, to przecież Vampire State Building.

- Nie wydaje mi się, żeby Rupert szukał kontaktu z prawnikiem albo agentem literackim.

- Twoje zgadywanki nie mają teraz najmniejszego sensu - stwierdził McGuire, gdy winda stanęła w końcu, a drzwi rozsunęły się bezszelestnie. - Jesteśmy na miejscu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Mallory na korytarzu, był wielki plakat informujący o tym, że kapela Wład i Palownicy zagra koncert na dorocznym balu zombie z okazji wigilii Wszystkich Świętych.

- Wład i Palownicy? - zapytał Mallory. - Oni naprawdę tak się nazywają?

- To zajefajna nowa kapela - potwierdził McGuire. - Ale trudno im będzie przeskoczyć zeszłorocznego zwycięzcę list przebojów.

- Niech zgadnę: czy to była Lassie i Wilkołaki?

- Co za idiotyczna nazwa - obruszył się mały wampir. - Nie, chodziło mi o Igora i Hieny Cmentarne.

- To by nawet pasowało... - mruknął detektyw.

- Osobiście bardziej wolałem Guya Lombardo - przyznał McGuire - ale trzeba iść z duchem czasu.

- Dobra, rozejrzyjmy się po piętrze i sprawdźmy, co się tu wyrabia - zaproponował Mallory, mijając plakat. Znalazł się w długim korytarzu pełnym drzwi do biur i gustownych witryn. Minął kilka z nich i zatrzymał się przy bogato wygrawerowanej tabliczce zdobiącej maleńkie drzwiczki. - „Ekologia nietoperzy dla nowo odmienionych” - przeczytał.

- Chyba trafiliśmy w dziesiątkę - stwierdził Mc-Guire. - Nie, patrz tutaj.

Wskazał na karteczkę przytwierdzoną do drzwi. Napis na niej głosił: „W święta nieczynne”.

Następne było biuro oznaczone literami aaa.

- Czyżby amerykański związek kierowców też miał tutaj swoje biura? - zastanawiał się na głos Mallory. - Co oni, do diabła, mogliby robić w Vampire State Building?

- To związek aeronautów - mały wampir od razu wyprowadził go z błędu.

Mallory zajrzał do środka, ale zobaczył tylko płachty map, stosy przewodników po największych jaskiniach Ameryki i tablicę z napisem: „Tutaj składać plany lotów”.

Za biurkiem w głębi pokoju siedziała niewiarygodnie szczupła i blada kobieta o kruczoczarnych włosach i pomalowanych na jaskrawą czerwień wargach. Gdy zauważyła, że Mallory przygląda jej się zza szyby, mrugnęła do niego porozumiewawczo i uśmiechnęła się.

- Co o niej myślisz? - zapytał mały wampir.

- Nie w moim typie - odparł detektyw. - Stanowczo wolę żywe kobiety.

- Chodziło mi raczej o to, czy ona będzie w stanie nam pomóc.

Mallory pokręcił głową.

- Jeszcze dwadzieścia minut temu nasz chłopak nie miał skrzydeł. Wątpię, żeby mu jakieś wyrosły w tym czasie.

- Tak, masz rację - przyznał McGuire. - Gdyby się... przemienił... znaleźlibyśmy jego rzeczy. Uwierz mi, cholernie trudno latać w garniturze, krawacie i spodniach, kiedy masz skrzydła o rozpiętości czterdziestu cali. Nawet bokserki potrafią przeszkadzać w locie.

Minęli trzy kolejne biura, a potem Mallory zatrzymał się przed wejściem do „Radcy prawnego dla nowo nawróconych”.

- Do kogoś takiego mógłby się udać - ocenił detektyw. - Ja w każdym razie szukałbym podobnego biura, gdyby to mnie ktoś ukąsił. - Odwrócił się do małego wampira. - Ty zostaniesz na korytarzu. Zawołaj mnie, jeśli zobaczysz kogoś pasującego do opisu Ruperta.

- Nie jestem zbyt dobry w te klocki - oświadczył McGuire. - Nigdy nie wiem, co mam krzyczeć. „Jejciu” nie za bardzo pasuje do tej sytuacji, a „hej, hej” jest chyba zbyt staromodne. Mógłbym wprawdzie zawołać „łapać złodzieja”, ale skoro on nie jest złodziejem, mógłby nas potem oskarżyć o zniesławienie.

- Dobrze już - przerwał mu Mallory. - Nie krzycz, tylko zagwiźdź.

- Nie umiem.

- Nie umiesz gwizdać?

- Tylko melodię „Bloody Mary is the Girl for Me”.

- W takim razie możesz jodłować.

- Nigdy wcześniej nie jodłowałem.

- Do jasnej cholery, McGuire! - zdenerwował się detektyw. - Po prostu zastukaj dłonią w okno, a wyjdę do ciebie.

- A jeśli wybije szybę?

- A jeśli rozkwaszę ci nos? - warknął Mallory.

- Dobra, dobra, już tam coś wymyślę - powiedział szybko McGuire.

Mallory zmierzył małego wampira złym wzrokiem, a potem odwrócił się i bez słowa wkroczył do biura. Natychmiast wyszedł mu naprzeciw grubawy człowieczek, uśmiechnięty od ucha do ucha, z ręką wyciągniętą na powitanie.

- Dobry wieczór szanownemu panu, dobry wieczór! - zagrzemiał. - W czym mogę pomóc? Reprezentujemy najlepsze instytucje prawne całego Manhattanu. Jeśli szanowny pan ma jakiegokolwiek problemy z poruszaniem się w gąszczu betonowej dżungli, możemy zaaranżować lekcje sonarowania u samego Władimira Płotkina!

- Nie, dziękuję - powiedział Mallory. - Ja tylko...

- A może korespondencyjny kursik na temat

„Główne arterie i jak je znaleźć”? - zasugerował grubasek.

- Albo oferta tygodnia: dwa bilety do opery oraz trzy prywatne lekcje wydawania równie wysokich pisków?

- Pozwoli mi pan odpowiedzieć? - zdołał w końcu wtrącić detektyw.

- Proszę o wybaczenie odparł człowieczek. Moim jedynym wytłumaczeniem jest entuzjazm, z jakim podchodzę do każdego nowo przemienionego.

- Ja się nie łąpię do tej kategorii - oświadczył Mallory. - Po prostu szukam pewnej osoby.

- Ale my nie organizujemy schadzek, drogi panie. Powinien pan raczej spróbować w studiu tańca na czwartym piętrze. Ich specjalnością jest: „Jak stać się wampem dla swojego człowieka”. Tam zawsze znajdzie pan chętną duszę.

- Szukam chłopaka, który został dopiero co ukąszony, to znaczy nowo nawróconego - wyjaśnił Mallory. - Miałem nadzieję, że znajdę go u pana.

- Pan jest jednym z... nawracających?

- Tylko przyjacielem. Chłopak, o którym mowa, mógł przyjść do pana w ciągu minionych trzydziestu minut.

Grubasek pokręcił ze smutkiem głową.

- Przykro mi, od wizyty ostatniego klienta minęły już ponad dwie godziny. Na pana miejscu sprawdziłbym na sta-

dionie Ebbetsa, zdaje się, że gramy dzisiaj przeciw Osłkom z Louisville. Ludziska uwielbiają te mecze i walkę do ostatniej kropli krwi -nieomal zakrzuszył się, tłumiąc chichot.

- A co może mi pan powiedzieć o Arystotelesie Draconi sie? - zapytał Mallory, ignorując kalambur prawnika. - Wysoki, chudy i z pewnością nie jest nowicjuszem w tym fachu.

Niestety, nie kojarzę tego nazwiska.

Rozumiem - powiedział Mallory, krzywiąc się z niesmakiem. Tak czy inaczej, dziękuję. - Odwrócił się.

- Czy pański młody przyjaciel pochodzi z Ameryki? - zapytał niespodziewanie grubasek.

- Tak.

- Wielka szkoda. Wytwórnia trumien acme, ta z czterdziestego ósmego piętra, ma specjalne promocje na ziemię ze Starego Kontynentu, a pański przyjaciel prędzej czy później będzie musiał gdzieś zasnąć, chociaż na pewno nie uczyni tego przed świtem. Gdyby pochodził z Transylwanii, musiałby poszukać sklepiku, w którym mógłby nabyć ziemię ojczystą, o ile nie przywiózł jej tutaj ze sobą. A teraz - zakończył przemowę - jeśli nie ma innych pytań, pozwoli pan, że zamknę biuro do jutra.

- Wydawać by się mogło, że większość interesantów powinna odwiedzać pana w nocy - zauważył Mallory.

- Ależ oczywiście, szanowny panie, ale dzisiaj mamy wigilię Wszystkich Świętych. Noc, podczas której możemy ryczeć do woli... - Nagle zmieszał się. - Chciałem powiedzieć: piszczeć do woli.

Mallory podszedł do drzwi.

- W każdym razie dziękuję za poświęcenie mi czasu.

- Żałuję, że nie potrafiłem panu pomóc - odparł gruba sek. - Może powinien pan zrobić kilka zwyczajowych rundek

po okolicy, zanim te wszystkie przyjęcia rozkręcą się na poważnie.

- Zwyczajowych rundek?

- Pański młody przyjaciel jest świadom przemian, jakie w nim następują, nieprawdaż? Czyż nie dlatego postanowił pan odwiedzić moje biuro?

- Zgadza się.

- Zatem powinien się teraz przygotowywać do kilku znaczących zmian, jakie nastąpią w jego życiu. Dla przykładu będzie potrzebował najmocniejszych filtrów przeciwsłonecznych. Takie rzeczy można znaleźć w zaledwie kilku aptekach. Albo weźmy polaryzowane okulary, które wy nazywacie przeciwsłonecznymi. Prędzej czy później poczuje też głód, a to oznacza, że powinien zaopatrzyć się w podręczny test na aids, zanim spróbuje krwi pierwszej ofiary. Jeśli wyrosły mu takie kły jak u pańskiego towarzysza - tu wskazał na McGuire'a - zapewne uda się do dobrego dentysty, aby spiłować je, zanim pokaleczy sobie wargi.

- Widzę, że bycie wampirem wymaga o wiele więcej zachodu, niż przypuszczałem - stwierdził Mallory.

- W rzeczy samej, szanowny panie, w rzeczy samej. Jeśli zechce pan wrócić jutro, będziemy mogli kontynuować tę niezwykle ciekawą dyskusję, ale teraz naprawdę muszę zamknąć interes.

Mallory opuścił biuro tuż przed radcą, który natychmiast zamknął je na klucz i popędził w stronę wind.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał McGuire.

- Kilku rzeczy na temat wampirów - odparł detektyw. - Ale nic o Rupercie albo Draconisie.

- W paru innych biurach nadal pali się światło - zauważył mały wampir.

- Możemy tam zajrzeć, ale wątpię, czy znajdziemy coś ciekawego.

Ruszyli w głąb korytarza, a Mallory odczytywał nazwy firm: „Anonimowi Anemicy”, „Transformacje, sp. z o.o.” „Klub Samotnej Żyłki”.

- Powiem ci, że gdybym nie widział na własne oczy śladów ukąszeń na szyjach Ruperta i Winnifredy, w życiu nie uwierzyłbym w istnienie czegoś takiego.

McGuire stanął jak wryty, gdy mijali sklep pasmanteryjny.

- Spójrz tylko na te atlasowe pelerynki! - wrzasnął. - Zabiłbym za jedną taką!

- Wydawało mi się, że wyszły już z mody - zauważył Mallory.

- A ta sprzedawczyni! - rozentuzjasmował się mały wampir. - Spójrz na jej kielki! Mogłaby mnie nimi kąsać, ile dusza zapragnie!

- Przestań się ślinić na moje buty!

- Dobry Boże, jakie ona musi mieć skrzydła!

Sprzedawczyni podniosła wzrok i zauważyła, że

McGuire gapi się na nią wytrzeszczonymi oczami. Przez moment wyglądała na zaskoczoną, ale zaraz obdarzyła go szerokim uśmiechem, obnażając imponującą kolekcję zębów.

- Wpadłem! - oświadczył mały wampir. - Zakochałem się!

- Świetnie - mruknął Mallory, spoglądając w inną stronę.
- Zostań tutaj, muszę coś załatwić.

- Naprawdę mogę?

- Nie bierz tego do siebie, ale specjalnego pożytku z ciebie na razie nie miałem.

- Zraniłeś mnie do szpiku kości, Mallory.

- Akurat.

McGuire odwrócił się w stronę wystawy sklepowej, w momencie gdy do sprzedawczyni podchodził mężczyzna w smokingu. Zarzuciła mu ręce na ramiona i nadstawiła szyję do ukąszenia.

- A to zdraдлиwa zdzira! - fuknął McGuire. - A ja chciałem się z nią żenić!

Mallory spojrzał na niego z niekłamany m zdziwieniem.

- Miałeś zamiar ożenić się z tą kobietą?

- Cóż, najpierw musielibyśmy zaliczyć miesiąc miodowy, podczas którego odwiedzilibyśmy przynajmniej pół tuzina klubów erotycznych, żeby upewnić się, czy pasujemy do siebie...

- Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś, kto zakochałby się i odkochał w tak krótkim czasie - podsumował jego wywody Mallory. - Idziesz czy zostajesz przed tą wystawą?

- Idę.

- Został nam już tylko jeden lokal - stwierdził detektyw, spoglądając w głąb korytarza. - Rzucimy na niego okiem, a potem zdecydujemy, co dalej.

- To sklep z plakatami - oznajmił McGuire, gdy zbliżyli się do wystawy. - Patrz, tam jest Bela Lugosi, a tu młody Frank Langella. To dzięki niemu tak wiele dziewcząt pragnęło być ukąszone. Bez niego nie powstałaby warta dzisiaj miliardy dolarów gałąź literatury wampiromantycznej.

- A istnieje tutaj coś takiego?

- Dziewczęta pochłaniają te książki równie łapczywie jak chłopcy magazyny z gołymi babami.

- I nikt już nie pisze romansów bez wampirów? - zapytał Mallory.

- Byłeś ostatnio w jakiejś księgarni? - odpowiedział pytaniem na pytanie McGuire.

- Raczej nie.

- Jesteśmy Nową Falą - oświadczył z dumą mały wampir, a potem nagle zmarszczył brwi. - Z drugiej jednak strony zaliczenie panienek po tych wszystkich książkach stało się jeszcze trudniejsze. Ta literatura wywołuje też antywampirze reakcje w śmietance towarzyskiej.

- Możliwe - przyznał Mallory. - A może masz z tym problem dlatego, że jesteś odrażającym kurdupłem bez manier i cuchnie ci z pyska?

- Czy w taki sposób rozmawia się ze starym przyjacielem?

- Chłopie, znamy się dopiero od niecałej godziny - odparł Mallory.

- To i tak jedna z najdłużej trwających przyjaźni, jakie zawarłem w życiu - powiedział McGuire i zamyślił się głęboko, aż mu brew powędrowała w górę. - Tu chyba chodzi o zazdrość. A nawet zawiść. Albo, jak już wcześniej wspominałem, jest to najzwyklejsza, choć powodowana fałszywymi przesłankami niechęć do wampirów.

- Daj mi znać, jak już skończysz uzalać się nad sobą - poprosił detektyw.

- Dobrze - odparł mały wampir, ale milczał potem przez dłuższą chwilę. - Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - odliczył w końcu. - Już dobrze. Już mi przeszło. Przynajmniej na razie. Możemy iść.

- Jedną chwileczkę - zatrzymał go detektyw, spoglądając z uwagą na wystawę.

- O co chodzi?

- A jednak nie zmarnowaliśmy tego czasu. - Mallory wskazał na plakat informujący o tym, że obiecujący europejski poeta nazwiskiem Arystoteles Draconis wystąpi z jedynym

odczytem w Madison Round Garden, o godzinie dwudziestej trzeciej w wigilię dnia Wszystkich Świętych.

Rozdział szósty

21.18 - 21.42

Gdzie teraz pójdziemy? - zapytał McGuire, gdy opuszczał w towarzystwie Mallory'ego windę na parterze, kierując się w stronę wyjścia. - Mamy prawie dwie godziny do rozpoczęcia występu Draconisa - odparł detektyw. - Nie ma sensu marnować tak wiele czasu. Jesteś wampirem. Gdzie ty byś się ukrył?

- To bardzo szeroki problem - oświadczył mały wampir, gdy wyszli prosto w chłód nocy. - Mówisz o ukrywaniu się przed policją? Nawet w takim przypadku byłyby spore różnice ze względu na to, czy ściga cię obyczajówka, czy ci od przestępstw gospodarczych. Inaczej byłoby też, gdybym ukrywał się przed innymi wampirami. Tak samo jak musiałbym wybrać inną kryjówkę, gdyby Harry Zeszyt chciał wydębić ode mnie kasę, którą straciłem wczoraj na Jamajce. Weźmy też przypadek Thelmy, tej wiecznie nabzdyczonej wieśniary, przed którą wciąż muszę się ukrywać, bo nie wiem, kiedy przyjdzie jej ochota na wydębienie ode mnie realizacji kolejnych obietnic czynionych w samo południe, gdy słońce tak mnie ogłupia. Mogę się także ukrywać przed aaa, bankiem kredytowym As albo...

-Zamknij się wreszcie... - warknął wściekły detektyw.

-Tak jest.

- Zdawać by się mogło, że ty nic nie robisz, tylko się ukrywasz.

- Nie jest łatwo być bezrobotnym wampirem w średnim wieku - stwierdził obronnym tonem McGuire. - Tak, wiem, dla was nasze życie to tylko krew i ukąszenia, ale to naprawdę fałszywy obraz i generalizowanie problemu. - Zaczął łąkać i wycierać nos mankietami koszuli.

- Czy istnieje jakiś sposób na przywrócenie wampirowi normalnej, ludzkiej postaci? - zapytał Mallory.

- My mielibyśmy zmieniać się w nich? - zapytał McGuire z wyraźną pogardą.

- Przepraszam, że zapytałem.

- To ja przepraszam - powiedział mały wampir. - Nie jesteś przecież winien temu, że nie znajdujesz się na szczycie łańcucha pokarmowego.

- Wracając do naszej sprawy - Mallory pośpiesznie zmienił temat. - Powiedz mi, gdzie twoim zdaniem moglibyśmy znaleźć dzieciaka, który został ukąszony raz albo dwa razy, ale nie dostąpił jeszcze zaszczytu wstąpienia w przesławne szeregi waszej wampirzej brygady i - wiem, że wyda ci się to niewiarygodne - nie bardzo ma na to ochotę.

- Nie bardzo ma na to ochotę? - powtórzył za nim McGuire. - W takim wypadku pozostaje nam tylko sprawdzić wszystkie psychiatryki. Na przykład takie Bellevue pasowałoby mu idealnie.

- Sam nie wiem, po co jeszcze z tobą gadam - zirytował się detektyw. - Wcześniej chociaż próbowałaś mi pomóc.

- Pomoc to moje drugie imię - rzucił ochoczo mały wampir, a potem zamilkł na chwilę. - Właściwie na drugie mam Oglethorpe, ale prawdę powiedziawszy, nigdy tego imienia nie lubiłem. Gdybym jeszcze znał jakichś innych Oglethor-

pe'ów... Nie, wtedy pewnie byłoby jeszcze gorzej. A mogli mnie nazwać Frothingham.

- Zamknij się.

- Tak jest.

- Gdzie możemy znaleźć chłopaka, który nie chce przemienić się w wampira?

- Rozumiem! - zawołał McGuire, a twarz mu pojaśniała. - Pytasz, gdzie zazwyczaj chowają się nasze ofiary!

- Tak, ale ogranicz teren poszukiwań do kręgu o promieniu jednej mili wokół marketu Wciskalskiego.

- Co wy w ogóle robiliście w tym cholernym sklepie? - zapytał mały wampir.

- Szukałem czegoś do jedzenia.

- Czyli dojrzałych do ścięcia dziewczuszek o wielkich niebieskich żyłach?

- Daj spokój. Zamierzałem ulokować chłopaka w moim mieszkaniu, musiałem więc w końcu zrobić jakieś zakupy - stwierdził Mallory. - Nie kupowałem mleka od trzech miesięcy. Nie wiesz przypadkiem, jaki mleko ma termin przydatności do spożycia?

- Na pewno nie aż tak długi.

- Wiedziałem... - mruknął detektyw. - Zresztą moja lodówka i tak już nie działa.

- Wracając do tematu, powiedz mi, gdzie spędzasz najwięcej czasu? - zapytał wampir.

- Głównie w biurze. Znajduje się zaledwie o jedną przecznicę od mojego mieszkania. Właśnie dlatego je wynająłem.

- Cóż, to powinno ułatwić nam sprawę - ucieszył się McGuire. - Skoro chłopak wie, że jesteś jego jedynym protektorem, w końcu powinien pojawić się albo pod twoim biurem, albo w mieszkaniu.

- Jego ciotka również może być protektorką, w końcu zna ją o wiele dłużej i lepiej - zauważył Mallory. - Dlaczego miałyby wybrać mnie?

- Ponieważ pułkownik Carruthers tropi teraz czyjeś ślady gdzieś w głębi Central Parku w towarzystwie całego stada trolli - wyjaśnił mały wampir. - A on przynajmniej wie, gdzie ciebie szukać.

- Cholera jasna! - wrzasnął detektyw. - Wiem, gdzie on może być! Idziemy!

- W domu czy w biurze? - zapytał McGuire, szybko przebiegając krótkimi nóżkami, żeby nadążyć za biegnącym detektywem.

- Rupert nigdy nie był w moim mieszkaniu ani w biurze. Nie ma też pojęcia, gdzie one się mieszczą. Na pewno wróci do mieszkania Winnifredy.

- Przecież to się kupy nie trzyma - zaprotestował wampir. - Prysnał ze sklepu Wciskalskiego na długo przed tym, jak odwiedziliśmy twoją współpracowniczkę, a nie było tam po nim nawet śladu, kiedy do niej dotarliśmy.

- Może dlatego, że ja nie jestem tutaj obcy i w drodze do niej nie musiałem sprawdzać każdego mrocznego zakątka, aby zyskać pewność, czy nie kryje się w nim bestia, która zaraz mnie ukąsi - odparł Mallory.

- No, sam nie wiem...

- Od trzydziestu minut czekam na lepszą sugestię z twojej strony. Masz może jakąś propozycję?

- Nie, ale...

- To zamknij paszczę!

- Tak jest - wysapał McGuire.

Zdołali przebiec całe dwie przecznice, zanim wielki goblin wyskoczył z mroku i zastąpił im drogę.

- Encyklopedie? - zapytał syczącym głosem. -Świetne, tanie encyklopedie, raz tylko czytane przez niedowidzące staruszki.

- Czy to nie ty próbowałaś nam wcisnąć rozczłonkowane zwłoki nie dalej niż godzinę temu? -zapytał zde gustowany Mallory.

Goblin lekceważąco zmarszczył nos.

- Tamta branża w proch się obraca. A skoro o prochach mowa, może chcecie - tu konfidencjonalnie ściszył głos - flaszeczkę aspiryny dla dzieci?

- Spadaj!

- Ma pan całkowitą rację! - powiedział goblin. -Od dawna nie wygląda pan na dziecko. Każdy głupek by to zauważył.

- Znakomicie to ująłeś, naprawdę, chyba lepiej nie można opisać naszej sytuacji i wypowiadającego te słowa - przyznał Mallory. - A teraz zejdz mi z drogi!

- Subskrypcje! - wrzasnął goblin. - „Panorama Farm”, „Nasze Morze”, „Rytuały Godowe Nadrzewnych Zwierząt”!

- Kijaszkę - Mallory odwrócił się do wampira - policz do pięciu i jeśli ten głąb nadal będzie blokował mi drogę, obciągnij go z gwinta.

- A co pan powie na korespondencyjny kurs siedmiu sposobów przyprawiania goblinów na Święto Dziękczynienia? - kontynuował handlarz, cofając się powoli w mrok.

Mallory ruszył dalej.

- Idziemy - ponaglił wampira.

- Zakazane filmy ośmiomilimetrowe! - wrzasnął za nim goblin. - Candy Barr! Joan Crawford! Linda Lovelace! Arnold Stang!

Mallory zatrzymał się w pół kroku i zawrócił.

- Powiedziałaś Arnold Stang? - zapytał.

- Tylko żartowałem - tłumaczył się goblin. - Ale widzi pan, w końcu udało mi się zwrócić pańską uwagę.

- Kijaszek, możesz go wyssać do sucha! - powiedział Mallory, ruszając dalej.

- „Głębokie ucho”, „Włoski ogiera”, „Za zaślinionymi drzwiami”!

- Hej, chyba ci wcześniej o tym nie wspominałem - szepnął McGuire - ale ja się okropnie boję goblinów!

- Tylko ty się ich boisz czy wszystkie wampiry? -zapytał Mallory.

- Tylko ja. Jak inaczej dociągnąłbym do czterdziestu siedmiu lat?

- Jak każdy.

- „Diabeł i Arnold Stang”! - wrzeszczał wciąż za nimi goblin. - Za pół ceny! I dołożę dwumiesięczny zapas witaminy H!

- Czy istnieje coś takiego jak witamina H? - zapytał McGuire. - Ostatnio czuję się taki zdołowany i... - zamilkł i spojrzał bojaźliwie na Mallory'ego. -Tak, wiem, mam się zamknąć!

Pokonali jeszcze jedną przecnicę w kompletnym milczeniu, a potem Mallory spojrzał w dal i wyraźnie zwolnił kroku.

- Nie lubię takich widoków - stwierdził.

- Przecież to tylko kilku gliniarzy i ambulans -powiedział McGuire.

- To nie jest karetka pogotowia - poprawił go detektyw, a gdy podeszli bliżej, mały wampir dostrzegł antycznego konia zaprzęgniętego do bogato inkrustowanego wozu. - To karawan.

McGuire wzruszył ramionami.

- Ludzie umierają. Nie ma się czym przejmować, zwłaszcza w wigilię Wszystkich Świętych.

- Naprawdę nie poznajesz tego miejsca? - zapytał Mallory.

- Przecież to budynek, w którym mieszka Winnifreda.

-Tak?

Mallory wyjął z kieszeni licencję, podniósł ją do góry i przepchnął się przez niewielki tłumek gapiów, głównie ludzi, choć było też kilka elfów, gremlinów, goblinów i członków innych, nieznanych mu ras.

Chwilę później detektyw spoglądał na spoczywające bez ruchu ciało Ruperta Newtona.

- Zna go pan? - zapytał jeden z gliniarzy.

Mallory potwierdził skinieniem głowy.

- Tak. Co się stało?

Policjant wzruszył ramionami.

- Dostaliśmy wezwanie, że jakiś sztywniak leży na chodniku, kiedy przyjechaliśmy, znaleźliśmy tego chłopaka.

- To dzieło wampira? - zapytał Mallory.

- Ma dwa ślady po ukąszeniu na szyi, ale raczej dość stare. Zatazczymy go do kostnicy, niech oni się tym martwią. Może pan tam pojechać i dokonać oficjalnej identyfikacji?

- A nie możemy załatwić tego tutaj?

- Gdyby to było możliwe, nie prosiłbym pana o wizytowanie kostnicy. Proszę nie utrudniać dochodzenia, mamy w końcu wigilię Wszystkich Świętych. Jeśli najgorszym, co nas czeka tej nocy, będzie potykanie się co kwadrans o zwłoki, to i tak będziemy mieli spore szczęście... - gliniarz zamilkł na moment. - Wie pan, gdzie jest kostnica?

Mallory potwierdził skinieniem głowy.

- Mamy jeszcze czterech sztywniaków do zebrania. Do-trzemy na miejsce za jakąś godzinę.

- Rozumiem - powiedział detektyw, ustępując miejsca dwóm policjantom, którzy podeszli, aby załadować ciało Ruperta na karawan.

- Tak mi przykro - bąknął McGuire, gdy czarna karoca ruszyła w głąb ulicy, a tłumek gapiów zaczął się rozchodzić.

Mikę Resnick

- Coś tu jest nie tak - powiedział Mallory.

- Wiem. Twój klient nie żyje.

Mallory pokręcił stanowczo głową.

- Rupert nie był moim klientem. To bratanek Winnifredy. I nie jego miałem na myśli, mówiąc, że coś jest nie tak.

- A co może być gorszego od śmierci? - zapytał mały wampir.

- Chłopak walczył o życie - odparł detektyw. -Przyznasz, że bał się jak cholera Arystotelesa Draconisa, osobnika, który ukąsił go w szyję i rozpoczął tym samym przemianę w wampira?

- Przyznam? - zapytał ostrożnie McGuire, usiłując domyślić się, do czego zmierza Mallory.

- Jeśli gliniarz miał rację, chłopak nie został zabity przez innego wampira - stwierdził detektyw. -Nie miał śladów świeżych ukąszeń.

- Czasami szok i strach też potrafią zabić - przypomniał mu McGuire.

- Wiesz to z własnego doświadczenia? - zapytał Mallory z wyczuwalną ironią.

Mały wampir, najwyraźniej zakłopotany, zaczął się nerwowo wiercić.

- Zdaje się, że gdzieś o tym pisali.

- Mamy jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Draconis jest Europejczykiem. Spijał krew chłopaka podczas rejsu, ale w siedmiomilionowej metropolii w środku nocy nie zdołałby odnaleźć obcej mu osoby, tak samo zreszłą jak ty.

- Co takiego?! - zawołał McGuire, prostując się na całą niezbyt imponującą wysokość.

- Do cholery, Kijaszku! Wiesz, kogo szukaliśmy, znasz to miasto jak własną kieszeń i do niczego nie doszedłeś. Draconis jest tutaj kompletnie obcy, chociaż z pewnością ma jakichś miejscowych sponsorów tego występu - w końcu opłacili mu podróż przez ocean, a ta nie była na pewno zbyt tania - i musi się znaleźć na scenie o jedenastej. Jeśli to on dopadł chłopaka, teraz błąka się po mieście, nie mogąc znaleźć drogi powrotnej. Na pewno zdążył się też domyślić, że dzieciak powiedział krewnym albo chociaż przyjacielom o tym, co mu się przytrafiło. Cały czas patrzyłem na tę sprawę z niewłaściwej strony. Mamy do czynienia z dwiema możliwościami: albo Draconis nie tknął chłopaka od czasu zejścia na ląd, albo sam musi mieć teraz nielichego stracha.

- Stracha? - zdziwił się McGuire. - Przed czym?

- Tego się dowiemy, jak z nim porozmawiam. - Mallory westchnęła. - W tej chwili, niestety, muszę się udać do kostnicy, żeby dokonać identyfikacji zwłok. Może dzięki temu dowiemy się, co zabiło chłopaka. Istnieje przecież możliwość, że gli-niarz się mylił. Fakt, że nie ma ukąszeń na szyi, jeszcze nic nie znaczy. Na ciele człowieka jest wiele innych miejsc, z których można wysysać krew. Choćby żyłaki.

- Cóż za nedorzeczny pomysł! - zawołał pośpiesznie McGuire, ale po chwili zastanowienia dodał: - Ale i smaczny.

- Dobrze - powiedział Mallory, zatrzymując się i spoglądając z góry na konusowatego wampira. - Nie wiem, na jaką

potęgę się porywam, ale jedno jest pewne, będę potrzebował maksymalnej dostępnej ochrony.

- Pożycz nitro ekspresa od swojej współpracownicy - zasugerował McGuire.

- Nie mogę przecież chodzić po ulicach Manhattanu z tak potężną spluwą.

- Dlaczego? - zdziwił się wampir. - Setki ludzi każdego dnia chodzą z czymś takim za pazuchą, a może nawet i tysiące.

- Zapomnij.

- Już zapomniałem. Ale przyznam, że rozmowa z tobą jest dla mnie bardzo dołująca.

- Chcę, żebyś zaczął myśleć - wyjaśnił Mallory. - Czego wampiry boją się najbardziej?

- Wysokiego poziomu cholesterolu? - podrzucił niepewnym głosem McGuire.

- Daj spokój, Kijaszkę - burknął poirytowany detektyw. - To nie szkolna olimpiada, pytanie nie było podchwytliwe. Jeśli kilka wampirów, przyjmijmy na moment tak nieprawdopodobne założenie, o wiele odważniejszych od ciebie stanie na przeciw mnie, nie kryjąc złych zamiarów, to czym udałoby mi się je najskuteczniej powstrzymać?

- Niczym. W zasadzie jesteście naprawdę twardzi i zdecydowani.

- Nie ma takiej rzeczy, której obawiają się wszystkie wampiry? - naciskał Mallory. - A krzyże, czosnek i te inne sprawy?

McGuire spojrzał na niego z politowaniem.

- No nie. Daj spokój. Jedno powinieneś w końcu zrozumieć. Jestem o wiele bardziej czuły i emocjonalny niż moi współpracownicy.

Z ciemności wychynął nagle czarny kot i przebiegł im drogę.

- Łojezu, łojezu, łojezu! - wydarł się mały wampir, wpadając w panikę. - Zawracajmy, musimy iść inną drogą!

- Przecież on już nam przebiegł drogę - stwierdził spokojnie Mallory. - Jeśli wierzysz w te przesady, szkoda została tak czy siak wyrządzona.

- Co ty bredzisz? - piszczał Kijaszek McGuire. - Przecież on ma pazury! I kły! Na dodatek widzi w ciemnościach o wiele lepiej niż jakikolwiek nietoperz!

Oczy detektywa zrobiły się wąskie jak szparki.

- Wampiry nie lubią kotów?

- Człowieku, my ich nienawidzimy! Słuchaj, chodźmy inną ulicą. On może wrócić!

- Na tamtej ulicy może czaić się inny kot - zasugerował Mallory.

- Proszę, odbierasz mi apetyt, a ja jeszcze nic dzisiaj nie zjadłem! - zakwilił wampir.

- Dzięki ci, Kijaszku - powiedział Mallory. - W końcu okazałeś się pomocny.

- Naprawdę? - zapytał McGuire i zaraz wysmarkał nos w rękaw.

Detektyw skinął głową.

- Właśnie podpowiedziałeś mi, jaką broń powinienem ze sobą zabrać.

- Ja? Poważnie? - zapytał McGuire, wypinając pierś z dumy, ale zaraz spochmurniał. - O jakiej broni mówisz?

- O niezbyt skutecznej - przyznał Mallory - ale najlepszej, jaką mogę znaleźć, zważywszy na brak czasu i skąpe informacje.

- Gdzie masz zamiar jej szukać?

- O ile mnie pamięć nie myli, nasza broń śpi teraz na szczycie lodówki w moim biurze - powiedział Mallory.

Rozdział siódmy

21.42 - 21.47

Mallory otworzył drzwi biura i włączył światło.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł Mc-Guire, były obie dziewczyny z rozkładówek (te, którym Winnifreda przy pomocy magicznego markera dorysowywała w kółko bieliznę) przypięte do ściany za biurkiem Mallory'ego. Obok znajdowało się zdjęcie Odlota doprowadzanego na miejsce startowe, chociaż rozpoznanie sylwetki konia, po tym jak trafiło w nią kilkaset rzutek ciskanych ze złością przez detektywa po każdej przegranej, zakrawało na cud. Na biurku detektywa wciąż spoczywał nieodłączny egzemplarz „Gońca Wyścigowego”, natomiast na meblu jego współpracownicy stały świeżo ścięte kwiaty, a obok nich leżał tomik poezji Byrona. Nigdzie jednak nie było widać Feliny.

- Dzięki bogom, pewnie gdzieś sobie poszła... - wyszeptał mały wampir, oddychając z ulgą.

- Nikt inny nie mógł jej wypuścić - zaprotestował Mallory.
- Musi tu być.

- Ale jesteś stuprocentowo pewien, że ona nie żywi się mięsem wampirów? - dopytywał się nerwowo McGuire.

- Sięgam po nie tylko wtedy, gdy jestem bardzo głodna - usłyszeli melodyjny, ewidentnie kobiecy pomruk dobiegający ze szczytu lodówki stojącej w kuchni.

- Tylko wtedy, gdy jest głodna - powtórzył detektyw.
- Ale teraz nie czuje głodu? - Mały wampir wparował do pokoju, rozglądając się na wszystkie strony.
- Zawsze czuję głód - odpowiedział damski głos.
- Na mnie już czas - zawołał McGuire. - Fajnie było cię poznać, detektywie Mallory. Mam nadzieję, że dopadniesz tego faceta. Albo nietoperza. Czy kogo tam sobie chcesz.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, ale Mallory szybkim ruchem chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie bez większego trudu, chociaż wampir wciąż przebierał nogami.

- Uspokój się - poprosił. - Felino, chodź do nas.
- Błagaj! - prychnęła dziewczyna-kot.
- Nie muszę - odparł Mallory.
- Tak? - zdziwiła się Felina. - A to niby dlaczego?
- Ponieważ prowadzę dochodzenie i bardzo mi się spieszy, a jeśli nie przybiegniesz do mnie, zanim stąd wyjdę, długo potem nie pojawi się nikt, kto mógłby cię nakarmić.
- No to zjem twojego przyjaciela.
- On idzie ze mną.
- Wampiry są słone i łykowate - dodał pośpiesznie McGuire.

- Niech ci będzie - stwierdziła Felina i nagle całe dzie wiewiędziesiąt funtów mięśni i futra śmignęło w powietrzu, odbiło się z gracją od biurka i wylądowało miękko tuż obok nogi Mallory'ego.

- On naprawdę nie wygląda zbyt smacznie - oceniła, mierząc wzrokiem McGuire'a. - Znalazłeś go na jakiejś wyprzedaży czy na śmietniku?

- Ten pan nazywa się McGuire i pomaga mi w rozwiązaniu pewnej sprawy. Nie wolno ci go skrzywdzić.

Felina okrążyła wolnym krokiem zezującego na nią bez przerwy wampira.

- Naprawdę nie mogę go skubnąć?
- Przecież słyszałaś.

Studiowała go jeszcze przez długą chwilę.

- Jeśli dobrze się do tego przyłożę, to może mi się udać.
- Co może się udać? - zapytał zaniepokojony McGuire.
- Zabiję cię tak szybko, że nawet nie poczujesz.
- Ty chyba nie słuchasz, co ja do ciebie mówię -warknął

Mallory, ponownie chwytając uciekającego wampira za koszulę. - To przyjaciel. Nie skrzywdzisz go. Zrozumiano?

- Tak - odparła Felina.
- Świetnie.

- Nie - powiedziała Felina. - Może, chyba, ewentualnie.
- Pozwól, że wytłumaczę ci to językiem, który na pewno zrozumiesz - oświadczył Mallory. - Tkniesz go, a nie dostaniesz mleka przez tydzień.

Felina obserwowała wampira, jej źrenice zmieniły się w wąskie szparki.

- Nawet taki niewielki kąsek wart jest całego tygodnia.
- Dobrze - nie wytrzymał detektyw. - W takim razie nie będzie mleczka przez miesiąc.
- To nie fair! - zachnęła się Felina.
- Uwierz mi, jeśli sprawy potoczą się po mojej myśli, będziesz miała całe mnóstwo cudaków do krzywdzenia.

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

- Obiecujesz?
- Powiedziałem: jeśli!
- I będę mogła bawić się nimi do woli?
- W granicach rozsądku.
- A co to znaczy?

- To znaczy dopóki nie powiem, żebyś przestała.

Prychnęła ze złością.

- Ty zawsze psujesz najlepszą zabawę.

- Marnujemy czas - powiedział Mallory. - Felino, to jest pan McGuire. Kijaszkę, to jest Felina. Felina, ty go nie skrzywdzisz. Kijaszek, ty jej nie wyssiesz. Czy wszyscy zrozumieli, na jakich zasadach gramy?

- Tak jest - zapewnił McGuire.

Felina odwróciła się tyłem do nich obu i zaczęła lizać sobie przedramię.

- Felino?

- Dobrze - zgodziła się niechętnie.

- Świetnie. Dzisiaj wigilia Święta Zmarłych, wszystkie duchy i zjawy powypęłzały ze swoich legowisk i szaleją, po mieście, a my mamy mordercę do złapania. Idziemy.

Podszedł do drzwi razem z małym wampirem, Felina tymczasem wskoczyła na biurko Winnifredy, gdzie usiadła, nadal odwrócona do nich plecami.

- Idziemy, Felino - powtórzył Mallory.

- Ja nie idę - oznajmiła.

- Popełniasz wielki błąd - ostrzegł ją detektyw. - Przemyśl to raz jeszcze.

Odwróciła się i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Zawsze powtarzasz, że na koniec mnie zostawisz, prawda? - powiedział Mallory.

- Zawsze - zgodziła się, kiwając głową.

- Więc przyjmij do wiadomości, że to dopiero początek - dokończył detektyw. - Jest jeszcze za wcześnie na zostawianie.

- Masz rację, Johnie Justinie! - zawołała i jednym skokiem znalazła się na jego rękach. - Chodźmy zapolować na złych panów. Mam całą noc na to, żeby cię w końcu zostawić.

Muszę tylko poczekać, aż znajdziesz się o włos od niechybnej śmierci!

- Jak to sobie sprytnie zaplanowałaś - powiedział Mallory, stawiając ją na podłodze.

Wyszli we trójkę w zimną październikową noc.

Rozdział ósmy

21.47 - 22.26

Kostnica znajdowała się pięć przecznic od biura Mallory'ego. To oznaczało, że detektyw musiał siłą odciągać Felinę od wystaw trzech sklepów spożywczych, stoiska rybnego, butik z bielizną i zakładu szewskiego produkującego obuwie dla myśliwych, które znalazły się na ich drodze. W końcu udało im się dotrzeć do olbrzymiego gmachu.

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że zbliżają się do celu, były gigantyczne organy, z których prosto w noc płynęły gregoriańskie pieśni żałobne.

- Nie pamiętam, żeby mieli tutaj coś podobnego - mruknął Mallory, gdy podchodzili pod kostnicę.

- Instalują te organy tylko na Wszystkich Świętych - wyjaśnił McGuire.

- Dlaczego?

- Dzięki nim zwłoki mogą się troszkę zrelaksować.

- Przecież one są martwe. - Zaskoczony detektyw spojrzał na niego krzywo.

- Oczywiście - zgodził się mały wampir. - Co wcale nie znaczy, że zawsze takie będą.

- Wiesz - powiedział Mallory - za każdym razem, gdy wydaje mi się, że zaczynam rozumieć reguły rządzące tym miastem, przytrafia mi się coś podobnego.

- Mniam! - mlasnęła Felina, spoglądając w górę, na stado kruków obserwujących nowych przybyszów.

- Zostajesz ze mną - nakazał jej detektyw.

- Nie mówiłeś nic o niejedzeniu kruków - burknęła Felina.

- Nie mówiłem też niczego o machaniu rękami i odlatywaniu na szczyt Vampire State Building.

- Dobijmy targu - zaproponowała dziewczyna--kot. - Zjem tylko dwa kruki, a w zamian za to nigdzie nie odlecę.

-Jeśli mnie do tego zmusisz, dostaniesz obrożę -ostrzegł detektyw.

-Jeśli to zrobisz, wydrę się wniebogłosy, że mnie wykorzystujesz seksualnie - odgryzła się natychmiast.

- Nie wiesz nawet, o czym mówisz.

- Nie wiem - przyznała. - Ale to zawsze działa.

- W tej okolicy za molestowanie daliby mi jakąś nagrodę.

- A ta nagroda nadawałaby się do jedzenia? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Felino, zabrałem cię tutaj, żebyś pilnowała mojego tyłka. Albo będziesz robiła, o co proszę, albo zamknę cię w biurze do czasu rozwiązania tej sprawy.

Syknęła, ale tylko raz i podeszła do niego bardzo spokojnie. Tymczasem z piszczałek dobyły się kolejne mrozące krew w żyłach dźwięki.

- A cóż to było, u licha? - zapytał Mallory.

- Z tego, co pamiętam, to chyba Wiedeński Chór Chłopięcy - powiedział McGuire.

- Ściągnęli ich tu wszystkich tylko na tę jedną noc? - zdziwił się detektyw.

- Ależ skąd - zaprzeczył mały wampir. - Mówimy o osiemnastowiecznym chórze chłopięcym. Pojawia się wyłącznie w wigilię Wszystkich Świętych, za każdym razem gdzie indziej. Nie sądzisz, że podkreślają tym sposobem atmosferę?

- Raczej udziwniają - powiedział detektyw.

- Było nie było, stoimy przed miejską kostnicą - odparł McGuire.

Mallory rozejrzał się szybko.

- Gdzie znowu polazła Felina?

- Jestem tutaj - zza jego pleców dobiegł melodyjny głos.

- Co tam robisz?

- Pilnuję twojego tyłka - wyjaśniła. - Ale to naprawdę nudna robota. On po prostu tkwi pomiędzy plecami a udami i zupełnie nic nie robi.

- Dopilnuj więc, żeby nikt się do niego nie zbliżył - poprosił Mallory.

Za drzwiami budynku znajdował się skromny przedsionek. W niewielkiej recepcji zostali wpisani do księgi gości, potem złożyli uroczyste oświadczenie, że nie są aktywnymi członkami i nie popierają Związku Zawodowego Hien Cmentarnych. Dopiero po dopełnieniu tych procedur przepuszczono ich do drugiej, znacznie większej sali - na pierwszy rzut oka mogła zajmować całą kubaturę budynku - w której stała ogromna ilość stołów i katafalków. Pomiędzy nimi ganiał tam i z powrotem dyżurni sanitariusze, gdzieś patolodzy przeprowadzali pospieszne sekcje zwłok, a w rogu sali stała spora kostkarka do lodu, oczywiście na monety.

- Nie wyglądają mi na zbyt dobrze zorganizowanych - zauważył McGuire.

- A czego się spodziewałeś? - odparł Mallory. - Przecież to biurokraci. Lepiej rozejrzyj się i sprawdź, gdzie położyli naszego chłopaka. Pamiętasz jeszcze, jak wyglądał?

- Tak.

- Sprawdzisz lewą stronę sali, ja pójde od prawej. - Mallory odwrócił się do Feliny. - A ty trzymaj się mnie.

Natychmiast przyłgnęła do jego pleców.

- Oczywiście, Johnie Justinie.

- Ale nie tak blisko.

- Znowu wszystko popsujesz - mruknęła, odsuwając się.

Ruszyli pomiędzy rzędy stołów. Na jednym z katafalków stała otwarta trumna, a obok niej jakaś ubrana na czarno dama o kredowej karnacji i karminowych ustach kłóciła się z wzięciem z sanitariuszem.

- Mnie nie chodzi o jakość tej ziemi - wrzeszczała - ale o kraj, z którego pochodzi!

- Bez kasy nie ma kołaczy - odparł hardo pracownik kostnicy. - Chce pani jutro spać spokojnie, bierze pani, co mamy na stanie. I proszę o pięć dolców zaliczki.

- Ale ja nie mogę spać w tej ziemi!

- Słuchaj no, paniusiu, tę ziemię użyźniał sam wielki Phar Cry! Na mieście musiałybyś zabulić za nią przynajmniej trzy dolce za funt!

- Mam gdzieś, kto na nią sra! - wrzeszczała dalej kobieta. - Chcę ziemię z mojego kraju! Z doliny Loary!

- Nie myślała pani czasem o przeprowadzeniu się do Kentucky? - zapytał sanitariusz.

- Nie!

- A może chociaż do Yonkers? - dodał niezrażony jej krzykiem pracownik kostnicy, podchodząc do następnego katafalku. - Trumna, którą tu pani widzi, na ten przykład, została

napełniona pierwszorzędną ziemią z samego centrum Yonkers. Pan Harvey Melchik użył jej swoją żoną nie dalej niż cztery miesiące temu, co wyznał mi ze wstydem, obiecując so-
lennie, że nigdy więcej tego nie zrobi.

- Jesteście beznadziejni! - kobieta nie dała się przekonać.

- Możliwe - odparł z godnością sanitariusz - ale przynajmniej wiemy, gdzie będziemy jutro spali.

Gdy Mallory mijał kłócących się ludzi, zauważył, że Felina rozgląda się ciekawie, co mogło wskazywać na to, że lada moment wybierze się na samotną wycieczkę. Chwycił ją więc za rękę.

- To boli! - poskarżyła się na głos.

- A ja ci mówię, że nie boli.

- Ale będzie bolało, jeśli zacznę się wyrywać, a ty mocniej ścisniesz.

- Jeśli nie będziesz się wyrywać, ja nie będę mocniej ścisnął.

Roześmiała się.

- Pomyślałeś o wszystkim, Johnie Justinie.

Nagle odwróciła się w przeciwną stronę.

- Auć! - zawyła i spojrzała na niego z wyrzutem. - Myślałam, że nie będziesz ścisnął!

- Myślałem, że nie będziesz się wyrywać - odparł Mallory.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Halo, proszę pana - zawołał jakiś goblin, przeciskając się pomiędzy stołami. - Nie potrzebuje pan przypadkiem pomocy przy biciu tej młodej damy?

- Nie - zbył go Mallory.

- Jest pan pewien? - nalegał dalej goblin. - Mam kilka kasetów, pałek, kijów bilardowych, krowich łańcuchów, biczów...

- Spadaj! - burknął detektyw.

- Jak pan się do mnie odzywa? - oburzył się goblin. - Ja proponuję panu dobrą ofertę biznesową, a pan każe mi spadać! Gdzie są pańskie maniery?

- Zostawiłem je w drugim garniturze. Spadaj!

- Daję panu ostatnią szansę - nie dawał za wygraną zielonoskóry.

- Nie.

- Dobrze, przyznaję, że mam na stanie nieco zużyty i przestarzały sprzęt, ale w domu trzymam podbijane ćwiekami, ciężkie glany! Mogę po nie polecieć, to nie zajmie mi więcej niż trzy dni.

- Zapomnij o tym.

- A wyłamywacze palców? - zapytał goblin. - Co pan powie na kciukozgnioty?

- Poddaję się, cóż to za cholerstwa?

- Te rzeczy mogą zdziałać cuda z takimi krnąbrnymi dziewczynkami-kotami. Wydaje mi się, że są równie skuteczne jak rozgrzane do czerwoności pogrzebaczki. Albo to, niech pan tylko posłucha! Pan ją przywiąże do jednego z tych katafalków, a ja przeczytam jej „Silasa Marnera” od deski do deski, nie robiąc przy tym ani jednej przerwy. Nie zna pan chyba bardziej wymyślnej tortury?

- Nie znam - przyznał Mallory. - Ale jeśli się na nią zdecyduję, dam ci znać.

- Naprawdę? - goblin ucieszył się tak bardzo, że twarz mu pojaśniała. - Świetnie! Może wymienimy się wizytówkami?

- Pozostańmy przy zapamiętaniu twojej oferty - zaproponował detektyw i wskazał wolną ręką salę. - Nigdy nie wiadomo, kto nas teraz obserwuje albo podsłuchuje.

- Jasne. - Goblin rzucił mu znaczące spojrzenie. - Zobaczymy się później - dodał i truchtem pognął przed siebie.

- Co za czasy, wpuszczają do kostnicy każdego, kto się nawinie - wymamrotał pod nosem Mallory.

- Święte słowa, koleś - przyznał przechodzący obok sanitariusz. - Od niedawna musimy brać nadgodziny z powodu zombie. Przyłóżą tu tacy, pakujemy ich na katafalki, zamykamy w chłodniach, nie mija godzina albo dwie i tłuką się jak szaleni, żeby ich wypuścić.

- Bo nie używasz soli - zganił go inny pracownik kostnicy. - Przecież znasz procedury.

- To wy macie jakieś procedury na tę okoliczność? - zdziwił się detektyw.

- Jasne - powiedział ten drugi sanitariusz. - Wszyscy je znają. Łapiesz zombiaka, kładziesz na stół, sypiesz sól do paszczy i zaszywasz szczelnie i szybko.

- Po czymś takim muszą mieć cholerne pragnienie - stwierdził Mallory.

- Zatyka ich na amen. To jedyny sposób, żeby zombiak ci nie odżył.

- Powiadasz: do paszczy? - upewnił się pierwszy z pracowników kostnicy, robiąc zafrasowaną minę.

- A gdzież by indziej, prosto do paszczy.

- No to już wiem, gdzie jest pies pogrzebany! - wrzasnął nagle pierwszy sanitariusz. - Ze zwierzyną płową mi się pomylili! Jak posypiesz takiemu jelonkowi soli na ogon, to za nic nie ruszy się z miejsca.

- Diabła tam! - zachnął się drugi. - Bajanie starych bab!

- Dokładnie! - poparł go pierwszy sanitariusz. - Kiedyś posypałem tak moją starą. Myślisz, że ją замуrowało? Jak się rzuciła na mnie z parasolem... - Pokazał bliznę na czole. - Trzy szwy musieli mi założyć. Pieprzone bajanie starych bab! - Nagle znów się nachmurzył. - Wiecie - dodał po chwili namysłu - mój sąsiad, Amos, ma dwudziestoczteroletnią żonkę. A może to działa tylko na takie młódki?

Może powinienem posypać jej ogonek solą, kiedy Amos pójdzie do roboty...

Mallory zamierzał właśnie skomentować tę wypowiedź, ale nie zdążył, musiał uskoczyć na bok przed czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak procesja pogrzebowa. Kilka potężnych trolli dźwigało na barkach martwego kompana, za nimi szła zapłakana młoda goblina i całe stado gremlinów. Nagle, jak na zawołanie, wszyscy zaczęli tańczyć.

- A to co za cyrk, do jasnej cholery? - zapytał detektyw.

- Tony, Maria i ich gang - wyjaśnił patolog grzebiący w zwłokach leżących na sąsiednim stole. - Przyłóż tuż co noc i za każdym razem odstawiają takie przedstawienie.

- Zatem to tylko taka gra?

- Niezupełnie - powiedział lekarz. - Tony jest zimny jak głaz.

- I przynoszą go tutaj każdej nocy? - zdziwił się Mallory.
- Chyba powinien już z deczka capiść.

- Ależ skąd, pachnie zupełnie normalnie - sprostował lekarz. - W sumie to on zmarł dopiero przed niecałą godziną.

- Zatem te wszystkie wcześniejsze wizyty były tylko próbami przed dzisiejszym dniem? - zapytał detektyw.

- Co pan, on każdej nocy był nieżywy.

- W takim razie ja chyba czegoś tutaj nie rozumiem - stwierdził Mallory.

- To bardzo łagodny rodzaj śmierci - odparł lekarz. - Rzadko kiedy się od tego umiera. No i dostarcza nam sporo rozrywki. Wyobraża pan sobie, co można z kimś takim zrobić w naszych warunkach?

W tym momencie dwóch gangsterów zaczęło śpiewać. Chwilę później ciało Tony'ego utworzyło z nimi trio.

- Fascynujące - stwierdził Mallory, choć prawdę powie dziawszy, te wszystkie przeszkody na drodze do przeczesania kostnicy bardziej go wkurzały, niż fascynowały.

- Panie, mamy tu znacznie bardziej widowiskowe postacie - powiedział lekarz. - Widzi pan tych trzech gości w togach?

Wskazał na mężczyzn stojących po drugiej stronie sali i żywo gestykulujących nad rozciętym ciałem.

- Widzę - powiedział Mallory. - Co z nimi?

- Oglądają każdego umarłaka, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie nazywał się Cezar.

- Pewnie szukają Juliusza - stwierdził Mallory.

- Chyba Juliuszowie najbardziej im pasują, ale zadowala ją się także Augustami. Kiedyś dopadli też jednego Sida.

- I co się dzieje, jeśli znajdą kogoś takiego?

- Za każdym razem odstawiają nad nim mowy pogrzebo we godne samego Cezara - wyjaśnił lekarz. - Wydaje mi się, że oni ćwiczą u nas przed jakimś cholernym przedstawieniem. Ostatnim razem, kiedy skończyli przemawiać, ten gościu w środku okazał się tak doskonały, że nawet zwłoki zgotowały mu brawa na stojąco... - Łapiduch podrapał się po brodzie. - Ale pan mi wygląda nadspodziewanie żywo, podobnie jak pańskie zwierzątko. Czy mogę w czymś pomóc?

- Dzisiejszej nocy zabito na ulicy młodego chłopaka, podobno przewieziono go tutaj. - Mallory błysnął licencją detek-

tywa. - Czy mogę porozmawiać z patologiem, który dokonał oględzin?

- Chciałbym panu pomóc - powiedział lekarz -ale zaraz dobijemy do tysięcznego delikwenta tej nocy. Sam pan musi go odszukać.

- Staram się jak mogę. Czy pomogłoby, gdybym podał panu jego nazwisko?

- A sądzi pan, że on zareaguje, jeśli go zawołam?

- Nie.

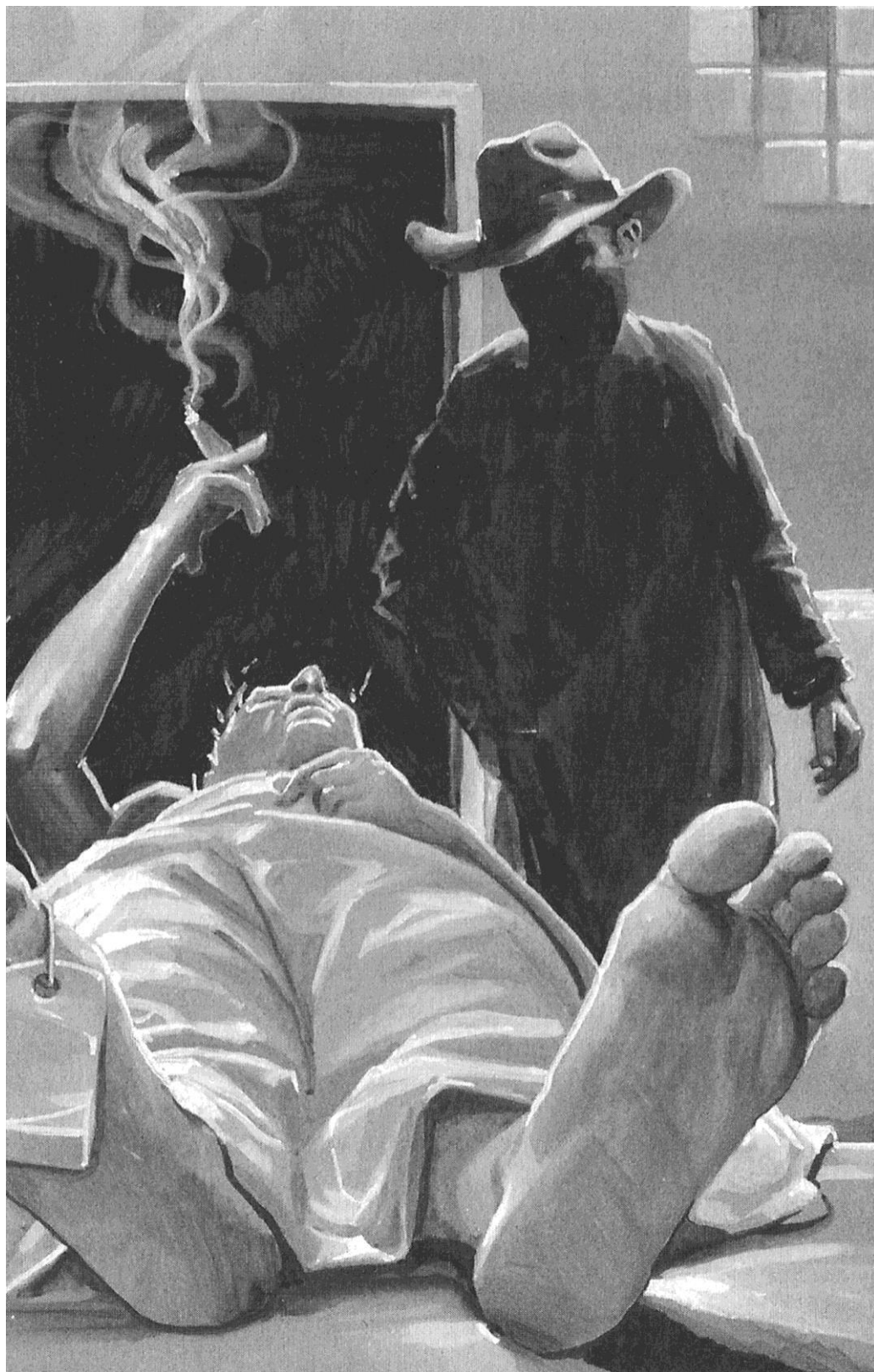
- Zatem jak pan widzi, nie jestem w stanie panu pomóc - powiedział lekarz. - Uszy do góry, szanowny panie, i powodzenia życzę!

Mężczyzna wrócił do swoich zajęć, a Mallory ruszył dalej, przeciskając się pomiędzy równymi rzędami stołów i katafalków.

- Tak łatwo się z tego nie wykręcisz, Horacy! - do uszu detektywa dobiegł ostry kobiecy głos. Mallory odwrócił się i zobaczył wielką matronę, która sylwetką niewiele odbiegała od potężnie zbudowanych zawodników futbolu amerykańskiego. Babsztyl pochylał się nad zwłokami łysego mężczyzny leżącymi na katafalku z wyrazem błogości na sianej twarzy. - Obiecałeś wybierać liście i pomalować szafy, więc nie licz na to, że takie gówno jak zawał serca pozwoli ci się wymigać od roboty! Do jasnej cholery, czy ty mnie w ogóle słuchasz, Horacy?!

Nieboszczyk nawet nie drgnął.

Na tropie wampira



- Daję ci ostatnią szansę, Horacy! - baba nie dawała za wygraną. - Albo zaraz wstaniesz, albo załatwimy to po mojemu!

Horacy znów nie odpowiedział.

- Dobrze - stwierdziła. - Sam tego chciałeś.

Skinęła na szczupłego faceta odzianego w szatę i szpiczasty kapelusz, na którym wyhaftowano wszystkie znaki zodiaku.

Mag zapalił świeczkę w każdym rogu katafalku, przewrócił oczami i zaczął nucić pradawną pieśń. Nie minęło nawet trzydzieści sekund, gdy z mroku wyłonił się drugi czarnoksiężnik w szacie, która od ubioru kolegi różniła się tylko kolorem, i dołączył do chóru.

Pierwszy mag zamilkł, najwyraźniej zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Bernie! - zawołał. - Co ty tu robisz?

- Cześć, Sam - odparł ten drugi. - Co tam słyhać u twojej żony?

- A, dziękuję, wszystko w porządku. Twój syn nadal chodzi do college'u?

- Tak. Kończy szkołę za sześć miesięcy. - Twarz Berniego pokraśniała z dumy. - Wejdzie w rodzinny interes.

- *Mazeł tow!* - zawołał Sam. - Jak tylko wskrzeszę tego biednego skurczybyka, wyskoczymy na szklaneczkę czegoś mocniejszego.

- Masz na myśli pana Horacego?

Sam wyjął z kieszeni pomietą kartkę i przyjrzał jej się.

- Tak, facet tak właśnie ma na imię. Skąd wiedziałeś?

- Choćby stąd, że pan Horacy wynajął mnie, abym zapewnił mu wieczne spoczywanie - wyjaśnił Bernie.

- Wiedział, że niedługo umrze?

- Gdybyś miał taką megierę za żonę, szybko doszedłbyś do wniosku, że twoje dni są policzone. I wiesz co, pewnie wcale by cię to nie martwiło.

- Co się tam wyrabia! - wrzasnęła zwałista baba.

- Paniusiu, weźmie paniusia na wstrzymanie - odparł Bernie. - My tu rozmawiamy o sprawach zawodowych.

- Ty tam! - darła się kobieta, wskazując palcem na Sama. - Zapłaciłam ci, żebyś przywrócił tego cholernego wałkonia do życia! Jeśli zaraz tego nie zrobisz, zażądam zwrotu całości zaliczki i poszukam kogoś, kto potrafi dotrzymać danego słowa.

- Dosyć tego dobrego, paniusiu - powiedział Sam. Nekreślił w powietrzu mistyczny znak dłonią i baba zamarła w pół ruchu. Wyjął dwadzieścia dolarów z niewidocznej kieszeni i wcisnął je w otwarte usta wdowy. Potem odwrócił się do Berniego. - Niech ten biedny sukinsyn spoczywa w spokoju.

- Mnie to też pasuje - stwierdził Bernie. - Chodź, ja stawiam pierwszą kolejkę.

Obaj magowie odeszli, obejmując się po przyjacielsku, a gdy dotarli w pobliże drzwi, Sam pstryknął palcami i kobieta powróciła do życia. Wyszarpnęła banknot z ust, popatrzyła z odrazą na ciało

Horacego, potem przeklęła na głos i uniosła pięść w stronę niewidocznego sufitu.

- Nie wywiniesz mi się tak łatwo, ty nedorobiony leniu! Wrócę tu z następnym magiem i jeszcze z kolejnym, jeśli zajdzie taka potrzeba, aż w końcu któryś zrobi to, za co mu płacę! Jedno jest pewne, panie Horacy Niederkamp: posprzątasz te liście, pomalujesz te szafy i już! - Spojrzała raz jeszcze na nieboszczyka. - Jeśli myślisz, że taka duperela jak śmierć pozwoli ci się wywinąć od roboty, to grubo się mylisz...!

Odeszła od katafalku, wciąż złorzecząc i rzucając groźby, a Mallory powrócił do oglądania zwłok. Jedne leżały spokojnie, drugie klęły ile wlezie na swój stan, a jeszcze inne wydawały się tkwić w zawieszeniu pomiędzy życiem i śmiercią.

- Dlaczego ten chłopak musiał dać się zabić akurat w wigilię Wszystkich Świętych? - narzekał detektyw, nie mając pojęcia, że wypowiada te słowa na głos. - Czy to nie mogło się zdarzyć jakiejś spokojnej nocy, kiedy do tego przybytku trafia góra tuzin sztywniaków?

- Może zajrzemy tu w wigilię Niewszystkich Świętych, wtedy powinni mieć o wiele mniejszy tłok - zaproponowała usłudźnie Felina.

- Dzięki za radę - odparł szczerze rozbawiony Mallory. - Wskocz na któryś z tych stołów i sprawdź, czy nie widać gdzieś McGuire'a. Dasz mi znać, czy jemu się bardziej poszczęściło.

Felina jednym susem znalazła się na najbliższym katafalku, przez moment lustrowała oddalone fragmenty sali, a potem zachichotała.

- O co chodzi? - zapytał detektyw.

- Wydawało mu się, że podszczypuje jakąś panią, a to była czarownica - wyjaśniła dziewczyna-kot. - Teraz dostaje od niej wciury miotłą.

- Ten kurdupel nie potrafi okiełznać swoich chuci - stwierdził Mallory. - Ty, Felino, nigdy nie widziałaś Ruperta Newtona?

- Nie.

- Zatem nie ma sensu pytać, czy go gdzieś widzisz.

- Myślę, że jest sens - odparła dziewczyna-kot.

- Dobrze, zatem powiedz, czy go gdzieś widzisz?

- Nie mam pojęcia - odparła. - A jak on wyglądał?

Mallory już się zbierał, żeby powiedzieć, iż sama wygląda jak Rupert Newton, ale w porę się pohamował. Zamiast tego wskazał palcem na podłogę.

- Schodź.

Zeskoczyła posłusznie i ruszyli dalej, ale nie zaszli daleko. Chwilę później na ich drodze stanął łysiejący mężczyzna w liturgicznych szatach. Kapłan śpiewał właśnie jakąś pieśń nad ciałem elegancko ubranego człowieka, a wokół niego zebrał się krąg ubranych na czarno akolitów.

- Dzięki - powiedział nieboszczyk, siadając na katafalku.

- Czuję się teraz o wiele lepiej.

- Uciszyć się! - nakazał mu kapłan. - Jeszcze nie zakończyłem powierzenia twojej duszy w ręce Szatana.

- Proszę dać sobie z tym spokój - stwierdził nieboszczyk.

- Siła i czystość pańskiej wiary już mnie wskrzesiły.

- Niech cię szlag! - zachnął się kapłan. - Czarna msza nie służy do wskrzeszania ludzi!

- Ale mnie wskrzesiła - oświadczył nieboszczyk. - Sądzę, że powinniśmy teraz paść wspólnie na kolana i oddać cześć Bogu.

- Bluźnierca! - ryknął wystrojony kapłan.

- Druga gonitwa w Belmont - wrzasnął ktoś z głębi sali. - Dają dziesięć do jednego, jeśli tor będzie błotnisty.

- O czym ty do mnie wrzeszczysz, do diabła! - zirytował się kapłan Szatana.

- Przecież pytałeś mnie o szanse Bluźniercy. A ten koń biegnie jutro w Belmont.

- Spadaj mi stąd, człowieczku, jestem arcykapłanem Księcia Ciemności i właśnie odprawiam czarną mszę!

- Szczerze powiedziawszy - wtrącił się nieboszczyk - to raczej szara msza, skoro w jej trakcie mnie wskrzesiliście.

- Cisza! - ryknął wystrojony kapłan, ale jego głos zabrzmiał tak piskliwie, jakby za moment miał się rozpląkać. - Dobra, modlitwa odhaczona, teraz zapalam świece. Ale co dalej? Ach, tak, naczynia żądz, gdzie są Jezebel i Lilith?

- Tutaj jestem - odezwała się słodziutkim głosikiem przepiękna dziewczyna odziana w czarną szatę.

- Musimy najpierw coś ustalić - dodała jej równie urocza towarzyszka.

- Nie będziemy niczego ustalać - zgasił ją arcykapłan Szatana. - Zdejmujcie te szmaty i szorujcie na ołtarz.

Rozdział ósmy

- O tym właśnie chcieliśmy porozmawiać - powiedziała druga dziewczyna. - Jeśli to tylko szara msza, powinnyśmy ofiarować się Szatanowi jako półnagie dziewoje.

- Racja - poparła ją Jezebel. - Zasady są święte.

- W czarnej mszy nie ma nic świętego! - zagrział arcykapłan.

- Ale to szara msza - poprawił go nieboszczyk.

- A poza tym te tandetne świece ostatnim razem upaprały mi włoskiem całe włosy - poskarżyła się Lilith.

- I na dodatek strasznie cuchną - dodała druga dziewczyna.

- Bardziej niż ja? - zapytał wskrzeszony.

Dziewczyna obwąchała najpierw jego, potem świece.

- Tak - orzekła.

- Wiedziałem, że wróciłem znowu pomiędzy żywych! - Wskrzeszony mężczyzna opuścił nogi z katafalku. - Co powiecie na to, żebyśmy wszyscy razem skoczyli do jakiejś knajpki? Umieranie straszliwie potęguje uczucie głodu.

- Rujnujesz mi całą mszę! - zakwilił arcykapłan;

- Daj spokój, przyjacielu - pocieszył go ożywiony nieboszczyk. - Masz tu do diabła i trochę innych truposzy. Możesz na którymś z nich popraczkować te swoje czarne obrzędy.

- Ale oni nie należą do mojej parafii! - arcykapłan nie dał się przekonać.

- Przecież teraz możesz ich sobie spokojnie zapisać do tej twojej sekty - stwierdził wskrzeszony, zanim opuścił wyznawców Szatana w czułych objęciach obu ślicznotek.

- Na Księcia Ciemności, że też sam na to nie wpadłem - powiedział arcykapłan i natychmiast odwrócił się do akolitów. - Ruchy, panowie, znajdźcie mi szybko jakiegoś bogacza!

Mallory odsunął się, gdy ruszyli w poszukiwaniu nowego parafianina, i omal nie wpadł na szaroskórego policjanta w galowym mundurze, którego głowę przyozdabiały dwie spore dziury po kulach. Ręce miał skrzyżowane na piersi, a brodę wysoko zadartą w wojowniczym geście.

- Daj spokój, Clarence, zachowuj się rozsądnie - mężczyzna z przypiętą do kamizelki plakietką Miejskiej Komisji Planowania przemawiał do niego czule. - Proponujemy ci pomnik, znicz, który nigdy nie gaśnie, poświęconą ziemię i wartę honorową na okrągło.

- Mam to gdzieś - odparł Clarence. - Moim zadaniem jest chwywanie przestępców, a nie wylegiwanie się w jakimś grobie, żeby publika mogła składać mi wyrazy szacunku. Przecież większość z nich, u diabła, nie będzie miała bladego pojęcia, kim byłem za życia!

- Na tym właśnie polega idea Pomnika Nieznanego Policjanta - wyjaśnił urzędas.

- Ale ja wcale nie jestem nieznanany! Nazywam się Clarence Weatherbee IV i chcę, żeby ludzie okazywali szacunek mnie, a

nie jakimś wąłkoniowi, który zaliczył kulkę tylko dlatego, że przerwał komuś partyjkę pokera w kiblu Rady Miasta.

- Widzę, że nadal nie załapałeś naszej idei - powiedział sfrustrowany urzędnik.

- Ależ wręcz przeciwnie, załapałem - zaprzeczył Clarence. - Dlatego właśnie się wykopałem i zwiąłem z tamtego miejsca.

- Posłuchaj mnie, Clarence, poświęćmy ci ziemię, zapalimy wieczny znicz, postawimy war...

- Już to słyszałem. Moja odpowiedź brzmi: nie!

- I nie ma sposobu, żebyś zmienił zdanie? - zapytał urzędnik.

Clarence zmrużył na moment oczy, jakby się zastanawiał.

- Dobra - powiedział. - Oto lista moich niepodlegających żadnym negocjacom żądań.

- Zamieniam się w słuch.

- Na słuch to możesz sobie konie liczyć. Wyciągaj kartkę, pióro i notuj.

- Nie ma sprawy - powiedział urzędnik i w jego dłoniach natychmiast pojawił się odpowiedni sprzęt.

- Lubię nagietki. Chcę, żeby otaczały mój grób przez cały rok.

- Ale to kwiatki sezonowe, nie całoroczne.

- Wisi mi, skąd je wytrząśnicie. Chcę je tam mieć. Mogę kontynuować czy dajemy sobie spokój?

- Znajdziemy je i zasadzimy, choćbyśmy musieli tam szklarnię postawić. Co jeszcze?

- Chcę, żeby przed pomnikiem codziennie w południe odczytywano rozdział mojej ulubionej książki.

- Bułka z masłem - ucieszył się urzędnik. - To pewnie będzie coś pióra Whitmana, jak sądzę? A może Thoreau albo Emersona?

- Nie wiem, kto jest autorem tej książki, ale jej egzemplarz znajdziecie w szufladzie mojego biurka.

- A jaki ma tytuł?

- „Zniewolone policjantki”.

- Co takiego?!

- Przecież słyszałeś. Czy mogę kontynuować?

Urzędnik westchnął ciężko.

- Dawaj.

Clarence zażądał jeszcze czterdziestu trzech rzeczy, wśród których był komiksowy miesięcznik noszący wymowny tytuł „Gliniarz Superbohater przeciw Podziemnym Ścierwom Manhattanu”. W końcu zabrakło mu konceptu.

- Dobrze - podsumował urzędnik. - Ja się podejmę załatwienia twoich żądań, w zamian za co ty pozwolisz się ponownie zakopać w grobie za czterdzieści osiem godzin. Mam nadzieję, że zastanę cię tutaj o wyznaczonym czasie?

- Masz to jak w banku - zapewnił go Clarence. Gdy członek komisji miejskiej ruszył w stronę wyjścia, martwy policjant krzyknął jeszcze za nim: -Człowiek czuje się tak cholernie samotny w grobie!

- Chyba nie sugerujesz, że mamy zastrzelić jakąś kobietę i zapakować was razem? - zapytał przestraszony urzędnik.

- Ależ skąd - obruszył się Clarence. - Tu jest pełno fajnych i martwych kobitek. Do twojego powrotu wybiorę sobie jakąś.

- To wbrew regulaminowi.

- Przecież nikt się nie dowie - uspokoił go Clarence. - Chyba że zdecydujecie się zmienić inskrypcję na grobie. Po-

mnik Nieznanego Policjanta i Jego Aktualnej Konkubiny brzmiałoby nieźle.

- Aktualnej? - zapytał podejrzliwie urzędnik.

- Wieczność to kawał czasu - stwierdził Clarence. - A grób jest mały. No i gusta się zmieniają z wiekiem.

Członek komisji gapił się przez chwilę na martwego policjanta, a potem obrócił się na pięcie i odmaszerował bez słowa.

- Biurokraci - powiedział Clarence do Mailowego i parsknął pogardliwie. - Zawsze dadzą ci, co chcesz. Do diabła, gdyby był bardziej stanowczy, skończyłbym w tej trumnie z mah-jongiem i grafikami Normana Rockwella. - Clarence odwrócił się i przeszukał wzrokiem salę. - Wybacz, kolego, ale muszę poszukać towarzyszki nieżycia albo, jak wolisz, uciekającej narzeczonej.

- Trochę dziwnie pan ją nazywa - stwierdził Mallory.

Clarence wzruszył ramionami i roześmiał się.

- Jaka jest przyjemność w łapaniu, jeśli nikt nie ucieka?

- Nie wiem, co pan chce złapać - wtrąciła się Felina - ale myszkom niech pan da spokój.

- Obiecuję ci to, mój kociaku - powiedział martwy policjant i ruszył na podryw.

- I ptaszkom! - zawołała za nim. - I rybkom!

I króliczkom! I wiewiórkom! I...

- Dość tego - przerwał jej Mallory. - Nadal mamy robotę do wykonania.

- Nadal? - powtórzyła po nim Felina. - To my tu pracujemy?

- Przynajmniej jedno z nas - odparł detektyw i nagle zauważył coś znajomo wyglądającego pod tylną ścianą kostnicy. - Z bardzo dobrym skutkiem zresztą.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

Wskazał ciało młodego człowieka spoczywające na odizolowanym stole w samym końcu gigantycznego pomieszczenia.

- Sądzę, że wreszcie znalazłem Ruperta Newtona.

Rozdział dziewiąty

22.26 - 22.43

Hej, wampirze! - ryknął Mallory.

Dwadzieścia siedem twarzy obróciło się w jego stronę.

- McGuire! - darł się dalej detektyw, ignorując ich wzrok. - Znalazłem go!

Mały wampir dał Mallory'emu znak, że go usłyszał, i zaczął się przeciskać pomiędzy rzędami stołów. Podobnie postąpiło też siedem innych wampirów, wszystkie były wychudzone i wyglądały na bardzo wygłodniałe.

- Felino - poprosił detektyw - wskocz na ten katafalk i pokaż im pazurki.

- Czy będę mogła je zjeść? - zapytała po wskoczeniu na pusty stół.

- Z każdym, który za bardzo zbliży się do mnie, możesz zrobić, co zechcesz - odparł Mallory.

- Z nim też? - zapytała Felina, wskazując na McGuire'a.

- Nie - odparł detektyw. - On jest po naszej stronie.

Pozostałe wampiry, widząc, jak Felina obnaża trzycalowe pazury, uznały, że to, do czego detektyw wzywał ich pobratymca, nie może być tak cenne, żeby ryzykować życie, odpuściły więc.

- Dobra - ucieszył się Mallory. - Złaź.
- Ale mnie się tu podoba.
- Mimo to złaź.
- Nigdy nie pozwalasz mi na chwilę zabawy - prychnęła, ale zeskoczyła lekko na podłogę.

- Serce mi krwawi - podsumował Mallory.

Leżące obok zwłoki z wielkimi kłami usiadły nagle i spojrzały na niego z pożądaniem.

- To tylko taka gra słów - wyjaśnił detektyw. - Kładź się, bracie.

Truposz zamruczał coś pod nosem i położył się ponownie na katafalku.

- Znalazłeś go? - zapytał zziębnięty McGuire.

- Tak - odparł Mallory. - Leży tam, w kącie.

- Wygląda na to, że nie zrobili jeszcze obdukcji - oznajmił mały wampir.

- Chyba zdążyłeś już zauważyć, że organizację pracy mają tutaj do bani.

- Może sami się tym zajmujemy? - zaproponował ochoczo Kijaszek.

- Chłopie, znowu się ślinisz - zganił go detektyw.

- Przepraszam - powiedział McGuire. - Ale czuję się tutaj jak dzieciak zamknięty w sklepie z cukierkami.

- Czy przypadkiem nie powinienesz łaknąć krwi żywych ofiar?

- W tym miejscu trudno powiedzieć, kto jest żywy, a kto nie, jeśli wiesz, co mam na myśli...

- Tak, wiem - przyznał Mallory. - Ale ten chłopak jest krewnym Winnifredy i jeśli ktoś tutaj go ugryzie, poniesie surowe konsekwencje. Mam nadzieję, że wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, wiem - rzucił szybko McGuire. - Nie tknę go nawet palcem.

- Mam nadzieję - ciągnął dalej detektyw. - Jeśli mimo wszystko odważysz się ukąsić chłopaka, ona tknie cię dziesięcioma palcami. - Wskazał kciukiem Felineę.

- Mniem - mlasnęła dziewczyna-kot, już rozkoszując się możliwą jatką.

Mallory ruszył w stronę stołu, na którym ułożono ciało Ruperta Newtona. W odległości około trzydziestu stóp od celu drogę zagroził mu krasnoludek, elf, goblin, gremlin i troll.

- Ani kroku dalej, koleś - zapiszczał krasnal.

- Chcę dokonać oględzin tego ciała - wyjaśnił detektyw.

- Tak, wiemy, wszyscy tak gadacie.

- A potem robicie im te odrażające, paskudne, a nawet groteskowe rzeczy - dodał goblin.

- Czasem są całkiem zabawne - dorzucił elf.

- Marnujecie tylko mój czas - stwierdził Mallory. - Muszę dokonać obdukcji.

- Nie ma mowy, panie Mallory - zagrzmiał troll. - Mamy dokładne rozkazy. Nikt nie dotknie tego ciała, dopóki nie zajmie się nim tutejszy patolog.

- Skoro znacie moje nazwisko, musicie też wiedzieć, że jestem detektywem. Dlaczego więc nie odsuniecie się grzecznie na bok, żebym mógł wykonać pracę?

- Wielki twardziel się znalazł! - zapiszczał cienko krasnoludek. - Nas tak łatwo nie wystraszysz!

- Racja! - dodał elf. - Zrób jeszcze jeden krok, a nogi ci z tyłka powyrywamy!

- Zrobimy to z taką biegłością i finezją, że przypadną nam w nagrodę twoje uszy i ogon! - dodał troll.

- Hmm... Nie cierpię was poprawiać... - wtrącił goblin - ale ten facet nie ma ogona.

- Przestań zadrezczać nas szczegółami, kiedy usiłujemy wpaść w morderczy szal! - wrzasnął krasnoludek.

- Racja! - dodał elf i hardo spojrzął na Mallo-ry'ego. - Już nie żyjesz, chociaż jeszcze o tym nie wiesz. Zawróć, detektywie, a może wspaniałomyślnie pozwolimy ci dotrzeć do wyjścia.

- A jak nie, to tak ci przywalimy, że nawet twoje wnuki poumierają! - ryknął troll.

- No i znowu coś popieprzyłeś! - zachnął się goblin. - Wybacz pan, panie Mallory, ale czy może nam pan coś wyjaśnić, zanim rozerwiemy pana na strzępy?

- Co mam wyjaśnić?

- Czy jest pan ojcem?

- Nie - powiedział Mallory.

- Słyszałeś? - rozdarł się rozwścieczony goblin. - Jak mamy pozabijać jego wnuki, skoro ich nie ma?

- Przecież powiedział tylko, że nie ma dzieci - bronił się troll. - O wnukach nawet nie wspomniał.

- Mógł przecież adoptować jakiegoś dzieciaka - podrzucił elf.

- Myślisz, że ktoś by na to pozwolił? - zaprotestował krasnoludek. - Facet ma zbyt niebezpieczną profesję. Sami widzicie, poznaliśmy go dopiero półtorej minuty temu i już musimy go zabić.

- Dość tych pogaduszek! - wrzasnął Mallory, tracąc do reszty cierpliwość. - Przyszedłem tutaj, aby dokonać oględzin tego ciała, i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

- Nie drzyj ryja! - ostrzegł go elf. - My tu prowadzimy poważną dyskusję!

- Znajdźcie sobie inne miejsce na pogaduchy - zaproponował Mallory i postąpił krok do przodu.

- Dość tego, Mallory! - wydarł się krasnoludek. - Zrobisz jeszcze jeden krok, nawet taki ty-ci--ty-ci, a mój kompan zabije cię na miejscu.

- A... którego z nas miałeś na myśli, mówiąc kompan? - zapytał goblin.

- Ciebie - odparł krasnoludek.

- Ja nie mogę - zaprotestował goblin.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz - odparł niespokojnie zielono-skóry - że mam ten problem.

- Co ma przerośniętą prostata do ćwiartowania jakiegoś detektywa? - zapytał krasnoludek.

- Nigdy nie wiem, czy zaraz nie zachce mi się lecieć do łazienki - wyjaśnił goblin.

- To zabij go szybko - odparł krasnoludek. - Dziesięć sekund nie powinno ci zrobić wielkiej różnicy.

- Z najwyższą przyjemnością bym go zabił, naprawdę - zarzekał się goblin. - Ale nigdy nie wiem, kiedy ta cholera mnie przyciśnie, a nienawidzę zaczynać roboty i jej nie kończyć.

- Nie ma sprawy - zdecydował krasnoludek. - Możesz zacząć robotę, a jeśli natura wezwie cię nagle w jej trakcie, Herbie dokończy dzieła.

- Ja? - zdziwił się elf.

- Tak, ty - odparł krasnoludek. - Przecież nienawidzisz ludzi.

- Tak, i to nawet bardzo, ale...

- Zatem powyrywaj mu ręce i nogi ze stawów, ukręć łeb i nasikaj w szyję!

- Musiałeś opisywać to tak dokładnie? - jęknął gremlin. - Niedobrze mi się od tego zrobiło. - Odszedł szybko na stronę, skąd po chwili zaczęły dobiegać charakterystyczne odgłosy.

Elf spojrział na górującego nad nim Mallory'ego.

- Nie ma chyba rzeczy, której pragnąłbym bardziej od wyrwania mu rąk i nóg - powiedział - ale moje lumbago odzywa się coraz częściej...

- Wydawało mi się, że cierpisz na reumatyzm? -zapytał podejrzliwie krasnoludek.

- Cierpię.

- To dlaczego mi tu pieprzysz o jakimś lumbago?

- Bo nie potrafię wymówić słowa „reumatyzm” -bronił się elf.

- Co za banda palantów! - wrzasnął krasnoludek. - Dobra, Phil, zabij tego sukinkota!

- Ale to przecież mój kumpel - powiedział troll, kładąc rękę na ramieniu elfa.

- Nie tego, tylko tamtego! - wydarł się krasnoludek.

- To byłoby zbyt proste - mruknął troll. - A może go najpierw przechytzymy?

- Wisi mi, czy przygwoździsz drania swoimi przemyśleniami, czy zmiażdżysz go intelektem, o ile nie będzie żył, jak już z nim skończysz - stwierdził krasnoludek.

- No to patrzcie - powiedział troll pewnym głosem i wyciągnął papierosa. - Hej, ty, kotowate, założę się dziesięć do jednego, że nie zdołasz zabić Mallory'ego, zanim zdążę wypalić tę fajkę.

- Dziesięć czego? - zapytała Felina.

- Czego zechcesz.

- Mogą być wieloryby? - upewniła się dziewczyna-kot.

- Daj spokój, kotowate, podejź do tego rozsądniej - zachnął się troll. - Skąd ja ci wezmę dziesięć wielorybów o tej godzinie? Zwłaszcza teraz, w październiku.

- Chyba będziesz musiał mnie zmiażdżyć w jakiś inny sposób - wtrącił Mallory.

- Ty, detektyw, trzymaj się od tego z daleka - ostrzegł troll. - Jesteś tu tylko ofiarą.

- Lubisz się zakładać, więc przybij jeden zakładzik ze mną - zaproponował Mallory.

- Z tobą?

- Tak. Założę się z tobą dwieście do jednego, że jeśli spróbujesz powstrzymać mnie przed zbadaniem tego ciała, każę Felinie odgryźć ci twarz.

- Stawiam na to trzysta do jednego - wtrącił krasnolu dek, sięgając do kieszeni po portfel.

- Chwila! - zawołał troll.

- Felino - powiedział Mallory - czy zechciałabyś zaprezentować na koledze próbkę swoich umiejętności?

- Czekaj! Nie! Stój! - wrzeszczał troll, cofając się cały czas. - Oszukiwałeś!

- O czym ty mówisz? - zapytał zaskoczony Mallory.

- Trolle boją się ludzi-kotów! Wykorzystałeś przewagę, jaką dały ci moje genetyczne uwarunkowania!

- Czy trolle boją się też wampirów?

- Ależ skąd! - stwierdził gigant z godnością. - Jesteśmy rasą urodzonych bohaterów! Oprócz tego nieistotnego wyjątku nie boimy się nikogo!

- Kijaszku - zapytał detektyw - nie czujesz przypadkiem pragnienia? - Wskazał palcem trolla. - Wypij sobie jednego.

- Czekaj! - wrzasnął troll, gdy McGuire zrobił pierwszy krok w jego stronę. - Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

- Nie jesteś człowiekiem, tylko trollem - przypomniał mu Mallory. - I to takim, który zaraz padnie trupem.

- Nie przestraszysz takim gadaniem mojego kamrata - stwierdził krasnoludek. - Słyszałeś,trolle nie boją się niczego i nikogo!

- Cóż, to nie do końca prawda - wtrącił gigant, coraz bardziej nerwowo obserwując każdy krok małego wampira. - Wolimy nie wspominać o tym, że obawiamy się wizyt urzędu skarbowego, nadciśnienia, blondynek imieniem Hortensja, jednookich gigantów z toporami bojowymi i stalowymi kłami, fordów pinto... - troll wymienił jeszcze z pięćdziesiąt wyjątków od bohaterskiej reguły.

- Ale nie obawiacie się wampirów? - zapytał na koniec krasnoludek.

- Nie.

- No to wracaj na miejsce.

- Jest jeszcze jedna rzecz, której się boimy - przyznał Phil, nie przestając się cofać.

- Jeszcze jedna? - zdziwił się krasnoludek. -

O czym mówisz?

- O bólu! - wrzasnął gigant, obrócił się na pięcie i pognął przez salę.

McGuire zawrócił w stronę elfa.

- Hej... szefie - powiedział tamten szybko. - Polecę za Philem i sprawdzę, czy mu się nic nie stało. -I już go nie było.

- Wydaje mi się, że zostaliśmy już tylko ty i ja -stwierdził detektyw, spoglądając na karzełka. - Czy pozwolisz mi zbadać te zwłoki?

- Najpierw musisz stoczyć ze mną walkę na śmierć i życie! - oznajmił krasnoludek.

- Mnie to pasuje - przyznał Mallory.

- Dobra - odparł krasnal. - Ja obstawiam kotowate, ty krwiopijcę.

- O czym ty mówisz?

- O walce na śmierć i życie - wyjaśnił krasnoludek. - Jeśli on wygra, możesz sobie badać tego truposza, jeśli ona, przeprosisz Phila i Herbiego, a potem grzecznie wrócisz do domu.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś - zaprotestował Mallory. - Walka rozegra się pomiędzy tobą a mną.

- Co ty bredzisz, człowieku? - zapiszczał krasnoludek. - Ja nie mogę brać udziału w walkach na śmierć i życie! Mam żonę, trójkę dzieci, samochód wzięty na kredyt i hipotekę do spłacenia...

- W takim razie spadaj! - zaproponował detektyw.

- Powiem ci, co zrobimy - krasnoludek nagle odzyskał wigor. - W lutym z pierdła wychodzi mój kuzyn Vinny. Jeśli wrócisz do domu i poczekaś cierpliwie do tego czasu, on z przyjemnością podejmie twoje wyzwanie i będzie bił się do ostatniej kropli krwi, o ile pozwolisz mu wybrać broń. Ponieważ on waży tylko pięćdziesiąt osiem funtów, wydaje mi się, że będzie musiał dociążyć buty albo rękojeść miecza...

- Zapomnij o tym.

- A gdzie twoje poczucie fair play? - zapytał krasnoludek. - Jakim ty jesteś wrogiem, Mallory?

- Niecierpliwym. Felino, jeśli ten pokurcz nie zejdzie mi z drogi, jest twój.

Dziewczyna-kot wyszczerzyła zęby i pokazała pazury.

- Jedno szybkie pytanie - rzucił krasnoludek. - Czy można się zarazić przerostem prostaty?

- Pojęcia nie mam. Dlaczego pytasz?

- Bo tak mnie ciśnie, że muszę natychmiast lecieć do kibla... - wydarł się krasnoludek, uciekając.

Mallory w końcu mógł podejść do ciała Ruperta. Ale ledwie przy nim stanął, obok pojawił się mężczyzna w średnim wieku. Sądząc po białym kitlu - lekarz. Człowiek ten miał wściekle skołtunione włosy, jeszcze dzikie spojrzenie oraz zwisający dumnie z piersi stetoskop, który to przyrząd wydał się detektywowi zupełnie nie na miejscu.

- Czy pan jest tutejszym patologiem? - zapytał Mallory.

- Maksymilian - przedstawił się mężczyzna, podając mu lodowato zimną dłoń. - Maksymilian Mabuse. Ostatnio pracowałem w Wiedniu, Berlinie, Paryżu, Pradze, Budapeszcie, Bukareszcie i areszcie w Montanie.

- Doktor Mabuse... - powiedział detektyw, robiąc zamyśloną minę. - Zdaje się, że gdzieś o panu pisali.

- Same kłamstwa i łgarstwa rozpowszechniane przez moich wrogów i zawistnych kolegów po fachu - stwierdził lekarz. - Poza tym ona twierdziła, że ma już skończone siedemnaście lat - dodał i pochylił się nad zwłokami Ruperta Newtona. - I co my tu mamy?

- Chciałbym wiedzieć, co go zabiło - powiedział Mallory.

- Społeczeństwo - odparł natychmiast doktor Mabuse.

- Co pan chciał przez to powiedzieć?

- Sam nie wiem - przyznał lekarz, wzruszając lekceważąco ramionami. - Ale to stwierdzenie rzucone podczas wywiadu wypada całkiem niezłe, a poza tym daje mi kilka dodatkowych sekund na zastanowienie się nad następną odpowiedzią. - Odwrócił głowę chłopaka na bok i uważnie obejrzał ślady po ukąszeniu. - Zaliczył inicjację, ale z pewnością nie został jednym z nieumarłych. Jeszcze jedno albo dwa pociągnięcia i stały się praktycznie niezniszczalne.

- Naprawdę?

- Wie pan, tak tylko generalizuję - wyjaśnił doktor Mabuse. - W rzeczywistości znamy sto trzydzieści siedem sposobów na zabicie wampira, nie licząc takich skrajności, jak pożarcie przez piranie czy zarażenie się groźnymi chorobami społecznymi - mówił, nie przerywając oględzin ciała. - Nie ma dziur po kulach ani śladów dźgnięcia nożem. Nie został też wzięty na róg przez nosorożca. Nie mógłbym wykluczyć ze stuprocentową pewnością porażenia słonecznego, chociaż przez cały ubiegły tydzień mieliśmy spore zachmurzenie... - Nagle przesunął dłońmi po głowie chłopaka i jęknął głośno.

- Znalazł pan coś? - zainteresował się Mallory.

- Rzekłbym nawet, coś istotnego - odparł doktor Mabuse, pochylając się i studiując ranę. - Tak, ten młody człowiek otrzymał mocny cios tępym narzędziem.

- Wie pan może jakim?

- Przecież panu powiedziałem: tępym.

- Dzięki - mruknął detektyw. - Co zrobicie z ciałem?

- Kostnica przetrzyma je przez tydzień. Jeśli w tym czasie nikt się po nie nie zgłosi albo nie odejdzie o własnych siłach, pozbędziemy się go na własny rachunek.

- Jak? - zapytał McGuire, na próżno starając się ukryć ciekawość.

- Dowiemy się tego w stosownym czasie - zgasił go Mallory.

- Hej, doktorku - zawołał sanitariusz, stojący jakieś trzydzieści jardów od nich. - Chodź pan tutaj, mamy dla pana prawdziwe cacko. Facet ma sześć strzał w kłacie, toporek w potylicy i dwie kule w sercu, ale wciąż się upiera, że żona go otruła.

Doktor Mabuse natychmiast pospieszył w kierunku ciekawego przypadku, a Mallory, mały wampir i Felina udali się do wyjścia.

- Czy to eliminuje Draconisa z kręgu podejrzeń? - zapytał po chwili McGuire.

- Niekoniecznie - odparł Mallory. - Wampiry posiadają nadludzką siłę. - Spojrzał przelotnie na swojego raczej mikrogo kompana. - W każdym razie większość z nich. Może mamy tu do czynienia z szalonym, ale wcale nie głodnym osobnikiem? Może bał się, że chłopak go wyda? W końcu przyplął tutaj jako znany poeta, a nie wampir. Kto wie? - Detektyw zamilkł i spojrzał na zegarek. - Już prawie za kwadrans jedenasta. Lepiej chodźmy do Madison Round Garden, musimy uciąć sobie krótką pogawędkę z panem Arystotelesem Draconisem.

- Też tak myślę - zgodził się McGuire. - To tylko pięć minut spacerkiem.

- Świetnie - ucieszył się Mallory. - Będziemy mieli chwilę czasu.

- Na co?

- Spędziliśmy tutaj niemal godzinę i nie dowiedzieliśmy się niczego poza tym, że chłopak nie został ponownie ukąszony przez wampira. Pora zasięgnąć rady prawdziwego eksperta.

- Od Wszystkich Świętych czy wampiryzmu? -zapytał McGuire.

- Tak - odparł enigmatycznie detektyw.

Rozdział dziesiąty

22.43 - 22.47

Prosto z kostnicy udali się w stronę Madison Round Garden, od której dzieliło ich niespełna pół mili. Gdy dotarli do pierwszego skrzyżowania, Mallory zatrzymał się i rozejrzał wokół. Wkrótce spostrzegł to, czego szukał, skręcił w prawo i po chwili szybkiego marszu stanął przed szpalerem olbrzymich, lśniących mieczy prowadzących do szerokich drzwi hotelu.

- Wydawało mi się, że idziemy do Madison Round Garden
- powiedział zdziwiony McGuire.

- Idziemy, ale jak już wspomniałem, najpierw muszę z kimś porozmawiać.

- I ten ktoś będzie tutaj, w hotelu?

- Będzie.

Weszli do obitego pluszem holu i Mallory od razu skierował się do recepcji.

- Dobry wieczór - powitał go pracownik hotelu. - Witamy w „Mieczu Tudora”, znanym dawniej jako „Ręka Tudora”.

- Dlaczego zmieniliście nazwę?

- Biedny stary Tudor stracił rękę podczas gry w krykieta i zastąpił ją mierzącym trzy stopy ostrzem ze stali - wyjaśnił recepcjonista. - To była cholernie imponująca rzecz, zwłaszcza gdy przywdziewał mundur galowy z tymi wszystkimi medalami z kampanii napoleonkowej. Proszę pamiętać, żeby nie stawać po jego lewej stronie. Gdyby, nie daj Boże, odwrócił się nagle... - Hotelarz roześmiał się. - Czym mogę panu służyć? Wygląda mi pan na kogoś, kto mógłby sobie zażyczyć podwójną jedynekę.

- A cóż to takiego, u licha?

- Jak to co, normalna dwójka z jedną kobietą.

- Nie po to przyszedłem.

- Cóż, za dodatkową opłatą możemy przygotować dla pana jedynekę z dwoma kobietami.

- Chciałem zapytać tylko, gdzie jest męska toaleta - przerwał mu Mallory.

- Tam - powiedział recepcjonista, wskazując na drzwi tuż za kontuarem, i natychmiast stracił zainteresowanie pententem.

Gdy ruszyli w stronę łazienek, Mallory spojrzał na McGuire'a.

- Kijaszek, czy masz może komórkę?

- Słyszałeś, żeby ktoś wydzwaniał do wampirów w środku nocy? - odparł pytaniem na pytanie mały wampir.

- Przeszukaj to miejsce i sprawdź, czy nie uda ci się zdobyć jakiejś komórki. Tam na ciebie poczekam - detektyw wskazał drzwi toalety.

- A co z nią? - zapytał McGuire, wskazując kciukiem Felinę.

- Już ty się o nią nie martw. Znajdź mi ten telefon.

Mały wampir westchnął ciężko i ruszył na poszukiwania, a Mallory podszedł do drzwi. Otworzył je, sprawdził, czy wewnątrz nikogo nie ma, a potem odwrócił się do Feliny.

- Nikt tu nie może wejść, oczywiście oprócz McGuire'a. Załapałaś?

- Coś złapałam? - zapytała dziewczyna-kot. - Czy to nada się do jedzenia?

- Czy zrozumiałaś, co do ciebie powiedziałem?

- Kiedy?

- Przed chwilą.

- Tak, Johnie Justinie - odparła rozanielona Felina. - Zapytałeś, czy zrozumiałam, co powiedziałaś.

- A wcześniej?

- Nikt nie może tu wejść, tylko McGuire.

- Doskonale.

- A może McGuire może wejść, ale nikt inny.

- Powiedzmy, że uznaję obie twoje odpowiedzi za równie prawidłowe.

- Wiedziałaś, że tak będzie - stwierdziła i odwróciła się do niego plecami. - Teraz smyraj mnie między łopatkami.

- Później.

- Dobrze - powiedziała. - Zaproszę wszystkich gości przechodzących przez hol do odwiedzania męskiej toalety.

- Świetnie - odparł Mallory - a ja nie będę cię karmił aż do czerwca.

- A jeśli zaproszę tylko co drugiego gościa, dasz mi coś do jedzenia przed odwiedzeniem tego Arystonisa Drakoklesa?

- Pozwól, że wyjaśnię ci to słowami, które z pewnością zrozumiesz - zaczął detektyw. - Jeśli do tej toalety wejdzie ktokolwiek, kto nie nazywa się Kijaszek McGuire, wylatujesz z posady firmowego kota. Nie będzie domku ani biura i nikt nigdy cię nie nakarmi.

Szybko policzyła na palcach.

- Nie będzie domku, biura i jedzenia. Nie będę miała trzech rzeczy.

- Zgadza się.

- A jeśli wpuszczę tam tylko dwóch ludzi? - kontynuowała dziewczyna-kot. - To będzie nie fair. Czy trzy można włożyć do dwóch? Czy dwa jest mniejsze niż trzy? I ile kostek cukru zostanie, jeśli to zrobimy?

- Powiem ci coś w tajemnicy - szepnął Mallory. - Wystarczy, że nie wpuścisz tam nikogo, a nie będzie już lekcji matematyki.

Jej twarz natychmiast pojaśniała.

- Dziękuję ci, Johnie Justinie. To był twój najlepszy pomysł tej nocy. W każdym razie od momentu, kiedy zdecydowałeś się mnie posmyrać.

- Świetnie - stwierdził detektyw. - Teraz wchodzę do toalety. Pamiętaj, nie możesz do niej wpuścić nikogo oprócz pana McGuire'a.

- A jeśli pojawi się tutaj Arystonis Drakokles?

- Dla niego pozwalam ci zrobić wyjątek.

- Jak ja lubię wyjątki od reguł - uradowała się Felina. - A jeśli przyjdzie Warren G. Harding? Albo Tom Mix? Albo Maria, królowa Szkotów? Albo Jackie Robinson...? - tu zamilkła na chwilę. - Czekaaj, ale ja jestem głupia!

- Przez grzeczność nie zaprzeczę - stwierdził Mallory.

- Przecież Maria, królowa Szkotów, nie korzystałaby z męskiej toalety.

- Tylko McGuire - uściślił detektyw.

- I Drakokles - dodała. - Nie zapominaj o Drakoklesie.

- Ale nikt inny - zastrzegł Mallory i w końcu zniknął za drzwiami toalety.

Pomieszczenie było dość duże, wzdłuż jednej ściany ciągnął się rząd dwunastu umywalek, naprzeciw nich stało tyleż samo kabin, a w głębi widać było kilka pisuarów. Podłogę wyłożono kafelkami, ściany wykończono gustownie powyżej wysokiego pasa glazury. Zanim drzwi się otworzyły i stanął w nich zarumieniony McGuire, Mallory zdążył wykonać kilka rundek, spacerując szybko od ściany do ściany.

- Proszę - powiedział mały wampir, wręczając detektywowi niepozornie wyglądającą komórkę. -Tylko się pośpiesz, może zdołam ją zwrócić tej starej, tłustej torbie, zanim zauważysz, że czegoś jej brakuje. -Uśmiechnął się lubieżnie. - Ale dwudziestaka, którego zwinąłem razem z nią, raczej już nie zobaczy.

- Dzięki - odparł Mallory. - Będę jej potrzebował tylko na kilka sekund.

- Nie uda ci się tak szybko dodzwonić - powiedział McGuire.

- Ja nie dzwonię, ja przyzywam - odparł Mallory, otwierając malutki telefon.

- Założę się o tego dwudziestaka, którego przed chwilą zwędziłem, że nie chcę zadać kolejnego pytania - dodał szybko podenerwowany wampir.

-To prawda, nie chcesz... - zgodził się z nim Mallory, a potem przyjrzał się uważnie klawiaturze i wcisnął klawisze: g, r, u, n, d i na koniec y. - Dzięki - powiedział i rzucił komórkę McGuire'owi.

- Czy właśnie zadzwoniłeś do tego, którego wszyscy śmiertelnie się lękamy?

Zanim Mallory zdążył odpowiedzieć, w toalecie błysnęło jak diabli, po cichym pufnięciu pojawił się obłok rdzawego dymu i detektyw stanął oko w oko z bestią wysoką na ponad sześć stóp, jeśli liczyć dwa ogromne rogi wyrastające z jej czoła. Oczy potwora płonęły ognistą żółcią, ostry nos sterczał jak lufa, wielkie zębiska lśniły bielą, a skóra miała barwę krwistoczerwoną. Demon nosił koszulę i spodnie z pogniecionego atłasu, narzucił na to satynowy płaszcz, którego kołnierz i mankiety wykonano z białego futra jakiegoś polarnego zwierzęcia. Dłonie potwora chroniły grube, lśniące rękawice,

na nogach miał równie masywne buty z tego samego tworzywa. Z szyi zwisał mu gruby złoty łańcuch, na którym dyndały dwa spore magiczne rubiny. Gdy Grundy oddychał, z jego nozdrzy i paszczy wydostawały się obłoczki siniego dymu.

- Zaweźwał mnie pan w bardzo niezręcznej chwili - oświadczył głębokim głosem, a potem spojrział groźnie na wampira. - A to co znowu?

- Kijaszku - odezwał się Mallory - chciałbym, abyś przywitał pana...

- Nie mogę! - zapiszczał wampir, cofając się do drzwi. - Spiesz mi się! Muszę natychmiast skorzystać z męskiej toalety!

- Przecież jesteś w męskiej toalecie - przypomniał mu detektyw.

- Ale mnie chodziło o inną męską toaletę! - zakwilił McGuire, macając ręką za plecami w poszukiwaniu klamki. W końcu znalazł ją i otworzył drzwi. - Jakakolwiek, byle inną toaletę!

Zniknął z pola widzenia w ułamku sekundy.

- Musi mu pan wybaczyć - Mallory usprawiedliwił wampira. - Po prostu nie przywykł do obcowania ze Złem Wcielonym.

- Ile razy mam panu wyjaśniać, że ja... - zaczął Grundy.

- Tak, wiem - wpadł mu w słowo Mallory. - Niech pan przynajmniej nie zaprzecza, że jest najpotężniejszym demonym Wschodniego Wybrzeża.

- Zaprzeczać? - zdziwił się Grundy. - Ja się tym szczycę! Ale zdaje pan sobie sprawę, że to moja najpracowitsza noc w roku?

- Dziwi mnie to trochę - przyznał Mallory. - Spodziewałem się, że w noc, kiedy wszystkie duchy, ghule i inne strachy

wypełzają na ulice, by wyręczyć pana w sianiu zamętu i zniszczenia, może pan odetchnąć trochę, napić się piwa, jakiś mecz obejrzeć.

- A pan zostałby w domu, gdyby Odłot miał startować w najważniejszej gonitwie sezonu? - zapytał Grundy.

- *Touche* - powiedział z uznaniem Mallory. - Wie pan oczywiście, dlaczego pozwoliłem sobie pana tu przyzwać?

- Oczywiście.

- Wie pan też, oczywiście, kto stoi za śmiercią tego chłopaka?

- Oczywiście. Nic nie może wydarzyć się na moich włościach bez mojej wiedzy.

- Czy ułatwi mi pan życie i zdradzi ten sekrecik?

- Ułatwianie panu życia nie należy do moich obowiązków - odparł demon.

- Cóż, musiałem spróbować - stwierdził Mallory i rzucił okiem na zegarek. - Cholernie nie lubię takich pospiesznych pożegnań, ale nie powinienem się spóźnić na pewien występ.

- I nie spóźni się pan - powiedział Grundy, kreśląc dłonią w powietrzu magiczny symbol.

- Co pan zrobił?

- Zamroziłem czas dla całej reszty świata - oświadczył demon. - My dwaj nie dostrzeżemy żadnej różnicy, ale wszyscy inni powrócą do życia, dopiero gdy opuścimy to pomieszczenie.

Mallory przyglądał się demonowi z uwagą i niepokojem.

- Ale dlaczego?

- Słucham?

- Właśnie stwierdził pan wprost, że nie poda mi tożsamości mordercy, dlaczego więc zamroził pan czas? Dlaczego nie zniknął pan w obłoku dymu, jak zwykle zresztą?

Grundy poruszył się nerwowo.

- Miałem taką zachciankę.

- Gówno prawda - odparł Mallory. - Kieruje się pan wyłącznie czystą logiką. A w niej nie ma miejsca na zachcianki.

- Ma pan rację - przyznał demon. - Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, w końcu los uczynił z pana mojego śmiertelnego wroga, którego kiedyś będę musiał zabić, ale ja naprawdę lubię pańskie towarzystwo.

- Nie wiem, czy powinno mi to schlebiać, czy raczej przerażać.

- Jest pan jedyną osobą na tym świecie, która zdaje się nie umierać ze strachu na mój widok - stwierdził Grundy. - I stąd część mojej fascynacji panem.

- A niby dlaczego miałbym się pana obawiać? - zapytał Mallory. - Przecież czasami przyjmuję też pańskie zlecenia, jak choćby sprawa Pucharu Quatermaina albo tego starego Chińczyka z pegazem.

- Wiem, wiem - przyznał Grundy. - Nikt inny nie wykonałby tak dobrze tej roboty.

- Może gdyby pan płacił, zamiast zastraszać i wymuszać, efekty byłyby lepsze.

- Ależ, drogi panie Mallory, moim powołaniem jest sianie strachu i przerażenia.

- Wydawało mi się, że pańskim powołaniem miało być niesienie światom równowagi - wtrącił Mallory. - Ileż to razy słyszałem tę piosenkę?

- To prawda - przyznał Grundy. - Tam, gdzie znajduję porządek, przynoszę chaos, a tam, gdzie znajduję chaos, przynoszę porządek.

- Brzmi nieźle - przyznał Mallory. - Znalazł pan już kiedyś jakiś chaos czy wciąż pan go szuka?

- Widzi pan? - wskazał mu demon. - Oto kolejny powód, dla którego tak lubię z panem rozmawiać. Potrafi pan za mną nadążyć.

- Dlaczego więc nie podziękuje mi pan za to wszystko, wyjawiając, kto jest winien śmierci chłopaka?

- Bo to zaprzeczałoby wszystkiemu, czym jestem - odparł Grundy nieomal przepaszającym tonem.

- Zatem nie chce pan powiedzieć czy nie może?

- Nie mogę.

- Jest mi pana niezwykle żal, panie Grundy - oświadczył detektyw.

- Mnie, najpotężniejszej istoty w promieniu wielu tysięcy mil? - zdziwił się demon. - Dlaczego?

- Bo nawet ja, jeśli mi wpadnie do głowy, żeby uczynić coś głupiego, niedorzecznego albo szalonego, mogę to zrobić. Nawet jeśli jest to wbrew mojemu interesowi. Jeśli zechcę coś powiedzieć albo zrobić, klamka zapadła. A to znaczy, że mogę więcej niż pan.

- Jak to możliwe, skoro ja jestem potężniejszy?

- Potęga to nie wszystko - stwierdził Mallory. - Słoń może zabić lwa, roznieść w drzazgi dom, wyrwać drzewo, ale czy zdoła obrać gruszkę?

- Chyba powinienem się głębiej zastanowić nad tym zagadnieniem - powiedział Grundy.

- Pozwoli pan, że podrzucę panu jeszcze jedną rzecz pod rozwagę?

- Tak?

- Stwierdził pan już kiedyś, a dzisiaj powtórzył, że czynienie mojego życia łatwiejszym nie należy do pańskich obowiązków, tak jakoś to zabrzmiało.

- Zgadza się - potwierdził demon.

- Ale jest pan najpotężniejszą z istot tego świata.
 - W istocie.
 - Zatem kto panu wydaje zakazy?
 - Jakie znowu zakazy? - zapytał zdziwiony Grundy.
 - Te, które ograniczają pańską wolę - wyjaśnił detektyw.
- Kto pociąga za sznurki najpotężniejszego?

Grundy uśmiechnął się w taki sposób, w jaki robią to naukowcy, którzy stają przed problemem wymagającym natychmiastowego rozwiązania.

- Fascynujące! Dziękuję, panie Mallory.
- Podanie nazwiska mordercy byłoby idealnym sposobem na wyrażenie wdzięczności.

- Jest pan pierwszym człowiekiem, któremu podziękowałem od dziewięciuset pięćdziesięciu czterech lat. Czy to nie wystarczy?

- Według pańskiej miary z pewnością - powiedział detektyw. - Ale czego można oczekiwać od istoty z natury zaślepionej.

- Ta rozmowa naprawdę mi się podobała, Johnie Justinie Mallory - przyznał Grundy. - Dała mi też wiele do myślenia. Nie mogę wyjawić panu tego nazwiska... To znaczy nie wiem, czy mogę, czy też nie, muszę się jeszcze nad tym problemem głęboko zastanowić, ale w zamian pozwolę panu poprosić o cokolwiek innego.

- Zna pan moją współpracowniczkę?
- Tę tłąstą z siwymi włosami?
- Tę przysadzistą z siwymi włosami - poprawił go Mallory. - Zebrała swoje trolle i wyruszyła na łowy, chcąc odnaleźć bratanka i dopaść Draconisa. Ten pierwszy już nie żyje, a o ile pułkownik Carruthers nie zmierza właśnie teraz w stronę Madison Round Garden, nie dopadnie też drugiego.

Grundy zapatrzył się gdzieś w przestrzeń i na moment znieruchomiał.

- Jest w Central Parku, otoczona przez gang goblinów, które mają zamiar ją obrabować.

Mallory nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Oj, chyba czeka ich niemiła niespodzianka -stwierdził i zaraz dodał: - Czy może pan przekazać jej wiadomość, że Rupert nie żyje i powinna odebrać jego ciało z kostnicy?

- To jest przysługa, o którą pan prosi?

- Tak, i jeszcze jedno, chociaż wiem, jak bardzo lubi pan brać na siebie takie winy, proszę jej powiedzieć, że podążam tropem mordercy, który nie ma z panem nic wspólnego.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Grundy. -Będę tam za kilka sekund.

Mallory powstrzymał demona uniesioną dłonią.

- Proszę dać jej pięć minut, niech nauczy tych zielonoskórych dupków moresu.

- Jak pan sobie życzy - powtórzył Grundy i najpierw stał się przezroczysty, a po chwili rozpląnął się w powietrzu.

Mallory spojrzął na zegarek i zauważył, że od momentu, w którym zamknął za sobą drzwi toalety, nie upłynęła ani jedna sekunda. Podszedł do drzwi, aby opuścić to miejsce, ale gdy sięgnął do klamki, nagle usłyszał za sobą dudniący bezcielesny głos demona:

- Panie Mallory, proszę przyjąć te słowa jako ostrzeże nie od prawie przyjaciela. Ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż się panu wydaje.

- Wielkie dzięki - mruknął Mallory, wychodząc z toalety.

Rozdział jedenasty

22-47 - 23.22

Dotarli w końcu do Madison Round Garden - banner nad wejściem głosił: „Nie do kwadratu!” - i wkroczyli do holu.

- Tu są tysiące ludzi - zdziwił się McGuire. - Nie miałem pojęcia, że poezja cieszy się tak wielką popularnością.

- Bo się nie cieszy - uspokoił go Mallory.

- Skąd więc taki tłum?

- Choćby dlatego, że to wielki kompleks - wyjaśnił detektyw. - W tym samym czasie odbywa się mecz koszykówki i kupa innych imprez.

Ledwie skończył mówić, obok nich pojawił się goblin sprzedający spinki do kapeluszy po pięćdziesiąt centów sztuka.

- Czy kobiety wciąż noszą kapelusze? - zapytał zaskoczony McGuire.

- Przyznaj się, nie przychodziłeś tutaj zbyt często? - zapytał Mallory.

- Nigdy tu nie byłem.

Mallory uśmiechnął się i wskazał na grupę staruszek w kwiecistych sukienkach. Dwie szły o lasce, trzecia wspierała się na balkoniku. Wszystkie nabyły szpilki.

- Przecież żadna z nich nie ma kapelusza - zauważył młody wampir.

- Bo nie do kapeluszy będą ich używać - wyjaśnił mu detektyw i wskazał na plakat zdobiący najbliższą ścianę: „Stach Strach kontra Ghul Gul-Gul”.

- To zapaśnicy? - zapytał McGuire.

Mallory potwierdził lekkim skinieniem głowy.

- Dzisiaj w rozkładzie jest też pojedynek zespołowy w stylu tasmańskim. I to właśnie do niego nasze babcie potrzebują szpilek.

- Będą dźgały nimi zawodników?

- Tak.

- Ależ to... czyste barbarzyństwo!

- A czy zapasy w stylu amerykańskim nie są barbarzyńską rozrywką, jak się dobrze nad tym zastanowić?

- Przecież te wszystkie walki są ustawiane.

- Oczywiście. Ale to nadal pewien rodzaj walki.

- Chociaż nikt nie odnosi w niej obrażeń.

- I właśnie dlatego kupujemy te szpile - wyjaśniła drobna staruszka, która akurat przechodziła obok nich. - Płacimy nieliczne pieniądze za takie widowiska tylko po to, żeby zobaczyć, jak ktoś cierpi na ringu! - Roześmiała się. - Tak właśnie poznałam mojego pierwszego męża.

- On też wtykał zapaśnikom szpile? - zapytał McGuire.

- Ależ skąd. Nazywali go Behemotem z Bostonu. Eryk Kaprawe Oczko rzucił mi go kiedyś prosto na kolana. Nasze oczy spotkały się w chwili, gdy wbiłam mu szpilę w lewy pośladek. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Powiedziała pani: pierwszy mąż...

Babcia skinęła głową.

- Zostawiłam go dla Rzeźnika z Belgradu, a potem był Wiktor Sekator i jeszcze...

- Ilu mężów pani miała? - przerwał jej mały wampir.

- Jedenastu.

- Samych zapaśników?

- Oprócz jednego. Milton był bankierem. Ale uznałam, że zbyt wiele musiałam przed nim ukrywać, i wróciłam do zapaśników. - Spojrzała na zegarek. - Muszę zmykać, następny

mecz zaczyna się za kilka minut, a ja obiecałam Stachowi Strachowi, że będę czekała na Ghula Gul-Gula z tym. - Uniosła w górę długą szpilę.

- Stach jest pani przyjacielem?

- Stach jest moim numerem jedenastym - odparła, śmiejąc się, i pokuśtykała w stronę areny.

McGuire spoglądał za nią z nieskrywanym podziwem.

- Jak się głębiej nad tym zastanowić, można uznać tę kobietę za kolekcjonerkę.

- Hej, koleś! - zawołał ktoś z boku. - Czy ta dziewczynka kot należy do ciebie?

Mallory rozejrzał się szybko i dostrzegł nerwowo gestykulującego sprzedawcę słodyczy, który starał się za wszelką cenę zgonić Felinę z maszyny robiącej cukrową watę.

- Tak, jest moja.

- Lepiej ją stamtąd zdejmij, zanim sama spadnie.

Detektyw podszedł do sprzedawcy i spojrzał w górę.

- Co ty tam robisz, do cholery?

- Stąd widzę cały hol - odparła uszczęśliwiona.

- Złaż natychmiast.

- Kiedy mi się tu podoba.

- Kolego - wtrącił się sprzedawca - daję ci dwadzieścia sekund na ściągnięcie jej z mojej maszyny, a potem biorę mopa i tak jej przywalę, że spadnie na zbity pysk.

- Zejdź tu do mnie, Felino - poprosił Mallory - a kupię ci batonik.

- I trzy kanarki oraz myszkę - odparła dziewczyna-kot.

- Tylko batonik. Czekać dziesięć sekund.

- Może być miecznik - licytowała dalej Felina.

Mallory odwrócił się do sprzedawcy.

- Jest twoja - powiedział na cały głos - a ja sobie znajdę nowego człowieka-kota do biura.

Zanim skończył wypowiadać ostatnie słowo, dziewięćdziesiąt funtów kociej gracji śmignęło w powietrzu i wylądowało na jego plecach.

- Wybaczam ci, Johnie Justinie - wymruczała mu w ucho Felina. - Kupisz mi dwie złote rybki, a zapomnę o wszystkim, co tu się wydarzyło.

- Złaż - ponaglił ją detektyw.

- Dobrze - odparła i natychmiast przycupnęła na podłodze, z wyciągniętą do niego błagalnie ręką. -Jedną arę?

- Zapomnij.

- A co powiesz na jedną z nich? - Wskazała palcem na niewielką chimerę z wysadzaną diamentami obrozą. Bestyjka szła tuż przy nodze ubranego w nienaganny smoking właściciela. Gdy przechodzili obok detektywa, ten dostrzegł na lewym rękawie mężczyzny numerowaną opaskę.

- Gdzieś tu jest wystawa - powiedział Mallory, rozglądając się uważnie. W końcu zobaczył tablicę informującą, że w Madison Round Garden na drugim piętrze o dwudziestej trzeciej zaczyna się doroczna gala Klubu Chimer Manhattanu.

- Czy godzina dwudziesta trzecia nie jest zbyt późną porą na rozpoczynanie takich wystaw i meczów zapaśniczych? - zaczął się zastanawiać Mallory.

- W normalny dzień z pewnością, ale nie w wigilię Wszystkich Świętych - zapewnił go McGuire.

- Ja też chcę taki naszyjnik - powiedziała Felina, wskazując na obrozę chimery.

- Zachowuj się grzecznie, a może jutro ci taki kupię.

- Obiecuję - przyrzekła, podnosząc obie ręce. -Mówiłeś poważnie?

- Na temat obroży? - zapytał Mallory.
- Tak.
- Czy to znaczy, że masz zamiar dobrze się zachowywać?
- Cóż... - stwierdziła asekurancko. - Znaczyło, kiedy to mówiłam.

- Dobrze - odparł Mallory. - Zatem umowa stoi.
- W pewnym sensie.

McGuire rozglądał się po holu.

- Ciekawe, gdzie odbywa się ten wieczorek poetycki?
- Prawdopodobnie w jednej z bocznych sal - powiedział Mallory. - Było nie było, mamy do czynienia z wydarzeniem kulturalnym, przeznaczonym dla erudytów i akademików. Nie będzie tam strumieni krwi ani gołych panienek, nie ma więc co liczyć na wielkie audytorium, jak w przypadku zapasów.

Dotarli do rzędu straganów.

- Zmniejszone głowy! - darła się otyła kobieta z na wpół wypalonym cygarem w ustach. - Zmniejszone głowy, prosto z Omaha!

- Kupujcie u mnie czosnek! - wrzeszczał goblin. - Twoja córka spotyka się z nieumarłym? Twoja żona łypie okiem do listonosza, który puka dwa razy tylko po północy? Pozbądź się ich dzięki prawdziwemu czosnkowi, uprawianemu wyłącznie w ogródkach upadłych studentów boskości i prawie dziewictwa!

- Zapomnij o tych durnotach, kolego - zapiszczał krasnoludek, przysuwając się niepostrzeżenie do Mallory'ego. - Mam tu oryginalny kiwaneński talizman, dzięki któremu utrzymasz z dala od siebie szalone tureckie króliki, zdradzieckie orientalne zagrożenia i wściekłe słonie. Sześć dolców i będzie twój.

- Ja odstraszam wściekłe słonie za darmo - powiedział McGuire. - Buu! - wrzasnął. - Widzisz, żadnego nie ma w okolicy.

- Zaraz podasz mi swoje nazwisko i numer prawa jazdy, koleś - obruszył się krasnoludek. - Jutro z rana doniosę na ciebie do Urzędu Nieuczciwej Konkurencji.

- A w tym urzędzie tępią nieuczciwą konkurencję, czy raczej ją wspierają? - zapytał Mallory.

- Nie wtykaj nosa gdzie nie trzeba - odburknął krasnoludek. - To sprawa pomiędzy mną a tym pokurczem.

Detektyw pochylił się i podniósł krasnala za kołnierz.

- Zostawisz nas teraz samych, nieprawdaż? - powiedział.

Krasnoludek kiwał głową tak szybko, że o mały włos oczy mu nie wypadły.

- Widzisz tę uśmiechniętą młodą damę z pazurami? - kontynuował Mallory, odwracając go twarzą w stronę Feliny. - Jeśli jeszcze raz nam przeszkodzisz, pozwolę jej pobawić się tobą.

- Hej, Zębuszko - pozdrowił ją krasnoludek. - Jakie zabawy najbardziej lubisz? Kręcenie butelką czy raczej szczypanki-macanki?

- Sam zobaczysz - obiecała Felina ze złowieszczym uśmiechem.

- Naprawdę potrafiłabyś skrzywdzić kogoś tak słodkiego jak ja?

- Ale tylko przez dwie do trzech godzin - odparła dziewczyna-kot. - Góra siedem.

- Dobra. - Mallory postawił krasnoludka na podłodze. - A teraz bierz nogi za pas.

Krasnoludek gapił się przez moment na talizman, potem potrzęsął nim mocno, a w końcu cisnął o ścianę.

- Że też akurat teraz musiała mu się wyczerpać bateria.
- W talizmanach nie ma baterii - poinformował go detektyw.

- Ale coś jest z nim nie tak. Powinien mnie chronić przed takimi potworami jak wy!

- Felino... - powiedział Mallory.

Zrobiła krok w stronę krasnoludka.

- Już mnie tu nie ma! - wrzasnął miniaturowy człowieczek i wpadł z wielkim impetem na dwóch przekupni, którzy przypadkiem stanęli mu na drodze ucieczki w głąb holu.

Detektyw raz jeszcze zlustrował otoczenie i w końcu dostrzegł tabliczkę informującą o odczycie poetyckim Arystotelesa Draconisa. Podszedł do drzwi, za którymi znajdował się niewielki amfiteatr mogący pomieścić góra dwieście składanych foteli, z których nie więcej niż czterdzieści było teraz zajętych.

- Poezja nie sprzedaje się tak dobrze jak zapasy - mruknął McGuire.

- Może Draconis poprawiłby frekwencję, gdyby dodał do odczytu parę sprośnych limeryków i tancerki brzucha - odparł Mallory, zajmując jedno z wolnych miejsc. Felina zachowywała się tak, jakby miała zamiar wkroczyć na samą scenę, ale w ostatniej chwili detektyw chwycił ją za nadgarstek i usadził w sąsiednim fotelu. McGuire usiadł po jego drugiej stronie dosłownie na sekundę przed tym, jak na podeście pojawił się gadopodobny, kurdupłowaty osobnik.

- Panie, panowie i cała reszta widowni - powiedział - mam zaszczyt przedstawić wam jedyne w swoim rodzaju Arystotelesa Draconisa, poetę, który przebył daleką drogę przez morze, z krain naszych przodków, aby być dzisiaj tutaj, razem z nami.

Na scenę wkroczył Draconis, we fraku, pod muszką, nie-samowicie wysoki i przerażająco chudy, z zapadłymi policzkami, pustymi, płonącymi oczami, długimi kłami, które - co Mallory doskonale widział nawet z tak wielkiej odległości - wystawały mu spod górnej wargi. Włosy miał kruczoczarne, mocno przylizane. Na jednym z palców można było dostrzec pierścień ze sporym krwistoczerwonym rubinem. Wierzch jego dłoni pokrywała gęsta szczecina, a paznokcie wystawały ponad pół cala za opuszki palców.

- Wygląda na wampira jak jasna cholera - wyszeptał Mallory.

- Nawet mnie ciarki przechodzą na jego widok - przyznał McGuire.

- Podoba mi się jego pierścień - wtrąciła Felina.

Draconis stanął na środku sceny i przyglądał się widzom po kolei, każdemu z osobna. Nikt prócz Mallory'ego nie wytrzymał jego świdrującego spojrzenia. Detektyw patrzył bez cienia lęku w głębię dziwnych oczu wampira, które były jednymi wielkimi źrenicami.

- Dziękuję wam za to, że przybyliście tutaj, aby przywitać obcego człowieka w swoich gościnnych progach - powiedział Draconis głębokim głosem z lekko wyczuwalnym obcym akcentem. - Postaram się uczynić wszystko, co w mojej mocy, abyście nie uznali poświęconego mi czasu za stracony.

Zaraz po tym oświadczeniu zaczął recytować swoje poematy, pełne odniesień do nadnaturalnych mocy i przepowiedni nadchodzącego zła, niosące wizje nieczystych i wyklętych praktyk. Po dwudziestu minutach zamilkł, wysłuchał oklasków z widowni, pokłonił się raz, ale za to głęboko i opuścił scenę.

- I co o nim myślisz? - zapytał Mallory.

- Jest przerażający - odparł McGuire. - On jest tym, kim ja powinienem być. A co ty o nim myślisz?

- Wydaje mi się, że on nie musi usypiać swoich ofiar - stwierdził detektyw. - On je po prostu zanudza na śmierć.

- Nie boisz się nic a nic? - zapytał z podziwem mały wampir.

- Chyba tylko tego, że mógłby bisować - odparł Mallory, wstając z fotela.

- Gdzie teraz idziemy? - zapytał McGuire z wyraźną obawą.

- Za kulisy. Musimy z nim porozmawiać.

- Tylko porozmawiać?

- Od tego zaczniemy.

- A co potem? - zapytał McGuire.

- A potem, jeśli okaże się, że to on jest winien zbrodni, będę musiał podjąć stosowne kroki.

- Ale tylko ty tam mówisz, prawda? - zapytał McGuire, wypowiadając kolejne słowa z coraz większą szybkością. - To znaczy nie użyłbyś chyba siły przeciw komuś takiemu? Tak tylko podbudowujesz sobie morale i odwagę albo chcesz mi tym zaimponować, albo...

- Uspokój się, Kijaszk - poprosił Mallory. - Nie musisz iść ze mną, jeśli nie chcesz.

- Ależ ja chcę, i to bardzo - zapewnił mały wampir.

- Świetnie.

- Ale on może mieć współników, czających się gdzieś w ciemności - kontynuował nerwowo McGuire. - Lepiej zostanę przed garderobą, żeby pilnować ci tyłka.

Felina syknęła nagle i wyszczerzyła zęby na wampira.

- Za co to było? - zapytał McGuire.

- Ja pilnuję jego tyłka! - oznajmiła dziewczyna--kot. - Ty możesz pilnować jego łokcia, ewentualnie lewego kolana.

- Miałeś mi pomagać do czasu, aż znajdę chłopaka lub jego mordercę - wtrącił Mallory. - Znaleźliśmy już Ruperta, a być może zaraz staniemy przed jego zabójcą. Wypełniłeś swoją obietnicę.

- No, sam nie wiem. - Mały wampir wyglądał na niešťczęśliwego. - Czuję się jakoś niezręcznie. Jak tchórz, który opuszcza towarzyszy niedoli w największej potrzebie.

- Kijaszku, co tu owijać w bawełnę, ty jesteś tchórzem - stwierdził Mallory. - Nic na to nie poradzisz, tak samo jak nie możesz zmienić tego, że jesteś wampirem.

- Ale to brzmi tak... brutalnie, kiedy ktoś mówi ci takie rzeczy prosto w oczy.

- Nie mam czasu na owijanie w bawełnę - przyznał detektyw. - Spieszę się na spotkanie z Draconisem.

- Będę czekał tuż za drzwiami, gotowy w każdej chwili ruszyć wam na pomoc - obiecał McGuire.

- Czemu nie, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej - powiedział Mallory i podszedł prosto do podstarzałego trolla w mundurze strażnika.

- Siema, dziadku - zagał, rzucając mu ćwierćdolarówkę. - Gdzie jest garderoba pana Draconisa?

Stary troll włożył monetę do ust i sprawdził zębami.

- Jest prawdziwa - zapewnił go detektyw.

- Widzę - odparł troll z niešťczęśliwą miną. - A nie masz pan przypadkiem tych z czekoladą w środku?

- Niestety, już mi się skończyły - przeprosił Mallory.

- Szkoda - powiedział troll, wzruszając ramionami, i schował ćwierćdolarówkę do kieszeni. - Trzecie drzwi po lewej.

- Jest sam?
- A skąd mam, u licha, wiedzieć?
- Rozumiem - powiedział detektyw, kierując się do wskazanych drzwi. - Dzięki, staruszk.

- Nie ma za co, ale tak na marginesie, mam na imię Thucydides.
- Poważnie?
- Nie... Ale to brzmi lepiej niż Ethebert.

Mallory zatrzymał się przed garderobą Draconisa i powiedział do Feliny:

- Wchodzisz ze mną. A ty czekasz tutaj - spojrzał na McGuire'a.

Zapukał mocno. Nikt nie odpowiedział. Przekręcił gałkę i pchnął drzwi. Nagle z wnętrza garderoby usłyszał stłumiony głos:

- Ani kroku dalej, jeśli ci życie miłe!

Rozdział dwunasty

23.22 - 23.43

Mallory wszedł do garderoby, trzymając rękę wysoko w górze.

- Nie jestem uzbrojony - powiedział. - Chcę tylko porozmawiać.

- Jesteś uzbrojony, jesteś - odparł syczący głos. - Masz dwie wielkie łapy, a cholera wie co jeszcze kryje się pod tym płaszczem.

Znienacka z zaciemnionego kąta garderoby wychynęła gadopodobna postać. Miała zieloną skórę, twardą i łuskowatą, oraz parę błoniastych skrzydeł. Dłonie, podobnie jak stopy, zdobiły wielkie szpony, natomiast twarz stworzenia przypominała skrzyżowanie pysków węża i krokodyla. Istota miała na sobie skórzaną uprząż i dzierżyła w dłoni długą dzidę.

- A niech mnie... - mruknął Mallory. - Gdyby ktoś zapytał, czym jesteś, zwierzęciem, rośliną czy minerałem, mógłbym jedynie odpowiedzieć: „A bo ja wiem?”.

- Dobrze ci radzę, trzymaj ten niewyparzony jęzor za zębami, człowieczku - wysyczał stwór. - Ty i ten twój kociak wpadliście w nieliczne tarapaty.

- Chcę tylko zamienić kilka słów z Arystotelesem Draconisem - powiedział Mallory.

- Tak, wiem, wszyscy tak mówicie. A potem w prasie ukazuje się wywiad, w którym wszystko jest poprzekręcane. I kto za to ponosi winę? Oczywiście my!

- Kim jesteś?

- Jestem jednym z tych, którzy opłacili mu podróż i tournée - odparło stworzenie.

- A nazywacie się jakoś? - detektyw natychmiast zadał kolejne pytanie.

- Zwą nas Smoczymi Piórami!

- Jak rozumiem, wasz klub przyjmuje tylko smoki, które trudnią się pisaniem?

- Należę do cechu, nie do klubu. A Draconis jest naszym duchowym przywódcą.

- Czy to znaczy, że wszyscy jesteście poetami?

- Ależ skąd - obruszył się smok. - Wśród nas są też pisarze science fiction, westernów, jest nawet dwóch autorów thrillerów szpiegowskich. No i trzydziestu siedmiu piszących

romanse. - Zmarszczył nozdrza. - Ale smoki się dzisiaj nie sprzedają. Chciałbym zrozumieć, jakim cudem te wszystkie badziewia o wampirach robią taką kasę.

- A ty co pisujesz?

- Ja? Jestem specem od twardych kryminałów o prywatnych detektywach. Słyszałeś kiedyś o Skrzydlatym O'Bannonie? To mój bohater.

- Obawiam się, że nie.

- Cholera! - zaklął smok. - I jak tu zostać najlepszym pisarzem świata, skoro moja ostatnia książka rozeszła się w nakładzie sześciuset pięćdziesięciu czterech egzemplarzy, z czego połowę wykupiła rodzina i znajomi.

- Dlaczego nie siedzisz teraz nad kolejną książką? - zapytał Mallory.

- Z czegoś muszę żyć - odparł smok. - Pisanie to nawet dobry interes, ale mój wydawca zalega mi z honorariumami od trzech lat, a mówimy tutaj o jednym z najuczciwszych w branży... - zamilkł na moment. - Chyba odeszliśmy od tematu naszej rozmowy. Powiesz mi, kim jesteś i czego tu szukasz, zanim powyrywam ci wszystkie kończyny, jedną po drugiej, a resztkami twojego kociaka wytapetuję ściany tego pomieszczenia?

Mallory wyjął z kieszeni licencję detektywa.

- Nazywam się John Justin Mallory i muszę zamienić kilka słów z Draconisem.

Smok uważnie obejrzał dokument.

- To prawdziwa licencja? - zapytał podekscytowany. - Na pewno nie kupiłeś jej w jakimś sklepie z tysiącem i jeden drobiazgów?

- Najprawdziwsza.

- O mój Boże, mam przed sobą prawdziwego łapsa! - wydarł się smok. - Nigdy wcześniej nie spotkałem żadnego detektywa. Musimy porozmawiać! W pokoju obok mam rękopis mojej nowej powieści. To znaczy pierwsze osiemset stron, a daleko jeszcze do połowy. Mógłbyś rzucić na to okiem i powiedzieć parę patentów?

- Nie jestem pisarzem.

- Pisarzy to ja znam na kopy - rzucił pogardliwie smok. - Każdy idiota, a nawet jego brat, może być pisarzem. Ja chcę porozmawiać z prawdziwym detektywem. - Rozcapierzył kły przed twarzą Mallory'ego. - Łuskowaty Jim Chandler, do usług.

- Łuskowaty Jim Chandler? - powtórzył detektyw, ujmując jego dłoń i starając się nie krzywić, gdy ostre pazury wbiły mu się w skórę.

- Taki mam pseudonim literacki - wyjaśnił smok przepaszającym tonem. - Właściwie nazywam się Nathan Botts. Ale kto kiedy słyszał o ostro pijącym, uganającym się za babami twardzielu od pióra, który nazywałby się Nathan Botts?

- Cóż mogę powiedzieć, Nathanie...

- Wolę, jak mówią na mnie Łuskowaty Jim - poprawił go smok.

- Cóż mogę powiedzieć, Łuskowaty Jimie - powtórzył Mallory. - Z przyjemnością przejrzałbym twój rękopis, ale prowadzę właśnie bardzo ważną sprawę, w której Arystoteles Draconis jest kluczową postacią.

- Sprawę? - Oczywiście smoka załśniły znajomo. - Chodzi o... morderstwo?

- Tak.

- A niech mnie, jakie to musi być ekscytujące!

- Ofiara chyba nie przyznałaby ci racji.

- Panie Mallory... - zaczął Nathan.

- Możesz mi mówić po imieniu.

- Tak, racja, rozumiem, żaden łaps nie lubi, kiedy mu „panują”. Posłuchaj, Johnie Justinie, rozwiązywałem już najróżniejsze zbrodnie i występki, ale szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w prawdziwej akcji... - przerwał na moment, poruszył się nerwowo i wbił oczy w podłogę. - I właśnie wpadło mi do głowy... to znaczy pomyślałem, że moglibyśmy... ty i ja...

- Współpracować? - Mallory zakończył jego męki.

- Tak.

- Jeśli po przesłuchaniu Draconisa nadal będę musiał prowadzić dochodzenie, możemy spróbować - odparł Mallory.

- W sumie każda pomoc może mi się przydać.

- Wspaniale! - wydarł się rozentuzjasmowany smok. - Wydawało mi się, że prywatni detektywi zawsze działają w pojedynkę.

-Ja, drogi przyjacielu, należę do detektywów, którzy uwielbiają pozostawać przy życiu po rozwiązaniu sprawy, dlatego nie odmawiam, kiedy ktoś chce mi pomóc.

- Daj spokój. - Smok trącił go łokciem. - Zaraz mi powiesz, że masz seksowną sekretarkę nimfomankę imieniem Velma.

- Nie mam.

Nathan spochmurniał w jednej chwili.

- Cóż, to by znaczyło, że muszę wywalić z mojego rękopisu przynajmniej trzysta stron radosnego seksu i przemocy - powiedział, nie kryjąc zawodu. -Wydawało mi się, że wy, chłopcy, jesteście bardziej zaradni.

- Tylko w powieściach.

Smok westchnął.

- Jak wiele jeszcze muszę się nauczyć...

- A im prędzej zobaczą się z Draconisem, tym szybciej zaczniesz naukę - przypomniał mu Mallory.

Nathan odsunął się na bok i wskazał na drzwi w głębi mrocznego pomieszczenia.

- Jest tam, Johnie Justynie.

- Dzięki, Jim.

- Luskowaty Jim...

- A może wystarczy sam Jim, skoro zostaliśmy przyjaciółmi?

- Przyjaciółmi? - Paskudny pysk smoka wyjaśniał w jednej sekundzie. - Wiesz, moja dziewczyna mówi na mnie Pieszczochoch.

- Zostańmy lepiej przy Jimie - poprosił Mallory. - Mówienie sobie po imieniu brzmi bardziej zawodowo.

- Jasne, przecież jesteśmy kolegami po fachu.

- Będziemy, jak tylko porozmawiam z Draconisem.

- Mam go trzymać, kiedy będziesz wymuszał na nim zeznania? - zapytał Nathan. - Mogę mu też trochę przyłożyć, jak już się zmęczysz torturami.

- To nie będzie konieczne.

- W takim razie zostanę tutaj.

Mallory odwrócił się do Feliny. Dziewczyna-kot zwinęła się w kłębek na podłodze i przyjaźnie pomrukiwała przez sen.

- Jak się obudzi, powiesz jej, że zaraz wrócę - poprosił Mallory. - A jeśli usłyszysz z tamtego pomieszczenia huk przewracanych mebli albo upadającego ciała, natychmiast wkraczacie do akcji. Oboje!

- Rozumie się, partnerze.

Mallory otworzył drzwi i wszedł do niewielkiej garderoby. Arystoteles Draconis siedział przy stole i przeglądał wieczorne wydania gazet. Jedwabną chusteczką ocierał z czoła

krople potu. Nad stołem wisiało lustro, próżno by w nim szukać odbicia wampira, za to stojącego za nim Mallory'ego widać było jak na dłoni. Draconis odwrócił się powoli.

- Widziałem pana na widowni - powiedział. - Był pan jedynym, który nie spuścił wzroku. Spodobało mi się to... - przerwał na moment. - Powinien pan jednak wiedzieć, że daję autografy tylko osobom wcześniej umówionym.

- Bardziej mnie interesuje, kiedy robi pan malinki na szyjach innych osób - odparł Mallory, pokazując licencję.

- Słucham?

- Jest pan wampirem.

- Nie zaprzeczam - przyznał Draconis. - Ale bycie wampirem jest póki co zgodne z tutejszym prawem.

- Owszem - przyznał detektyw. - Chociaż nie można tego samego powiedzieć o zabójstwie.

- Ja nikogo nie zabiłem.

- O tym właśnie musimy porozmawiać - stwierdził Mallory. - Przybył pan tutaj liniowcem.

- Zgadza się, na pokładzie „Konającego Manata” prosto z Liverpoolu - potwierdził Draconis.

- Tym samym statkiem podróżował także pewien młodzieniec - kontynuował detektyw. - Nazywał się Rupert Newton.

- Ach tak, młody Newton. Bardzo ujmujący młody człowiek. Spędziłem wiele godzin w jego towarzystwie, grając w kanastę i remika.

- Był bardzo ujmującym młodzieńcem, kiedy wkraczał na pokład - przerwał mu Mallory. - Ale po drodze zmienił się i zszedł po trapie jako nie mniej ujmujący początkujący wampir.

Draconis pokiwał wolno głową.

- Tak, wiem. To strasznie smutna historia. Zakładam, że zna pan Ruperta?

- Był bratankiem mojej współpracownicy.

- Proszę przekazać mu moje kondolencje.

- Mogę mieć z tym pewne trudności - przyznał Mallory. - Chłopak leży teraz w kostnicy.

- I uważa pan, że to ja...?

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć - powiedział detektyw. - Ukąsił go pan na pokładzie statku. Chłopak umierał ze strachu na myśl, że może go pan ścigać także po mieście. A teraz nie żyje.

- Widzi pan tę sprawę w złym świetle, panie Mallory - oświadczył Draconis.

- Proszę mnie zatem oświecić.

- Ja nie ukąsiłem tego chłopaka.

- Widział pana, gdy opuszczał pan jego kabinę zaraz po pierwszym ukąszeniu.

- To prawda, choć niecała - przyznał Draconis. - Ja chciałem zapobiec temu ukąszeniu. Tyle że się spóźniłem. Chłopak musiał mnie zobaczyć, kiedy ruszałem w pościg za potworem, sprawcą tej zbrodni.

- Może mi pan podać więcej szczegółów dotyczących tego zdarzenia? - poprosił detektyw.

- Jestem poetą. Całe życie nim byłem. Jak wielu innych, dostałem inicjacji Legionu Nieumarłych, ale wbrew wszystkiemu odmówiłem akceptacji przywilejów, jakie dawały mi nowe zdolności. Celem mojego życia było sławienie ludzi słowem, nie ich krzywdzenie. Nigdy, nawet raz, nie ukąsiłem innej żywej istoty.

- Czym więc pan się odżywia?

Draconis podszedł do niewielkiej przenośnej lodówki i otworzył ją na oścież.

- Widzi pan te półgalonowe pojemniczki, panie Mallory? Każdy z nich wypełniony jest krwią. To moje prywatne zapasy. Zawsze zabieram je ze sobą. Nigdy nie wyruszam w podróż, nie mając ich pod ręką.

- Co to za krew?

Draconis uśmiechnął się.

- Pochodzi z mojej hodowli bydła - odparł. - Trzymam te krowy nie dla mleka czy mięsa, ale właśnie dla krwi. Podobnie zresztą jak czynią to Masajowie w Afryce.

- Wydawało mi się, że musi pan pić ludzką krew - powiedział Mallory.

- Ludzka krew posiada więcej wartości odżywczych, ale proszę mi wierzyć, nie jest niezastąpiona. W końcu moja rasa wzięła swoją nazwę od nietoperzy żyjących w Ameryce Południowej, a czym one się żywią?

- Krwią zwierząt - domyślił się detektyw.

- Zgadza się.

- Dlaczego więc inne wampiry nie robią tego co pan?

- Wielu z nich traci zasady moralne, gdy zostaną ukąszeni - odparł Draconis. - Inni nie potrafią się przeciwstawić nieustannemu głodowi, a jak już panu wspomniałem, krew, którą pijam, nie jest tak odżywcza jak ta, która płynie w pańskich żyłach. Dla innych z kolei to niezbyt praktyczne rozwiązanie. Gdzie pan znajdzie dzisiaj stado niepilnowanego bydła na Manhattanie?

- Rozumiem.

- Zatem przyjmuje pan moje wyjaśnienia?

- Chwilowo - powiedział Mallory. - Ale kto ukąsił chłopaka, skoro pan tego nie zrobił?

- Wydaje mi się, że pan nie uwierzy, jeśli powiem - odparł Draconis.

- Całkiem możliwe - przyznał Mallory. - Ale proszę spróbować i pozwolić mnie samemu osądzić, czy to aż tak niewiarygodne.

- Został ukąszony przez najgorszą kreaturę mojej rasy, prastarego wampira z Transylwanii.

- Który nazywa się...

- Wład Drabula.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Proszę mi uwierzyć na słowo, panie Mallory, nie chce go pan znaleźć - powiedział szczerze Draconis. - Rupert Newton i tak już nie żyje. Dlaczego chce pan do niego dołączyć?

- Pan chciał się przeciwstawić temu Drabuli, więc ja też mogę.

- Ale ja już jestem martwy - wyjaśnił wampir. - Co jeszcze mógłby mi zrobić?

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć - powtórzył detektyw.

- Nie potrafię podać panu dokładnego adresu - odparł Draconis. - Wład podróżuje z własną trumną. Ale istnieją takie domy pogrzebowe, bardzo wyspecjalizowane placówki, które wynajmują wędrownym wampirom miejsca na noclegi. Pańską jedyną szansą jest odnalezienie takiego zakładu, a jedyną nadzieją, że nigdy pan na niego nie trafi.

- Dziękuję - powiedział Mallory, podchodząc do drzwi. - Jeśli powiedział mi pan prawdę, już nigdy się nie spotkamy. Jeśli mnie pan okłamał, wkrótce dowie się pan, ile cierpienia można zadać nieumarłemu.

- Bardzo uczciwa propozycja - odparł wampir, a gdy Mallory sięgnął do klamki, dorzucił jeszcze: -A co pan sądzi o mojej poezji?

- Wydaje mi się, że H. P. Lovecraft byłby nią zachwycony - rzucił detektyw. I może jeszcze z siedem innych osób, dodał w myślach.

Draconis uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Dziękuję panu, panie Mallory. Poprawił mi pan humor. Mam więc nadzieję, że moje wskazówki nie popsują w efekcie pańskiego.

Detektyw wyszedł do przedsionka garderoby.

- Nadal prowadzimy tę sprawę? - zapytał smok nazwiskiem Nathan Botts.

- Tak - potwierdził Mallory. - Słuchaj, chciałbym, żebyś pokręcił się po okolicy i miał oko na Draconisa...

- Pieprzyć go - syknął Nathan. - Facet jest pięćdziesiąt razy silniejszy ode mnie i ma cholernie wielkie kły. Idę z wami.

Mallory popchnął lekko Felinę czubkiem buta.

- Wstawaj.

- Wcale nie spałam - odparła, podrywając się na nogi.

- A co robiłaś?

- Pozwalałam odpocząć oczom - wyjaśniła. - No i ręką, i nogą, i plecami, i uszami, i...

- Daj już spokój tej wyliczance - poprosił detektyw, prowadząc oboje na korytarz, gdzie czekał na nich podenerwowany McGuire.

- Kijaszku, przywitaj się z panem Łuskowatym Jimem Chandlerem - powiedział Mallory. - Jim właśnie dołączył do naszego zespołu.

- Cześć - przywitał go mały wampir.

- Dobry wieczór - odparł smok, który wyglądał na mocno zakłopotanego. - To znaczy siemka, koleś!
- Kijaszek, gdzie ty właściwie sypiasz? - zapytał Mallory.
- W zasadzie to w łóżku - odparł McGuire.
- Wydawało mi się, że wy, wampiry, musicie jednak spać w ojczyściej ziemi.
- Manhattan jest moją ojczyzną - wyjaśnił Kijaszek.
- A ziemia?
- Po prostu nie zmieniam pościeli - dodał mały wampir, lekko się czerwieniąc. - I jakoś się udaje.
- Dobra, ale gdybyś podróżował z własną trumną, gdzie byś ją zaparkował na dzień?
- Dlaczego sam nie zapytałeś Draconisa, gdzie sypia?
- Bo nie jego teraz szukamy - wyjaśnił Mallory. - Musimy odnaleźć wampira, który zostawił trumnę w domu pogrzebowym świadczącym usługi najmu dla wędrownych wampirów. Który z nich mógłbyś polecić?
- A, o to ci chodzi! - zawołał McGuire i paskudna twarz natychmiast mu pojaśniała. - Znam takie miejsce - rzucił i ruszył żwawo w stronę wyjścia z Madison Round Garden. - Za mną!

Rozdział trzynasty

23.43 - północ

Daleko jeszcze? - zapytał Mallory, gdy Kijaszek wiódł ich dziwaczny zespół wzdłuż Madison Avenue.

- Niedaleko - odparł mały wampir. - Zaraz za skrzyżowaniem Śmierci i Rozpaczy.

- Są tutaj takie ulice? - zdziwił się detektyw, robiąc niewyraźną minę. - Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem.

- Może dlatego, że w dzień noszą inne nazwy - wyjaśnił McGuire.

Nagle Felina zatrzymała się i zaczęła węszyć.

- O co chodzi? - zapytał Mallory.

- Coś umiera w tej alejce - oświadczyła. - Coś małego, tłuściutkiego i smaczniejszego.

- Daj spokój - poprosił detektyw. - Mamy ważniejszą sprawę na głowie.

- Jeden z nich może chronić twojego przodka, a drugi tyłka - powiedziała dziewczyna-kot.

- Nie mamy czasu do stracenia - odparł Mallory. - Albo idziesz z nami, albo zostajesz sama, wybór należy do ciebie.

- Zaraz do was dołączę - zbyła go Felina.

- Przecież nie wiesz nawet, dokąd idziemy?

- Znajdę was po zapachu - wyjaśniła i wskazała na smoka. - Ten cudak strasznie cuchnie. Na pewno nie zgubię jego tropu.

- Przepraszam, ale nie wiem, czy mam jej podziękować za komplement, czy raczej się obrazić - powiedział Nathan, kierując te słowa do detektywa.

- Powiem ci tak: niech to pozostanie kolejną nierozwiązaną zagadką życia - odparł Mallory. - No, Kijaszek, zbierajmy się stąd!

- Nie ma sprawy - powiedział McGuire.

Przeszli całą przecznicę w milczeniu, skręcili w prawo, i znowu, a potem po raz trzeci w tę samą stronę.

- Wiesz co, kolego, za chwilę wrócimy do tego miejsca, z którego przed chwilą wyruszyliśmy - powiedział Mallory.

- Na pewno nie w nocy - zapewnił go mały wampir i po raz czwarty skręcił w prawo.

Mallory rozejrzał się po ulicy, robiąc wielkie oczy.

- Co, u licha, stało się z Madison Avenue?

- Stoimy na skrzyżowaniu Śmierci i Zniszczenia - wyjaśnił McGuire. - Rozpaczy to następna przecznica w tym kierunku.

Ruszyli w stronę ulicy Rozpaczy. Tylko jeden budynek na niej był oświetlony, ten, który znajdował się na samym rogu. Migający i brzęczący głośno neon, który aż się prosił o solidną naprawę, wyjaśnił im, że stanęli przed „Całnocnym, tanim domem pogrzebowym Konrada Koszmara”.

- I to tutaj nocują wszystkie przyjezdne wampiry? - zapytał Mallory.

- Ależ skąd - obruszył się McGuire. - Nas na samym Manhattanie są tysiące. Ten dom pogrzebowy jest po prostu najchętniej odwiedzanym miejscem tego typu.

- Niby dlaczego?

Wampir uśmiechnął się blado.

- Bo nie potrafię sobie przypomnieć innego - odparł.

- Dobra, skoro już tu jesteśmy - powiedział Mallory - wpadnijmy do środka i zobaczmy, co nam mogą zaoferować.

- Nie powinniśmy najpierw sprawdzić okolicy? -zapytał smok.

- Szukamy wampira - wyjaśnił mu detektyw -a jedynym sposobem na jego odnalezienie jest sprawdzenie, czy nie ma go w którejś z trumien. Zgadza się?

- Tak - odparł Nathan.

- Widzisz tutaj, na zewnątrz, jakieś trumny?

- Nie - przyznał smok. - Ty masz łeb, Mallory.

-I Bogu niech będą za to dzięki - mruknął detektyw. -
Wchodzimy.

Przekroczyli progi domu pogrzebowego i znaleźli się w pomieszczeniu oświetlonym kilkoma setkami świec. Chorobliwie otyły mężczyzna w smokingu -za ciasnym przynajmniej o cztery rozmiary - wyszedł im na powitanie, składając ręce na wysokości klatki piersiowej. Mallory ocenił szybko, że człowiek ten nie mógłby ich złożyć na swoim brzuchu, gdyby nawet bardzo tego chciał.

- Dobry wieczór, moi przyjaciele - powiedział grubas. - Dom pogrzebowy Konrada Koszmara łączy się z wami w potrzebie i bólu. - Przyjrzał im się uważniej. - Przepraszam, ale gdzie są szanowne zwłoki?

- Nie zdecydowaliśmy się jeszcze w sprawie wyboru miejsca pochówku - skłamał Mallory. - Na razie szukamy potencjalnych kontrahentów.

Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem.

- Oczywiście - powiedział. - Jaką ceremonię chcieliby panowie wyprawić?

- Co do tego także nie mamy jeszcze pewności -odparł detektyw. - A jakie ceremonie macie w ofercie?

- Wszystkie, jakich zażyczą sobie klienci - wyjaśnił grubas.

- Czy pan przypadkiem nie jest właścicielem tego przybytku?

- Niestety nie, mój drogi panie. Pan Konrad Koszmar odszedł z tego łez padołu, aczkolwiek wpada czasem we wtorki na partyjkę scrabble'a.

Nagle ciszę nocy rozdarły echa wielu wystrzałów i miazdzonej blachy.

- Wybaczą mi panowie - przeprosił ich grubas -ale wy-daje mi się, że za moment będę musiał poprowadzić jedną z naszych najkrótszych ceremonii pogrzebowych. Możecie iść ze mną, jeśli macie ochotę.

Odwrócił się na pięcie i potoczył w głąb mrocznego kory-tarza, a Mallory i jego kompani podążyli w ślad za nim. Chwilę później dotarli do wielkiego, panoramicznego okna, za którym dosłownie po sekundzie ujrzeli wpadający w poślizg, podziurawiony kulami samochód.

- Witajcie, przyjaciele - powiedział grubas do mikrofonu i nacisnął przycisk zamykający bramy przed i za samochodem.
- Zapraszamy do skorzystania z naszego okienka nocnego dla zmotoryzowanych. Życzycie sobie panowie trzyminutową ce-remonię pogrzebową ze wszystkimi dodatkami?

W dali rozległo się wycie syren policyjnych.

- Nie mamy czasu - zawołał kierowca, w chwili gdy Mal-lory dostrzegł na tylnym siedzeniu wozu zmasakrowane ku-lami ciało. - Zabierajcie go.

Grubas nacisnął inny przycisk i ze ściany wysunęła się wielka szuflada, miała sześć stóp długości, trzy szerokości i była głęboka na dwie stopy. Kierowca i drugi z pasażerów opuścili szybko okno i wypchnęli na zewnątrz zwłoki zastrze-lonego gangstera.

- Nasza jednodominutowa ceremonia kosztuje dwieście dolarów - oznajmił grubas.

O karoserię samochodu zabębniły kolejne kule.

- Może jednak rozsądniejsza będzie dziesięciosekundo-wa za pięć dych - dodał przedsiębiorca pogrzebowy.

Kierowca rzucił kilka banknotów na zwłoki.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie, oto nadchodzi następny klient! - zaintonował grubas, naciskając jednocześnie guzik

otwierający wrota, aby samochód mógł odjechać z piskiem opon, i drugi, zamykający szufladę.

Chwilę później pod oknem przemknął pierwszy wóz policyjnego pościgu.

- Jakoś nie potrafię się przyzwyczaić do tych pogrzebów dla zmotoryzowanych - powiedział grubas, obserwując gromadę elfów i gnomów, które sprawnie usuwały ciało. - Ale bez tego nie da się już prowadzić nowoczesnego biznesu w naszej branży.

- Jak widać na załączonym obrazku - przyznał McGuire.

- A teraz, drodzy przyjaciele, opowiedzcie mi o waszym zmarłym krewniaku, abym mógł zaproponować wam odpowiednią linię trumien i usług.

- Możemy z tym mieć mały problem - przyznał Mallory.

- Proszę się niczym nie kłopotać, szanowny panie - uspokoił go grubas. - Żaden sąd w tym kraju nie skaże pana za coś takiego.

- Cieszy mnie to - odparł detektyw - ale mój problem polega na tym, że rzezony nieboszczyk jeszcze nie umarł.

- Zamierza pan dokonać tej okropnej zbrodni jeszcze tej nocy? - zapytał przedsiębiorca. - W pełni pana rozumiem. Bez obawy, szanowny panie. Będę milczał jak przysłowiowy grób.

- Proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków z moich słów - poprosił detektyw. - Mój przyjaciel jest jednym z nieumarłych.

- Rozumiem - stwierdził otyły grabarz, mierząc uważnym wzrokiem McGuire'a. - Może uda nam się zaoszczędzić trochę na kosztach, jeśli wykorzystamy dziecięcą trumienkę.

- Nie o niego mi chodzi - sprostował Mallory. - Przyjaciela, o którym mowa, nie ma tu z nami teraz, ale przed świtem musi znaleźć jakieś miejsce do snu.

- Chodzi o dłuższy pobyt czy jednorazową usługę?
- Raczej o długoterminową umowę - odparł detektyw, a grubas nieświadomie oblizał wargi. - Ale chciałbym się najpierw upewnić co do komfortu, jaki oferujecie.
- Z przyjemnością oprowadzę pana po zakładzie.
- Tak, zwiedzenie tego miejsca jest z pewnością dobrym pomysłem - rzekł Mallory - ale najpierw chciałbym pana o coś zapytać.
- Rozumiem - powiedział grubas. - Przyjmujemy zapłatę w dolarach, funtach, frankach, jenach, rublach, drachmach, złotych, rupiach, złocie, srebrze, brylantach, platynie, obligacjach, akceptujemy także transakcje wszystkimi powszechnymi kartami kredytowymi.
- Świetnie - stwierdził Mallory - ale ja zamierzałem zapytać o coś innego.
- A o co?
- Mój przyjaciel przybywa z Transylwanii...
- Ach - zawołał grubas, zacierając pulchne rączki. - Ze starego kraju!
- A jego trumna wciąż nie dojechała.
- Jak już wspomniałem, mamy pełen wybór trumien. Drewniane, metalowe, nawet ze styropianu, dla tych, którzy budzą się czasem w samym środku bezkresnego snu i odczuwają nagłą potrzebę natychmiastowego wydostania się z ciemnego wnętrza. Wie pan, klaustrofobia...
- Wydaje mi się, że pan wciąż nie dostrzega, w czym tkwi problem - przerwał mu Mallory. - Ziemia z jego ojczyzny też jeszcze nie dojechała. Ma pan u siebie trochę transylwańskiej gleby? Przyjaciel twierdzi, że wystarczy mu pożyczanie kilku łopatek. Dosypie jej do naszej, amerykańskiej, i jakoś dociągnie na mieszance do chwili dostarczenia je-

go własnej trumny. Może nie zaśnie w pokoju, ale chociaż będzie miał gdzie przyłożyć głowę.

- Rozumiem - powiedział grubas, robiąc zafrasowaną minę. - Sprawdzę w księgach.

- Macie tu u siebie aż tak wiele wampirów?

- W sumie ponad setkę, proszę szanownego pana - wyjaśnił grubas. - Proszę o chwilę cierpliwości, już idę do biura i sprawdzę, czym dysponujemy.

Odwrócił się i wyszedł, a McGuire natychmiast szepnął detektywowi na ucho:

- Nie można mieszać ziemi ojczystej z jakąś inną. Draconis za diabła nie zaśnie w czymś takim.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - mruknął Mallory.

- Nie miałem o tym pojęcia, ale co najważniejsze, ten grubas także o tym nie wiedział, więc bez problemu uzyskamy odpowiedź.

Nathan wyjął z kieszeni uprząży notes i zaczął w nim szybko gryzmolić.

- A ty co tam robisz? - zainteresował się mały wampir.

- Notuję sobie, w jaki sposób prawdziwy zawodowiec ogłupia przeciwnika - odparł smok.

- Ale ten człowiek nie jest naszym przeciwnikiem - zaprotestował Mallory.

- Ach tak, ty zapewne określiłbyś go mianem osoby postronnej.

- Dlaczego nie? - przyznał detektyw. - Przecież jest osobą postronną.

- W takim razie dlaczego nie chciał nam podać swojego prawdziwego nazwiska? - zapytał smok.

- Jeśli chcesz poznać czyjeś nazwisko, wystarczy o to zapytać - odparł Mallory.

- Ty byś tak zrobił? - zapytał Nathan.

- A jak inaczej chciałbyś się tego dowiedzieć?

- Sam nie wiem. - Smok zaczął się zastanawiać: -Może podwędziłbym mu portfel z dokumentami albo spisał tablice rejestracyjne i zadzwonił do kwatery głównej.

- Najlepsze są najprostsze metody - oświecił go detektyw.

- Pozwól, że to sobie zanotuję - powiedział Nathan. - Najprostsze metody... najlepsze. Mam.

Grubas tymczasem zdążył wrócić.

- Wydaje mi się, że będziemy w stanie panu pomóc - oznajmił. - W chwili obecnej oferujemy schronienie dwóm osobom ze starego kraju.

- Czy zna pan ich nazwiska?

- Oczywiście, ale przepisy zabraniają mi wyjawiania ich komukolwiek.

Nathan znów zaczął coś gryzmolić w swoim notesie, potem wydarł kartkę i podał ją Mallory'emu.

Ten przeczytał: „Chcesz, żebym dziabnął tego tłuściocha, jak tylko odwróci się do mnie plecami, żebyśmy mogli sami sprawdzić jego rejestry?”

Detektyw zmiął kartkę i schował ją do kieszeni.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy któryś z nich nie jest starym znajomym mojego przyjaciela - powiedział. - Może tym chętniej wybierze waszą placówkę, jeśli okaże się, że jest tu ktoś, kogo zna osobiście.

- Rozumiem - odparł grubas, uśmiechając się znacząco. - Nie mogę złamać naszych przepisów, ale jeśli to panu w czymś pomoże, powiem, że obaj są szelmami co niemiara i wesołkami, którzy z największą ochotą przyjmą do kompanii krajana.

- Nie omieszkać mu tego przekazać - odparł Mallory. - Dziękuję panu. Był pan naprawdę pomocny. Myślę, że skontaktujemy się z panem, i to już niebawem.

Uściskał pulchną dłoń przedsiębiorcy pogrzebowego i opuścił jego zakład, wychodząc w mrok nocy razem z Nathanelem i McGuire'em.

- Świetnie - odezwał się detektyw, gdy stanęli na chodniku. Teraz przynajmniej wiemy już, gdzie Wład Drabula nie trzyma swojej trumny. - W tym momencie odwrócił się do Nathana. - Naprawdę chciałeś zabić tego człowieka, żeby przeszukać jego biuro?

- Mój O'Bannon tak by zrobił - odparł smok nieśmiało.

- Może właśnie dlatego twoja ostatnia książka rozeszła się w nakładzie sześciuset egzemplarzy.

- Sześciuset pięćdziesięciu czterech - poprawił go smok.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - powiedział Mallory. - Ile razy Skrzydlaty O'Bannon zostaje postrzelony albo dostaje po głowie w każdej z twoich powieści?

- Przynajmniej raz na rozdział.

- Facet musi mieć cholernie twarde łeb - mruknął detektyw.

- Posiada nadludzkie zdolności regeneracyjne - wyjaśnił Nathan.

- Oczywiście.

- Wszystkie cyncate blondynki wskazują mu do łóżka, le-dwie o tym wspomni - dodał smok.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Twoje kobiety też tak robią?

- Moje kobiety? - zapytał Mallory.

- Czy są ci niewolniczo oddane?

- Trudno powiedzieć - mruknął detektyw. - Jedna z nich wypuściła się właśnie ze swoimi trollami na safari po Central Parku, a druga zabija jakieś bezbronne małe stworzonko nie dalej niż przecnicę stąd.

- Nieprawda - powiedziała Felina.

Detektyw rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie zauważył dziewczyny-kota.

- Patrz w górę - dodała ze szczytu latarni, na której przypnęła.

- Mam nadzieję, że kolacja ci smakowała? - zapytał nie bez ironii Mallory.

Felina zmarszczyła nos.

- Najpierw błagała mnie o litość i płakała, a jak już ją zjadłam, to zaczęła mi złorzeczyć ile wlezie... - przerwała na moment. - Nie cierpię, kiedy jedzenie tak robi.

- Ja postąpiłbym tak samo.

- Kląbyś czy raczej nie cierpiał? - zapytała wyraźnie zaciekawiona.

- Po trochu jednego i drugiego. Złaż na dół.

- Kiedy, tutaj mi się podoba.

- Mimo to złaż. Zbliża się czas spotkania z Winnifredą.

- Widzę stąd ulicę aż do następnej przecznicy. - Felina spojrzała w dół, na detektywa. - Nie spodobałoby ci się na latarni, Johnie Justinie.

- Dlaczego, przecież nie boję się wysokości.

- Wiem - powiedziała. - Ale bałbyś się tego, co idzie ulicą w naszym kierunku.

Rozdział czternasty

północ - 00.26

Domyślam się, że nie powiesz mi, co widzisz? -zapytał Mallory.

Z dała dobiegł ogłuszający ryk.

- Już nie musisz nic mówić - dodał detektyw.

- Co to było, u licha? - zaniepokoił się McGuire. - Coś wielkiego - odparł Nathan, mocniej ściskając dzidę. - Ale cokolwiek to jest, jestem gotów do walki!

Mallory spojrzał w głąb ulicy.

- Nie sądzę - powiedział.

Wampir i smok odwrócili głowy w tę samą stronę. - Mój Boże! - wrzasnął Nathan, gdy ogromny mięsożerny dinozaur znalazł się w polu jego widzenia. - On jest o wiele większy od tyranozaura!

- Czy... czy one przypadkiem nie wyginęły? - zapytał nerwowo McGuire, kryjąc się za Mallorym i łypiąc jednym okiem zza jego biodra.

- Grundy, do jasnej cholery - powiedział detektyw. - Natychmiast odwołaj tę bestię.

- Dlaczego mówisz normalnym głosem? - zapytał mały wampir. - Nie powinienesz wydzierać się wniebogłosy, żeby zwrócić na siebie uwagę Grundy'ego?

- On mnie słyszy - uspokoił go Mallory. - A jeśli krzyknę teraz, to od razu będziecie wiedzieli, czyją uwagę mogę na siebie zwrócić.

- Lepiej szepcz - wysyczał mały wampir.

- Odłóż tę dzidę, Nathanie - poprosił detektyw.

- Jestem Łuskowaty Jim, do cholery!

- Przepraszam. Jim, odłóż tę dzidę, proszę. Nie zabijesz go czymś takim.

- To całkiem sprawna dzida, a ja w ogólniaku zająłem drugie miejsce w rzucie oszczepem.

- Uwierz mi, nic ci to nie da - przekonywał dalej Mallory.

- On jest już martwy.

- Jak dla mnie wygląda cholernie żywo.

- To dinozaur z Muzeum Historii Naturalnej - wyjaśnił detektyw. - I nie żyje, chociaż jeszcze o tym nie wie. - Spojrzał na zbliżającą się bestię. - To się zdarza każdej nocy. Te zwierzaki zostały tak doskonale spreparowane, że nie zauważają różnicy i myślą, że nadal żyją. Jak tylko muzeum jest zamykane i światła gasną, wszystkie wyskakują z dioram, aby rozprostować kości.

- Czy to robota Grundy'ego?

- Nie - zaprzeczył Mallory i w końcu podniósł głos: - Ale on może zatrzymać czas i sprawić, że to cholerstwo przestanie się ruszać!

- Jeśli on zatrzyma czas, to my chyba też przestaniemy się ruszać - zauważył Nathan.



- Grundy może zatrzymywać czas selektywnie.
- A niby dlaczego miałyby to robić - zakwilił Mc-Guire. - Z tego, co słyszałem, jesteś jego największym wrogiem.

- I lada minuta stanę się jego największym martwym wrogiem! - dodał Mallory. - Do dzieła, Grundy. Wydawało mi się, że doszliśmy do porozumienia!

Dinozaur dostrzegł w końcu całą czwórkę i zmienił kierunek marszu, aby się do niej zbliżyć.

- T. rex! Akurat... - powiedział Nathan z podziwem w głosie. - Już raczej U. rex, jeśli nie W. rex.

- I to taki, który nie jadł od sześćdziesięciu pięciu milionów lat - dodał McGuire. - Wygląda na strasznie wychudzonego.

- Przygotujcie się do walki, niech zapłaci najwyższą cenę za nasze życie - powiedział Nathan, potrząsając dzidą.

- Odłóż to! - poprosił Mallory. - Tylko go drażnisz.

- Rozdrażniony czy głodny, co za różnica? - zachnął się mały wampir. - Niech ktoś coś z nim zrobi!

Dinozaur otworzył paszczę i ponownie zaryczał.

- Czuję jego oddech nawet z tej odległości - poinformowała ich Felina z latarni. - Z pewnością nie mył ząbków po każdym posiłku - dodała wyjaśniającym tonem.

- Za dwadzieścia sekund i my pocujemy ten smrodek - pieklił się McGuire. - Mallory, zróbże coś wreszcie!

- Dlaczego nie zamienisz się w nietoperza i po prostu nie odleciez? - zapytał detektyw. - A co z tobą, Jimie Łuskowaty? Masz przecież skrzydła.

- Ale tylko takie na pokaz. Wabię na nie łatwe panienki - odparł Nathan. - Nie umiem latać. Nic a nic.

- Ja umiem, ale za cholere nie potrafię dokonać przemiany, kiedy jestem taki zestrachany - dodał szybko mały wampir.

- Jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji, to się rozdzielić - zasugerował Mallory. - Przynajmniej będzie musiał wybierać, jeśli będzie chciał nas dopaść. Dzięki temu jeden albo dwóch z nas zdoła dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Zrobili, jak radził. Dinozaur znieruchomiał i przyglądał im się przez moment, a potem podjął wędrówkę w ich kierunku. Szybko stało się jasne, że obrał sobie za cel Mallory'ego. Bestia znajdowała się już zaledwie dwa kroki od detektywa, właśnie otworzyła paszczę i John mógł spojrzeć prosto w bezdenną studnię jej przełyku.

- Jak ja nienawidzę używania magii! - mruknął Mallory, szykując się na nieuchronne połknięcie w całości.

- Naprawdę? - usłyszał znajomy głos i nagle wielki dinozaur zamarł. Jego ociekające cuchnącą śliną szczęki zawisły niespełna cztery stopy od głowy detektywa.

- Niech mi pan tylko nie mówi, że musiał pan wyjść na chwilę za potrzebą - zachnął się Mallory.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru, Johnie Justinie Mallory - odparł bezcielesny głos demona.

- A ja jakoś nie potrafię polubić pańskiego - stwierdził detektyw. - Dlaczego nasłał pan na mnie tę bestię?

- To nie ja - zaprzeczył Grundy.

- Daj pan spokój - Mallory irytował się coraz bardziej. - Jesteśmy ze trzy mile od tego cholernego muzeum. Chce pan powiedzieć, że biedny T. rex zgubił się w betonowej dżungli i zupełnym przypadkiem trafił akurat na mnie, chociaż wokoło biega z osiem, jak nie dziewięć milionów innych istot?

- Skąd w panu taka niewdzięczność? - zapytał Grundy. - Przecież dopiero co ocalałem panu życie.

- Które najpierw pan naraził - skontrował Mallory. - Moim zdaniem, jedno znosi drugie.

- Zareczam panu, że ani nie ożywiłem tego dinozaura, ani nie wypuściłem go na wolność.

- Nie, pan go tylko skierował w ten ślepy zaułek, żeby mieć odrobinę rozrywki moim kosztem. Byłbym zdziwiony, gdyby McGuire nie zsiąkał się w gacie.

- I całkiem słusznie - wtrącił ze wstydem mały wampir.

- Może pan spędzić pozostałe cztery minuty i dziewiętnaście sekund czasu, jaki wam pozostał do ożywienia tej bestii, na wyklócaniu się ze mną - stwierdził Grundy - albo wykorzystać go efektywnie do zwiększenia dystansu.

- Dobrze, już nas tu nie ma. Czy skontaktował się pan z Winnifredą Carruthers?

- Tak - odparł demon. - Już odebrała ciało swojego bratanka z kostnicy. Przy okazji, dziękuję panu, panie Mallory.

- Za co?

- Za to, że poprosił mnie pan, abym poczekał pięć minut, zanim się z nią skontaktuję. Nie widziałem takiej rzezi od wielu stuleci.

- Ma pan cholerne szczęście, że nie wysłał pan za nią tego dinozaura - stwierdził Mallory. - Moja współpracowniczka to bardzo twarda kobieta.

- Trzy minuty i dwadzieścia sześć sekund - zaintonował Grundy.

- Dokończymy tę rozmowę innym razem - powiedział Mallory i odwrócił się do swoich kompanów. - Idziemy - rozkazał, a potem spojrział w górę, na latarnię. - Ty też!

Felina zeskoczyła lekko na chodnik.

- Zepsuł się - powiedziała.

- Co się zepsuło? - zapytał Mallory, mając nadzieję, że dziewczyna-kot nie uszkodziła sobie nogi podczas tego skoku, w takim wypadku musiałby ją nieść.

- Dinozaur - powiedziała. - Baterie mu się wyczerpały.
- Jego baterie właśnie się ładują - odparł Mallory, kierując się na północ. - Zbierajmy się stąd!

Pobiegli na najbliższe skrzyżowanie, skręcili na nim, aby zniknąć wielkiemu gadowi z pola widzenia, i dopiero tam zwolnili kroku, przechodząc w szybki marsz. Z dali dobiegł ich pojedynczy ryk bestii, a po chwili drugi, ale o wiele cichszy i odleglejszy.

- Wiecie - powiedział Nathan - ze wszystkich stworzeń, na jakie nie chciałbym trafić nocą na ulicy, T-rex jest chyba najstraszniejszy.

- Opisz go w swojej książce - poradził Mallory.

- Patrz, nawet mi to przez myśl nie przeszło! -zawołał smok, ale zaraz spochmurniał. - Kto uwierzy w dinozaura na kartach powieści detektywistycznej?

- Ci, którzy wierzą w to, że Skrzydlaty O'Bannon zalicza kulkę co piętnaście stron i ma jeszcze siłę przelecieć trzy tuziny dziewczyn w finale. Oni na pewno kupią dinozaura na Manhattanie.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytał Nathan i twarz mu pojaśniała.

- Naprawdę - odparł Mallory.

- W sumie mógłbym umieścić akcję powieści w świecie równoległym - kontynuował smok.

- Ja pochodzę z alternatywnego Manhattanu -przerwał mu Mallory. - Uwierz mi, tam tyranozaury są jeszcze rzadsze niż tutaj.

- A jak wyglądał ten twój Manhattan? - zainteresował się smok.

- Niewiele się różnił od waszego, jeśli dobrze mu się przyjrzeć - odparł detektyw. - Ludzie bez przerwy łamali pra-

wo, gliniarze ich aresztowali, przekupni prawnicy załatwiali im zwolnienia, zanim policja zdążyła spisać wszystkie raporty, sędziowie zawieszali wyroki, jeśli tylko w porę dostawali co nieco. Ale na pewno nie widywałem tam ożywionych dinozaurów.

- A mieliście problemy z trollami?
- Nie większe niż tutaj - stwierdził Mallory.
- A ile rodzajów smoków żyło na twoim Manhattanie?
- Nie liczyłem ich - przyznał detektyw.
- Mieliście tam kogoś tak złego jak Grundy?
- Niektórzy powiedzieliby, że tak, inni by zaprzeczyli - stwierdził Mallory. - Zwłaszcza ci, którzy startowali w wyborach. - Po raz kolejny skręcili w prawo. - Dlaczego to ja was teraz prowadzę? Do diabła, McGuire, przecież to ty wiesz, gdzie jest „Dzwonnica”.

Mały wampir przyspieszył kroku i po dziesięciu minutach znaleźli się na skraju Central Parku. Tutaj McGuire zatrzymał się nagle i rozejrzał z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- W czym problem? - zapytał Mallory.
- Musiałem pomylić drogę - powiedział wampir. - To skrzyżowanie Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.
- Zgadza się.
- Ale nie powinno go tutaj być. Musimy wrócić po własnych śladach.

Cofnęli się o jedną przecznicę, skręcili na zachód i dotarli do pierwszego skrzyżowania. Tutaj poszli w prawo, żeby znów skręcić w lewo na kolejnym skrzyżowaniu. Mallory nie zdziwił się wcale, gdy tabliczki na murze poinformowały go, że stoi u zbiegu ulic Upiornej i Nadnaturalnej.

Usłyszeli nad sobą łopot skrzydeł, a gdy spojrzeli w górę, dostrzegli sylwetki krążących nad nimi harpii.

Felina odbiła się od ściany i wyskoczyła w górę, próbując pochwycić jedno ze skrzydlatych stworzeń, ale latały zbyt wysoko, nawet dla niej.

- Nie licz na to! - zaskrzeczała harpia, kierując się w stronę kwadratu określanego jako Zachodni Siedemdziesiąty, w którym ekolodzy różnej maści wykładali na balkonach jedzenie, a nawet kocyki, starając się żyć w zgodzie z naturą, harpiami, banshee i pozostałymi skrzydlatymi zmorami, jakie można było spotkać w tym mieście. A gdyby przypadkiem skrzydlaci ulubieńcy z balkonów i dachów znudzili się tutejszej populacji, mieszkańcy mogli odwołać się do zwolenników Drugiej Poprawki, żyjących w obrębie Zachodniego Dziewięćdziesiątego, aby odtworzono im równie szybko co i brutalnie dawne, spokojne środowisko naturalne.

- Widzicie gdzieś jakikolwiek ślad trolli i Winnifredy? - Mallory zwrócił się z tym pytaniem do swoich towarzyszy.

- Przecież ja nawet nie wiem, jak ona wygląda - przypomniał mu smok.

- Nie widziałem - przyznał Kijaszek. - Ale wiesz chyba, że nietoperze nie mają zbyt dobrego wzroku. Jedną chwileczkę... - Włożył dwa palce do ust i gwizdnął tak głośno, że echo odbiło się od okolicznych budynków. - Nadal nic. Albo siedzi już w „Dzwonnicy”, albo nadal jest daleko stąd.

- Dobrze - powiedział Mallory. - Chodźmy zatem do tej knajpy. Na miejscu dowiemy się, jak sprawa wygląda.

- A mnie nie zapytasz, czy widziałam jakiś ślad Winnifredy? - nadała się Felina.

- A powiedziałaś mi o tym?

- Tak, Johnie Justinie - odparła dziewczyna-kot i zaraz dodała: - Prawdopodobnie... - A potem jeszcze dorzuciła: - Nie... Chyba... - I w końcu: - Może...

- Czuję się pewniej, wiedząc, że słyszysz mi pomocą, jak zawsze zresztą - stwierdził detektyw.

- Wiem, że to cię uszczęśliwia, Johnie Justinie - odparła Felina.

Wysoko nad nimi krążyły teraz banshee i dały się wniebogłosy, ale za nic nie mogli zrozumieć nawet słowa. Potem do chóru dołączyły dwie harpie, zahuczała sowa i chwilę później otaczała ich istna kakofonia dźwięków.

- Prowadź, Kijaszk - powiedział Mallory. - Ciekawe, kiedy te cholery wpadną na to, że brakuje im jeszcze perkusji.

Mały wampir poprowadził ich spory kawałek w głąb Nadnaturalnej, potem przeszedł na drugą stronę ulicy i wrócił na skrzyżowanie z Upiorną.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

- Przysięgłbym, że jeszcze przed chwilą nie było tutaj tego budynku - powiedział Mallory.

- Bo jest nieśmiały - wyjaśnił mały wampir. - Cała sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, jak do niego podejść.

Mallory przyglądał się zarysom budowli, która przypominała niewielki gotycki zameczek.

- Tam nikogo nie ma - zauważył. - Wszystkie światła są pogaszone.

- Nie wszystkie - uspokoił go Kijaszek. - Klub mieści się w piwnicach.

- Dlaczego nie ma żadnego szyldu na froncie?

- A po co jakiś szyld? Ci, którzy wiedzą o tym miejscu, potrafią je i bez niego odnaleźć.

McGuire naparł na niewielkie odrzwia, które uchylły się z tak głośnym piskiem, jakby ich od lat nie używano i nie oliwiono.

- Tędy - powiedział, schodząc w dół po ledwie oświetlonych spiralnych stopniach. Mallory, Nathan i Felina podążyli za nim. Przez kolejne pięć minut szli w milczeniu, a potem McGuire oznajmił, że pokonali już pół drogi.

- Pół drogi! - zawołał detektyw. - Kijaszek, zesłiśmy już chyba z pięćset stóp pod powierzchnię ziemi!

- Klub zbudowano tak, by wytrzymał gwałtowne ruchy tektoniczne, naloty czarownic, powodzie, wybuchy głowic nuklearnych do mocy ośmiu megaton i podgryzanie przez termity - wyjaśnił mały wampir. - Dostanie się do niego wymaga nieco wysiłku, ale jak już się tam wejdzie, człowiek od razu rozumie, że jest absolutnie, totalnie bezpieczny.

- Chyba że nagle zachce mu się wrócić na świeże powietrze.

- Z tym też nie ma problemów - odparł wampir. - Każdy fotel posiada katapultę, jak w samolocie wojskowym.

- I w czym to pomaga, skoro każde pomieszczenie ma sufit? - zapytał Mallory.

- Nad tym nigdy się nie zastanawiałem - przyznał McGuire.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi?

- Zaraz się zdziwisz - wtrąciła Felina.

- Niby dlaczego? - zapytał Mallory.

Wyrwała się do przodu, przysiadła i zaczęła obwąchiwać zimne, wilgotne powietrze płynące z podziemi.

- Przed nami są martwe stworzenia - oznajmiła.

- Chodzi ci o wampiry?

Pokręciła głową.

- Wampiry są nieumarłe. A ja wyczuwam woń śmierci.

- Permanentnej? - zapytał Mallory.

- Tak.

- Co za ulga - westchnął detektyw. - Jesteś tego pewna? Wszystkie te stworzenia są permanentnie zabite na śmierć?

- Tak, Johnie Justinie - odparła Felina. - Absolutnie, nieodwołalnie, kompletnie.

- Dzięki.

- Mogę o coś zapytać, Johnie Justinie?

- Jasne.

- Co to znaczy „pernamiętnie”?

Rozdział piętnasty

00.26 - 00.39

Nie sądzisz, że lokal noszący nazwę „Dzwonnica” powinien znajdować się raczej nad niż pod ziemią? - zapytał Mallo-ry, gdy znaleźli się na końcu długich schodów.

- Kiedyś tak było - odparł McGuire. - Klub mieścił się wtedy na szczycie Prostokąta Rockefellera (choć właściwie powinno się o nim mówić półpolitetrahedron, ale niech już tak zostanie).

- Dlaczego go przeniesiono?

- Harpie siadały na stolikach i żebrały o jedzenie, więc zabudowano szczyt wieży, ale wtedy pojawiły się kolejne problemy. Wampiry, które latały na pamięć i z rzadka korzystały z sonarów, rozbijały się o okna, potem część klientów zaczęła się uskarżać na to, że nie mogą pić i spoglądać jednocześnie z góry na zachmurzone niebo, no i windy zatrzymywały się za każdym razem, kiedy siadały bioprądy...

- Okay, już mi naświetliłeś sytuację - przerwał mu Mallory.

Przedsiomek klubu był malutki i raczej skąpo oświetlony, natomiast sala znajdująca się za nim została tak zbudowana, aby potęgować wrażenie przebywania we wnętrzu jaskini. Ściany wykonano z surowego kamienia, a na pograżonej w półmroku podłodze zalegała wilgoć. Z holu wybiegało kilka krętych tuneli prowadzących do bocznych sal konsumpcyjnych, detektyw musiał przyznać, że nietoperze, które mogły mieć problem ze znalezieniem sobie wygodnej żerdki w starej dzwonnicy, tutaj musiały czuć się jak u siebie.

Elegancki kelner w smokingu i czerwonej pelerynie zbliżył się do nich, prezentując naprawdę okazałe kły.

- Czym mogę służyć?

Pracownik „Dzwonnicy” zauważył, że Mallory przygląda mu się dziwnie, a Nathan na jego widok mocniej ściska drzewce dzidy.

- To tylko przebranie służbowe - wyjaśnił, wyjmując z ust sztuczne zębiska. - Dzięki niemu nasi klienci czują się bardziej komfortowo.

- Czy jest już u was pułkownik Winnifreda Carruthers? - zapytał Mallory. - Umówiliśmy się z nią tutaj.

- Niestety, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - stwierdził kelner. - Czy mógłby pan ją opisać?

- To kobieta przy tuszy, siwowłosa, prawdopodobnie ma na sobie komplet myśliwski koloru khaki i nitro ekspresa .550.

Kelner uśmiechnął się.

- Tak, babcia z dziwnie wyglądającą strzelbą! Czeka na panów w sąsiedniej sali – powiedział i spojrzął na smoka. - Czy byłby pan łaskaw pozostawić tę broń w szatni?

- Nigdy nie rozstaję się z moją dzidą - odparł Nathan.

- A pan, sir? - kelner zwrócił się do detektywa. - Mamy tu kilka kojców na zwierzaki, w których odwiedzający nas magowie i wiedźmy zostawiają milusińskich. Czy byłby pan tak uprzejmy i oddał tam na przechowanie tę kotkę? - Felina zasyczała i obnażyła pazury. - To się chyba nie uda - mruknął kelner, nie tracąc rezonu. - Zatem proszę za mną...

Zaprowadził ich do najbliższej sali i chwilę później Malory i reszta jego kompanii zatrzymali się przy stoliku Winnifredy.

- Tak mi przykro z powodu śmierci Ruperta - powiedział detektyw, siadając i dając znak pozostałym, aby uczynili to samo. - Grundy przekazał pani wiadomość ode mnie?

Skinęła głową.

- Biedny chłopiec. Wreszcie umarł na śmierć. Jeszcze jedno albo dwa ukąszenia i nie mogłabym tego o nim powiedzieć. Znalazł pan już Arystotelesa Draconisa?

- To nie jego dzieło.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Jest pan tego pewien?

- Nawet bardzo.

- Towarzyszyłem mu przez cały wieczór - dodał Nathan.

- Z kim mam przyjemność?

- Łuskowaty Jim Chandler, do usług, madame - przedstawił się smok.

- Ten pisarz kryminałów? - zapytała Winnifreda.

Pysk smoka nagle pojaśniał.

- Pani mnie czytuje?

- „Scałuj krew z moich butów” było całkiem, całkiem - odparła.

- Niech pani poczeka na drugi tom! - zawołał z entuzjazmem Nathan. - Skrzydlaty O'Bannon wpadnie na trop afery wśród arystokracji.

- Nie omieszkam poszukać - obiecała Winnifreda. - Jaki tytuł będzie miała ta powieść?

- „Scałuj krew z moich getrów”.

- Czy ty widziałeś choć raz jakiegoś arystokratę? - zapytał Mallory.

- Nie, ale...

- Może zacznij pisać o tym, co widziałeś i co wiesz.

- „Scałuj krew z moich manuskryptów”? - mruknął Nathan i zaraz się skrzywił. - Nie, to niezbyt przebojowy tytuł.

- Przepraszam, że wrócę do tematu - wtrąciła się Winnifreda - ale kto w takim razie zabił mojego bratanka, skoro Draconis jest niewinny?

- Z tego, czego zdążyliśmy się dowiedzieć, za jego śmierć odpowiada transplantowany do nas Transylwańczyk nazwiskiem Wład Drabula.

- Ja zawsze hołdowałem jednej życiowej zasadzie - stwierdził Nathan. - A brzmiała ona: trzymaj się z dala od transylwańskich wampirów noszących imię Wład.

Przy ich stoliku zatrzymał się kelner, aby przyjąć zamówienie.

- Co państwu podać?

- Dla pani cokolwiek sobie zażyczy - odparł Mallory - a my jej tylko towarzyszymy.

- Ja nie towarzyszę - zaprotestowała Felina. - Chcę trzy papużki, dwie myszki, świnkę morską, pstrąga, cztery salamandry, bawołu, wieloryba i kilka listków kocimiętki.

- Nie zjesz deseru? - zapytał ironicznie Mallory.

- W takim razie proszę więcej kocimiętki.

- Dla panienki tylko szklanka mleka - zaordynował Mallory.

- I słomka - dodała Felina.

- I słomka - powtórzył detektyw.

- Zrobiona z kolibra - wyjaśniła dziewczyna-kot.

- Radzę ci po dobroci, przestań - powiedział Mallory i odwrócił się do Winnifredy. - A gdzie zaparkowałaś swoje trolle?

- W barze, a gdzież by indziej - odparła. - Trolle wolą pić, niż jeść.

- Bo jeszcze nie miały okazji pogadać z Feliną -mruknął detektyw.

- Znalazłeś jakiś trop prowadzący do tego Włada Drabuli? - zapytała Winnifreda.

- Niezupełnie - odparł detektyw. - Wiemy tylko, że jest wampirem, który przypłynął na pokładzie „Konającego Manata”, i że to on ukąsił Ruperta. W każdym razie uważamy, że tak było. Draconis powiedział, że wtedy, gdy Rupert widział go w swojej kajucie, właśnie ruszał w pogoń za tym drugim wampirem i prawdę powiedziawszy, był raczej jego obrońcą niż prześladowcą. Wiemy też, że Drabula ma gdzieś na Manhattanie własną trumnę wypełnioną ziemią z Transylwanii.

- Masz jego rysopis?

Mallory zaprzeczył ruchem głowy.

- Wiem tylko, że jest wampirem.

- To raczej w niczym nam nie pomoże - stwierdziła pułkownik Carruthers. - Weźmy na przykład pana McGuire'a, który jak wiemy, także jest wampirem, ale zupełnie go nie przypomina. Przynajmniej z wyglądu.

- Traktuję pani słowa jako wielki komplement - powiedział McGuire.

- Co zamierzasz teraz zrobić, Johnie Justinie? -zapytała Winnifreda. - Nie mamy rysopisu poszukiwanego, a wokół nas rozciąga się wielka metropolia.

- Sądzę, że on czuje się teraz całkowicie bezpieczny. Zdaje sobie sprawę, że nikt nie wie, jak wygląda, ale nie ma pojęcia, że rozmawialiśmy o nim z Draconisem. Nie będzie się nas spodziewał, co daje nam pewną przewagę.

- Ale i my nie znamy jego rysopisu, co daje mu istotną przewagę.

- Kijaszku - powiedział Mallory, odwracając się do małego wampira. - Powiedz mi, gdzie wampir mógłby świętować taki sukces?

- Chodzi ci o zabicie Ruperta, czy raczej bezkarne wywiniecie się od konsekwencji?

- I jedno, i drugie.

- Cóż, wydaje mi się, że o tej porze bal zombie rozkręcił się już na dobre. Jeśli chcesz spotkać wampira, zombie, ghula czy jakiegokolwiek innego nieumarłego, to chyba najodpowiedniejsze miejsce tej nocy.

- Ale nadal nie wiemy, kogo szukamy - zaprotestował Nathan.

- Nieprawda - odparł detektyw. - My tylko nie wiemy, jak on wygląda.

- A jaka to różnica?

- Jeśli chcemy go opisać, żadna - przyznał detektyw. - Ale jeśli zaczniemy rozpytywać wokoło o Włada Drabulę, ktoś może nam go wskazać.

- Łapsom? - zapytał z niedowierzaniem smok.

- Mogę im tego nie mówić, jeśli uważasz, że to nie pomoże - stwierdził Mallory. - Przecież to logiczne, że nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje wyciągnąć takich informacji,

pokazując licencję detektywa. Gdybyśmy mieli górę srebra, to zupełnie inna sprawa, ale jej nie mamy. Dlatego wydaje mi się, że taką informację może dostać tylko ktoś, kto, powiedzmy, oferuje sprzedaż kodów dostępu do banku krwi na West Hades Street.

Smok rozważył taką opcję.

- Wiesz, to by się mogło udać – powiedział i uśmiechnął się przeproszająco. - Mój Skrzydlaty O'Bannon zazwyczaj wydobywa takie informacje siłą z oprychów albo wdziękiem od uwiedzionych pięknych kobiet.

- A jeśli brzydkie kobiety miałyby takie informacje? - zapytała Winnifreda.

- Brzydkie kobiety nie obracają się w tych samych sferach co O'Bannon - wyjaśnił Nathan. - Poza tym trzeba się trzymać dobrych wzorców. Zrozumcie, nigdy nie napiszecie dobrego romansu, jeśli jego bohaterem nie będzie szalenie przystojny wampir, albo książki o koniach wyścigowych, w której nie będzie ogiera zwycięzcy cudem uratowanego przez jakąś dziewczynkę i jej dziadka od pewnej śmierci w źrebięcych latach, albo powieści fantasy pełnej magicznych mieczy po dwa funty...

- Za tom?

- Chodziło mi o wagę egzemplarza - wyjaśnił Nathan. - Zrozumcie mnie, ramy wszystkich gatunków są tak ściśle wytyczone, że nie mogę sobie pozwolić na wysłanie O'Bannona do łóżka z brzydką kobietą.

- I za żadne skarby nie można skrzyżować Don Juana z Odlotem? - zapytał Mallory.

- Właśnie - odparł smok. - A poza tym takie hybrydy dyskryminują rasowych czytelników.

- Wybacz - powiedział detektyw. - Nigdy chyba nie zapamiętam tej tak oczywistej oczywistości.

- Czy możemy w końcu wrócić do tematu? - poprosiła Winnifreda.

- Chodzi ci o twarde kryminały? - zapytał Nathan, gdy kelner stawiał szklankę mleka przed Feliną. Dziewczyna-kot natychmiast wyrzuciła z niej słomkę, pochyliła się i zaczęła chęptać po kocie, językiem.

- O Włada Drabulę - sprostowała pułkownik Carruthers. - Wydaje mi się, że nadal powinniśmy działać osobno, aby sprawdzić jak największy teren. Ale potrzebujemy też planu.

- Dochodzi w pół do pierwszej - powiedział Mallory. - Mamy jeszcze sześć, jeśli nawet nie siedem godzin na znalezienie tego wampira. Wydaje mi się, że powinienem zacząć od tego balu dla zombie. Ty w tym czasie możesz sporządzić listę wszystkich domów pogrzebowych, które wynajmują trumny przyjezdnym wampirom, ale od razu odpuść sobie wizytę u Konrada Koszmara. Już u niego byliśmy.

- Drabula może zostawić swoją trumnę gdziekolwiek - zaprotestowała Winnifreda. - Wcale nie musi korzystać z usług zakładu pogrzebowego. Równie dobrze może wybrać jakiś opuszczony budynek albo wynająć mieszkanie.

- Rozumiem - powiedział Mallory. - W takim razie co powiesz na sprawdzenie jego tropu od opuszczenia pokładu „Konającego Manata”? Ja przejdę się po wszystkich miejscach, do których może zajrzeć wampir szukający chwili wytchnienia.

- Ten plan wygląda sensowniej - przyznała. - Chcesz wziąć moje trolle? Wydaje mi się, że nie będę ich już potrzebowała.

Mallory spojrział na swoich towarzyszy - małego wampira, smoka i dziewczynę-kota. - Myślę, że będziemy zwracali na

siebie mniejszą uwagę bez eskorty bandy trolli. Zatrzymaj je przy sobie. Dla bezpieczeństwa.

- Nie dalej jak godzinę temu to ja musiałam je obronić przed bandą rabusiów - powiedziała.

- Wybacz - poprosił Mallory. - Ja chyba tracę głowę.

- Ależ skąd - zaprotestowała Felina. - Stracisz ją dopiero na balu zombie.

Rozdział szesnasty

00.39 - 01.08

Bal zombie odbywał się w przestronnej sali hotelu „L. Gonquin”, który to przybytek nie miał nic wspólnego ze znanym „Algonqui-nem”, a jego nazwa pochodziła w linii prostej od Lamonta „Wysokie C” Gonquina, pierwszego muzyka, który podłączył swój instrument do kontaktu. Jego zwęglone szczątki już dawno zostały przeniesione na obwoźną wystawę Pisku & Wrzasku, czyli pomniejszej filii Muzeum Rock and Rolla.

Mallory i jego kompani przebyli wyłożony pluszem hol hotelu, w którym aż roiło się od brudnych mężczyzn i kobiet odzianych w strzępy ubrań, mumii opasanych ciasno bandażami, bladoliczych mężczyzn w pelerynkach, elfów, krasnoludków, goblinów, gremlinów, chociaż od czasu do czasu trafiali się też między nimi normalnie wyglądający ludzie.

- Całkiem zróżnicowana menażeria jak na mój gust - stwierdził Mallory. - Jesteście pewni, że trafiliśmy we właściwe miejsce?

Do ich uszu dobiegły pierwsze akordy „Jestem tutaj już drugi raz”.

- Jesteśmy we właściwym miejscu - zapewnił go McGuire. - To ich ulubiona piosenka.

Poszli w kierunku źródła muzyki i wkrótce znaleźli się w sali balowej, w której znajdowało się jeszcze więcej koszmarnych postaci, w większości roztańczonych, choć tu i ówdzie widać było grupki nieumarłych rozmawiających, a nawet popijających drinki przy długim barze w samym końcu pomieszczenia.

- Trzeba powiedzieć, że ci kolesie nie oszczędzają - stwierdził Nathan. - Widzicie tę kapełę, tam daleko przy oknach?

- Znasz ich?

Smok przytaknął.

- To Charlie Harfiarz i jego Martwe Dusze.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Ich najnowszy album, „Cmentarny gawot”, został nagrodzony w zeszłym miesiącu platynową płytą.

Mallory przyjrzał się dokładniej członkom zespołu. Składało się nań dwóch zombie, jakaś skrzydlata kreatura nieznanego mu gatunku, smok wyglądający na dalekiego krewnego Nathana i goblin. Wszyscy grali na instrumentach, jakich detektyw nigdy wcześniej nie widział i nie słyszał. Kapeli przewodził facet o rozwichrzonych rudych włosach, z parą białych pierzastych skrzydeł wystających spod idealnie skrojonego smokingu.

Zespół właśnie skończył kolejny numer i na scenę, do mikrofonu, wdrapał się elegancko ubrany człowieczek. Wyglądał całkiem zwyczajnie, podobnie jak jego ubranie, poruszał się z wyczuwalną gracją i Mallory dopiero po dłuższej chwili zau-

ważył, że mężczyzna ten miał poderżnięte gardło. Szerokie rozcięcie sięgało od ucha do ucha, ale krew już z niego nie leciała. Moment później detektyw dostrzegł jeszcze otwór po kuli tuż nad lewym okiem konferansjera.

- Dziękujemy ci, Charlie - powiedział mężczyzna - za rozpoczęcie naszego balu w starym, dobrym stylu. - W tym momencie odwrócił się do licznie zgromadzonej publiczności. - Jestem waszym wodzirejem, nazywam się Louie Trzecia Szansa i witam wszystkich serdecznie na dorocznym balu zombie! Przygotowaliśmy dla was wieczór pełen niezapomnianych wrażeń. Trzy mniejsze sale na antresoli zostały zamienione w sceny teatralne i już za pół godziny zobaczycie na deskach jednej z nich znakomitą sztukę „Ożywienie komiwojażera”, która, jak coś mi mówi, powinna przyćmić ubiegłoroczną premierę „Życia na wakacjach”. Ale to dopiero początek atrakcji, jakie dla was przygotowaliśmy tej nocy. Bawcie się zatem do upojenia i nie pozwólcie, aby ten bal skończył się zbyt szybko. Charlie, może wprowadzisz naszych gości w odpowiedni nastrój waszą jakże znakomitą interpretacją „Terminalnego tanga”?

Charlie Harfiarz wstał, machnął batutą, zaklął szpetnie, gdy zmieniła się w jadowitego węża, potem stuknął go w łepkę i poczekał jedno syknięcie, aż gad na powrót stanie się jego narzędziem pracy. Potem poprowadził Martwe Dusze do zagrania tanga, które w uszach Mallory’ego zabrzmiało raczej jak brazylijska pieśń żałobna.

- Wydaje mi się, że osiągniemy lepsze wyniki, jeśli się rozdzielimy - zasugerował detektyw.

- I co niby mamy robić? - zapytał McGuire.
- Sprawdzać, czy ktoś tutaj nie wie, gdzie można znaleźć Włada Drabulę.

- To może być niebezpieczne - stwierdził mały wampir. - Jeśli zaczniemy mówić, że go szukamy, on także może zainteresować się nami.

- Na to właśnie liczę - przyznał Mallory. - Dzięki temu oszczędzimy sobie masę pracy.

- Wydaje mi się, że mam już dość zabawy w detektywa - oświadczył McGuire. - Nie będę chodził po tej sali i opowiadał ludziom, że mój przyjaciel ma zamiar schwytać Włada Drabulę i liczy na to, że ktoś wskaże mu miejsce jego pobytu.

- Ja się nie boję - oznajmił Nathan, potrząsając dzidą. - Jestem gotowy na jego przyjście.

- Odłóż ten patyk - poprosił Mallory. - Taką bronią go nie zranisz.

- A kulami pistoletowymi? - zapytał Nathan.

- Szczerze powiedziawszy, chyba też nie.

- Zatem może McGuire ma rację. Może powinniśmy wyjaśnić twojej współpracownicy, że chłopak zmarł na zawał serca albo chorobę weneryczną. Mogę ci napisać tak skomplikowane wyjaśnienie, że nigdy go nie zrozumie, żeby nie wiem ile razy czytała, albo nie nazywam się Łuskowaty Jim Chandler.

- Nie nazywasz się Łuskowaty Jim Chandler, a ja nigdy nie okłamię mojej współpracownicy - powiedział Mallory.

- Niech ci będzie - odparł Nathan. - W takim razie gotuję się do wałki na śmierć i życie.

- Czyją śmierć? - zapytał mały wampir.

- Mam nadzieję, że jego - odparł smok. - Ale jeśli przyjdzie na mnie kryśka, przynajmniej polegnę w słusznej sprawie.

- A cóż takiego szlachetnego jest w nękanii wampira, który chce spędzić ten wieczór w samotności? - zapytał McGuire.

- Po czyjej stronie walczysz, konusie? - odparł pytaniem na pytanie Nathan.

- Po naszej, ale w odróżnieniu od was potrafię zrozumieć punkt widzenia wampira.

- Zamknijcie się natychmiast, obaj! - Mallory uciął ich sprzeczkę. - Nie będziecie musieli walczyć z Władem Drabulą. To moje zadanie.

- Naprawdę? - zapytał Kijaszek, a jego twarz wyraźnie pojaśniała. - W takim razie zostaję z wami.

- Dobrze, waszą rolą będzie rozprowadzanie, że chciałbym się z nim spotkać.

- Świetnie - ucieszył się McGuire. - Będę mówił każdemu, że jesteś detektywem i chcesz przymknąć Włada za morderstwo.

- Nie, nie, nie - zaprzeczył Mallory, hamując jego zapędy. - Powiesz każdemu, kto będzie chciał cię wysłuchać, że jestem prawnikiem, a Drabula zainwestował spore pieniądze w pewne przedsięwzięcie i teraz szukam go, aby mógł złożyć ostatni podpis na dokumentach i stać się właścicielem tego bogactwa.

- A kogo musiałeś sprzątnąć, żeby interes doszedł do skutku? - zapytał mały wampir.

Mallory nawet nie wysiłał się na odpowiedź.

- Rozumiem - stwierdził McGuire, chociaż widać było, że nadal niczego nie pojmuje.

- Świetnie - podsumował Mallory. - Rozejść się. -I zaraz dodał, spoglądając na Felinę: - Ty zostajesz.

- Ale na tamtym stole mają jedzenie! - zaprotestowała.

- Zjesz później.

- Zawsze mówisz tylko później i później - mruzczała pod nosem.

- Nie przesadzaj, mówię też inne rzeczy.

- Tak, ale znam je już wszystkie - zaprotestowała dziewczyna-kot. - Po kolei: „później, nie, stój, dzisiaj biegnie Odlot”, zresztą ostatnie zdanie to czyste kłamstwo - wyduła pogardliwie wargi. - On nie biega, tylko się toczy!

- Z pewnością od czasu do czasu mówię też inne rzeczy.

- Chyba tylko: „Patrzcie na cycki tej dziewczyny miesiąca”

- dodała Felina.

- Dobra - uciął jej dywagacje. - Jeśli kupię ci coś do jedzenia, będziesz siedziała cicho?

- Prawdopodobnie.

- Coś czuję, że robisz się głodna.

- Tak - przyznała.

- Jesteś pewna?

- Prawie... - Nie spuszczał z niej oka. - Tak, jestem głodna.

- Dobrze, chodźmy zatem zobaczyć, co tutaj podają.

W głębi sali stał długi stół z wielkimi wazami ponczu na obu końcach. Pośrodku leżały przeróżnej maści paluszki, ciasteczka i inne łakocie.

- A gdzie są rybki? - zapytała Felina, robiąc smutną minę.

- Mają tylko to, co widać - odparł Mallory.

Pochyliła się i powąchała mrożone ciasto czekoladowe.

- W nim nie ma niczego martwego.

- Obiecuję ci, że ten diabelski torcik nie odturla się z talerzyka i nie ucieknie - powiedział Mallory. - To najbardziej martwe ciasto, jakie kiedykolwiek widziałem.

Felina klepnęła jakiegoś zombiaka w ramię.

- Panie, gdzie trzymacie papugi?

- Kawalki adwokacyny, przez którego mnie zabito, zakopano w pięciu różnych grobach - odparł chodzący trup. - Za innych gości nie mogę się wypowiadać.

- Nie podoba mi się to miejsce - orzekła Felina. -Tu normalnie nie ma co zjeść.

- Chciałbym ci pomóc - odparł zombie. - Ale jedyną żywą osobą, jaką tu znam, jest mój nowy prawnik.

- A prawnicy są jadalni, jak są nowi?

Zombie pokręcił głową.

- Jak na mój gust to zbyt gruboskórne typy.

Żywy trup oddalił się w głąb sali, a Felina spojrzała na Mallory'ego i zauważyła, że podał stojącej po drugiej stronie stołu kelnerce pięciodolarowy banknot, za który otrzymał niewielkie pudełeczko.

- Co to? - zapytała.

- Coś dla ciebie - odparł. - Zwierzaczki-chrupaczki.

Obwąchała pudełeczko.

- W środku są tylko ciasteczka.

- To prawda - przyznał - ale mają kształt zwierzątek. Będziesz mogła poodgryzać im główki. Mam nadzieję, że to ci na chwilę wystarczy.

Wyjęła z wnętrza kartonika ciasteczko w kształcie słonia i natychmiast odgryzła mu głowę. Obdarzyła detektywa radośnym uśmiechem i zabrała się do następnych stworzonek. Pod ząb poszedł lew, potem zebra i na końcu nosorożec.

- Będziesz teraz grzeczna? - zapytał Mallory.

- Ale to fajowskie - zapiszczała Felina, dekapitując goryla.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Odpowiedziałam. Ty zapytałeś: „Będziesz teraz grzeczna?”, a ja odparłam: „Ale to fajowskie”.

- To nie była odpowiedź na moje pytanie.

- A kto powiedział, że mam odpowiadać na temat? - zachnęła się.

- Ja, właśnie ustanowiłem taką zasadę - powiedział Mallory i zabrał jej pudełeczko.

- Będę się zachowywać - zawołała Felina.

- Ale dobrze czy źle?

- Albo tak, albo tak.

- Udam, że tego nie dosłyszałem - stwierdził Mallory, chowając pudełko tak, by nie mogła do niego sięgnąć.

- Dobrze - pisnęła dziewczyna-kot.

Detektyw oddał jej ciasteczka.

- Tylko nie zjedz wszystkich naraz - poprosił.

- Nie zjem - obiecała. - Będę odgryzać tylko jedną głowę naraz, dopóki się nie skończą.

Mallory poczuł na ramieniu ciężką dłoń i odwrócił się, aby zobaczyć jej właściciela. Ledwie to zrobił, zrozumiał, że wołałby go jednak nie widzieć.

Stał przed nim wysoki, zwalisty mężczyzna, chociaż Mallory zastanawiał się, czy nie użyć liczby mnogiej w tym przypadku, skoro miał przed oczami kawałki wielu ludzi zszyte, dość nieudolnie zresztą, w pokraczną całość. W wielu miejscach szwy powyłaziły już na wierzch. Stwór jedno oko miał piwne, drugie niebieskie. Prawe ucho było kalafiorowate, lewe malutkie, delikatne. Do wielgachnej czaszki wpasowano szczękę mniejszą o parę rozmiarów. Jedną rękę miał długą, jak nie przymierzając koszykarz, drugą natomiast króciutką i drobną, dżokejską. Podobnie niedobrane były jego nogi i stopy. Nosił się na czarno i miał pod szyją koloratkę.

- Witaj, przyjacielu - zagadnął głębokim głosem. - Nazywam się Billy-Bob Łazarz, ściślej rzecz biorąc, wielebny Billy-Bob Łazarz. Wyglądasz mi na człowieka, który ma ochotę na nowe narodziny.

- Wielkie dzięki, za pierwszym razem nikt mnie o zdanie nie pytał - odparł Mallory.

Billy-Bob Łazarz odchylił do tyłu głowę i roześmiał się na cały głos.

- To było świetne, przyznaję! - Śmiech ucichł tak nagle, jak zabrzmiał. - Powiedz, przyjacielu, ale tak naprawdę szczerze, czy w głębi serca nie czujesz skrytej potrzeby przyłączenia się do mojej Brygady Nowo Narodzonych?

- Jeśli nawet, to moja potrzeba jest tak skryta, że nie dzieli się ze mną swoimi pragnieniami - odparł Mallory.

- A nie chciałbyś o tym porozmawiać?

- O mojej skrytej potrzebie czy pańskiej brygadzie?

- Nie odmawiaj sobie nowego narodzenia, przyjacielu.

Wszystkich nas to czeka, tyle że na różne sposoby.

- Trudno zaprzeczyć tej tezie, zwłaszcza stojąc w tym tłumie - przyznał Mallory - ale obawiam się, że nadal nie jestem zainteresowany.

- Czy mogę zrobić dla ciebie coś, co pomoże ci zmienić zdanie? - zapytał Łazarz.

- Tak - przyznał Mallory. - Powiedz mi, gdzie znajdę Włada Drabulę!

- W tym hotelu, w pokoju numer 666 - odparło pozszywane monstrum. - A teraz powiedz, jakim organem mógłbyś wesprzeć naszą biedną społeczność.

- Wład mieszka w tym hotelu?

- A skąd ja to mam wiedzieć, u licha? - wrzasnął wielebny. - W życiu nie słyszałem tego nazwiska!

- Ale przed chwilą twierdził pan, że mieszka! - rzucił poirytowany detektyw.

- Stwierdziłeś, że przyłączysz się do mojej Brygady Nowo Narodzonych, jeśli zdradzę ci miejsce, w którym możesz go znaleźć. Nie było mowy o tym, że muszę powiedzieć prawdę.



- Wynoś się pan.
- Ale przecież się umówiliśmy! - wykrzyknął Łazarz.
- Ja nie wymagałem od pana prawdziwej odpowiedzi, pan nie wyznaczył mi terminu wstąpienia. Powiedzmy, że zgłoszę się do was za jakieś osiemdziesiąt trzy lata.

- Będę pana trzymał za słowo - obiecał wielebny, ruszając na poszukiwania świeżej krwi. Albo, pomyślał Mallory, wyjątkowo starej i zużytej krwi.

Detektyw zaczął krążyć po sali balowej, przedstawiając się kolejnym rozmówcom jako prawnik zarządzający funduszami Włada Drabuli, ale wyglądało na to, że nikt tutaj nie znał rzezonego wampira albo, co też było możliwe, nie chciał się przyznać do tej znajomości. Mallory spędził na tych bezowocnych poszukiwaniach prawie dwadzieścia minut i zakończył je, w momencie gdy muzyka ponownie umilkła, a na scenie pojawił się Louie Trzecia Szansa z mikrofonem w dłoni.

- Dzięki ci, Charlie - powiedział. - Czyż nie to właśnie przepisał nam koroner? Drodzy goście, ręce w ruch w podzięce dla naszych prześwietnych muzyków!

Większość zebranych nagrodziła występ Charliego i jego Martwych Dusz burzliwymi oklaskami. Kilku najbardziej podchmielonych zombie posunęło się znacznie dalej, ciskając swoimi kończynami w stronę proscenium, na którym wdzięczni muzycy kłaniali się w pas.

- To dopiero początek atrakcji, moi drodzy. Za kilka minut tu, przed wami, pojawią się wprost z Bukaresztu najgorętsi muzycy tego kontynentu: Igor i Hieny Cmentarne! - Tym razem słowom konferansjera towarzyszyła istna burza oklasków. - Ale najpierw zapraszam na występ artysty, który właśnie zakończył niezwykle udane tournée po najlepszych cmen-

tarzach naszego wybrzeża. Panie i panowie, najlepszy powieszony komik świata: Grobuś Wykopkiewicz!

Kurduplowaty zombie w przyciasnym smokingu wspiął się na proscenium i zabrał mikrofon z rąk konferansjera, resztki pętli szubienicznej wciąż zwisały smętnie z jego szyi.

- Dobry wieczór i dzięki za zapowiedź, Louie -powiedział.

- Zazwyczaj przedstawiano mnie jako najlepszego jeszcze niepowieszzonego komika, dopóki ktoś nie przyskrzynił mnie z ręką w kasie... I chociaż to nie była moja ręka, reszta się zgadzała, ona naprawdę miała na imię Kasięńka.

Czekał chwilę na salwy śmiechu, a gdy na audytorium wciąż panowała cisza, odwrócił się, oddał mikrofon Louie'emu i poszedł sobie.

- No tak... mamy jeszcze kilka minut, zanim Igor i Hieny Cmentarne zdążą posilić się przed występem w okolicznych grobowcach - stwierdził podenerwowany Louie. - Dlatego proponuję, abyśmy rozegrali teraz czwartą edycję dorocznego konkursu na sobowtóra Lee Harveya Oswalda. Zapraszam wszystkich uczestników na scenę.

Pięciu truposzów w różnym stanie rozkładu wystąpiło z tłumu i ustawiło się ramię w ramię na deskach podwyższenia.

- Przecież to tylko jakieś mocno zgniłe zwłoki! -Mallory usłyszał gdzieś z tyłu głos Nathana.

- A jak według ciebie wygląda dzisiaj Lee? - odparł rozbawiony Louie.

Mallory uznał, że widział już dość, i wrócił do łoży, którą zajęli wcześniej. Felina poszła za nim. Zanim dotarł na miejsce, dostrzegł uroczą kruczowłosą kobietę w długiej czarnej sukni, która przysiadła na jednym z krzeseł i płakała jak bóbr.

- Przepraszam, ale trudno nie zauważyć, że pani płacze - powiedział detektyw. - Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Wątpię - odparła z silnym akcentem, który od razu skojarzył się Mallory'emu z językiem rosyjskim. Łzy nadal spływały po jej policzkach.

- Może mimo wszystko mógłbym spróbować, gdyby tylko powiedziała mi pani, o co chodzi?

- Nie ma sensu - odparła. - Nikt mi nie pomoże.

- Zatem może mi pan spokojnie o tym opowiedzieć.

- Na imię mam Natasza. Jestem Rosjanką.

- Tego już się domyśliłem.

- Domyślił się pan, jak mam na imię?

- Domyśliłem się, że musi pani być Rosjanką.

- Płaczę - wyjaśniła - bo my, Rosjanie, jesteśmy strasznymi smutasami. Jak ja pragnę umrzeć. - Otarła kilka łez czarną chusteczką. - Zazywałam truciznę. Strzelałam do siebie. Skakałam z wieżowców. Rzucałam się pod taksówki. I nic! Wciąż jak głupia podążam wszędzie za Louiem Trzecią Szansą i Igorem, nie mówiąc o jego Hienach Cementarnych, i nie mogę się na nich załapać.

- Z tego, co pani mówi, wnioskuję, że jest pani czymś w rodzaju ich grupie - stwierdził Mallory.

- Tak - przyznała Natasza. - To znaczy chciałabym być, ale dopóki żyję, żaden z nich nie połakomi się na mnie. Nic a nic! - I zaraz dodała konfidencjonalnie: - Nawet na te części, za które mężczyźni się zabijają. - Łzy jak grochy znów popłynęły z jej oczu.

Mallory nie miał bladego pojęcia, co odpowiedzieć.

- Chciałbym jakoś pani pomóc - odezwał się w końcu - ale...

- Nikt nie może mi pomóc - jęczała. - Nawet Wład Drabula nie potrafił mnie przeciągnąć na Drugą Stronę. A jak jemu się nie udało, to już nikt...

- Wład Drabula? - zawołał zaskoczony detektyw. - Co pani o nim wie?

- Wiem tylko tyle, że nawet on ma swoje ograniczenia - wyznała Natasza. - Potrafi jednego dnia wysać krew z tuzina mężczyzn i kobiet, a skóry na mojej szyi nie mógł przebić swoimi wielkimi kłami. Nawet mi malinki nie zrobił!

- Kiedy pani go widziała? - dopytywał się Mallory. - Czy on jest teraz w hotelu?

Pokręciła głową.

- Spotkałam go dwie godziny temu. Taki tam przelotny romansik. Poddał się po trzydziestu minutach.

- Gdzie go pani spotkała? - zapytał detektyw. - Skąd pani wiedziała, kim on jest?

- Jeśli chce pan dołączyć do bractwa nieumarłych, nie musi pan leżeć aż do „Grzędy Gryfa”. - Znów pociągnęła nosem.

- Na tej sali jest ze dwadzieścia wampirów, które z ochotą przeprowadzą pańską inicjację.

- „Grzęda Gryfa”? - powtórzył Mallory. - To tam go pani spotkała? Co to za miejsce?

- Taki tam klubik do schadzek.

- Skąd wiedziała pani, że on tam będzie?

- Mary mi powiedziała.

- Jaka znowu Mary?

- „Grzęda” jest też siedliskiem hazardu, a ona zarządza tam jednorękami bandytami. Dlatego klienci nazywają ją „Mary Królowa Szparek”. Mówiła mi, że ten Wład pokazuje się u nich każdego wieczora od czasu przybycia na Manhattan.

- Gdzie to jest?

- Na Siedemnastej Alei, pomiędzy ulicą Żądzły i Lenistwa.

- Przecież w tym mieście nie ma Siedemnastej Alei! - wykrzyknął Mallory.

- Jak nie ma, skoro jest - odparła Natasza. - Musi pan tylko wiedzieć, jak na nią trafić.

- Dzięki - powiedział detektyw, zbierając się do wyjścia.

- Proszę pana! - zawołała za nim.

- Tak?

- Jak go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, że mu wybaczyłam.

- Dobrze, przekażę mu - odparł, a w myślach dodał: Ale znam dwoje detektywów, którzy niczego mu nie wybaczą!

Wrócił na salę balową, aby odszukać McGui-re'a i Nathana. W chwili gdy wspólnie opuszczali hotel, jeden z gości przemienił się w gigantycznego wilka i zaczął przeraźliwie wyc do księżycyca.

- Boże drogi, jakie bydlę tutaj teraz wpuszczają! - mruknął jeden z zombie i strzelił sobie szklanekę whisky, która natychmiast wypłynęła jedenastoma dziurami po kulach w jego klatce piersiowej.

- Zatem chwyciłeś nowy trop? - zapytał Nathan z typową dla niego pisarską zapalczywością.

- Tak - odparł Mallory. - Spotkałem kobietę, która widziała się z nim około dwóch godzin temu.

- Można jej zaufać? - wtrącił McGuire. - Wiesz, ona. teraz należy do niego.

- Nie należy - zaprzeczył detektyw - chociaż bardzo tego chciała.

- Nie rozumiem.

- Nic dziwnego, to historia, którą trudno zrozumieć nawet na tym Manhattanie - powiedział Mallory.

- Zatem dokąd teraz idziemy? - zapytał Nathan.

- To właśnie jest dla mnie największą zagadką - przyznał detektyw. - Czy któryś z was wie, gdzie jest Siedemnasta Aleja?

- Z nazwy sądząc, to musi być jedna z tych arterii, które biegną pod dnem rzeki - powiedział smok.

- Piętnastą Aleję to jeszcze bym znalazł - dodał McGuire - ale Siedemnastą?

- Ja wiem, gdzie ona jest - oświadczyła Felina.

- Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że zaraz będziemy negocjować? - zapytał Mallory.

- Dwie kakadu i tłuściutka orka! - powiedziała dziewczyna-kot.

- Jeden tłuściutki hot dog z tej budki na rogu - Mallory natychmiast przedstawił kontrpropozycję.

- I hipopotam.

- Hot dog. Jeden.

- Owinięty w orła bielika.

- Jeden hot dog!

- Niech ci będzie - prychnęła w końcu. - Znowu byłeś dla mnie niedobry!

Jak na zawołanie, Igor i Hieny Cmentarne zaczęli grać swój wielki przebój „Byłeś dla mnie niedobry”, a Mallory i reszta jego paczki ruszyli w stronę transparentu głoszącego: „Życzymy Wielu Nowych Powrotów” i dalej, ku Siedemnastej Alei.

Rozdział siedemnasty

01.08 - 01.26

Felina grymasiła ponad pięć minut przy wybieraniu hot doga - mieli tam tylko dwa rodzaje, zdaniem Mallory'ego,

praktycznie rzecz biorąc, nie do odróżnienia - a następne pięć minęło na szybkim marszu, jakim poruszali się po ulicach, których istnienia detektyw do tej pory nawet nie podejrzewał, aby stanąć w końcu pod wysokim budynkiem, na którego szczycie mieściła się „Grzęda Gryfa”.

- Nathanie - powiedział Mallory - chciałbym, abyś został tutaj, na dole, i pilnował wyjścia, na wypadek gdyby Wład był w klubie i próbował nawiać.

- Zrobię to, jeśli nazwiesz mnie Łuskowatym Jimem Chandlerem.

- Wybacz, Jim, znowu się pomyliłem. - Detektyw spojrział na McGuire'a. - Ty też możesz tu zostać. Jeśli Drabula wydo-
stanie się na zewnątrz, dasz wsparcie Jimowi. Jeśli będzie pró-
bował wejść do klubu, rozwijaj skrzydełka i fruń do mnie, na
górze.

- To nie takie proste - zaproponował mały wampir. - Naj-
pierw muszę zdjąć ubranie, w przeciwnym razie nie będę miał
swobody poruszania skrzydłami. - Skrzywił się. - Poprzednim
razem, gdy to zrobiłem, zostałem aresztowany za obrazę mo-
ralności, zanim zdążyłem przemienić się w nietoperza.

- Znajdziesz na to jakiś sposób - stwierdził Mallory. -
Idziemy, Felino.

- Dlaczego zabierasz ją ze sobą? - zapytał mały wampir.

- Choćby dlatego, że ona niczego się nie boi, może z wy-
jątkiem opuszczenia pory karmienia.

Mallory wszedł do budynku, przytrzymał drzwi Felinie, a
potem razem z nią wszedł do windy.

- Gdzie jedziemy? - zapytał windziarz odziany we wzo-
rzysty uniform.

- Na górę - odparł detektyw, spoglądając na niego jak na
wariata.

- Pozwoli pan, że doprecyzuję pytanie: na które piętro?
- Na to, na którym znajduje się „Grzęda Gryfa”.

Winda wystrzeliła w górę tak szybko, że Mallory stracił dech w piersiach. Za to Felina szczyrzyła się i mruzczała z rozkoszy.

- Jak ja kocham te windy - wyznała po chwili.
- Ciekawe dlaczego - mruknął detektyw. - Przecież nie można ich zjeść.

- Piętro osiemdziesiąte szóste, „Grzęda Gryfa” -oznajmił windziarz, gdy drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

Mallory i Felina weszli do wielkiego, wyłożonego ciemnym drewnem holu. Po lewej mieli bar, po prawej kasyno. Detektyw wybrał to drugie, a dziewczyna-kot posłusznie poszła w jego ślady. Jakiś tłuścioch o sumiastych wąsach właśnie przesuwiał wszystkie swoje żetony na środek stołu do gry w kości.

- A co mi tam - powiedział. - Czuję, że dopisze mi szczęście - i dorzucił do nich sygnet z brylantem, szwajcarski zegarek oraz szpilkę do krawata z rubinem.

- Wchodzę w to - oznajmił ponurym głosem zielonoskóry ogr stojący po drugiej stronie stołu.

- Zaraz, jeszcze nie skończyłem - powiedział mężczyzna, rozbierając się do rosołu. Po zdjęciu każdej rzeczy składał ją starannie i umieszczał obok stosiku żetonów. Ogr przyjrzał się rzeczom, potem wyjął portfel i odliczył pięćset dolarów, które następnie trafiły do puli. Goły gracz chwycił kości i zaczął nimi potrząsać. - Dziecku potrzeba nowych bucików! - darł się przy tym jak szalony.

- Buty dla dziecka będą jego ostatnim problemem, jeśli wyrzuci teraz parkę - zauważył Mallory.

Mężczyzna rzucił kośćmi, a te natychmiast zniknęły pod stosem ubrań. Facet pobiegł na drugą stronę, odsłonił rękaw koszuli i ogłosił wszem wobec, że wyrzucił siódmkę, a co za tym idzie - wygrał.

- Chcę to zobaczyć - warknął groźnie ogr, podchodząc do stołu.

- Za późno! - wrzasnął mężczyzna, podnosząc kości.

- Słucham? - zagrzmiął ogr, a jego ciało zaczęło nagle pęcznieć i rosnąć. Po chwili miał już piętnaście stóp i spoglądał z góry na roznegliżowanego człowieka.

-Wydaje mi się, drogi panie, że już minęła pierwsza - zapiszczał golas. - Wie pan, może ja po prostu rzucę tymi kośćmi jeszcze raz.

- Wie pan - ryknął ogr - może mi pan po prostu powie, co pan poprzednio wyrzucił?

- Dwadzieścia siedem, proszę pana.

- Przecież można wyrzucić góra dwanaście oczek.

- Jeju, widzę jakieś plamki przed oczami. To pewnie przez tę wysokość. Może po prostu unieważnimy tę grę? Zabiorę moje rzeczy oraz pieniądze i zostawię cały stół tylko dla pana.

- Możesz iść - zgodził się ogr.

- Dziękuję szanownemu panu - powiedział grubas, sięgając po spodnie, ale gigant natychmiast walnął go w wyciągniętą rękę.

- Powiedziałem, że ty możesz iść. Cała reszta zostaje na stole.

- Może mi pan odda chociaż szorty. Tam na dworze jest tak zimno.

- Możesz wziąć jedną skarpetkę - oznajmił ogr. - Nie chciałbym, aby potem mówiono, że wróciłeś do domu z niczym.

Grubas nadał się, jakby zamierzał wszcząć awanturę, ale potem wypuścił powietrze, westchnął ciężko, pochwycił skarpetkę i pobiegł w stronę wind.

- A ty na co się gapisz? - zapytał ogr Mallory'ego.

- Na nic, tak tylko się zastanawiam, czy nikt nie obrobi ci puli, skoro tkwisz tam pod sufitem.

- Ktoś mnie okrada? - zapytał ogr, natychmiast malejąc do przepisowych sześciu stóp.

- Teoretycznie mógłby - stwierdził Mallory. - Ale dajmy już temu spokój.

- Masz ochotę na ciepłe kostki? - zapytał ogr.

- Nie, dziękuję, już jadłem - odparł detektyw.

- Proszę, komik nam się trafił - prychnął ogr i nagle stracił zainteresowanie Mallorym.

Detektyw rozejrzał się po kasynie. Stały tu stoły do pokera i ruletki oraz kilku innych gier, których nigdy wcześniej nie widział, obleganych najczęściej przez elfy i gobliny. W końcu detektyw dostrzegł dość ładną kobietę dobiegającą trzydziestki, która opróżniała pojemniki jednoręcznych bandytów. Miała długie ciemne włosy, była zgrabna, choć bez przesady i nosiła lawendowy dwuczęściowy kostium. Detektyw natychmiast do niej podszedł.

- Słucham? - zapytała, podnosząc na niego wzrok.

- Przepraszam, czy mam przyjemność z Mary Królową Szparek?

- Tak, to ja.

- Świetnie. Nazywam się Mallory. Pani przyjaciółka twierdziła, że może mi pani pomóc.

- Jeśli chce pan pożyczyć pieniądze, radzę udać się do banku.

- Potrzebuję pewnej informacji - powiedział detektyw. - Kobieta imieniem Natasza twierdziła, że wie pani coś na temat Włada Drabuli.

Spojrzała na niego uważnie.

- Jest pan gliniarzem?
- Nie, prywatnym detektywem.
- Natasza pana wynajęła?

Mallory pokręcił głową.

- Nie, powiedziała mi tylko, że on tutaj bywa.

Kobieta przytaknęła.

- Przychodzi każdej nocy.
- Czy może mi pani o nim opowiedzieć? - dopytywał się

Mallory.

- To jeden z nieumarłych.
- A coś jeszcze?
- Jest stary - dodała. - Bardzo stary.
- Mogłaby pani podać nieco więcej szczegółów? - poprosił detektyw. - Wygląda na pięćdziesiątkę? Sześćdziesiątkę? Siedemdziesiątkę?

- Raczej na kilka tysięcy lat - odparła.

Mallory zmarszczył brwi.

- I jeszcze potrafi chodzić?
- Jakoś daje radę - powiedziała. - I ma w sobie coś takiego, co sugeruje, że nie powinien pan z nim zadzierać.

- Jak wygląda?

- To zależy. Jeśli jest na głodzie, znaczy się nie pil od dawna, to robi się pomarszczony jak dziewięćdziesięcioletni staruszek, ale mimo wszystko nadal roztacza wokół siebie tę niesamowitą aurę.

- A jeśli się napije?

Wzruszyła ramionami.

- Nadal wygląda staro, ale część zmarszczek znika, no i jego cera nabiera zdrowszego wyglądu. Nie dałby mu pan więcej jak siedemdziesiąt lat.

- Przyprawia tu sobie panienki czy stąd je wyrywa?

- Zawsze przychodzi sam - powiedziała Mary. - I bywa, że siedzi samotnie do końca. Czasami do jego stolika ktoś podejdzie, zazwyczaj są to kobiety, choć nie zawsze, i wtedy bawi się razem z nimi. Ale jeszcze nigdy nie widziałam, by kogoś zapraszał. Wie pan, uważam, że on ma w sobie coś takiego, co przyciąga te wszystkie osoby.

- Panie - wrzasnął ktoś zza baru - jak nie zabierzesz pan tego kociska, to zaraz oboje wylecicie stąd na zbity pysk.

- Przepraszam - powiedział Mallory do Mary. Odwrócił się i pośpiesznie opuścił kasyno, kierując się w stronę baru. Jeden z kelnerów, otyły, łysiejący jegomość, wskazał ręką na powałę. Mallory spojrzał w górę i zobaczył Felinę kołyszącą się na kryształowym żyrandolu.

- Złaż mi stamtąd! - zawołał.

- A mnie się tutaj podoba - odparła i poruszyła się, wprawiając żyrandol w szybszy ruch. - Słuchaj, jak dźwięczy!

- Natychmiast! - powtórzył znacznie bardziej zdecydowanym tonem.

- Nigdy nie pozwalasz mi na zabawę - poskarżyła się.

Mallory odwrócił się do barmana.

- Czy może mi pan zrobić brandy Aleksandra?

- Jasne. Ale po co?

- Dla niej, tylko bez alkoholu.

- Przecież to będzie sama śmietana - zdziwił się barman.

- I o to chodzi.

Mężczyzna wzruszył ramionami, sięgnął pod kontuar, wyjął stamtąd szklanekę i napełnił ją śmietanką. Mallory postawił ją na barze.

- Jeśli zejdziesz w ciągu pięciu sekund, będzie twoja.

Felina wybiła się w powietrze, zrobiła potrójne salto i wyładowała zgrabnie na kontuarze, w pobliżu szklanki. Natychmiast chwyciła ją w ręce i zaczęła łapczywie chleptać.

- Nie wolno sadzać zwierząt na kontuarze -burknął barman.

Syknęła na niego, ale zeskoczyła na podłogę, zanim Mallory zdążył jej odebrać śmietankę.

- Przepraszam za ten incydent - powiedział detektyw i podał barmanowi banknot. - Pilnuj, żeby miała co pić, a nie będzie dalszych problemów. -Mężczyzna wsunął banknot do kieszeni. - A skoro już tu jestem, czy możesz mi powiedzieć słówko o jednym ze stałych klientów?

- O kim?

- O Władzie Drabuli.

- Dziwny jest ten staruch - powiedział barman. -Wygląda, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł go przewrócić, ale pewnej nocy, kiedy odwiedziła nas drużyna trolli wracająca z turnieju kręglarskiego -zdaje się, że używają tam żywych gremlinów zamiast kręgli - jeden z olbrzymów wyzwiał go, choć nie powiem panu jak, żeby się siłowali na rękę. Stawiałem na to, że troll wyrwie mu tę suchą łapkę w mniej niż pół sekundy, ale gdzie tam, dziad wygrał tę walkę, a potem położył jeszcze wszystkich innych zawodników obecnych w barze. - Facet za kontuarem pokręcił głową z podziwem. - Dziwny staruch.

- Od jak dawna tutaj przychodzi? - zapytał Mallory.

- Od kilku dni, ale już można go nazwać naszym stałym klientem. - Wskazał pustą łóżę. - Tam jest jego miejsce.

- Powiada pan, że tam najczęściej siada?

- Wykupił ją aż do następnego roku. Dał szefowi całe pięć tysięcy dolarów. Jest zarezerwowana dla niego i nikt inny nie ma prawa z niej korzystać. Dlatego powiedziałem, że jest stałym klientem.

- A co zamawia do jedzenia albo picia, gdy tu przychodzi?

- Nic. Siedzi tam po prostu ze szklanką wody. Ale jeszcze nie widziałem, żeby pociągnął choćby łyk.

- A o czym rozmawia?

- To zależy. Facet ma jaką taką wiedzę na niemal każdy temat, ale chyba nic go tak naprawdę nie interesuje. Dziwny staruch. Wygląda nieszczególnie, ale jest w nim coś takiego, co mówi, że gdyby nawet był pan najtwardszym gościem w mieście, to lepiej z nim nie zadzierać. Prawdopodobnie nadrabia sprytem to, czego nie pozwala mu osiągać fizyczność. Człowiek nie dożyje tak późnej starości, jeśli nie jest ostry jak brzytwa.

- A jest jakaś szansa na to, że wróci tu jeszcze dzisiejszej nocy? - zapytał detektyw.

Barman pokręcił głową.

- Był już, a nigdy nie pojawia się dwa razy tego samego wieczora.

- Dzięki - powiedział Mallory i podszedł do łóży wynajętej przez Drabulę. - Felino, przestań bawić się tą śmietanką i pojdź tutaj.

Dziewczyna-kot odwróciła się do niego plecami.

- Jeśli zmusisz mnie do pójścia po ciebie, wyleję ci całą resztę drinka!

Podeszła do niego z nadętym wyrazem kociej twarzy, trzymając szklanę mocno, obiema dłońmi.

- Nikt nie siedział na tym miejscu oprócz Włada? -
upewnił się detektyw, spoglądając na barmana.

- Nikt.

- Felino, obwąchaj tę łożę i sprawdź, czy wyczujesz zapach gościa, który w niej ostatnio siedział.

- Nie muszę - odparła dziewczyna-kot. - Stąd czuję jego smród. To strasznie stary pan.

- Rozpoznasz ten zapach, jeśli znowu na niego trafimy?

- Tak.

- A jeśli znajdziemy trop, podążysz za nim?

- Pod warunkiem, że kupisz mi dwa wróble, gołębia i bawołu.

- Potargujemy się o nie później. Teraz powiedz mi, czy będziesz w stanie podążać za tym zapachem, jeśli go znajdziemy poza klubem?

- Tak.

- No to bierzmy się od razu do roboty. Czy trop prowadzi do windy?

Zrobiła kilka kroków w stronę szybów wind i zatrzymała się.

- On nie poszedł tą drogą.

- Czy macie tutaj jakieś schody przeciwpożarowe? - Mal-lory zwrócił się do barmana, a ten wskazał mu świecący napis nad drzwiami w głębi holu. -A co powiesz na ten kierunek? - zapytał detektyw Felinę, wskazując jej nowy cel.

Znowu zatrzymała się po zrobieniu kilku kroków.

- Tą drogą też nie poszedł.

- Dobrze, podejźmy do tej sprawy z zupełnie innej strony - stwierdził detektyw. - Może podejmiesz jego trop i sama mi powiesz, jaką drogą opuścił ten lokal?

Obwąchiwała powietrze przez kilka chwil, a potem podeszła do otwartego okna.

- Tędy wyszedł - oznajmiła.

- Ten sukinsyn odleciał stąd na własnych skrzydłach! - wymamrotał Mallory. - A niech to szlag!

I tyle z podążania jego tropem!

Wrócił do kasyna i ponownie odszukał Mary Królową Szparek.

- Czy on ma jeszcze jakieś ulubione miejsca, o których wiesz? - zapytał.

Zaprzeczyła stanowczo.

- Przypłynął do Ameryki przed paroma dniami - odparła. - Nie sądzę, żeby w tak krótkim czasie mógł ich znaleźć za wiele.

- Nigdy nie wspominał o konkretnym domu pogrzebowym?

- Nie.

- Cholera! - mruknął detektyw. - W tym mieście są ich dziesiątki. Wygląda na to, że trzeba będzie je sprawdzać na piechotę.

- Niekoniecznie - wtrąciła Mary.

- Tak?

- Istnieje lepszy sposób na znalezienie tego wampira - stwierdziła.

- Z przyjemnością go poznam - oświadczył Mallory. - Proszę mnie oświecić.

- Zastanawia się pan, gdzie spoczywają martwe istoty? - zapytała Mary.

- Owszem.

- Ale to zaledwie część jego osobowości - kontynuowała kobieta. - To prawda, jest nieumarłym, ale nie tylko... - Mallory zmarszczył brwi, desperacko próbując nadążyć za jej tokiem myślenia. - Widziałam, że wypytywał pan o niego w barze. Więc już pan wie, że on jest także nietoperzem... A gdzie powinien polecieć nietoperz, żeby się zrelaksować i wypocząć?

- Do zoo? - zapytał Mallory, mając pewność, że nie o to jej chodziło i właśnie totalnie się wygłupił.

- Ale z pana detektyw - prychnęła Mary. - Mieszka pan na Manhattanie? Wystarczy chwilę pomyśleć...

- No jasne! - wrzasnął Mallory. - Park Battery!

Rozdział osiemnasty

01.26 - 01.49

Złapali autobus jadący na południe. Mallory usiadł na fotelu z rozprutym oparciem. Felina przycupnęła na sąsiednim, studiując pornograficzne graffiti z tajemniczym wyrazem na kocim obliczu. Nathan, któremu skrzydła nie pozwalały siadać na fotelach, stanął na jednej nodze, opierając się na dzidzie.

- Zaraz się przewrócisz, Łuskowaty Jimie -ostrzegł go McGuire, który zasiadł naprzeciw Mallory,ego.

- Widziałem taką pozycję w książce - odparł Nathan. - Masajowie potrafią stać tak godzinami.

- To musiała być jakaś mało znana książka - powiedział McGuire. - W życiu nie słyszałem o czymś takim.

- Powinieneś więcej czytać o zwyczajach Masajów. Oni pili krew na długo przed tym, zanim urodził się Arystoteles Draconis.

- Ale na pewno nie przed urodzeniem Włada Drabuli, jeśli wierzyć temu, co o nim mówią - wypalił w odpowiedzi mały wampir.

- A ty w to wierzysz? - zapytał Nathan.

- Oczywiście, on jest bardziej wiekowy od najstarszych drzew - stwierdził McGuire, a potem zaraz dodał: - I niektórych kamieni.

- Wygląda mi na to, że strasznie się go boisz.

- Bo to prawda.

- Dlaczego więc wciąż jesteś z nami? - zapytał smok.

- Jak ja nie lubię takich pytań - odburknął mały wampir.

- Jest z nami, bo obiecał mi pomoc - odpowiedział za niego Mallory - a jako prawdziwy mężczyzna nie łamie raz danego słowa.

- A jako wampirek? - zapytał Nathan.

- Póki co też nie złamał.

Smok wzruszył ramionami, ale z samej jego postawy można było wyczytać, że nie darzy zbyt dużą estymą wampirów, nawet tych łysiejących i kurdupłowatych.

Na zewnątrz panował tak wielki ruch, że autobus musiał zwolnić. Kolejni kierowcy naciskali nerwowo na klaksony, co nie wpływało wcale na zwiększenie tempa jazdy, tylko czyniło ją jeszcze trudniejszą ze względu na potworny hałas.

- Skąd oni się tu, u diabła, wzięli? - złorzeczył Mallory. - Osiem zylionów samochodów wyjechało na ulice tej nocy, a ja nie znam ani jednego nowojorczyka, który ma prawo jazdy.

Autobus z trudem przebijał się przez korek, ale w końcu niecały kwadrans później wysiedli przy parku Battery, na po-

łudniowym krańcu Manhattanu, tam gdzie dawno temu powstała pierwsza osada kolonistów.

- Może to jednak nie był najlepszy pomysł - stwierdził detektyw, lustrując okolicę. - Nie skończymy przeszukiwania tych wszystkich domów przed Dniem Niepodległości.

- Wyczuwam go - oświadczyła Felina.

- Gdzie? - zapytał detektyw i nagle zrobił się czujny.

Wskazała na lewo.

- Gdzieś tam.

- Siedzi na terenie parku - powiedział Nathan.

- Zaraz się tego dowiemy - stwierdził Mallory. - Chodźmy, a ty, Felino, nie oddalaj się od nas za bardzo. Ten wampir może być bardzo niebezpieczny.

- To by nawet pasowało - mruknął zamyślony McGuire.

- Co by pasowało? - zapytał smok.

- Park Battery - odparł mały wampir. - W okolicy aż się roi od biurowców i domów mieszkalnych, ale nikt nie kręci się nocą po terenie parku. Może z wyjątkiem wampirów i różnych gryzoni - dodał.

- Moim zdaniem, to wcale nie musi aż tak bardzo pasować, jak myślisz - stwierdził Mallory.

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony McGuire.

- Wydawało mi się, że on może zasnąć wyłącznie na ojczystej ziemi. A tej w nowojorskich parkach raczej za wiele nie znajdzie. Wątpię, żeby tutaj trzymał swoją trumnę.

- A kto mówi o spaniu w parku? - obruszył się mały wampir. - Nie zapominaj, że on sypia wyłącznie w dzień.

- Dobrze, w takim razie co robi tutaj po nocy? - zapytał Mallory.

- Zwabia ofiary, odbywa romantyczne randki z innymi stworzeniami mojego albo waszego gatunku, a może szuka chwili wytchnienia pomiędzy swojakami.

- Ale o świcie musi wrócić do swojej trumny?

- Raczej do ziemi - wyjaśnił fachowo McGuire. - Trumna to w zasadzie tylko opakowanie.

- W takiej sytuacji Skrzydlaty O'Bannon kazałby wytrościć wampira swojej kotowatej przewodniczce - wtrącił Nathan.

- A sam wyciągnąłby kilka wampirów z ich gniazd i pięściami wydobyłby z nich wszystkie potrzebne mu informacje.

- Naprawdę tak by zrobił? - zapytał Mallory.

- Przecież każdy detektyw twardej tak postępuje.

- Zwłaszcza w sytuacji, gdy wokół niego czają się setki albo i tysiące zaprzyjaźnionych z ofiarą krwio pijców, którzy mają świadomość, że żaden policjant nie patroluje terenów parku nocą.

- Dlaczego uważasz, że gliniarze nie zapuszczają się do tego parku w nocy? - zapytał smok.

- Jesteśmy teraz na terenie parku - przypomniał mu detektyw. - Widzisz gdzieś jakichś gliniarzy?

- Cóż, teraz kiedy zwróciłeś mi na ten fakt uwagę... - powiedział Nathan i skrzywił się potwornie. -

Zdaje się, że utkwiliśmy w ślepej uliczce i nie mamy kogo o drogę zapytać.

- Czy tak brzmi twoja ocena sytuacji? - zapytał Mallory.

- Tak.

- Że też udało ci się sprzedać aż sześćset egzemplarzy ostatniej książki...

- A co możemy zrobić w takiej sytuacji? - zapytał zadziornie smok.

- Felina może podążać tropem Włada Drabuli do momentu, aż go odnajdziemy. Możemy też wyciągnąć kilka użytecznych informacji z innych mieszkańców parku. Zdziwiłbyś się, jak chętnie rozmawiają z detektywami, kiedy zamiast fangi w nos zaoferujesz im garść drobniaków. Może tym sposobem odnajdziemy trumnę Drabuli.

- Tutaj na pewno jej nie ma.

- Wiem o tym - przyznał Mallory - ale w dokach po drugiej stronie zacumowano kilka sporych frachtowców. - Wskazał pirsy zaczynające się tuż za terenami parkowymi.

- Racja - powiedział Nathan. - Możesz spróbować takich rozwiązań, ale żadna z tych rzeczy nie przystoi prawdziwemu twardzielowi z licencją.

- Być może odkryłeś właśnie przyczynę, dlaczego tak niewielu z nich dożywa trzydziestki - odparł detektyw. - Jak wielki może być ten park?

- Podobno zajmuje dwadzieścia jeden akrów - podpowiedział mu McGuire.

- To by nawet pasowało - mruknął Mallory.

Mikę Resnick

- Musi - stwierdził mały wampir. - Wyczytałem to w przewodniku.

Gdy weszli między wyższe drzewa, detektyw zauważył, że z ich gałęzi zwisają tysiące, jeśli nie miliony śpiących nietoperzy. Większość z nich była mała i wyglądała normalnie, ale między nimi znajdowały się także prawdziwe olbrzymy, które musiały być wampirami.

Wkrótce dotarli do całodobowego saturatora obsługiwanego przez dwa gobliny. Stwory te, jak zauważył detektyw, wykazywały się na tym święcie znakomitym zmysłem han-

dlowym, zwłaszcza w branżach spożywczych, zostawiając w tyle pozostałe rasy, nie wyłączając nawet człowieka.

- Kupujcie lemoniadę! Tylko sześć dolarów za kubek!

- Trochę drogo, jak za taką ilość zwykłego napoju - obruszył się Mallory.

- Jeśli znajdziesz kogoś, kto sprzeda ci lemoniadę taniej, zejdziemy do jego ceny. Tu rządzą prawa rynku, kolego.

- Domyślam się, że nie ma tutaj zbyt wielkiej konkurencji - odparł detektyw. - W końcu mamy początek listopada. Tylko wyjątkowy debil mógłby rywalizować z wami we wciśkaniu innym mrożonych napoi.

- Sam widzisz - wtrącił drugi goblin. - Chcesz się napić mrożonej lemoniady, musisz przyjść do nas.

- Ale ja wcale nie chcę jej pić - zaprzeczył Mallory. - Jest tak zimno, że para z ust mi bucha.

Pierwszy goblin wyjął skądś parę okularów.

- Polaryzowane soczewki - powiedział. - Dzięki nim para nie będzie ci zasłaniała pola widzenia.

- Świetnie, ale i tak nie zamierzam kupować od was lemoniady.

- A co powiesz na mrożoną herbatkę z cytryną? -zapytał drugi z handlarzy. - Tyle tylko, że herbatę musisz sobie sam wyobrazić.

- Zapomnij o tym - zbył go Mallory. - Ale może dostanę od was coś, czego ja chcę?

- W tym roku raczej nie poprzemy tak radykalnych zmian... - odparł z powątpiewaniem pierwszy goblin.

- Ale słuchanie póki co jeszcze nie boli - dodał drugi. - Zwłaszcza że tkwimy tutaj z siedemnastoma beczkami lemoniady, której nikt nie kupuje.

- Szukam wampira - rzucił Mallory.

- No to trafiłeś, bracie, we właściwe miejsce - powiedział pierwszy goblin z wielkim entuzjazmem. - Przedstawię cię pewnej dziewiętnastolatce, piękne ciało, wspaniałe uzębienie, jak cię chwyci za rękę, to jeszcze długo będziesz miał ślady po jej pazurkach.

- Mówisz o Verze? - zapytał drugi z handlarzy.

- Tak. Ale z niej cukiereczek!

- Ale Vera Cruz ma dopiero piętnaście lat.

- Niby tak... Ale jest nad wiek rozwinięta - wyjaśnił pierwszy goblin Mallory'emu. - I co ty na to, kolego?

- Powiem tyle, że nie jej szukam.

- Tak? Dlaczego w takim razie wypytujesz nas o niezapomniane grzeszne noce w towarzystwie nieletniej wampirzycy?

- Wybaczcie, ale nie mam pojęcia, o czym mówicie - odparł Mallory. - Może zamiast rozmawiać o niej, pomożecie mi znaleźć tego wampira, którego szukam?

- To nie będzie już tak zabawne, ale co mi tam, mów, o kogo chodzi - powiedział pierwszy z goblinów.

- O wampira zwanego Wład Drabula.

- To brzmi jak nazwisko jakiegoś faceta.

- Zgadza się.

- W takim razie pytanie nie do nas - powiedział goblin. - Musisz zasięgnąć rady prawdziwego fachowca.

- Fachowca od czego? - zapytał Mallory.

- Od wampirzych samców. - Handlarz lemoniadą włożył dwa palce do pyska i wydał tak wysoki gwizd, że Mallory przez chwilę myślał, iż powypadają mu wszystkie plomby.

- Ej, wy tam, może by tak trochę ciszej - zaburczał coś, co sądząc po głosie, nie należało do rodzaju ludzkiego, ale nie

było też nietoperzem. - Liczcie się z tym, że ktoś tutaj próbuje zasnąć.

- Ktoś tutaj nie miał kasy na komorne - odparł zawadiacko goblin.

- Nie wszyscy z nas stręczą piętnastoletnie dziewczynki - odrzekło stworzenie. - Są też tacy, którzy uczciwie zarabiają na życie.

- Ty na ten przykład testujesz nocami ławki w parkach - kpił dalej goblin.

Głos w ciemności zaklął i Mallory usłyszał stłumiony łoskot spadającego ciała, a potem oddalające się szurnięcia kroków.

- Kto to był, u licha?

- Billy Bitchum.

- Billy Bitchum? - powtórzył machinalnie Mallory. - Czy to nie on był tym znanym plotkarskim felietonistą kilka lat temu?

- On sam.

- Co się z nim porobiło?

- Cały ten syf, który przyswajał w pracy, zmienił go w końcu w coś takiego. - Goblin wskazał palcem na niezbyt ludzką sylwetkę odchodzącą niezdarnie w głąb parku. - Po jakimś czasie ilość gówna, jakie za jego sprawą wylewało się z łamów pisma, odrzuciła nawet najzagorzalszych czytelników. Ponoć każdy egzemplarz gazety cuchnął niczym najbrudniejszy wychodek. No i stracił w końcu robotę. Chciał pożyczyć trochę pieniędzy, ale nie miał od kogo. Oczernił chyba każdego, kogo w życiu poznał. Nikt nie chciał dać mu złamanego grosza, nawet na tak szlachetny cel jak wyjazd na koniec świata, więc skończył tutaj, śpiąc każdej nocy na innej ławce. Kiedy mu się skończy, chyba przeniesie się do Gramercy.

- Dlaczego nie wybierze sobie jednej i nie zostanie na niej na dłużej? - zapytał Mallory.

- Bo ławka z rana cuchnie jak nie powiem co. Wprawdzie przestał już pisać te swoje brednie, ale nadal pełno w nim tabloidowego gówna... - goblin zamilkł na moment. - Jesteś pewien, że nie potrzebujesz paczki beznikotynowych papierosów?

- W końcu udało się wyprodukować papierosy, które nie zawierają ani miligrama nikotyny? - zdziwił się detektyw.

Mikę Resnick

- A jak! - odparł goblin i podał Mallory'emu jednego papierosa. Ten obejrzał go uważnie i zmarszczył brwi.

- Przecież to sama bibułka - powiedział w końcu. - Nic w niej nie ma.

- Widzisz? - odparł goblin. - Stuprocentowo wolne od nikotyny!

- Nie mówiąc już o stuprocentowym braku tytoniu.

- Zgadza się, dlatego nie ma w nich też żadnych substancji rakotwórczych.

Gdy goblin skończył wypowiadać te słowa, z ciemności wychynął niski mężczyzna, którego ręce wciąż jeszcze były przemienione w skrzydła. Miał na sobie luźną kolorową koszulę z satyny, brokatową kamizelkę, obcisłe spodnie i różowe baletki. Nos faceta wyglądał, jakby za wszelką cenę chciał oderwać się od reszty twarzy, a jego koniuszek był niemal czarny.

- Czemu to tak długo trwało? - zapytał goblin. - Nie słyssałeś mojego gwizdu?

- Wiesz przecież, że potrzebuję chwilki czasu, żeby móc się pokazać - powiedział mężczyzna. - Gadaj, czego tym razem chcecie.

- Ten pan tutaj - goblin wskazał Mallory'ego - ma kilka pytań do ciebie.

- Mam pięć stóp i osiem cali wzrostu, nie cierpię sushi, za to uwielbiam Xawiera Cugata - powiedział szybko człowieczek.

- Nie o to chciałem zapytać - odparł detektyw. - Masz jakieś imię?

- Raoul.

- Witaj, Raoul. Szukam wampira, który nazywa się Wład Drabula. Wiesz może coś na jego temat?

- Czy on tańczy? Jest fanem Johnny'ego Matisa? Czy dolewa krwi do swojej latte?

- Nie mam pojęcia.

- A wiesz chociaż, czy jest nietoperzem owocożernym?

- Tego też nie wiem. Jeśli ci to w czymś pomoże, przypląnął niedawno z Transylwanii.

- Czy to gdzieś w pobliżu Guadalajary?

- Jakieś dziewięć, może dziesięć tysięcy mil od niej - sprecyzował Mallory.

- Skąd niby miałbym go znać? - zapytał Raoul. - Nie wszystkie wampiry mówią z obcym akcentem i śpią w błocie. Ja pochodzę z Ekwadoru. Spijam wyłącznie nektar z najśodszych młodych owoców - nie pytaj jakich - i sypiam w trumnie ze skórek po avocado, słuchając na walkmanie Charo grającego „Perfidie”.

- W takim razie przepraszamy za kłopot - powiedział Mallory.

- Nic się nie stało - odparł Raoul. - Zdążyłem się do tego przyzwycząić. - Spojrzał na Mallory'ego taksująco i dodał: - Olej tę trójkę dziwaków, wtedy porozmawiamy.

Odszedł na bok, podśpiewując pod nosem.

- Może weźmiesz tuzin dawno zwiędłych róż? -zapytał jeden z goblinów, przyglądając się uważnie bukietowi. - Czeka, tylko trzy są dawno zwiędłe, dziewięć padło dopiero co. One utworzą ci drogę do serca tego małego owocożernego wampirka.

- Przynajmniej on jeden dzisiaj nie próbował mi niczego wciskać - zauważył Mallory.

- Czy dzięki temu znalazłeś się bliżej swojego celu? - odparł urażony goblin. - Tyle na temat szczerości, która obok wstrzemięźliwości seksualnej

i wspierania z góry przegranych pretendentów należy do najbardziej przereklamowanych cnót.

- Dlaczego sprzedajesz lemoniadę w zimną listopadową noc, skoro jesteś taki cwany? - wypalił poirytowany Nathan.

- Na pewno jestem cwańszy od smoka, który łązi po nocy po moim parku i nie ma przy sobie nic do jedzenia ani picia.

Mallory nagle zdał sobie sprawę, że nie ma przy nim Feliny. Rozejrzał się i w końcu dostrzegł ją na gałęzi pobliskiego drzewa, jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią.

- Co tam robisz, u licha, Felino?

- On tutaj był - odparła.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Wskoczył.

- Co ty mówisz? Nasz wampir ma ciało dziewięćdziesięcioletniego starca - powiedział Mallory. - Na pewno zmienił się w nietoperza i podleciał.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Gdyby podleciał, jego buty wciąż leżałyby pod drzewem.

Mallory zrobił niewyraźną minę.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten antyczny dziadek podskoczył na tak wielką wysokość?

Felina potwierdziła skinieniem głowy i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- To nie takie trudne.
- Skakanie?
- No przecież mówię.
- Co zrobił, kiedy opuścił tę gałąź?
- Nie mam pojęcia, ale mogę sprawdzić, jeśli chcesz.
- Tak, chcę - powiedział Mallory.
- Za złotą rybkę.
- Dobrze.
- I ślimaka.
- Nie przeginaj!
- A do tego trzy zebry i wielkiego żarłacza białego!
- Baw się dobrze tam na drzewie - rozzłościł się Mallory.

- Idziemy stąd!

- Pół złotej rybki! - zapiszczała Felina.
- Do widzenia.

Nagle dziewczyna-kot śmignęła z gałęzi i wylądowała na plecach detektywa, posyłając go na ziemię.

- Obronię cię, Johnnie Justinie! - zawołała.

Mallory odwrócił głowę w sam raz, by zobaczyć, jak Felina stroszy pazury i rzuca się na ostatniego komara na tej półkuli, który nieświadom nadchodzącego zagrożenia leciał ospale, rozmyślając o własnych problemach.

- I gdzie byś teraz był, Johnnie Justinie, gdyby nie ja? - zapytała, pusząc się jak paw.
- Na nogach - odparł detektyw ze złością.

- To był komar morderca - ciągnęła dziewczyna--kot. - Na pewno roznosił cholerarię. Ocalałam ci życie, Johnie Justynie. - Zaczęła mruzczyć. - Podrap mnie po plecach.

- Czy wy często się tak czulicie? - zapytał Nathan.

- Tylko wtedy, gdy ona nie śpi - odparł Mallory.

- Nie nabijałem się z ciebie - wyjaśnił szybko smok. - Ale tak sobie myślę, czy Skrzydlatemu O'Bannonowi nie przydałaby się pomoc. A ta kocica nie dość, że jest znakomitym tropicielem, to jeszcze może robić za wyjątkową postać komiczną.

- Raczej śmieszna - mruknął Mallory, z trudem podnosząc się z trawy.

- Hej! - zawołał nagle McGuire. - Znalazłem tu starego kumpla! - Mały wampir zaczął wymachiwać rękami nad głową. - Hej, Bubba! Tutaj jestem! To ja, Kijaszek!

Podszedł do nich zwalisty mężczyzna o potężnych ramionach, sylwetce atlety i szerokim uśmiechu przyklejonym do ust.

- Kijaszek, ty mały draniu! - zawołał. - Jak się masz!

- Doskonale - odparł McGuire. - Chociaż, prawdę powiedziawszy, bywało już lepiej, ale dzisiaj akurat nie mogę narzekać. Chodź tutaj, chcę ci przedstawić kilku moich przyjaciół. To Łuskowaty Jim Chandler, pisarz kryminałów. To Felina, w sumie kotowata. A tu masz mojego najlepszego kumpla, Johna Justina Mallory'ego, najsłynniejszego detektywa świata.

- Zakładając, że granice tego, co Kijaszek nazywa światem, zaczynają się nie dalej niż o dziesięć stóp od drzwi mojego biura - sprostował Mallory, wyciągając dłoń na powitanie.

- Miło mi pana poznać - powiedział przybysz. - Jestem Bubba Preston.

- Czy to nie pan grał na pozycji fullbacka u Masherów? - zapytał Nathan.

- Tak - potwierdził Bubba. - I nawet miałem szanse na zaliczenie tysiąca jardów w jednym sezonie. Pamiętam ten dzień, który zakończył moją karierę, jakby to było dzisiaj. Otrzymałem piłkę na czterdziestym siódmym jardzie, na prawej stronie boiska. Przebiegłem z nią może pięć kroków, zanim dopadły mnie Zielone Diabły. Ośmiu ich na mnie leżało. I nagle poczułem, że jeden z nich zatapia kły w mojej łydce. W sumie nic dziwnego, nie takie rzeczy miały miejsce na spodzie kupy, ale potem okazało się, że ukąsił mnie sam Jason Grim. Na pewno wszyscy znacie jego historię.

- Ja chyba nie znam - przyznał się Mallory.

- Zawiesili go na rok za pogryzienie jakiegoś biedaka w klubie nocnym. Po tym wyroku facet uznał, że bez futbolu nie ma dla niego życia, i umyślił sobie, że skończy z tą męką raz na zawsze. Skoczył z samego szczytu Vampire State Building, ale do ziemi nie doleciał. Zanim minął okna czterdziestego piętra, wypadł z ciuchów i rozwinął skrzydła. No i gryziopórki dowiedziały się w końcu, dlaczego tak lubił gryźć innych zawodników. Ośmiu albo nawet dziewięciu z nas przypląciło te jego zabawy złamaną karierą. Wszystko z powodu przepisów, które ograniczały ilość wampirów na boisku do góra trzech osobników. A ja byłem tym czwartym pokąsanym, więc pozbyli się mnie, można powiedzieć, z klucza.

Właściciele klubu twierdzili, że to tylko regulacja związana z kwestiami finansowymi, a ja, że chodzi o zwykły rasizm. Komisarz ligi już po raz trzeci odrzucił moje podanie o ponowne przyjęcie.

- Będziesz próbował dalej? - zapytał McGuire.

- Jasne! Futbol to moje życie. Ale tym razem mam nową strategię. Dość już powtarzania, jak bardzo mi przykro i ile dla mnie znaczy granie w lidze. Na następnej komisji powiem te-

mu prykowi, że ma naprawdę smacznie wyglądającą córeczkę.

- Bubba wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jeśli to nie poskutkuje, kto wie, może naprawdę sprawdzę, jak ona smakuje?

- Co byś powiedział na wspólny lunch w przyszłym tygodniu? - podchwycił temat jedzenia Nathan. - Mogę przynieść ze sobą dyktafon? Twoja historia naprawdę mnie zafascynowała. Wydaje mi się, że mógłbym oprzeć na niej jeden z rozdziałów mojej nowej książki o Skrzydlatym O'Bannonie.

- Mnie to pasuje - odparł Bubba. - O ile nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby zjeść coś przed trzecią rano. Ostatnio nie chadzam zbyt dużo za dnia. Słońce niezbyt mi służy na cerę.

- Załatwione - powiedział Nathan.

- A co ty tu porabiasz, Kijaszek? - zapytał Bubba. - Czy twoi przyjaciele są już... jak by to ująć... nawróceni?

- Nie - odparł McGuire. - Szukamy kogoś, kto naszym zdaniem przebywał ostatnio na terenie tego parku.

- Może uda mi się wam pomóc. Jak nazywa się poszukiwany?

- Wład Drabula - odparł Mallory.

- Uważajcie na niego - ostrzegł Preston, poważniejąc w jednej chwili. - Nie chcecie z nim zadzierać.

- Niewiarygodne, ty też czegoś się boisz - stwierdził zaskoczony McGuire.

- On jest taki... dziwny - wyjaśnił Bubba. - Nawet wampiry nie chcą wchodzić mu w drogę.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie możemy go teraz znaleźć? - zapytał Mallory.

Bubba pokręcił głową.

- Nie zatrzymuje się w żadnym miejscu na dłużej niż godzinę. Wydaje mi się, że na tym właśnie polega tajemnica jego długowieczności. Facet nie lubi być statycznym celem.

- Ale o świcie musi się przecież położyć do trumny - naciskał detektyw.

- Ile istot zamieszkuje tę wyspę? - zapytał w odpowiedzi Preston. - Siedem milionów? Osiem? Ile jest na niej mieszkań i pomieszczeń biurowych? Facet ma do wyboru prawie szesnaście milionów kryjówek. Jak chcesz go namierzyć?

- Przy pomocy dedukcji i doskonałych metod detektywistycznych - wtrącił Nathan. - I właśnie dlatego kolega Mallory zaprosił do współpracy znanego autora powieści kryminalnych o Skrzydlatym O'Bannonie, aby ten służył mu radą i pomocą.

- Ten wampir zabił bratanka mojej współpracownicy - wyjaśnił detektyw. - Dlatego chcę go dopaść bez względu na to, jak jest niebezpieczny. Możesz mi w tym pomóc?

- Widzę, że nie dasz się odwieść od tego zamiaru.

- Nie.

- Niech ci będzie - zgodził się Bubba. - Najlepsza rada, jaką mogę ci dać, jest taka: znajdź sobie mocne wsparcie.

- Mam już ze sobą smoka, dziewczynę-kota...

- Musisz mieć prawdziwe wsparcie, mój drogi Mallory - przerwał mu Bubba. - Nie zbieranie dziwaków, tylko prawdziwych fachowców.

- Rozumiem. Kogo masz na myśli?

- Piątkę z Wall Street, a kogóż by innego.

- Czy oni pracują dla glin?

Bubba roześmiał się.

- To gliny pracują dla nich. Zaufaj mi, łapsie, jeśli chcesz mieć minimum szans w starciu z Władem, powinieneś postarać się o wsparcie ze strony Piątki z Wall Street.

- A gdzie ich znajdę?

- W budynku giełdy.

- Mają tam biura?

- Giełda jest ich własnością.

- Masz jakieś namiary na nich, nazwiska, numery telefonów? Ta sprawa musi być załatwiona, zanim nadejdzie świt.

- Wszyscy kręcą się po giełdzie przez całą dobę.

- Mówisz o nowojorskiej giełdzie papierów wartościowych? - zapytał z niedowierzaniem Mallory.

- Jak ich zobaczysz, wszystko zrozumiesz - zapewnił go Bubba i spojrzał gdzieś w lewo. - A o to i moje dziewczynki.

Podeszły do nich dwie około dwudziestoletnie, niezwykle piękne dziewczyny. A gdy jasny blask księżycy oświetlił ich twarze, Mallory zauważył, że one także posiadają ogromne wampirze kły.

- Mabel, Maxine, przywitajcie się ładnie z panem Mallorym i moim starym przyjacielem Kijaszkiem McGuire'em. - Obie dziewczyny uśmiechnęły się czarująco, ale gdy tylko obnażyły w pełni kły, detektyw poczuł zimny dreszcz na plecach. - A to jest Jimowaty Łuska Chandler, pisarz kryminałów.

- Łuskowaty Jim Chandler - poprawił go smok.

- A tam na drzewie to sam nie wiem, co siedzi, ale przyszło tu razem z nimi.

- Szukam śladów sów - oznajmiła Felina, obwąchując gałąź wiszącą niemal dziesięć stóp nad ziemią.

- Zatem nie wiesz, gdzie moglibyśmy znaleźć o tej porze Włada Drabulę? - naciskał dalej Mallory.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - odparł Bubba. -

I ty też nie powinieneś szukać tej wiedzy.

- Jak dostać się stąd na Wall Street? - zapytał detektyw. - Dość już mam łażenia bez celu.

- Widzisz tego dzieciaka z saksofonem? - odpowiedział pytaniem na pytanie były fullback, wskazując palcem chłopczyka, który właśnie wyłonił się z ciemności jakieś dwieście stóp od miejsca, w którym stali. - Przychodzi tutaj co noc, ponieważ rodzice i sąsiedzi zabraniają mu ćwiczyć. Mam nadzieję, że trafi na właściwą drogę, aż żał patrzeć na ten przykład braku miłości rodzicielskiej i oddania.

- Dziwi mnie, że jeszcze go nie ukąsiłeś - powiedział Mallory.

- Słuchaj no, łapsie, na świecie jest wystarczająca ilość zgniłych jaj. Nie muszę rozbijać świeżych.

- Celne spostrzeżenie - przyznał detektyw. - Lepiej już pójdziemy. Dzięki za informacje.

- Ja bym ci radził zapomnieć o całej sprawie - powiedział Bubba. - Chodźcie, dziewczęta. Czas coś przekąsić.

Zachichotały i dołączyły do niego, gdy ruszył w stronę budynków stojących tuż za zachodnią granicą parku.

- Wydawało mi się, że wampiry boją się ludzi--kotów - zauważył Mallory.

- Większość czuje przed nimi stracha - przyznał McGuire. - Ale Bubba to zawodnik futbolu amerykańskiego, profesjonalista. On boi się wyłącznie rzutów karnych i zgubienia piłki.

- Felino, powiedz mi, w którą stronę poszedł Wład? - zapytał detektyw.

Powęszyła przez chwilę, potem zeskoczyła z gracją z gałęzi i zatoczyła wielki krąg wokół pnia, nie odrywając nosa od trawy.

- Odleciał - obwieściła w końcu.
- Facet kręci się jak gówno w przerębli - zauważył Mallory. - Czy to zachowanie typowe dla wampira?
- Drabula ma kilka tysięcy lat - odparł McGuire. - Kto wie jakie są zwyczaje istot, które od tak dawna są wampirami?
- Mam nadzieję, że Winnifredzie bardziej się poszczęściło - mruknął detektyw. - Chodźmy stąd!
- Ale dokąd?
- Do budynku giełdy. Nie sądzisz chyba, że Bubba nas okłamał?
- Nie, on nigdy nie kłamie.
- Zatem powinniśmy udać się teraz na Wall Street - powiedział zdecydowanym tonem Mallory.

Ruszył przed siebie, zatrzymując się jedynie na moment, aby wcisnąć dzieciakowi dolarowy banknot w wylot saksofonu, a potem przypadkiem rzucił okiem w bok, za pobliskie krzewy, i dostrzegł tam młodą, zapłakaną kobietę.

- Czy coś się stało? - zapytał z troską w głosie.
- Nic mi nie jest - odparła, choć łzy nadal płynęły jej po policzkach.
- Kto panią skrzywdził?
- Pan.
- Ja?
- Nie. Zakochałam się w facecie imieniem Pan. -Obnażyła szyję, by pokazać całą kolekcję śladów po ukąszeniach. - Pozwoliłam mu się nawrócić, aby udowodnić moją miłość. Mieliśmy na wieczność pozostać razem. Tutaj wyznaczył mi miejsce spotkania, tej nocy... i nie przyszedł! Teraz przez wieczność będę samotna i... nieumarła.

Znowu zaniosała się głośnym szlochem. Mallory nie miał pojęcia, jak mógłby jej pomóc, więc po wypowiedzeniu kilku

uspokajających słów ruszył dalej. Nie dane mu było jednak przejść więcej niż ćwierć mili w spokoju. Na jednym z rozwidleń ścieżek stał kościsty człowieczek.

- Witam szanownych panów - zagaił. - No i panią, rzecz jasna. Powiedzcie, czyż to nie piękna noc?

- Cudowna - odparł zmęczonym głosem Mallory.

- Na pana miejscu nie narzekałbym tak głośno - stwierdził mężczyzna. - Mogłoby przecież padać.

- Co pan sprzedaje? - zapytał detektyw. - Parasole?

- Ochronę - poprawił go kościsty człowieczek. - Każdy agent może ubezpieczyć panu samochód albo mieszkanie. Ale kto ochroni pana przed deszczem ropuch albo lądowaniem statku kosmicznego z *Sinusa vii* na dachu nieruchomości?

- Niech zgadnę... - zaczął Mallory.

- Nie musi pan zgadywać - przerwał mu mężczyzna. - Dimitrios, agent od katastrofalnych nie-oczywistości, do waszych usług. Podejmuję się największego ryzyka za najmniejszą cenę... - zamilkł na moment. - Chyba nic nie pomyliłem i nie miało być odwrotnie. Diabła tam. Oto jestem, wasz przyjaciel i wybawca.

- Poszukujemy pewnego wampira - poinformował go Nathan.

- Wampiry to moja specjalność! - ucieszył się Dimitrios.

- Ile będzie nas kosztowało ubezpieczenie od schwyta nia Włada Drabuli?

- Czy pan powiedział „Włada Drabuli”?

- Zgadza się.

- Miło mi było poznać państwa - oświadczył pośpiesznie agent, cofając się ostrożnie. - Przekażcie mu pozdrowienia, jak go spotkacie, ale mojego imienia nie musicie przy tej okazji wymieniać.

I już go nie było.

- Widzę, że facet ma nielichą reputację - zauważył Mallory.

- Kto, Dimitrios? - zdziwił się mały wampir. - W życiu o nim nie słyszałem.

- Wład - poprawił go detektyw.

- Ciekawe, czy można kupić ochronę przed kimś takim?

- Chyba tylko wtedy, gdy ma się więcej pieniędzy od niego - odparł Mallory.

Okrążyli następną kępę krzaków i wpadli na strapionego młodego dżentelmena we fraku.

- Wybaczą państwo - powiedział ów człowiek. - To moja wina, zupełnie nie uważałem przez to strapienie. Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało.

- Nie.

- To niesprawiedliwe! - kontynuował młodzieniec. - Nikt nie powinien mieć aż tak wielkiego pecha!

- Co się stało? - zapytał Mallory.

- Nie powinienem obarczać pana brzemieniem moich osobistych problemów.

- Moja praca polega na rozwiązywaniu cudzych problemów. Może uda mi się panu pomóc.

- Nikt mi nie może pomóc! Ona zniknęła i już nigdy jej nie odnajdę!

- Kto zniknął?

- Kobieta, z którą miałem zamiar spędzić resztę mojego życia. - Nagle obnażył kły. - Czyli całkiem spory kawał czasu. A teraz jestem skazany na wieczną samotność. - Pokręcił głową w geście bezradności. - Przysięgała czekać na mnie przy krzewie purpurowej chryzantemy, tutaj, w parku. Cóż ja takiego uczyniłem, że odeszła?

- Czy pan przypadkiem nie ma na imię Pan? -zapytał Mallory.

- Skąd pan wiedział? - zdziwił się młodzieniec.

- Cóż, wiem znacznie więcej, niż pan przypuszcza - odparł detektyw. - Na przykład to, że stoi pan teraz pod krzewem purpurowych astrów.

- Purpurowych astrów? - powtórzył młody wampir.

- Wiem także, że niecałe ćwierć mili w tamtym kierunku pod krzewem purpurowych chryzantem stoi zapłakana kobieta - dodał Mallory, wskazując w głąb ścieżki.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować! - zawołał wampir elegant, całując siarczyście Mallory'ego w oba policzki i z trudem hamując się przy tym przed ukąszeniem go w odsłoniętą szyję. - Ocalił mi pan życie. Jeśli jest coś, czym mógłbym się panu odwdzięczyć, wystarczy jedno pańskie słowo!

Gdy uszczęśliwiony kochanek ruszył biegiem w kierunku chryzantem i czekającej pod nimi dziewczyny, Mallory wyszeptał pod nosem:

- To może nastąpić szybciej, niż się pan spodziewa...

Pięć minut później zespół detektywa dotarł do wyjścia z parku i skierował się w stronę Wall Street.

Rozdział dziewiętnasty

01.49 - 02.01

Giełda papierów wartościowych - oznajmił Nathan, gdy zobaczyli w oddali charakterystyczny budynek. - Akcja zaczyna się zagęszczać.

- A do tej pory jaka niby była? Rozwodniona? - zapytał Mallory. - Spędziliśmy niemal pół wigilii Wszystkich Świętych na poszukiwaniu wampira, którego nikt z nas nigdy nie widział, a jeśli go w końcu odnajdziemy, okaże się, że jest dwudziestokrotnie silniejszy niż my wszyscy razem wzięci.

- Nie rozumiesz, na jakiej zasadzie konstruuje się akcję kryminałów - zaprotestował smok. - Od czasu do czasu muszą być momenty kulminacyjne.

- O ile nie będą wymagały upustu mojej krwi, mogą sobie być... - odparł detektyw.

- Staram się wykombinować, co Skrzydlaty O'Bannon zrobiłby w tej sytuacji...

- Z tego, co mi do tej pory opowiadałeś, w trakcie obmyślenia kolejnego ruchu powinien uwieść przynajmniej połowę dziewczyn biorących udział w konkursie Miss Nagiej Piękności Manhattanu.

- Uraziłeś mnie tym stwierdzeniem, i to bardzo - zachnął się Nathan.

- Chcesz zaprzeczyć moim słowom?

- Nie. Ale nadal odnoszę wrażenie, że chciałeś mnie obrazić.

- Tylko nie odnoś go zbyt daleko - poradził mu Mallory. - Zaraz wchodzimy do środka.

- Już tu kiedyś byłam - stwierdziła nagle Felina, poruszając szybko nozdrzami.

- Wiem - odparł detektyw - ale mam nadzieję, że tutejsi strażnicy o tym zapomnieli.

- Ciekaw jestem, co tam narozrabiwała.

- To naprawdę długa historia.

(Nota od wydawcy: ale jaka dobra! Można o niej przeczytać w tomie „Na tropie jednorożca” wydanym także przez Fabrykę Słów).

Zatrzymali się na wprost głównego wejścia budynku giełdy.

- A niech mnie, intrygi, jakie zawiązują się tutaj dzisiaj, mogłyby wypełnić treścią przynajmniej dziesięć powieści - stwierdził z entuzjazmem Nathan.

- I przynajmniej dwa tysiące cel w okolicznych więzieniach - dodał Mallory.

- Jakie będzie nasze następne posunięcie? - smok zmienił temat. - Robimy rozpoznanie terenu? Przesłuchujemy jednego z naszych informatorów?

- Nie mamy na giełdzie żadnych informatorów - powiedział Mallory. - I nie musimy przeczesywać okolic budynku giełdy. Wejdziemy do środka tymi drzwiami.

- Tak po prostu? - zapytał z niedowierzaniem Nathan.

- Pewnie tego nie zauważyłeś, ale obserwowano nas od pewnego czasu - wyjaśnił detektyw. - Z drugiego piętra, szóste okno po lewej. Gdyby ci ludzie nie chcieli nas wpuścić, zdążyliby pozamykać wszystkie drzwi. - Odwrócił się w stronę dziewczyny-kota. - Felino, sprawdź, proszę, czy główne wejście jest otwarte.

Wbiegła na szczyt schodów, ale zanim zdążyła dotknąć masywnych skrzydeł, te same bezszelestnie stanęły otworem.

- Możemy chyba założyć, że nie mają tutaj oporów przed przyjmowaniem gości - zauważył Mallory. - Felino, czy wyczuwasz może obecność naszego wampira?

Dziewczyna-kot powęszyła trochę, a potem pokręciła przecząco głową.

- Zatem na giełdzie możemy czuć się względnie bezpieczni - uznał detektyw. - Chodźmy.

Wszedł do budynku i znalazł się w znajomym mu wielkim holu. Zaczekał, aż pozostała trójka dołączy do niego, a potem zlustrował dokładnie otoczenie. Po lewej znajdował się właściwy parkiet giełdy, po prawej ciąg sal konferencyjnych i biur prasowych.

- Wydawać by się mogło, że powita nas tutaj cały tłum strażników - zauważył Nathan.

- Naprawdę spodziewałeś się czegoś takiego? - zapytał Mallory.

- Tak - przyznał smok. - Przecież tutaj, na sali giełdy, zgromadzono najdroższy sprzęt elektroniczny świata. Wart dziesiątki milionów dolarów! Tylko idiota pozostawiłby go bez ochrony.

- Chyba że miałyby coś bardziej cennego do chronienia - zaoponował detektyw.

- Tak tylko zabijacie sobie czas rozmową czy zmierzacie do konkretnych konkluzji? - wtrącił Mc-Guire.

- Całe wyposażenie parkietu giełdy to tylko maszyny - wyjaśnił Mallory. - Jeśli się zepsują, wystarczy je naprawić albo wymienić na nowe. One liczą i rejestrują, lecz nie myślą... - zamilkł na moment. - Ale ludzie siedzący tam, na górze... Ich nie da rady naprawić, ponieważ stanowią mózg tego systemu. Tylko dzięki nim te maszyny mają tak wielką wartość.

- Mówisz o nich, jakby sami byli maszynami - zauważył mały wampir.

- Czyż nie mamy do czynienia z maszynkami do robienia pieniędzy? - odparł Mallory. - Coś mi się wydaje, że jak wszyscy giełdciarze są napędzani wyłącznie mieszanką chciwości i korupcji.

- Dlaczego więc pozwolili, by prywatny detektyw i towarzyszący mu nagradzany autor powieści kryminalnych postawili nogę w tym miejscu? - zapytał Nathan.

- Dostałeś jakąś nagrodę? - zapytał zaskoczony McGuire.

- Tak, a teraz pracuję w jednym zespole z prawdziwym Marlowe'em.

- Mallorym - poprawił go detektyw.

- Z waszych słów można wywnioskować, że zostaliśmy tutaj wpuszczeni, ponieważ oni liczą na jakiś profit z naszej tu obecności? - zapytał McGuire. - Ciekawe jaki.

- Podejrzewam, że w tej branży można zarobić na wszystkim - stwierdził Mallory.

- Możesz dać jakiś przykład?

- Weźmy takie firmy naftowe - powiedział detektyw. - Po drugiej stronie świata cena ropy idzie w górę, a już na jutro galon benzyny na najbliższej stacji jest o piętnaście centów droższy, chociaż ta droższa ropa nie dotrze do naszego kraju jeszcze przez kilka miesięcy. Paliwo, za które płacisz drożej, zostało sprowadzone do Ameryki jakiś kwartał wcześniej, kiedy ropa była jeszcze tańsza.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - przyznał McGuire.

- Ja też nie - dodał Nathan.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi? - mruknął Mallory. - Wiecie, że istnieje taki stary mit, który mówi, iż całą ekonomią świata zarządza w sekrecie tylko siedmiu finansistów? - Spojrzał w stronę sufitu. - Chociaż moim zdaniem jest ich tylko pięciu. I powinniśmy im zaraz złożyć wizytę.

- W jaki sposób ci ludzie mogą nam pomóc? - zapytał McGuire.

- Nie mam pojęcia, ale możemy pozwolić dedukcyjnemu umysłowi twórcy postaci Skrzydlatego O'Bannona na wyjaśnienie tej sprawy.

- Mówisz o mnie? - zapytał nerwowo smok.

- Tak - odparł Mallory. - Czy to nie ty jesteś nagradzanym autorem kryminałów?

- Jak mnie strasznie brzuch rozbolał - jęknął nagle Nathan.

- Bez nerwów, kolego - uspokoił go detektyw. -Ja zajmę się mówieniem.

- A może powinniśmy zostać tutaj i pilnować twojego tyłka? - zasugerował McGuire.

- Stojąc dwa piętra niżej? - zdziwił się Mallory.

- Nigdy nie wiadomo, z której strony może nadejść zagrożenie - wyjaśnił cichutkim głosem mały wampir.

- To prawda - przyznał detektyw. - Ale mam bardzo silne przeczucie, z której strony ono na pewno nie nadejdzie. Dwoje z was nie musi przekraczać progu gabinetu tych ludzi, ale na pewno nie zostanieie tutaj na parterze.

Mallory ruszył w stronę wind, ale zanim tam dotarł, Felina już siedziała na ruchomych schodach.

- Jak ja lubię takie przejażdżki! - wrzasnęła z całych sił.

- Dzięki wielkie - powiedział detektyw sardonicznie. - Właśnie się zastanawiałem, jak poinformować wszystkich obecnych na giełdzie o tym, że jedziemy na drugie piętro.

- Wiedziałam, że się ucieszysz - odparła Felina z przyjaznym uśmiechem.

Wjechali na górę bez większych problemów. Tam na długim korytarzu aż roiło się od umundurowanych strażników, chociaż tylko za jednymi drzwiami widać było zapalone światło. Mallory natychmiast ruszył w tamtym kierunku. Pilnujący

przejścia strażnicy obserwowali uważnie całą czwórkę, ale żaden z nich nie próbował zatrzymać detektywa i jego przyjaciół.

Mallory podszedł do drzwi, ale nie otworzył ich od razu, za to odwrócił się w stronę małego wampira i smoka.

- Wchodzicie czy zostajecie na zewnątrz? - zapytał. - Wybór należy do was.

- Ja tam wchodzę - oświadczył Nathan. - Jak sądzisz, czy będą mi mieli za złe, jeśli będę notował w trakcie rozmowy albo nagrywał ją dyktafonem?

- Gwarantuję ci, że będziesz pierwszym, który zauważy, że coś im się w tym nie podoba - odparł detektyw.

- W takim razie ja nie mam zamiaru zostawać tutaj sam - dodał zdenerwowany McGuire.

Mallory otworzył drzwi i wkroczył do urządzonego z przepychem gabinetu. W środku czekało na gości czterech nienagannie ubranych mężczyzn o skroniach przyprószonych siwizną, z nieodłącznymi cygarami w dłoniach oraz młoda kobieta w skromnym kostiumie, siedząca za ogromnym mahoniowym biurkiem.

- Dobry wieczór - powiedział detektyw. - Nazywam się...

- Pomińmy zbyteczne powitania - przerwał mu jeden z mężczyzn. - Czas to pieniądz.

- Racja - dodał zaraz drugi. - Czy przygotował pan już propozycję dla nas?

- W pewnym sensie.

- Na razie niewiele sensu jest w pańskich słowach - podsumowała kobieta za biurkiem. - Przejdźmy do konkretów.

- Mam dla was zadanie.

- Czy my wyglądamy jak chłopięca drużyna harcerska?

- Nie - przyznał Mallory. - Zwłaszcza o tej młodej damie nie można tego powiedzieć... Prawdę powiedziawszy, wygląacie jak Piątka z Wall Street.

- Wie pan, kim jesteśmy? - zapytał jeden z mężczyzn, wyraźnie zaskoczony.

- Wydawało mi się, że wszyscy w okolicy wiedzą, kim jesteście i czym się trudnicie - odparł detektyw. - Tylko mało kto wie, jak was nazywać.

- A niech mnie kule biją! - sapnął drugi z mężczyzn. - Kto panu o nas powiedział?

- Przyjaciel.

- Dlaczego pański przyjaciel uważał, że możemy przyjść panu z pomocą?

- On wcale nie uważał, że możecie przyjść mi z pomocą... - powiedział detektyw i zamilkł znacząco. - Chodziło mu raczej o to, że będziecie chcieli pomóc sobie.

- Proszę zacząć od początku - zażądał kolejny mężczyzna.

- Nazywam się John Justin Mallory i jestem prywatnym detektywem. Tropię niezwykle potężnego wampira, który nazywa się Wład Drabula. Z tego, co wiem, ma on już kilka tysięcy lat i dysponuje nadludzką siłą. Na dodatek zabija na prawo i lewo od chwili przybycia z Transylwanii, które to przybycie miało miejsce w zeszłym tygodniu. Tej nocy zamordował bratanka mojej współpracownicy. Moim zadaniem jest przyskrzynienie gościa, ale póki co nie miałem za wiele szczęścia.

- W jaki sposób moglibyśmy panu pomóc? - zapytała kobieta. - No i przede wszystkim: dlaczego mielibyśmy to robić?

- Życie z wyzyskiwania szarych obywateli -oświadczył butnie Mallory. - A ten wampir uszczupli waszą trzódkę każdego tygodnia o jakichś dwudziestu do trzydziestu osobników.

- Każdy wampir na początku jest strasznie napalony i głodny - stwierdził jeden z mężczyzn. - Ale to mu dość szybko mija.

- Cóż, Wład Drabula przechodzi przez tę fazę rozwoju mniej więcej od momentu, w którym Mojżesz zniósł tablice z dziesięcioma przykazaniami z góry Synaj - odparł Mallory i kolejno spojrzał każdemu bankierowi w oczy. - Założę się, że żaden z was nie ma w sobie ani jednej charytatywnej żyłki, więc prośenie o bezinteresowność nie ma w tej sytuacji najmniejszego sensu. Ale wiem też, że ludzie tak chciwi i samolubni jak wy zrobią wszystko, by nie stracić, nawet w domyśle, jednego okruszka ze stanu swojego posiadania. Dlatego twierdzę, że powinniście pomóc sobie.

- Musimy mieć chwilę na rozważenie tej propozycji - stwierdziła kobieta, zrywając się na równe nogi. - Za moment wrócimy.

Cała piątka opuściła gabinet.

- I co wy na to? - zapytał Mallory.

- Chyba ich śmiertelnie obraziłeś - wyrwał się McGuire.

- Oni są ponad takie uczucia jak miłość, nienawiść, strach czy zazdrość - odparł detektyw z absolutną pewnością. - Jedyne, co ich interesuje, to zyski i straty.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Skoro rozgryzłeś ich tak dokładnie - wtrącił Nathan - powiedz mi, który z nich jest twoim zdaniem najśłabszym ogniwem Piątki?

- Pojęcia nie mam!

- A kto ma to wiedzieć, jeśli nie ty? - upierał się smok.

- Jedyłą rzeczą, jaka mnie teraz interesuje, jest aresztowanie Włada Drabuli i będę wdzięczny każdemu, kto pomoże mi w złapaniu tego gościa.

- W jaki sposób ta piątka może nam pomóc?

- Każdy, kto kręci tym światem, musi mieć coś ciekawego w zanadrzu - odparł Mallory z niewinnym uśmiechem na ustach. Chciał dodać coś jeszcze, ale właśnie w tym momencie do pokoju wróciła cała Piątka z Wall Street.

- Jaka jest wasza decyzja? - zapytał detektyw.

- Wchodzimy w ten interes, panie Mallory - odparł najstarszy z mężczyzn. - Pozwoli pan, że się przedstawię, nazywam się John D. Stoneyfeller. Jeśli widzi pan latającą maszynę, ja jestem jej właścicielem. Jeśli widzi pan pociąg towarowy, może być pan pewien, że tory, po których poruszają się wagony, należą do mnie. Jeśli w pana garażu coś stoi, Pojedzie wyłącznie na moich oponach, dzięki mojemu silnikowi. A jeśli ktoś tutaj jest związkowcem, na pewno nie pracuje w moich fabrykach.

- P.J. Morgan - przedstawił się drugi. - To skrót od Morganthau. To ja wydałem wszystkie karty kredytowe, jakie nosi pan w portfelu. A wszystkie pańskie oszczędności spoczywają w moich bankach, ponieważ, bez względu na szyldy, wszystkie te instytucje finansowe należą do mnie.

- William Henry Vandergilt, do usług. Kosztował pan już prażonych cykad albo mrówek w czekoladzie?

- Nie.

- Zatem mogę stwierdzić z absolutną pewnością, że każdy kęs żywności, jaki trafił do pańskich ust w ciągu minionych trzynastu lat, bez względu na to, czy był pochodzenia zwierzęcego czy roślinnego, został zebrany na moich farmach albo ubity w moich rzeźniach.

- A ja jestem Andrew Boatnegie - powiedział czwarty z mężczyzn.

- Mówiono tu już o finansach, transporcie i żywności - odparł Mallory. - Jaką gałąź gospodarki pan kontroluje?

- Kontrola to takie niemodne określenie, panie Mallory - odparł Boatnegie. - Jestem władcą pańskiej rozrywki. Żaden film nie powstanie, żadne przedstawienie się nie odbędzie, żaden mecz nie zostanie rozegrany, żadna książka nie trafi na półki, nikt też nie wypali choćby jednej płyty, dopóki na to nie pozwolę.

- A jeśli komuś nie odpowiada proponowany repertuar?

- Niech idzie do konkurencji.

- Której nie ma?

- I długo nie będzie. - Boatnegie uśmiechnął się.

- Jesteście czterema sternikami gospodarki, to pewne - przyznał Mallory i spojrzał na młodą kobietę. - A pani to...?

- Miss Metra - przedstawiła się bez zwłoki.

- Miss Metra? - powtórzył zaskoczony detektyw. - Ta dziewczyna z plakatów?

- Ależ skąd - zaprotestował Stoneyfeller. -Dziewczyna posiadająca metro na własność, zarówno amerykańskie, jak i europejskie oraz japońskie. Wszystko: tunele, pociągi, tory, koncesje i nawet ten marny musical.

- Domyślam się, że nie odziedziczyła pani tego wszystkiego - powiedział Mallory.

Obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- A cóż to by była za przyjemność?

- Panie Mallory - zagaił Stoneyfeller - nasze połączone potęgi są do pańskiej dyspozycji. Ale nie tylko one, na jedno pańskie skinienie przybędzie niewiarygodnie wielka ilość mięsa armatniego. Jak możemy panu pomóc w powstrzymaniu

tego paskudnego szkodnika, który zamierza wysysać nasze zyski?

- Dajcie mi chwilę na zastanowienie - poprosił detektyw.
- Muszę znaleźć najsensowniejszy sposób wykorzystania waszej pomocy.

- Rozumiem - powiedział Morgan. - Będziemy czekali tutaj na pańską decyzję i biada każdemu wampirowi, który zechce mierzyć się z naszą potęgą!

- On też jest raczej potężny - wtrącił nieśmiało McGuire.

- Ale nie tak jak my! - zgasił go Boatnegie. - Oczywiście w ekonomicznym tego słowa znaczeniu, ale kiedy już umilkną działa, cóż innego liczy się bardziej?

Mallory podszedł do drzwi.

- Skontaktuje się pan z nami? - zapytała Miss Metra.

- Przy pierwszej nadarzającej się okazji - obiecał i wyszedł, a wraz z nim Felina, McGuire i Nathan. Udali się prosto do windy, a chwilę później opuścili budynek główną bramą.

- Jak wygląda mój nos? - zapytał detektyw, spoglądając na małego wampira.

- Dlaczego pytasz?

- Wolałbym się upewnić, czy nie urósł o sześć cali, po tym jak powiedziałem, że jeszcze tam wrócimy.

- Nie masz zamiaru skorzystać z ich pomocy?

Mallory pokręcił głową.

- Nie. Chociaż trochę tego żałuję. W ich żyłach nie ma już ani kropli czerwonej krwi. Byliby całkowicie odporni na ukąszenia Włada Drabuli.

- Dlaczego więc nie chcesz skorzystać z pomocy w walce z wampirem, jaką nam zaoferowali?

- Ponieważ - wyjaśnił Mallory - kiedy ich słuchałem, zrozumiałem, że czasem lekarstwo może być groźniejsze od choroby.

- Zatem znów zaczynamy od początku? - zapytał McGuire.

- Niezupełnie - odparł Mallory. - Słuchając ich, wpadłem na pewien ciekawy pomysł.

Co o tym sądzisz? - zapytał McGuire.

- Prywatny detektyw nie sądzi - sprostował w Nathan. - On dedukuje.

- Dobrze, co zatem wydedukowałeś? - zgodził się mały wampir.

- Z tego, co wiemy, Wład żyje wśród nas od kilku dni - powiedział Mallory.

- Osobiście uważam, że określenie „żyje” niespecjalnie pasuje do tej sytuacji - wtrącił Nathan - ale nie przeszkadzaj sobie, dedukuj dalej...

- Nowy Jork do najtańszych miast nie należy. Jeśli zamieszkał w hotelu albo którymś z domów pogrzebowych, musi za to płacić. Może i popija krew za darmo, ale z tego, co wiemy, odwiedza też takie miejsca jak „Grzęda Gryfa” i tym podobne kluby. A tam za wszystko trzeba płacić.

- Oczywiście - dodał McGuire. - Musi, jak wszyscy mieszkańcy tego miasta, którzy zarabiają i wydają swoje pieniądze. Do czego zmierzasz?

- Staramy się go odnaleźć, prawda? - zapytał retorycznie Mallory. - A gdzie można wymienić walutę obowiązującą w Transylwanii na szeleszczące dolarki? Jeśli korzysta z kart kredytowych... Sami słyszeliście P.J. Morgana. Gość kontroluje wszystkie karty kredytowe świata. Musi mieć zatem rejestry, w których są dane dotyczące tego, co kupował

nasz wampir, a także, co może ważniejsze, gdzie dokonywał tych zakupów.

- Wydawało mi się, że nie zamierzasz współpracować z tym Morganem i jego kumplami - stwierdził McGuire.

- Nie zamierzam.

- Zatem jak...?

- Wrócimy do „Grzędy Gryfa” - wyjaśnił Mallory. - Wiemy, że to jedna z met Włada. Jeśli użył tam kiedykolwiek karty, będą ją mieli w rejestrze. Wystarczy, że zdobędziemy jej numer i skorzystamy z usług dobrego hakera, który wyciągnie informacje, gdzie i jak z niej korzystano.

- Sam nie wiem... - stwierdził Nathan z powątpiewaniem.

- A co ci w moim planie nie pasuje? - zapytał Mallory.

- Skrzydlaty O'Bannon nigdy nie prosił o pomoc.

- Bo jest postacią z książki - przerwał mu detektyw - a my żyjemy w realnym świecie. - Skrzywił się, mówiąc te słowa.

- No, może odrobinę różniącym się od realnego...

Usłyszał głośny syk dobiegający gdzieś z góry i szybko zadarł głowę. Na szczycie latarni leżała rozciągnięta Felina i ze złością fukała na banshee, która dosłownie w ostatniej chwili porwała z gniazda małego gołąbka, na którego czaiła się dziewczyna-kot.

- A może nawet sporo - dokończył Mallory. - Felino, złaż stamtąd natychmiast.

- Kiedy mnie się tutaj podoba - odparła. - Widzę, co się dzieje na następnej przecznicy.

- Tylko mi nie mów, że zbliża się kolejny dinozaur - poprosił detektyw.

- Nie, ale ludzie rozbierają się tam do naga i tańczą.

- Lepiej chodźmy tam szybko i sprawdźmy, czy nie ma pomiędzy nimi Włada - zaproponował Mc-Guire i ruszył, nie czekając na odpowiedź.

- Rób, co chcesz - stwierdził zde gustowany Mallory. - Ja idę do „Grzędy Gryfa”. Felina, złaż albo zostawię cię tutaj na zawsze.

- Jeśli to zrobisz, nigdy nie będę ci mogła opowiedzieć o tym, co czai się na ciebie w tej alejce, obok której zamierzasz przejść - odparła.

- Jeśli obok niej nie przejdę, nie będę musiał się przejmować tym, co tam się czai, prawda?

- O tym nie pomyślałam - przyznała i z gracją zeskoczyła na chodnik. - Dobrze, Johnie Justinie, możemy iść.

Ruszyli cała grupą, z ciągnącymi się z tyłu Nathanem i McGuire'em, ale ledwie podeszli do pierwszej alejki, stojący w niej goblin przytknął palec do pyska i zaczął głośno psykać.

- A ty czego znowu chcesz? - zapytał Mallory znużonym tonem.

- Ja? - zdziwił się goblin. - Ja nie chcę niczego. Ale ty mi wyglądasz na faceta, który potrzebuje czegoś wyjątkowego. Czegoś, co wyróżni cię z tłumu.

- Nie uważasz, że chodzenie po mieście z dziewczyną-kotem i smokiem stanowi wystarczający wyróżnik? - zapytał detektyw.

- Na pewno nie tak wielki jak to! - zawołał z entuzjazmem goblin, wyciągając z kieszeni trzystopowego węża. - Sam tylko pomyśl, na ile sposobów można go używać. Na przykład idealnie nadaje się na pasek. Obedrzesz go ze skóry i masz zawodowe buty, pod warunkiem, że nosisz co najwyżej czterdziestkę dwójkę. Znudzi ci się ulubiony szcurek? Zostaw go na minutkę z wężem i po kłopotcie. Prześladowuje cię jakiś od-

rażający typ cierpiący na wężofobię? Oto odpowiedź na twoje modlitwy. Boisz się, że ktoś może cię zaatakować podczas snu? Nic prostszego, wypuść węża na podłogę, a kiedy w nocy usłyszysz przeraźliwy syk, gdy ktoś na niego nadeptnie, zyskasz dodatkowe trzy sekundy na przygotowanie się do obrony albo ucieczkę na drugą stronę łóżka, ale tutaj uwaga! Upewnij się najpierw, czy nie stoi ono przy otwartym oknie na ósmym piętrze! Ilość zastosowań takiego węża jest naprawdę bliska nieskończoności.

- Nienawidzę węży!

- Nie ma sprawy, kochany. Wystarczy go napaść do bólu, a zaśnie przynajmniej na dwa miesiące, żeby strawić posiłek. Nie musisz go wyprowadzać, bawić się z nim, czyścić, w ogóle nie musisz się nim przejmować. Nawet jak się obudzi, nie będzie czuł do ciebie większej sympatii niż ty do niego, jeśli więc nie odwrócisz się do niego plecami po jakiejś awanturze, nie musisz się obawiać jakiegokolwiek kontaktu fizycznego czy też towarzyskiego. Czy prawdziwy mężczyzna potrzebuje czegoś więcej w wigilijną noc Wszystkich Świętych? A co najważniejsze, ten wąż kosztuje zaledwie trzy tysiące dolarów!

- Zapomnij.

- Dwa tysiące.

- Spadaj.

- Siedem dolarów dziewięćdziesiąt trzy centy?

- Nie.

- To nie fair! - narzekął goblin. - Ja się tu zdobywam na wyjątkową szczerłość i daję naprawdę dobrą cenę, a ty nie chcesz się nawet targować.

- Nie powiem, świetnie to podsumowałeś.

- Dobra, bierz go sobie - powiedział goblin, wyciągając rękę z wężem. - Jest twój.

- Ale ja go nie chcę.

- To nie ma nic do rzeczy - zawył goblin. - Mamy wolny rynek czy nie mamy? Jestem dobrym kupcem, a ty nie umiesz się zachować jak porządny klient!

- A mnie się wydawało, że klient ma zawsze rację.

- To tylko taka miejska legenda - burknął goblin. - Dobrze, zapłacę ci siedemdziesiąt pięć centów za zabranie tego paskudztwa z moich rąk.

- Nie.

- Dwa dolary!

Mallory, a za nim Felina, Nathan i McGuire ruszyli dalej ulicą.

- Pięć dolarów to moja ostateczna oferta! - darł się za nimi goblin.

- Nie! - odkrzyknął detektyw.

- Sześć pięćdziesiąt i dorzucę sierpniowy numer „Playboya” z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego!

Mallory nie zwolnił kroku.

- Co ja mam, u licha, zrobić z tym węzem? - biadolił goblin. - On mnie nawet nie lubi.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego - powiedział detektyw, uśmiechając się sardonicznie, a chwilę później zielonoskóry handlarz znalazł się zbyt daleko, aby go słyszeli. - Wiecie - Mallory zwrócił się do swoich kompanów - wydaje mi się, że o wiele bardziej lubiłem te staromodne gobliny na moim Manhattanie, choć tam do ich zadań należało wyłącznie straszenie szkolnej dziatwy. Natomiast tutaj, z tego, co zauważyłem, większość z nich zajmuje się handlem.

- Tyle tylko, że nie sprzedają niczego sensownego - zauważył McGuire.

- A myślisz, że tam, skąd pochodzę, ludzie oferowali coś lepszego? - zapytał Mallory. - Felino, wracamy do „Grzędy Gryfa”. Wiesz, jak tam dotrzeć?

- Tak, Johnie Justinie.

- Świetnie, zatem prowadź.

- Za sześć złotych rybek.

- Nie.

- Za siedem?

- Nie.

- No to posmyraj mnie po grzbiecie.

- Jak tylko tam dojdziemy.

- A jeśli po drodze umrę na jakąś okropną zarazę? - zapytała Felina.

- Wtedy grzbiet na pewno nie będzie cię już swędział - odparł Mallory.

- O tym nie pomyślałam - przyznała Felina. - Musimy iść tędy - dodała z radosnym uśmiechem.

Szli za nią aż do samego wejścia. Podobnie jak poprzednim razem, Mallory zostawił Nathana i McGuire'a przed budynkiem i wjechał w towarzystwie Feliny na osiemdziesiąte szóste piętro. Zaraz po wyjściu z windy detektyw udał się do kasyna, aby odszukać Mary Królową Szparek.

- Już pan wrócił? - zapytała na jego widok.

- Potrzebuję dodatkowych informacji.

- Nie ma sprawy - odparła. - Nigdy nie dobieraj jednej karty do strita... - przerwała, czekając na wybuch śmiechu, który jednak nie nastąpił. - To taki żart.

- Przebawny - odparł Mallory bez cienia uśmiechu.

- Niech ci będzie, łapsie - powiedziała zrezygnowana. - Czego jeszcze chcesz?

- Mówiłaś mi, że Wład Drabula przychodził tutaj każdej nocy.

- Tak.

- A czym płacił rachunki?

- O to powinieneś zapytać przy barze - wyjaśniła. - Nigdy nie zagrał w kasynie, więc nie widzieliśmy jego pieniędzy.

- Dzięki - rzucił detektyw i przeszedł do baru.

- Jeszcze jedną śmietankę dla pańskiej kotki? - zapytał facecik za kontuarem.

- Jasne, czemu nie - powiedział Mallory, kładąc banknot na blacie.

- Hej, to dwudziestak - zauważył barman. - Za tyle naleję jej nawet dwa galony.

- A ja wolałbym jedną szklankę i pewną informację.

Barman nalał śmietanki do sporego pucharka i podał go Felinie, która natychmiast zaczęła głośno chęptać.

- Co pan chce wiedzieć?

- Jak Wład Drabula płacił za swoje rachunki?

- On nie płacił.

- Wydawało mi się, że odwiedzał was każdej nocy - stwierdził Mallory, marszcząc brwi. - Ma jakiś kredyt?

- Nie. Wprawdzie nie sądzę, żeby szef odmówił, gdyby o niego poprosił, ale od czasu gdy wybulił pięć patyków gotówką, nie zamówił nawet jednego cholernego paluszka. Prosi wyłącznie o wodę, ale nigdy jej nie pije.

- Gotówka - mruknął Mallory. - Zapłacił dolarami czy w innej walucie?

- My tu kasujemy wyłącznie papierki drukowane na terenie starych, dobrych Stanów - powiedział barman.

- I nie wydał u was od tej pory złamanego centa?

- Zgadza się.

- Dzięki i za to - powiedział Mallory. - Felino, dopij śmietankę, idziemy stąd.

- Jeszcze mnie nie posmyrałeś - poskarżyła się na głos.

- Ale kupiłem ci w zamian śmietankę. Kończ ją, musimy już iść.

- A może ja zostanę tutaj, gdzie mnie lubią? -stwierdziła.

- Może potrzeba mi do życia tylko śmietanki i smyrania?

- Świetnie - oświadczył Mallory, idąc w stronę wind. - W takim razie życzę szczęścia na nowej drodze życia.

Wiedział, co zaraz nastąpi, ale mimo wszystko nadlatujące z wielką szybkością dziewięćdziesiąt funtów kociej gracji omal nie posłało go na wykładzinę.

- Wybaczam ci, Johnie Justinie - wymruczała mu do ucha Felina.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo mnie to ucieszyło - powiedział, gdy dotarli w końcu do windy.

- Czułam, że to może cię uszczęśliwić - odparła Felina, gdy drzwi zamknęły się za nimi, a potem dodała, kierując te słowa do windziarza: - Tworzymy zespół.

- Co ty nie powiesz - usłyszała w odpowiedzi.

- Czy to ta sama winda, którą przyjechaliśmy do „Grzędy Gryfa”? - zapytała.

- Tak.

- Bo ja coś wiem - dodała zaraz. - Jak coś jedzie w górę, musi też zjeżdżać w dół.

- Bosz! - jęknął Mallory. - Muszę to zapisać sadzą w kominie!

- Jestem genialna, nieprawdaż? - oświadczyła z dumą Felina.

- Ale tylko w miesiącach kończących się na G -przyznał Mallory.

McGuire i Nathan czekali na nich zaraz za drzwiami budynku.

- Dowiedzieliście się czegoś? - zapytał mały wampir z nadzieją w głosie.

Mallory pokręcił głową.

- Zapłacił gotówką w dniu przyjazdu i od tamtej pory nie wydał ani jednego centa.

- Zatem nie wiemy nawet, czy w ogóle posiada kartę kredytową? - zapytał Nathan.

- Zgadza się.

- A gotówka, którą wydał, jest nienamierzalna? - kontynuował smok.

- Najprawdopodobniej.

- Zatem trop finansowy zawiódł nas w ślepy zaułek.

- Niekoniecznie - stwierdził Mallory.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał McGuire.

- Szukamy go dlatego, że ukąsił Ruperta Newtona na okręcie, którym razem przyплыли.

- To prawda - powiedzieli Nathan i mały wampir unisono.

- Za tę podróż musiał jakoś zapłacić - ciągnął dalej detektyw. - I może zrobił to właśnie za pomocą karty kredytowej.

- Tego nie byłbym taki pewien - mruknął McGuire. - My, wampiry, tworzymy zwartą społeczność tam w Transylwanii. Znane są przypadki robienia zbiorów na takie okazje.

- Kto wie, może nawet zależało im na tym, żeby pozbyć się z kraju tak wielkiego kłopotu - dodał zaraz Nathan. - Ten pomysł z pewnością okaże się kolejną ślepą uliczką.

- Obaj zdajecie się pomijać pewien istotny aspekt tej sprawy - zaprotestował Mallory.

- Tak? Ciekawe jaki? - zainteresował się Kijaszek.

- Wład nie mógł przyjechać tutaj ze swoją trumną, zwłaszcza jeśli była wypakowana ojczytą ziemią. Jeżeli nawet przyjmiemy założenie, że jemu samemu pozwolono na przejazd za darmo, trumnę musiał nadać na bagaż, co więcej, kazało mu za to zapłacić. Jedno też jest pewne, nie pozwolono by mu trzymać jej w kajucie.

Nathan natychmiast wyjął z kieszeni notes.

- Skrzydlaty O'Bannon nie powiedziałaby tego lepiej.

- Zawstydzasz mnie po prostu - oświadczył detektyw.

- Co teraz zrobimy?

- Musimy udać się do portu, odnaleźć statek, którym Rupert i Wład tutaj przyплыли, i sprawdzić, w jaki sposób zapłacono za przewóz trumny.

- Świetnie - mruknął Nathan, gryzmołąc coś zawzięcie. - Czy udasz się na tę akcję w przebraniu?

- Dlaczego miałbym się przebierać?

- Jeszcze nigdy nie widziałem detektywa w przebraniu, a ponieważ Skrzydlaty O'Bannon wygląda w każdej części swoich przygód jak zupełnie inna osoba, oczywiście do momentu gdy zdejmie spodnie, powinienem w końcu sprawdzić, jak to naprawdę działa.

- Przykro mi cię rozczarować, ale kiedy idziesz zadawać pytania i sprawdzać tropy, najlepiej robić to w przebraniu detektywa - odparł Mallory.

- A co będzie, jeśli kapitan albo oficer pokładowy czy jakiś inny członek załogi, z którym będziemy rozmawiali, oświadczy, iż nie ma żadnych kwitów, bo płatności dokonano, zanim ten statek wyruszył w rejs? - zapytał McGuire. - Co wtedy zrobimy?

- Przesłuchamy robotników rozładowujących luki bagażowe.

- Po co?

- Ponieważ przypląnął tutaj ze swoją trumną i jestem gotów postawić każdego centa, jakiego mam, że nie ma jej już na pokładzie. A to daje nam jeszcze jedną szansę na odnalezienie jego kryjówki... Na pewno bardziej niebezpieczną, ale i skuteczniejszą.

- Chcesz znaleźć jego - tu McGuire przełknął głośno ślinę - trumnę?

- Tak.

- Wiesz - dodał szybko mały wampir - że to Ameryka?

- Nie rozumiem, co ten fakt ma wspólnego z naszą sprawą.

- Żyjemy w krainie drugiej szansy - kontynuował McGuire. - Wydaje mi się, że jeśli Wład przeprosi za swoje dotychczasowe czyny, i to tak naprawdę szczerze, powinniśmy mu przebaczyć, dokładnie tak, jak przebaczyliśmy naszym przepłacanym gwiazdom sportowym i filmowym, którzy za każdym razem, gdy ich przyłapano na pijaństwie albo narkotykach, mówili, jak im przykro, i zaraz wracali do normalnego życia.

- Nie mamy do czynienia z byle piłkarzem czy podręczną aktorką, kolego - powiedział Mallory. - Wład zabijał ludzi, wliczając w to bratanka mojej współpracownicy.

- A może to był tylko wypadek?

- Ciekawe, jakim sposobem można kogoś przypadkowo ukąsić w szyję, i to przez kilka nocy z rzędu?

- Przez krótkowzroczność? - rzucił cicho McGuire.

- Słuchaj, Kijaszek - powiedział Mallory - jeśli się boisz i chcesz się wycofać, to teraz masz najlepszą okazję. Jest jeszcze

przy mnie Nathan, mamy do odwalenia kawał detektywistycznej roboty, dzięki której dopadniemy w końcu drania.

- Nie mogę cię zostawić! - wrzasnął mały wampir. - Za kogo ty mnie uważasz?

- Za przestraszonego tchórza.

- A oprócz tego?

- Słuchaj, robię to wyłącznie dla twojego dobra.

- Mam już dość mojego dobra! Od czterdziestu siedmiu lat tylko nim się kierowałem - stwierdził McGuire. - A jedyne, czego się dorobiłem, to anemia i zasiłek dla bezrobotnych. Czas pomyśleć o czymś innym!

- Świetnie - powiedział Mallory. - Zatem ruszajmy na poszukiwanie tego transylwańskiego krwiopijcy!

- Będę z tobą do samego końca! - oświadczył mały wampir.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - dodał Nathan.

- Jestem głodna - oznajmiła Felina.

Rozdział dwudziesty pierwszy

02.38 - 02.57

Mallory na czele swojego zespołu przemaszerował ponownie przez Battery, obierając kierunek na pobliskie doki. Gdy docierali do granic parku, znowu natknęli się na Bubbę.

- Hej, Kijaszek! - zawołał wielkolud. - Drugie spotkanie jednej nocy. Jak leci?

- Nadal szukamy Włada Drabuli - oznajmił mały wampir. - Tym razem trop prowadzi na nabrzeża.

- Chłopie, jesteśmy na wyspie - zagrział Bubba. - Bez względu na to, w którym miejscu się znajdujesz, nabrzeża są co najwyżej milę od ciebie. Często nawet o wiele bliżej.

- Musimy dostać się do doków - wyjaśnił Mc-Guire.

- Te doki ciągną się wzdłuż wszystkich wybrzeży - przypomniał mu były fullback. - Dlaczego akurat te was interesują?

- Dlatego, że... - McGuire zamilkł, zachmurzył się i spojrzał na Mallory'ego. - Dlaczego akurat te?

- Bo właśnie przy nich cumują transatlantyki Linii Niezatapialnych - wyjaśnił detektyw.

- Naprawdę istnieją jakieś Linie Niezatapialne? -zapytał Bubba.

- Tak właśnie twierdził bratanek mojej współpracownicy - odparł Mallory. - A możesz mi wierzyć, że był cholernie precyzyjnym dzieciakiem.

- Jesteś pewien, że szukasz wampira? - nie dawał za wygraną były fullback. - Widzisz, my, wampiry, nie przepadamy za wodą. A katastrofy morskie napawają nas prawdziwym lękiem. Wyobrażasz sobie coś gorszego od utonięcia? Od pójścia na dno w kadłubie okrętu, który nie zostanie odnaleziony i ograbiony przez całe stulecia?

- Przecież możecie sami wypłynąć na powierzchnię - zdziwił się Mallory.

- Chłopie, ja nie umiem pływać - zachnął się Bubba. - Całe życie uczyłem się przewracania innych zawodników i padania na zgubioną piłkę.

- A poza tym podniesienie wieka trumny na głębokości dwustu sążni nie należy do najłatwiejszych zadań - dodał McGuire.

- Mówię ci, że tam go nie znajdziecie - stwierdził Bubba.
- Wiem o tym - przyznał Mallory. - Nie powiedziałem przecież, że jego będziemy szukać na tym statku.

- Zaczynasz mówić rozsądniej - powiedział futbolista, kiwając głową. - Gdybym to ja szukał zabójcy z naszej dalekiej ojczyzny, spędzałbym więcej czasu w miejscach, w których na pewno go nie będzie.

- A może przyłączysz się do nas? - zaproponował dęte ktyw. - Przydałby się nam ktoś wielki i twardy, zwłaszcza że technicznie rzecz biorąc, już nie żyjesz i raczej nie da się ciebie drugi raz zabić.

- Bardzo kusząca oferta, nadstawianie karku za człowieka, którego widziałem raz w życiu, może przez dwie, góra trzy minuty, w dodatku polującego na jednego z moich pobratymców. I to na gościa, który nigdy nic złego mi nie zrobił. - Bubba z rozbawienia aż pokręcił głową. - Nie obraż się, ale raczej nic z tego nie wyjdzie.

- Nasza strata, bez wątpienia - odparł Mallory, ruszając dalej w stronę doków. Reszta paczki natychmiast poszła w jego ślady, więc przyspieszył kroku i w niespełna dziesięć minut dotarli do celu pomimo usilnych starań Feliny, aby zatrzymać się przed każdym oknem wystawowym i ogłaszać po chwili nabożnego milczenia, które przedmioty Mallory ma jej kupić lub ukraść. A nigdy nie było ich mało.

Gdy znaleźli się na terenach portowych, detektyw przekupił jedno ze stworzeń w mundurze strażnika kolejną dwudziestką i dowiedział się, że Linie Niezatapialne posiadają trzy jednostki pływające, z których jedna - „Konający Manat” - została zacumowana w doku numer trzy.

- Jak wygląda ten statek? - zapytał detektyw.

- Nie sposób go nie zauważyć - odparł strażnik. - Tylko on ma tak cudowną rdzawą barwę.

- Dziwny kolor jak na pasażerski liniowiec - zauważył Mallory.

- Czy ja wiem? Zważywszy na to, ile kolorów może mieć rdza - odparło stworzenie. - A tylko ona trzyma w kupie waszego „Manata”.

- Chyba już go widzę - stwierdził Mallory, spoglądając w głąb doków. - Czy na pokładzie są jacyś ludzie?

- Tylko szkieletowa załoga.

- Dzięki za informację - powiedział detektyw. - Czas złożyć wizytę na tej jednostce.

- Idźcie śmiało - zachęcił ich strażnik. - Gdyby ktoś szedł waszym tropem, ostrzegę was wyciem.

- Kto miałyby iść za nami?

- A skąd mam wiedzieć? - zapytało stworzenie. - Gangsterzy. Komornicy. Inspektorzy skarbowki. Szpiedzy me-zopotamscy. Słodziutkie, niewinne duszyczki, które nie do końca zrozumiały twoje poetyckie wypowiedzi, biorąc je za obietnice małżeństwa.

- A co powiesz na wampiry?

- Tutaj? Przecież one nienawidzą wody.

Mallory ruszył nabrzeżem, mijając kolejne majestatyczne kadłuby statków pasażerskich. Gdy dotarł w pobliże jedyne-go, który wyglądał jak kupa złomu, za nic w świecie niemająca prawa utrzymać się na powierzchni wody, zrozumiał, że stoi przed „Konającym Manatem”.

Na pokład jednostki można było wejść tylko po chybotliwym, wąskim trapie. Mallory skorzystał z niego, podobnie jak reszta zespołu. Zanim jednak dotarł na szczyt zejściówki, drogę zagroził mu znieścacka dziwnie wyglądający mężczyzna o

łuskowatej skórze. Na jego szyi widać było kilka niezbyt dobrze zamaskowanych szczelin skrzelowych.

- Kto idzie? - zapytał.

- Nazywam się Mallory - przedstawił się detektyw - a to moi współnicy. Chcielibyśmy porozmawiać z kimś, kto tu dowodzi.

- Czyli z kapitanem.

- Czyli z kapitanem - zgodził się detektyw.

- To wbrew regulaminowi. Nie możecie tak po prostu wejść na pokład i zażądać widzenia z kapitanem. Mamy tutaj konkretne biurokratyczne procedury. Potrzebny będzie akt urodzenia, potwierdzenie obywatelstwa, legitymacje związkowe - o ile należy pan do jakichś związków zawodowych - wyniki badań na poziom cukru i cholesterolu we krwi, akt zgonu, jeśli zalicza się pan do grona nieumarłych, karta uprawniająca do głosowania i prawo jazdy. To samo dotyczy pańskich przyjaciół.

- A gdybym przypadkiem zgubił przy panu pięć dolarów?
- zasugerował Mallory.

- To oszczędziłoby nam obu całej masy papierkowej roboty - przyznał marynarz, wyciągając rękę w stronę detektywa i natychmiast wrywając mu z dłoni oferowany banknot. - Witam na pokładzie „Konającego Manata”, okrętu flagowego Niezatapialnych Linii Transatlantyckich.

- Czym ta jednostka zasłużyła sobie na miano okrętu flagowego? - zapytał Mallory, przyglądając się uważniej zaniedbanemu pokładowi.

- Tylko ona wciąż pływa - odparł marynarz.

Detektyw skinął głową.

-Tak, to chyba jedyny sensowny powód. Gdzie znajdziemy kapitana?

- Na pokładzie rufowym. Zajmuje się dyscyplinowaniem kolejnego członka załogi - wyjaśnił marynarz.

Chwilę później do ich uszu dotarły odgłosy trzech wystrzałów z broni palnej.

- Sądzę, że kapitan Blight może już was przyjąć.

- Kapitan Blight? - zdziwił się Mallory. - Chyba gdzieś słyszałem o kapitanie statku noszącym takie nazwisko.

- Zapewne chodzi panu o kapitana Bligh z „Bounty” - odparł marynarz. - Dobrali się jak dwa ziarnka w korcu maku, z tym że kapitan Bligh był nieco bardziej przyjazny i czuły wobec załogi. No i od czasu do czasu schodził z pokładu na ląd. Nasz szyper nigdy tego nie robi.

- Dlaczego?

- Wszystko umiera, gdy się za bardzo zbliży.

- Wszystko? - zdziwił się detektyw.

- Krzewy, kwiatki, czasem nawet drzewa - wyjaśnił marynarz. - O rośliny mi chodziło.

- Ale nie ludzie?

- O nie, oni mają na tyle rozumu we łbach, że nie rozwścieczają kapitana, umierając w jego obecności, na służbie. Wiedzą, że polazłby za nimi na dno piekieł i przywłókłby za kudły z powrotem.

- Ten facet wygląda mi na kogoś, kto żałuje, że tradycyjną chłostę przy maszcie uznano za przeżytek - zauważył Mallory.

- Tak, ten dekret naprawdę rozdarł jego małe, czarne serce - przyznał marynarz. - Ale potem odkrył, że kara chłosty wymierzana przy maszcie flagowym jest równie satysfakcjonująca i do tego ma wydźwięk patriotyczny.

Z ciemności wyłonił się grubawy człowieczek w czarnym stroju. Miał gęstą czarną brodę, choć przyprószoną miejscami siwizną, a przy pasie wisały mu dwa pistolety, kordelas i bicz.

- Panie kapitanie - zameldował marynarz - ci państwo chcieliby zamienić z panem słówko na osobności.

Blight zmierzył ich wzrokiem.

- Jesteście z aoso?

- Słucham?

- Nie słyszał pan? - burknął kapitan. - Czy jesteście z Amerykańskiej Organizacji Swobód Obywatelskich?

- Ależ skąd. Nazywam się John Justin Mallory, z Agencji Detektywistycznej Mallory i Carruthers. A to moi asystenci.

Blight ponownie obejrzał ich sobie dokładnie, tym razem każdego z osobna.

- I jesteście pewni, że nie należycie do aoso?

- Absolutnie pewni.

- Świetnie - mruknął Blight. - Pozwolę wam żyć... ale tylko do chwili gdy dowiem się, że któryś z was skłamał.

- Dziękujemy - powiedział Mallory.

- Mogę wam też pomóc, o ile nie będzie to dla mnie zbyt nudne i męczące.

- Mam kilka pytań dotyczących jednego z pasażerów, który przyплыł na pokładzie pańskiej jednostki z Europy.

- Twierdziła, że ma skończone dziewiętnaście lat, sama też przyniosła te kajdanki i powidła mordowe. Nic więcej nie powiem do czasu przybycia mojego adwokata!

- Chodziło mi raczej o mężczyznę...

- To on wyzwiał mnie na pojedynek. Na miecze. I fakt, kto był trzeźwy, a kto pijany, nie ma tu żadnego znaczenia. To on sprowokował całe zajście. A poza tym nasz chirurg pokładowy obiecał, że mu je poprzyszywa, jeśli ktoś je w końcu znajdzie.

- Chodzi mi o pasażera z Transylwanii, nazwiskiem Wład Drabula.

- Niestety, w tym nie będę mógł panu pomóc -uspokoił się kapitan. - Nie zawijaliśmy nigdy do portu w Transylwanii.

- Najprawdopodobniej dostał się na pokład pańskiej jednostki w Anglii.

- Co chcecie wiedzieć?

- Czy kupował coś podczas podróży? A jeśli tak, czym zapłacił?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - fuknął Blight. -Wie pan, jaka jest kara za marnowanie czasu kapitana?

- Nie, nie mam pojęcia - odparł Mallory. - Ale teraz znajdujemy się na Manhattanie. Czy wie pan, jaka kara grozi za ukrywanie informacji w sprawie morderstwa?

Blight zaczął mu się uważnie przyglądać.

- Jest pan stuprocentowo pewien, że nie reprezentuje AOSO?

- Już panu mówiłem, jestem detektywem.

- Zatem proszę iść dedukować gdzie indziej i pozwolić mi na prowadzenie tego statku!

- Znajdujemy się w nowojorskim porcie - zauważył Mallory. - Ten statek nigdzie nie płynie.

- Mam towary do rozładowania i załadowania, pokłady do umycia, załogę do zdyscyplinowania. Myśli pan, że życie kapitana to łatwizna? Wychłostałem taką ilość załogantów podczas ostatniego rejsu, że wywichnąłem sobie boleśnie staw barkowy!

- W lidze takie kontuzje to normalka - zauważył McGuire, nie okazując przy tym krzty współczucia czy żalu.

- Powie mi pan wszystko na jego temat - zapytał Mallory - czy mam zwrócić się do władz portowych o konfiskatę tej krypy i wszystkiego, co znajduje się na jej pokładzie?

Blight znów wlepił w niego oczy.

- Wie pan, kto by zaraz zadyndał na rei, gdybyśmy mieli jakikolwiek takielunek?

- Wystarczy, że odpowie mi pan na kilka pytań i dam panu spokój - odparł Mallory.

- Pan mu da, ale na pewno nie ja - wtrącił ktoś kulturalnie brzmiącym głosem.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę, by spojrzeć na elegancko ubranego mężczyznę, który właśnie wspiał się na trap. Garnitur, który nosił, był nienagannie skrojony, w europejskim stylu. W spince do krawata pobłyskiwał wielki brylant, a na nogach miał ręcznie robione włoskie buty.

- To znowu ty?! - ryknął Blight.

- Ja - odparł mężczyzna, zupełnie nie zważając na wybuch złości kapitana.

Blight odwrócił się do Mallory'ego.

- Wiedziałem! Jesteście jego chłopcami na posyłki!

- Nigdy w życiu nie widziałem tego człowieka - zaprotestował Mallory.

- Stanowczo zbyt rzadko ogląda pan wiadomości w telewizji - oświadczył elegant. - Jestem Clarence Drummond, do usług. - Podał Mallory'emu wytłaczaną wizytówkę.

- Jesteś cholernym szefem aoso, niczym więcej -burknął Blight.

- Mój drogi człowieku - odparł Drummond - tak długo, jak będziesz przetrzymywał ładunek na pokładzie tej jednostki, ja będę naciskał na ciebie przy pomocy wszelkich dostępnych mi środków prawnych, abyś zaprzestał tego niecnego procederu.

- O czym wy, u licha, mówicie? - zapytał Mallory.

- W ładowniach „Konającego Manata” spoczywa nie mniej niż siedem tysięcy kartonów papierosów -wyjaśnił Drummond.

- I co z tego?

- Kapitan Blight odmawia rozładunku.

- Te papierosy zostały przemycone na pokład przez dwóch marynarzy, którzy w nagrodę za ten czyn trafili już dawno do schowka Davey Jonesa -wyjaśnił kapitan. - A to znaczy, że są teraz moje i mam zamiar sprzedać je w Patagonii, gdzie dostanę lepszą cenę. Dlaczego więc aoso nie zostawi mnie w spokoju?

- Ponieważ obywatele Ameryki mają prawo do wypalenia tych papierosów - odparł twardo Drummond.

- Może kapitan robi im jednak przysługę - wtrącił Mallo-ry. - W jego ładowniach kryje się spory ładunek nowotworów.

- aoso stoi na stanowisku, że społeczeństwo Ameryki ma konstytucyjnie zagwarantowane prawo do chorowania na raka, a kapitan Blight stoi na drodze tychże swobód obywatelskich - powiedział Drummond. - Z przyjemnością zostałbym dłużej, aby przedyskutować ze szczegółami ten problem, ale wpadłem tu tylko na moment, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zmienił pan zdania. - Rzucił okiem na wysadzanego brylantami roleksa. - Naprawdę muszę już lecieć. Za dwadzieścia minut zaczyna się kolejna rozprawa w sądzie.

- Coś związanego z przemytem papierosów? -zapytał detektyw.

- Nie - odparł prawnik. - Tym razem sprawa dotyczy pewnego imprezowicza z college'u, który za jednym posiedzeniem zjadł trzydzieści cztery cheeseburgery i dwanaście czekolad słodowych.

- Pewnie rzygał po tym dalej, niż widział - powiedział Mallory.

- Ten aspekt sprawy akurat nas nie interesuje - stwierdził Drummond. - Nasz klient miał pełne prawo zamówić tyle posiłków.

- O co go więc oskarżyliście?

- Amerykańska Organizacja Swobód Obywatelskich zaskarżyła szefa kuchni, który wydał mu taką masę jedzenia i w efekcie doprowadził do choroby. Tam, gdzie jest cierpienie, tam musi być i zadośćuczynienie!

- Wygląda na to, że wasza organizacja ma naprawdę dużo roboty.

- To prawda - przyznał Drummond. - Jutro na ten przykład będziemy bronić praw dwóch niewinnych duszyczek, którym zabroniono zaprezentowania się w Świątyni Wszystkich Świętych.

- Nie pozwolono im tam przemawiać?

- Nie mówiłem nic o prawie do swobodnego wyrażania myśli, tylko o prezentowaniu swoich potrzeb!

- A na czym polega różnica? - zapytał Mallory.

- Mam na myśli zamachowców-samobójców.

- Nie powiem, ulżyło mi, kiedy dowiedziałem się, że jest ktoś taki jak wy, kto dba o to, aby chronić nas przed takimi wynaturzeniami - przyznał detektyw.

- Niewdzięczna robota, ale ktoś musi bronić biednych i zacofanych ludzi, czy tego chcą czy nie - przyznał Drummond, a potem spojrzał groźnie na Blighta. - Ja tu jeszcze wrócę. Nie zdoła pan powstrzymać swobód obywatelskich w nieskończoność.

Odwrócił się na pięcie i zszedł z pokładu po trapie.

- Więc jednak nie pracujecie dla niego - stwierdził z ulgą Blight.

- Nie pracujemy - powtórzył Mallory. - Jeśli mi pan pomoże w mojej sprawie, kapitanie, ja powiem panu, jak pozbyć się tego natręta.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Umowa stoi! - ryknął kapitan. - Gadaj, jak mogę się go pozbyć?

- Następnym razem, kiedy tu przyjdzie, powie mu pan, że chętnie rozważy jego propozycję, ale pod jednym warunkiem: musicie usiąść i zapalić po papierosku.

Blight zmarszczył krzaczaste brwi.

- I już? To jest ten pański szatański plan?

- W miejscu, z którego pochodzę, aoso chroni jedynie prawo innych ludzi do odbierania sobie życia. Nigdy nie stosuje tych praw wobec siebie. A ten facet wygląda mi na niezłego służbistę pod tym względem.

- Wie pan, teraz kiedy pan to jaśniej powiedział... - zaczął ostrożnie Blight.

- Dobrze, czy teraz udzieli mi pan informacji, których potrzebuję?

- Muszę zapytać o to głównego stewarda - powiedział kapitan. - Mamy na pokładzie szulernie, występy, wie pan, całą gamę rozrywek. Jedna ze striptizerek sprzedaje te fajki prosto z ładowni prawie w negliżu. Ten gość musiał coś u nas kupić.

Blight podszedł do najbliższego interkomu i przekazał dyżurnemu, czego powinien szukać.

- To potrwa nie dłużej niż minutkę - zapewnił Mallory'ego po powrocie.

- Skoro dysponujemy wolną chwilką, miałbym pewną propozycję - zagaił McGuire. - Wie pan, kapitanie, posiadam sporo kontaktów tu i ówdzie. Może zrobimy jakiś biznesik. Czy oprócz tych papierosów ma pan jeszcze jakąś kontrabandę na pokładzie?

- Tylko jedną - potwierdził Blight. - Chyba jest ich sześćcioro...

- Nie rozumiem - przyznał mały wampir.

- Pytał pan o tę bandę, co u nas gra - wyjaśnił kapitan. - Perkusista, dwóch trębaczy, saksofonista, klarncista i pianista. Szóstka kontras z Nikaragui. A może jest ich siedmiu? Nie pamiętam. Coś mi się kołacze, że mają też puzonistę w składzie.

- Chyba jednak nie zrobimy tutaj wielkiego interesu - mruknął McGuire.

- Powiem wam, że się cholernie cieszę, że mam już ten rejs za sobą - powiedział Blight. - Kapitan nigdy nie ma wolnego czasu. Udzieliłem siedemnastu ślubów, jedenastu rozwodów, trzech chrztów, trafiła mi się nawet bar miewa i trzy pogrzeby.

- Trzy pogrzeby? - zdziwił się Mallory. - Cholerny pomór jak na pięciodniowy rejs.

- Odprawiłem je już po zawinięciu do portu - wyjaśnił Blight. - Po tym jak inspektorzy aoso zaczęli do siebie strzelać. Ponoć pokłócili się o jakiś przepis ustawy o dostępie do broni.

- Widzę, że sporo się tutaj działo w ciągu tygodnia.

- Nie licząc innych atrakcji, ostrzelaliśmy dwie łodzie wiosłowe, kanoe, humbaka i grecki trawler, który blokował nam drogę. - Skrzywił się szpetnie. - Chybiliśmy tylko do kanoe.

Steward podszedł do kapitana i podał mu strzęp papieru. Ten obejrzał go pobieżnie i przekazał Mallory'emu.

- Trzymaj, łapsie - powiedział. - Oto numer TransEksu twojego klienta.

- TransEksu? - zapytał detektyw.

- Karty Transylwanian Express.

- Dzięki - powiedział Mallory. - Teraz musimy sprawdzić, gdzie używano jej w ciągu ostatnich kilku dni.

Gdy detektyw razem z przyjaciółmi schodzili po trapie, do burty podbiegł Blight i zawołał za nimi:

- Naprawdę uważasz, że to może się udać?

- Chodzi panu o namierzenie karty TransEx? Moim zdaniem, to bardzo prawdopodobne.

Blight pokręcił nerwowo głową.

- Namówienie Drummonda na dymka.

- Na sto procent. Być może on dba o czyjeś prawa o wiele bardziej niż o swoje, ale jestem też pewien, że jego własne zdrowie, bezpieczeństwo i komfort jest mu o wiele bliższe niż życie wszystkich pozostałych ludzi.

- Jesteś tego pewien? - zapytał McGuire, ścisząc głos, gdy znaleźli się już na pirsie.

- Niektóre rzeczy nie zmieniają się na żadnym Manhattanie - odparł Mallory. - A jedną z nich jest natura ludzka.

Rozdział dwudziesty drugi

02.57 - 03.20

A może jednak poprosimy P.J. Morgana o pomoc? - zapytał Nathan, gdy oddalili się od nabrzeży.

- Na twoim miejscu nawet bym o tym nie myślał - odparł Mallory. - Jeśli pozwolisz komukolwiek z tej bandy wkroczyć do twojego życia, nigdy się od nich nie uwolnisz.

- Skoro tak, powiedz mi, co zamierzasz teraz zrobić? - nie ustępował smok. - Mam już dość bycia facetem od trzymania dzidy w naszym przedstawieniu. Czas, abym stał się prawdziwym bohaterem.

- Ale ty jesteś facetem, który nosi dzidę - przypomniał mu Mallory, wskazując na broń trzymaną przez smoka. - Miejmy tylko nadzieję, że nie będziesz musiał jej użyć.

- Nie chciałbym przeszkadzać - wtrącił Mc-Guire. - Ale chyba kotowate nam się zgubiło.

Mallory rozejrzał się szybko, ale nigdzie nie dostrzegł Feliny.

- Nie mogła odejść zbyt daleko - ocenił. - Nie zauważyłaś gdzieś w mroku przemykającej myszki?

- Nie. - Mały wampir pokręcił przecząco głową.

- Tam jest. - Nathan wskazał pobliską alejkę, z której wyłoniła się dziewczyna-kot.

- Gdzieżeś ty była? - zapytał detektyw.

- Zauważyłam śliczniusią, malusią gołąbeczkę - odparła Felina. - Nie sądzisz, że one są słodziusieńkie, kiedy tak sobie uroczo gruchają, nie zważając na cały świat? - Uśmiechnęła się szeroko i kilka piórek wypadło jej spomiędzy zębów.

- Zostaniesz teraz z nami? - zapytał Mallory.

- Tak - odparła i zaraz dodała: - Może. Chyba. - Uśmiechnęła się po raz kolejny i nagle beknęła na cały głos.

- No ślicznie - Mallory krótko skwitował jej niezbyt kobiece zachowanie.

- Gdzie chcesz teraz iść? - Nathan wrócił do tematu. - Mamy nie więcej niż trzy, może cztery godziny do wschodu słońca i stracenia śladu Włada.

- Czekaj, my go mamy znaleźć, zanim stracimy ślad - uściślił McGuire.

- Musimy znaleźć jakiegoś szpenia od tych rzeczy - stwierdził Mallory.

- Na cholereę ci szczeniak? - zdziwił się mały wampir. - I o jakich rzeczach mówisz?

- Szpenia, czyli dobrego hakera - poprawił się detektyw. - Kogoś, kto zdoła włamać się do baz danych Transylwanian Expressu i sprawdzić, czy Wład Drabula korzystał ostatnio z karty.

- I gdzie to robił - dodał Nathan.

- Na pewno masz takiego dobrze opłacanego pomocnika, który pomaga ci zawsze w podobnych sprawach - stwierdził domyślnie McGuire.

- Nigdy wcześniej nie potrzebowałem nikogo takiego - odparł detektyw. - Ale sądzę, że znam człowieka, który będzie w stanie nam pomóc. W zeszłym roku wyświadczyłem mu pewną przysługę, myślę, że najwyższy czas, aby odpowiedział tym samym.

- Co to była za przysługa?

- Powiedzmy, że nie wydałem go organom - powiedział Mallory.

- Czy on popełnił jakieś przestępstwo?

- Tak.

- Dlaczego więc...?

- Włamał się na konto bankowe Vita Cherricoli.

-Pracowałeś dla ojca chrzestnego mafii? Dla Słodkoustego Cherricoli?

Mallory skinął głową.

- Pracuję dla każdego, kto chce mnie wynająć.

- A niech to! Zdziwiasz mnie coraz bardziej! - zawołał Nathan. - Dlaczego nie aresztowałeś tego hakera?

- Nie jestem gliniarzem - wyjaśnił Mallory. - Moim zadaniem jest rozwiązywanie problemów, nie aresztowanie ludzi. Kazałem mu przerwać romans z córką Cherricoli, zwrócić pieniądze i obiecać, że ani jedno, ani drugie się nie powtórzy, co usatysfakcjonowało don Vita. W zamian za współpracę nie wydałem go w ręce glin, więc i on był szczęśliwy.

Ale w związku z tym wisi mi jedną przysługę i chyba najwyższy czas, żeby to wykorzystać.

- Jak go znajdziemy?

- Mieszka o jedną przecznicę stąd - powiedział Mallory.

- A nazywa się jakoś?

- Każdy się jakoś nazywa - odparł detektyw. - Ten koleś ma chyba z pięć, jeśli nie sześć nazwisk na potrzeby branży. Ja go poznałem jako Alberta Feinsteina.

- Coś mi się zdaje, że z nim nie da się porozmawiać szczerze i uczciwie - wtrącił z żalem Nathan.

- W jego fachu nie istnieją takie pojęcia jak szczerłość i uczciwość - odparł Mallory.

- Ale jest dobry w te komputerowe klocki? - zapytał McGuire.

- Dlatego do niego idziemy.

- Jak już załatwicie wszystkie sprawy związane z kartą, wypożyczysz mi go na kilka minut?

- A po co ci on, Kijaszk?

- Jest taki portal porno dla wampirów - wyznał zawstydzony McGuire. - Kiedyś podałem im zły numer karty i mnie zbanowali. Może udałoby mu się zdjąć te blokady, żebym mógł nadal korzystać z ich usług?

- Dlaczego nie podasz im dobrego numeru swojej karty?

- zaciekał się Nathan.

- Ponieważ jej nie posiadam - odparł mały wampir.

- To jak kupiłeś komputer?

- Technicznie rzecz ujmując, nie kupiłem komputera - odparł Kijaszek.

- Ukradłeś go?

- Nie miałem innego wyjścia - pisnął McGuire. - To wszystko przez rasizm w wyższych sferach.

- Rasizm? - powtórzył smok z powątpiewaniem.

- Tobie może się wydawać, że bycie wampirem to nieustanne pasmo zabaw i uciech - powiedział Kijaszek - ale możesz mi wierzyć, że na paskach przy wypłacie mamy znacznie mniejsze kwoty niż ktokolwiek inny. Mówią nam, że dostajemy zamiast forsy więcej kuponów żywnościowych, ale te dranie cholernie dobrze wiedzą, że my nie możemy z nich korzystać! Normalnie mnie wkurzają!

- I z tego wkurzenia musiałeś ukraść komputer?

- Powiedzmy, że to takie długoterminowe wypożyczenie - wyjaśnił z godnością McGuire. - Zamierzam go zwrócić, jak tylko pojawi się nowa generacja procesorów.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Mallory, zatrzymując się przed liczącą co najmniej sto lat kamienią.

- Skąd wiesz, że zastaniemy go w domu? - zapytał Nathan.

- Ma areszt domowy.

- Za co?

- Napisał i wysłał rezygnacje za wszystkich członków Rady Miejskiej.

- I dlatego zamknęli go w mieszkaniu razem z jego komputerami - skomentował smok. - Może ktoś rzeczywiście powinien przyjąć te rezygnacje.

Mallory nacisnął dzwonek przy drzwiach Feinsteina.

- Mówi supertajny agent rządowego systemu ochronnego - odezwał się jakiś mechanicznie brzmiący głos. - Oddaj wszystkie pieniądze albo zostaniesz zdefiniowany!

- Otwieraj, Albert! - wrzasnął detektyw. - To ja, John Justin Mallory!

- Mallory! - usłyszeli inny, bardziej ludzki głos. - Jak się miewasz, u licha? Przyniosłeś może pączki z marmoladą albo przyprowadziłeś jakąś napaloną panienkę?

- Dziękuję, nieźle, nie i nie.

Zamek w drzwiach zahuczał i detektyw otworzył je szeroko, wpuszczając do środka trójkę przyjaciół. Potem zaprowadził ich na pierwsze piętro, w głąb długiego korytarza, na końcu którego znajdowało się mieszkanie Alberta Feinsteina, niewielkie i do granic zagracone stosami książek, czasopism, instrukcji obsługi komputerów oraz brudnych ciuchów.

Feinstein czekał już na nich. Był szczupłym chłopakiem, niewiele wyższym od McGuire'a, z kłębówiskiem rudych włosów na głowie i lekkim wąsikiem. Na nosie miał tak grube okulary, że przez szkła trudno było się zorientować, w którą stronę zwrócone są jego oczy. Był też zupełnie nagi, jeśli nie liczyć znoszonego melonika.

- Chyba musiałeś się ubierać w wielkim pośpiechu - zauważył Mallory.

- Pracuję nago - odparł Feinstein.

- A po co ci ten kapelutek?

- Zawsze istnieje szansa, że ktoś jednak wpadnie, jak na przykład wy teraz. W czym mogę ci pomóc, kolego Mallory?

- W tym, w czym jesteś najlepszy - odparł detektyw.

- Nie da rady - odparł haker. - Nie przyprowadziłeś mi żadnej dziewczyny.

- Niech ci będzie, w czym jeszcze jesteś dobry?

- Chcesz, żebym złamał prawo i przyczynił się do czyjegoś nieszczęścia tylko dlatego, że uważasz, iż jestem ci coś winien?

- Tak - przyznał Mallory.

Szeroki uśmiech rozlał się po twarzy Feinsteina.

- Zrobię to z najwyższą przyjemnością! Komu dzisiaj zrujnujemy życie?

- Nikomu.

- Myślałem, że chcesz się zabawić?

- Chcę, abyś włamał się do ściśle tajnych, doskonale strzeżonych baz danych i wydobył z nich konkretną informację - powiedział Mallory.

- Nie ma sprawy - odparł Feinstein. - Gdzie mam się włamać? Do Chase Manhattan Bank? Do Banku Światowego? Chcesz poznać numer konta, na którym Donald Trump trzyma drobne na waciki?

Detektyw podał mu świstek, na którym zapisano numer karty Włada Drabuli w Transylwanian Ex-press.

- Chcę, żebyś dostał się dyskretnie na ich serwery i sprawdził, czy ktoś korzystał z tej karty w ciągu ostatnich kilku dni, a jeśli tak, to kiedy i gdzie.

- A czyje to konto?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał Mallory.

- Tylko w przypadku, gdybym chciał go później szantażować.

- Czy ty w ogóle wiesz, co znaczy słowo „moralność”? - zapytał detektyw, wzdychając ciężko.

- Kiedyś wiedziałem - odparł haker - ale wypadło mi z głowy podczas operacji wszczepiania nowego biodra.

- Nie jesteś trochę za młody na przeszczep stawu biodrowego?

- Louie Wysokie Stawki kazał mi amputować nogę, kiedy nie potrafiłem zapłacić za któryś zakład, więc pomyślałem, że proteza nie będzie w tej sytuacji najgłupszym pomysłem.

- Louie Wysokie Stawki? - powtórzył Mallory. - Nie słyszałem o nim od lat.

- Odsiaduje sześć tysięcy lat w Leavenworth - powiedział Feinstein, uśmiechając się z satysfakcją. - Zdaje się, że ktoś dokonał włamania do komputera, który wyglądał zupełnie jak należąca do niego maszynka, i udostępnił władzom znajdujący się na nim tajny plan zamordowania prezydenta Stanów Zjednoczonych i wysadzenia Kapitolu. W Departamencie Sprawiedliwości uznano, że dalibyśmy sobie znakomicie radę bez administracji prezydenckiej i tych darmozjadów z Kongresu i Senatu, ale budynek był zabytkowy i odbudowanie go kosztowałoby cholerną kupę kasy.

- Vito Cherricola, Louie Wysokie Stawki, Rada Miejska - wyliczał Mallory. - Czy ty nigdy nie wybierasz sobie skromniejszych celów?

- Czy ktoś dzisiaj pamiętałby o świętym Jerzym, gdyby zabił jakiegoś warana? - odparł Feinstein. - A tak na marginesie, masz zamiar przedstawić mnie swoim koleśiom?

- To moi przyjaciele - sprostował Mallory. - Kijaszek McGuire, Łuskowaty Jim Chandler, Felino, pozdrów pana Alberta Feinsteina, najlepszego i chyba najbardziej niemoralnego hakera na Manhattanie.

- Robię to, co umiem najlepiej - odparł Feinstein z fałszywą skromnością.

- No to siadaj do komputera i bierz się do roboty - pogonił go Mallory.

- Naprawdę tak ci się z tym śpieszy? - zapytał haker. - Myślałem, że najpierw poopowiadamy sobie świńskie dowcipy, potem przejdziemy do opisywania ulubionych perwersji, może nawet zrobilibyśmy kilka lewych zakładów na jutrzejsze wyścigi, o ile jeszcze stawiasz na Odlota, a dopiero na sam koniec, już o świcie, zrobiłbym kawkę, jakieś kanapencje i zająłbym się tą robotą.

- Powiedziałem: teraz - zgasił go Mallory.

- Zatem tropisz jakiegoś wampira - mruknął Feinstein.

- Tak, chcę nakryć wampira, więc im dłużej gadamy, tym mniejsze mam szanse na dopadnięcie go przed świtem.

- Dobrze, już dobrze - powiedział haker i ruszył w stronę biurka, przy którym miał swój komputer. - Nie rób z tego takiej afery. - Usiadł ciężko na wysłużonym krześle obrotowym. - Włącz się.

Komputer ożył w jednej sekundzie.

- Jestem gotowa, kochanie - usłyszeli namiętny damski głos.

- Daruj sobie, komputerze - powiedział dość niepewnym głosem Feinstein. - Mam gości.

- Komputerze? - wrzasnęła maszyna. - Czy to znaczy, że nie nazwiesz mnie już więcej Pimpusiem?

- Przeskanuj tę kartę kredytową i nie dręcz mnie więcej - poprosił haker.

- Nic nie zrobię, dopóki nie przeprosisz mnie za tę znie wagę! - odparł komputer.

- Niech ci będzie, przepraszam.

- I masz mówić do mnie Pimpusiu.
 - Nie jesteś jedynym komputerem na tym świecie - ostrzegł Feinstein.
 - Ale jedynym twoim, kochanie.
 - Zeskanujesz ten cholerny numer czy nie?
 - Skanowanie... gotowe. Ale to nie jest tak pasjonujące jak spoglądanie ci głęboko w oczy.
 - Zawstydzasz mnie na oczach moich przyjaciół -syknął haker.
 - To ich wywał za drzwi - poradził mu komputer. - Jestem wszystkim, czego ci trzeba.
 - Skoncentruj się na robocie - poprosił Feinstein. - Dprowadzasz mnie do szaleństwa.
 - Z pożądania? - zachichotał komputer.
 - Porozmawiamy o tym później. Teraz wejdź do baz danych Transylwanian Express.
 - Się robi... jestem załogowana.
 - Jakie zabezpieczenia tam mają?
 - Kod 666.
- Feinstein prychnął pogardliwie.
- Nie rozumiem, dlaczego oni wszyscy uważają, że ten kod jest nie do złamania. Spróbuj się przebić, wykorzystując cztery/L/dwadzieścia sześć.
 - Sądzisz, że to zadziała? - zapytał komputer.
 - Zadziałało w czasie, gdy Notre Dame załatwiał stan Michigan w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim - odparł Feinstein.
 - Zadziałało... jestem w bazie.
 - Muszę wiedzieć, czy ktoś używał tej karty w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, a jeśli tak, sprawdź gdzie - poprosił haker.

- Daj mi czterdzieści pięć sekund, kochanie.

Feinstein odwrócił się do Mallory'ego.

- Teraz jesteśmy kwita?

- Będziemy, jeśli ona... to znaczy to tam... da mi potrzebne informacje.

- Nazwij mnie raz jeszcze totam, a piekło zamarznie, zanim znajdę ci te dane - ostrzegł komputer.

Mallory z trudem zwalczył chęć ciętej riposty i czekał w ciszy na wynik skanowania baz danych TransEksu.

- Zrób mi też wydruk - powiedział Feinstein.

- Robię, kochanie... już jest.

Haker pochylił się i podniósł zadrukowaną kartkę z podajnika.

- Oj! - jęknął komputer. - Jakie masz silne ręce!

Feinstein podał wydruk Mallory'emu, a ten natychmiast zagłębił się w lekturze.

- Kiedy ostatnio użył tej karty? - zapytał Nathan.

- Mamy szczęście - powiedział Mallory. - Zaledwie siedemnaście minut temu.

- Gdzie?

- W aptece, gdzieś w Village. - Detektyw zmarszczył brwi. - Ale prędzej trafię do piekieł, niż zrozumiem, co on tam kupował.

- A co jest na rachunku? - zapytał McGuire.

- Oko traszki, sproszkowane pazury gorgony, soda kaustyczna, dwa pióra harpii, aspiryna dla dzieci, listek laurowy, nektar brzoskwiniowy i masło orzechowe.

Feinstein odwrócił się do komputera.

- Czy istnieje przepis na jakąś miksturę, do której potrzeba tych właśnie składników?

- Mnie się pytasz? - powiedział zaskoczonym głosem komputer.

- Przecież wiesz.

- Chyba mam jakieś imię.

Feinstein westchnął.

- Niech ci będzie, Pimpusiu, czy istnieje jakaś mikstura, do której potrzebne są wszystkie te składniki?

- Jasne, to belonamina - odparł natychmiast komputer. - Stosowana jako antidotum.

- Na co?

- Na spray przeciw wampirom.

- Ktoś go nim opryskał? - zapytał Mallory.

- Niekoniecznie - odparł komputer.

- Mogłabyś mi to wyjaśnić? - poprosił detektyw.

- Jeśli powiesz do mnie Misiu Pysiu.

- Mogłabyś to wyjaśnić, Misiu Pysiu? - powtórzył Mallory i nagle zaczął odczuwać współczucie dla Feinsteina.

- Niektóre biura wynajmują wyspecjalizowane firmy de-ratyzacyjne, które zajmują się spryskiwaniem pomieszczeń, aby odstraszyć od nich wampiry. Ich działanie jest na tyle uciążliwe, że krwio pijcy muszą się poddać oczyszczeniu. Nie trzeba ich spryskiwać bezpośrednio.

- Na samym Manhattanie muszą być dziesiątki takich firm od oprysków - stwierdził detektyw z ponurą miną. - Nie mamy czasu na sprawdzenie ich wszystkich.

- Niekoniecznie - wtrącił komputer.

- Nie rozumiem.

- Nie słyszałam tego.

- Nie rozumiem, Misiu Pysiu.

- Kluczem do tej zagadki jest nektar brzoskwiniowy - wyjaśnił komputer. - Jedyne antidotum, jakie wymaga tego

składnika, używane jest przeciw środkom z firmy Usług Usuwania Szkodników Petera Dziwnego.

- Gdzie mieści się ta firma?

Cisza.

- Gdzie mieści się ta firma, Misiu Pysiu?

- Na rogu Agonii i Odkupienia.

- Gdzie to jest, do jasnej cholery? - jęknął Mallory.

- W Greenwich Village - powiedział Nathan. - Znam drogę.

- Dzięki, Albercie - powiedział detektyw, ściskając dłoń hakera. - Jesteśmy kwita - dodał, ruszając w kierunku drzwi.

- Jedną chwilę, Mallory - zatrzymał go Feinstein. - Teraz ty mi będziesz wisiął przysługę.

Detektyw spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Pimpusiu, sprawdź właściciela tej karty TransEksu, którą przed chwilą namierzałaś. Na pewno ma jakiś numer ubezpieczenia socjalnego albo paszportu czy innego dokumentu. Zobaczmy, czego możemy się o nim dowiedzieć. Tylko nie zapomnij tego wydrukować.

- Już się robi, mój ty słodziutki - powiedział komputer. - Sprawdzam...

- Jestem za bardzo zmęczony - stwierdził Mallory. - Sam powinienem na to wpaść.

- Nie przejmuj się pierdołami - poradził mu Feinstein. - Nie wszyscy mogą być geniuszami z iq wykraczającym poza skalę, jak choćby ja.

- Domyślam się też, że nie wszyscy możemy być aż tak skromni - odparł Mallory.

- Oto wydruk, kochanie - odezwał się głos z komputera.

Feinstein sięgnął po nową kartkę.

- Łaskoczesz mnie! - zachichotała maszyna.

- No proszę, to bardzo interesujące - powiedział haker, czytając wydruk.

- Co takiego?

- Karta jest zarejestrowana na Włada Drabulę, ale to nie jest jego prawdziwe nazwisko.

- Mam dziwne przeczucie, że to, co zaraz usłyszę, wcale mi się nie spodoba - mruknął Mallory.

- Jego prawdziwe nazwisko, a przynajmniej to, którego używał przez ostatnie kilkaset lat w Transylwanii, brzmi Wład Dłaciula.

- Kuźwa! - jęknął detektyw. - Wiedziałem, że to powiesz!
- zamilkł na moment. - Znalazłeś tam coś jeszcze?

- Nie zazdroszczę ci tego celu, panie Mallory - powiedział Feinstein.

- Tak?

Haker podał mu wydruk.

- Pan Dłaciula był bardzo złym chłopcem.

Rozdział dwudziesty trzeci

03.20 - 03.37

Gdzie teraz idziemy? - zapytał McGuire, gdy opuścili mieszkanie Feinsteina.

- Wydawało mi się, że to oczywiste - odparł Mallory. -
Powiedz mu, Felino.

- Na targ rybny - powiedziała z powagą dziewczyna-kot.

- Cóż, chyba rzeczywiście nie jest to tak oczywiste, jak myślałem - przyznał detektyw. - Idziemy do Usług Usuwania Szkodników Petera Dziwnego.

- Ale po co? - pytał dalej mały wampir. - Przecież ten jego spray, jak widać, nie może zabić Włada. Mallory spoglądał na niego przez dłuższą chwilę. - Czy nieodłącznym warunkiem nawrócenia na wampiryzm jest pozbycie się połowy mózgu?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł McGuire. - Dlaczego pytasz?

- Tak się tylko zastanawiałem - wyjaśnił Mallory. - Udajemy się do Petera Dziwnego, ponieważ założyłem sobie, że nie opryskał jeszcze tym swoim sprayem na wampiry całego Manhattanu, a co za tym idzie - być może poznamy listę miejsc, które ostatnio zabezpieczał.

- Nigdy bym na to nie wpadł - oświadczył mały wampir.

- Zdumiałeś mnie tym wyznaniem - mruknął Mallory i odwrócił się w stronę smoka. - Nathanie...

- Łuskowaty Jimie, do cholery!

- Dobrze, Jimie - poprawił się detektyw. - Chciałem tylko powiedzieć, że jak już dotrzemy do firmy Petera Dziwnego, zostaniesz na zewnątrz razem z Kijaszką.

- Myślisz, że będzie próbował uciekać? - zapytał Nathan.

- Dlaczego miałby to robić? Przecież prowadzi legalny interes!

- To ja w takim razie nic nie rozumiem...

- Smoki, podobnie jak wampiry, mogą być podatne na środki, które są tam wytwarzane - wyjaśnił detektyw.

- Myślisz, że ktoś może mu płacić za odstraszenie smoków? - zapytał zbulwersowany taką ideą Nathan.

- A czemu nie?

- Przecież my jesteśmy tacy mili i kochani! Może z wyjątkiem tych wszystkich osiłków, którzy nic tylko wymachują bronią i chcą ze wszystkimi walczyć! - dodał szybko.

- Kto na zimne dmucha, ten się nie sparzy - powiedział Mallory.

- Kto na zimne dmucha, ten też się nie spali na śmierć - wtrącił McGuire.

- Kijaszek, co ty gadasz? Przecież ty i tak już nie żyjesz - sprostował detektyw.

- Sam wiesz, że są różne rodzaje śmierci - przypomniał mu mały wampir.

- Niby jakie?

- Nie mam pojęcia - odparł McGuire. - Ale muszą być jakieś. Przecież nie bez powodu boję się umierania.

- Niech ci będzie. - Nathan wrócił do tematu: - Zostaniemy na zewnątrz, ale tuż za drzwiami.

- Raczej pół przecznicy od nich - poprawił go Mallory. - Te środki przetrzymuje się w formie proszków, a dzisiaj ma być dość silny wiatr. Kto wie jak mogą zadziałać na kogoś, kto znajdzie się zbyt blisko?

- Będziemy się czuli jak najzwyczajniejsi tchórze.

- Bardziej przydadcie mi się żywi - upomniał go detektyw. - Dlaczego choć raz bez szemrania nie zrobicie tego, o co was proszę?

- Zrobię to, ale pod jednym warunkiem. - Smok wyjął z kieszeni uprząży mały dyktafon i podał go Mallory'emu. - Chcę, żebyś nagrał wszystko, co powie ten Peter Dziwny, abym mógł wykorzystać jego słowa w mojej nowej książce.

- Sądziłem, że idąc ze mną, chciałeś się tylko dowiedzieć, jak naprawdę wygląda praca detektywa - stwierdził Mallory.

-Tak było. A potem pomyślałem: co mi tam, przeszedłem z tobą w poszukiwaniu dowodów przez całe miasto, byłem obecny przy niemal wszystkich przesłuchaniach, dlaczego więc nie miałbym opisać tych wydarzeń jako następnej przygody Skrzydlatego O'Bannona?

- Pozostaje mi mieć nadzieję, że ta książka będzie miała szczęśliwe zakończenie - powiedział detektyw.

- Wierzę w ciebie - odparł smok i nagle zamilkł. -Czy mi się zdaje, czy od chwili, gdy Wład zamordował bratanka twojej współpracownicy, nie poszedłeś do łóżka z żadną kobietą...?

Mallory zmierzył go ostrym wzrokiem.

- Nie, raczej nie - kontynuował tymczasem Nathan. - Ale nic to, będę improwizował. Czy ty i Felina nigdy nie... no wiesz...?

- Nie zniesmaczaj mi seksu - poprosił detektyw.

- Racja - odparł smok. - Zapomnij, że o tym wspomniałem. A skoro już jesteśmy przy pytaniach, nigdy nie miałem okazji sprawdzić, jaką sfluwę nosisz.

Mallory wyjął z kieszeni płaszcza pistolet i podał go Nathanowi.

- Nie masz kabury pod pachą? - zdziwił się smok.

- Jest zbyt niewygodna.

Pisarz uważnie przyjrzał się pistoletowi.

- Wygląda jak nowy.

- I powinien - odparł detektyw. - W ciągu minionych piętnastu lat wystrzeliłem z niego może trzy razy.

- Mój Skrzydlaty O'Bannon jest doskonałym strzelcem. W jaki sposób utrzymujesz formę, nie odwiedzając przynajmniej dwa razy w tygodniu strzelnicy?

- Nie nazywam się Skrzydlaty O'Bannon i nigdy nie strzelałem do obiektu oddalonego więcej niż o sześć stóp - odparł Mallory.

- Nie ma sprawy, to akurat da się poprawić bez trudu - uspokoił go Nathan. - Nie zapominaj, że jestem pisarzem kryminałów. Tworzę fikcję.

- Naprawdę zamierzasz napisać książkę o rozwiązaniu tej sprawy? - zaciekawiał się McGuire.

- Mniej więcej.

- I ja w niej też będę? - dopytywał się dalej mały wampir.

- Przecież jesteś w naszym zespole - odparł Nathan.

- A mógłbyś mi dodać ze cztery cale wzrostu i uczynić bardziej atrakcyjnym dla kobiet?

- Jasne - odparł smok. - Takie zabiegi określa się mianem „licentia poetica”.

- Chociaż przesadne koloryzowanie pasowałoby bardziej - wtrącił Mallory.

- Też prawda. - Nathan zbył jego uwagę wzruszeniem ramion.

- Jaki tytuł masz zamiar nadać temu epickiemu arcydziełu? - zapytał detektyw.

- „Na tropie wampira” - odparł smok bez wahania. - Niezły tytułik, sam przyznasz. Będzie schodził jak świeże bułeczki.

- Zdaje się, że jest już taka książka.

- Ale nie na tym Manhattanie - odparł smok. - No, jesteśmy na miejscu. - Wskazał ręką sztyld wiszący nad pobliskimi oknami, na którym wypisano drukowanymi literami pełną nazwę firmy Petera Dziwnego.

- Nadal mają czynne, chociaż jest już po trzeciej w nocy - zauważył McGuire. - Czy to nie wydaje się wam dziwne?

- A znasz lepszą porę na usuwanie tego rodzaju szkodników? - zapytał Mallory.

- Nie jestem szkodnikiem - obruszył się Kijaszek - tylko rozważnym, troskliwym i politycznie poprawnym krwiopijcą, który posiada własne lęki, tęsknoty i potrzeby seksualne, jak każda istota zresztą.

- Niech ci będzie, ale i tak trzymaj się z dala od tego miejsca - upomniał go Mallory. - Felino, idziemy.

- Tam brzydko pachnie - odparła.

- Wiesz co - stwierdził po chwili zastanowienia detektyw - może pomysł, żebyś została tutaj razem z nimi, nie jest wcale taki głupi. Nie wyobrażam sobie, żebyś potrafiła powstrzymać się od połknięcia wszystkiego, co zobaczysz, a tam pewnie aż się roi od przeróżnych trucizn.

Powęszyła w powietrzu.

- Mają tam myszki.

- Na pewno trzymają je w klatkach i testują na nich swoje specyfiki - uznał Mallory. - Zostań tutaj.

- I ptaszki! - Jej źrenice zrobiły się nagle wąskie jak szparki.

- Ale ty i tak zostajesz tutaj.

- Jesteś dla mnie niedobry - fuknęła Felina. - Nienawidzisz mnie. Założę się, że nawet Grundy byłby dla mnie miłszy.

- Chodzi ci o ten moment tuż po zakończeniu tortur?

- To na pewno byłyby miłe, przyjazne i troskliwe tortury - zapewniła dziewczyna-kot.

- Jeju, dzisiaj chyba nie uda mi się przegadać żadnego z was - powiedział Mallory sardonicznie. - Nie mam czasu na takie bezsensowne rozmowy. Zostań tutaj z Kijaszką i Nathanem.

- Łuskowatym Jimem!

- Jedna poprawka. Z Kijaszkim i Jimem.

Detektyw przekręcił gałkę i wszedł do firmy Petera Dziwnego.

- Jest tu kto? - zapytał, gdy drzwi zatrzasnęły się za nim.

- Jedną chwileczkę! - odpowiedział mu głos dobiegający z pomieszczenia na zapleczu sklepu.

Mallory rozejrzał się. Na półkach stały równe rzędy puszek, niewielkich słoików, a od czasu do czasu trafiały się także zatkane korkami fiołki. Każde naczynie było opatrzone naklejką z wykaligrafowanymi napisami.

W końcu z zaplecza wynurzył się przygarbiony mocno staruszek. Miał normalną ilość uszu i oczu, z tym że umiejscowionych niezupełnie tam, gdzie trzeba. Uszy znajdowały się po prawej stronie głowy - jedno nad drugim - a oczy na lewo od nosa. Ten ostatni wyglądałby dość przeciętnie, gdyby nie fakt, że skierowany był bardziej poziomo niż pionowo.

- Peter Dziwny, do usług - przedstawił się staruszek.

Mallory nie odpowiedział.

- Gapi się pan na mnie - dodał właściciel sklepu.

- Przepraszam.



- Nie szkodzi, zdążyłem do tego przywyknąć. Czym mogę panu służyć?

Mallory machnął mu przed oczami licencją.

- Jestem detektywem - powiedział - i właśnie tropię pewnego wampira.

- Chciałbym panu pomóc, ale mieszkam tu, na piętrze - odparł Peter Dziwny. - Nie opuszczałem tego budynku od wielu lat. Nie mam więc pojęcia, gdzie może znajdować się pański wampir.

- Potrzebuję tylko kilku informacji - wyjaśnił Mallory. - Mój, jak pan go określił, wampir natknął się gdzieś na jeden z pańskich produktów i został zmuszony do zakupu środków potrzebnych do wyprodukowania antidotum.

- Rozumiem - powiedział Peter Dziwny, uśmiechając się i pokazując dwa rzędy równiutkich, niebieskich zębów. - Jakie to były składniki?

- Oko traszki, sproszkowane pazury gorgony, soda kaustyczna, dwa pióra harpii, aspiryna dla dzieci, listek laurowy, nektar brzoskwiniowy i masło orzechowe.

Właściciel sklepu pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak, to moje antidotum. Znakiem rozpoznawczym receptury jest nektar brzoskwiniowy.

- W ilu miejscach dokonywał pan ostatnio oprysków tym... tym... cokolwiek pan tam rozpylał?

- Odstraszacz na wampiry - podrzucił mu nazwę Peter Dziwny. - Nie zabija, tylko odstrasza. Tym sposobem właściciel opryskiwanego lokalu nie jest narażony na krwawą wendetę ze strony krewnych i przyjaciół ewentualnych ofiar opryskiwania. Ale ma też pewność, że dzieci nocy nie zagnieżdżą mu się w domu.

- W ilu miejscach rozpylono dzisiejszej nocy pański środek?

- To bardzo drogi towar - odparł Peter Dziwny. -I przestaje działać już po kilku godzinach od rozpylenia. Dzisiejszego wieczora dostałem tylko dwa zamówienia. Pierwsze pochodziło z pięciogwiazdkowego Emporium Burleski Kręcącej Pomponami Tessie-Błyskotki, a drugie z Centrum Dializ przy parafii Matki Boskiej Wiecznie Sfrustrowanej.

- Ma pan adresy tych miejsc?

- Powinny gdzieś tu być. Pozwoli pan, że sprawdzę.

Peter Dziwny podszedł do biurka, wyszukał odpowiedni skoroszyt, przejrzał dokładnie zapisy, potem zanotował dwa adresy na świstku papieru i podał go Mallory'emu.

- Dzięki - powiedział detektyw, rzucając okiem na koślawe pismo. - Wybaczy pan, jeśli jest to zbyt osobiste pytanie, ale jak wszedł pan w ten interes?

- Moja mama wystraszyła się kiedyś obrazu Picassa - wyjaśnił właściciel sklepiku. - I dlatego poprzysiągłem sobie, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby żadna inna matka nigdy więcej nie wystraszyła się czegoś nienaturalnego.

- Dziwi mnie tylko, czemu nie zajął się pan niszczeniem obrazów Picassa - przyznał Mallory.

- A wie pan, ile ich ten facet namalował? - zapytał Peter Dziwny. - Gość miał naprawdę niewyczerpane pokłady inspiracji. Już prędzej oczyszczę Manhattan ze wszystkich koszmarnych pokrak.

- Zajęcie szlachetne jak każde inne - powiedział detektyw.

- Szlachetne, sztachetne - burknął sklepikarz. -Ja po prostu nie chcę, żeby jakiegokolwiek inne dziecko musiało dorastać z czymś takim - wskazał na swoją twarz. - Czy zdaje pan sobie

sprawę, ile czasu zajęło mi znalezienie dziewczyny, którą mogłem pocałować, patrząc jej jednocześnie głęboko w oczy?

- Domyślam się, że sporo.

- Czterdzieści sześć lat! - zawołał Peter Dziwny. - Co więcej, natychmiast się z nią ożeniłem. Do cholery, powiedziałem sobie, ileż kobiet może mieć oczy i uszy tam, gdzie ja je mam?

- Przynajmniej znalazł pan pokrewną duszę.

- Raczej cholerną jędzę - ryknął sklepikarz. - Ale co miałem robić? Czekać następne czterdzieści sześć lat na kolejną podobną do mnie kobietę?

- Dlaczego po prostu nie gasił pan światła? - zapytał Mallory. - W ciemności nie miałyby znaczenia, jak wygląda pańska partnerka.

- A niech to szlag - zaklął szpetnie Peter Dziwny. - Teraz mi pan to mówi?

- Dzięki za informację - Mallory natychmiast zmienił temat. - Nie lubię takich szybkich pożegnań, ale wie pan, wampir czeka. A do świtu zostało już niewiele czasu.

- Chyba coś ci się pomerdało, młody człowieku - zatrzymał go sklepikarz. - Z wampirami najlepiej walczy się za dnia. Są o wiele mniej niebezpieczne, gdy zapadają w śpiączkę w swoich trumnach.

- Ale ja nie wiem, gdzie on trzyma tę trumnę - wyjaśnił Mallory. - Dlatego muszę go dopaść przed świtem.

- Nie chciałbyś niewielkiej ochrony na wszelki wypadek? - zapytał Peter Dziwny.

- Co może mi pan zaproponować?

- Mam spray, który przeżre jego skórę i wypali mu oczy. Mam proszek, po którym wypadną mu wszystkie zęby, pazury, a nawet uszną genitalia. Mam całą masę środków, po których

będzie żałował, że w ogóle się narodził... - tu sklepikarz zamilkł na chwilę. - Jedyne problem z ich zastosowaniem polega na tym, że trzeba podejść bardzo blisko. I tu zaczynają się kłopoty. Przy bezpośrednim kontakcie wampir może ci bez trudu odebrać moje specyfiki, co więcej, może ich też użyć na tobie. Przeciętny osobnik jego gatunku jest czternaście razy silniejszy od człowieka, a może siedemnaście...? Zresztą nieważne, jeśli ustalisz miejsce jego pobytu, najrozsądniej będzie skorzystać z okna co najmniej na drugim piętrze, znajdującego się dokładnie nad nim i rozsypać proszek z góry. O ile nagły podmuch wiatru nie zniesie go na tłum niewinnych przechodniów, będziesz miał problem z głową.

- To cholernie skomplikowane - stwierdził Mallory.

- Porywasz się w końcu na jedno z dzieci nocy - odparł Peter Dziwny. - A one zabijają wszystko, co im wpadnie w ręce.

- Czy istnieją jakieś stworzenia, których wampiry się boją? - zapytał Mallory.

Sklepikarz pokręcił głową.

- Widziałem już, jak rzucały się na gorgony, gryfy, ogry, a nawet węże morskie. Wampiry to zimne dranie. Ale ty przynajmniej nie uganasz się za jednym z tych transylwańskich, bo te, powiem ci, są najgorsze ze wszystkich. Dość jednak gadania, młody człowieku. Życzę ci powodzenia, zdobądź jego uszy i ogon, czy cokolwiek tam teraz nieustraszeni pogromcy wampirów traktują jako trofea.

Mallory podziękował grzecznie i wrócił na ulicę. McGuire i Nathan natychmiast ruszyli w jego stronę. Detektyw nie widział nigdzie Feliny, ale moment później pojawiła się i ona. Przemknęła w powietrzu po odbiciu się ze szczytu markizy

rozciągniętej nad wejściem i po zrobieniu potrójnego salta wyładowała miękko na chodniku.

- Nieźle - przyznał Mallory. - Dam ci dziewięć przecinek siedem dziesiątych punktu za ten skok.

- Czy dziewięć przecinek siedem dziesiątych punktu da się zjeść? - zapytała.

- Ale tylko z musztardą i przyprawami.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał Nathan, gdy dobiegł pod wejście razem z małym wampirem.

- Wiem już, gdzie Wład był pół godziny temu - odparł Mallory. - Dziwny Peter opylał tylko dwa miejsca tej nocy.

- Jakże?

- Jednym było Emporium Burleski Kręcącej Pomponami Tessi

- Jak dla mnie brzmi nieźle - stwierdził rozanielony McGuire.

- Ale możemy od razu wyeliminować to miejsce - zgasił go Mallory. - Pozostaje tylko Centrum Dializ przy parafii Matki Boskiej Wiecznie Sfrustrowanej.

- A dlaczego nie Tessie-Błyskotka? - zapytał przybitym głosem mały wampir. - To mój najbardziej ulubiony teatrzyk.

- I wiesz, jak tam się dostać? - raczej stwierdził, niż zapytał Mallory.

- Jasne, to tylko przecznica za Times Square.

- Zgadza się - odparł detektyw. - Samo centrum miasta. Ale Wład robił zakupy komponentów do antidotum w Village. Dziwnym zbiegiem okoliczności Centrum Dializ przy parafii Matki Boskiej Wiecznie Sfrustrowanej znajduje się w samym środku tej dzielnicy, na skrzyżowaniu Głupoty i Iluzji.

- To ma sens - przyznał Nathan. - Chciałem przez to powiedzieć, że nasz wampir z pewnością miałby niezwykle ochoc-

tę na ukąszenie paru babek w odsłonięte szyje, ale w Emporium Burleski Kręcącej Pomponami Tessie-Błyskotki są zawsze takie tłumy. A co za tym idzie, pozostawiłby wielu świadków. Rozsądniejsza wydaje się więc wizyta w Centrum Dializ, gdzie też nie powinno brakować krwi, a o trzeciej nad ranem musi być pusto, nawet w noc wigilijną Wszystkich Świętych.

- Naprawdę myślicie, że jemu przeszkadza w czymś obecność świadków? - zapytał McGuire. - Przecież to Wład Dłaciula. Mistrz świata w kąsaniu w szyję. Kto go powstrzyma przed zatopieniem kłów w tych pulsujących, gibkich, falujących...

W czasie gdy mały wampir szukał kolejnych przymiotników, Mallory przejął inicjatywę:

- Zapomnij o tym teatrzyku. I nie chodzi tutaj o ilość świadków. Wiemy, że Wład ma zamiar zaatakować Centrum Dializ, ponieważ zakupił komponenty do antidotum na terenie Village, a gdyby natrafił na spray Petera Dziwnego gdzieś w centrum, z pewnością nie pędziłby tak daleko, aby zrobić zakupy w peryferyjnej aptece.

- Zatem kierujemy się teraz na Centrum Dializ? - zapytał Nathan.

- Tak - odparł Mallory. - Mam przeczucie, że jesteśmy coraz bliżej drania.

Rozdział dwudziesty czwarty

0337 - 03.55

Wprawdzie minęło już wpół do czwartej, ale w całym Village wciąż świętowano wigilię Wszystkich Świętych. Po ulicach, alejkach, a nawet dachach budynków przylegających do placu Waszyngtona wałęsały się tłumy kobiet i mężczyzn po przebieranych za duchy, ghule i wszelkie inne stworzenia nocy. Nie brakowało tu też prawdziwych duchów, ghuli i bestii, ale te nie potrzebowały już żadnych przebrań. Zespoły rockowe, jazzowe, a nawet zwykłe kapele podwórkowe urozmaicały zabawę, grając praktycznie wszystko, od wielominutowych solówek po marsze pogrzebowe. Teatry kukielkowe prezentowały najkrwawszy repertuar, pełen śmierci i zniszczenia, ku uciesze ludzkich - choć nie tylko - dzieci, którym w tę szczególną noc pozwolono zostać na dworze do tak późnej godziny.

- Obawiam się, że wypytywanie przechodniów będzie raczej bezcelowe - zauważył Nathan. - Do tej pory widziałem wśród przebierańców ze dwudziestu Draculów.

- Tutaj go nie było - stwierdził po chwili Mallory.
- Skąd wiesz?
- Nie ma zwłok.

Detektyw ponownie sprawdził numery i nazwy ulic na pobliskich budynkach.

- Zdaje się, że zaułek Głupoty kończy się przy tym skrzyżowaniu. Tam musi być rondo Iluzji.

- Widzę tam jakiś szyld - wtrącił McGuire. - „Nasza Pani Wiecznie Sfrustrowana”.

- Tak, stacja dializ mieści się tuż obok kościoła - powiedział Mallory.

- Chyba w środku nie pali się ani jedno światło - zauważył Nathan.

- Tam na pewno nie pali się ani jedno światło -poprawił go mały wampir.

Dotarli przed główne wejście Centrum.

- Felino, czy czujesz jakiś zapach?

- Coś bardzo dziwnego odwiedziło to miejsce -odparła dziewczyna-kot, wężąc w powietrzu. - Ale już sobie poszło.

- Czy w środku ktoś jest? - zapytał Mallory.

- Niezupełnie.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

Uśmiechnęła się do niego niewinnie i od razu zrozumiał, że konkretniejszej odpowiedzi nie będzie. Dlatego sięgnął do klamki i zdziwił się mocno, gdy zamek ustąpił pod naciskiem. Pchnął mocniej drzwi, a te natychmiast stanęły otworem.

- Nathanie, pilnuj wejścia. Nikt tu nie wchodzi, nikt nie wychodzi.

- Dobrze - odparł smok, ujmując mocniej dzidę.

Mallory wszedł do poczekalni. Obmacał ściany po obu stronach drzwi i w końcu znalazł włącznik światła.

- Jezu! - wyrwało mu się z ust, gdy jarzeniówki oświetliły pomieszczenie. Ciężkie dębowe biurko zostało ciśnięte na ścianę z wielką mocą, robiąc w boazerii sporą dziurę. Szafka na akta znajdowała się gdzieś za wybitym oknem. Mallory podszedł do przewróconego na bok mebla i spróbował go dźwignąć. Biurko ani drgnęło.

- Kijaszek - detektyw poprosił o pomoc małego wampira - chwyć z drugiej strony, zobaczymy, czy razem uda nam się je przesunąć.

McGuire posłusznie zawędrował na drugi koniec blatu, zaparł się mocno i wspólnie z Mallorym pociągnął go w górę. Unieśli biurko na jakieś półtora cala, ale zdołali je utrzymać w powietrzu tylko przez kilka sekund.

- Jaki stwór mógł podnieść tak ciężki mebel i cisnąć nim przez pół pokoju? - dziwił się detektyw.

- Ten, którego szukamy - odparł McGuire ponuro.

- Chodź - powiedział Mallory, podchodząc do drzwi, które prowadziły do wnętrza budynku. - Zobaczymy, co jeszcze tutaj nabroił.

Sprawdzanie nie trwało zbyt długo. Wszystkie maszyny do dializ zostały porozbijane o ściany.

Łóżka szpitalne powywracano do góry nogami, podobnie jak jeszcze jedną szafę na akta.

- Co tu się działo? - zapytał McGuire, gdy Felina, znacznie potulniejsza niż zwykle, nerwowo węszyła wokół, usiłując wyszukać znajome zapachy.

- Chcesz posłuchać mojej hipotezy? - zapytał detektyw. - Wład przybył tutaj w poszukiwaniu krwi, ale to nie jest centrum krwiodawstwa, tylko zwykła stacja dializ. Nikt tutaj nie składował krwi. Jedynie oczyszcza się ją z toksyn i przetacza ponownie do żył pacjentów. Ale przychodząc tutaj, popełnił dwa błędy. Po pierwsze, sądził, że znajdzie tutaj spory zapas krwi, ale to mu się nie udało. Po drugie, nie miał pojęcia, że lokal ten został spryskany środkiem na odstraszanie wampirów Petera Dziwnego. A ten musiał dać mu się mocno we znaki - szczypał, swędział, czy jak jeszcze on tam działa. Dlatego wpadł we wściekłość i rozniósł to miejsce na strzępy, a potem udał się do apteki po składniki do antidotum.

- Mylisz się, Johnie Justinie - powiedziała Felina.

- Doprawdy?

- Powiedziałaś, że nie zdobył tutaj zapasu krwi.

- Bo nie mógł go zdobyć.

Uśmiechnęła się i wskazała pazurkiem na wywrócone łóżko. Mallory obszedł je i zobaczył zwłoki leżące na podłodze.

Przyklęknął obok nich. To była kobieta, mniej więcej po czterdziestce. Miała rozerwaną tchawicę. Ktoś bardzo sprawnie wyssał z niej całą krew.

- Nie ma na sobie białego kitla - zauważył detektyw, oglądając ciało. - Wygląda mi na sprzątaczkę. To by tłumaczyło, co robiła tutaj po nocy, kiedy Centrum jest zamknięte... - Pokręcił w milczeniu głową. - Miała pecha. Wład nie przyszedł tutaj po nią. Gdyby pospieszyła się lub spóźniła o kwadrans, pewnie nadal by żyła.

Mallory wstał, obszedł raz jeszcze całe Centrum, aby upewnić się, czy gdzieś nie ma kolejnych ciał albo ktoś nie ukrył się i nie potrzebuje teraz pomocy. Nikogo jednak nie znalazł, wrócił więc w towarzystwie małego wampira i Feliny na ulicę.

- Coś mi się widzi, że go tutaj nie ma - zagaił Nathan na ich widok.

- Ale był. I to całkiem niedawno. Zdążył zabić sprzątaczkę. Gliniarze dowiedzą się o tym z samego rana.

- Wyglądasz na zasmuconego - zauważył smok.

- I to jak.

- W moich książkach widok zwłok nigdy nie wpływa na stan ducha łapsa - powiedział Nathan. - Zresztą ty musiałeś już ich widzieć całkiem sporo w swojej karierze.

- W martwym ciele nie ma niczego atrakcyjnego, ale to nie jego widok mnie zasmucił - wyznał Mallory.

- Zatem co?

- Tropiłem Włada Dłaciulę przez całą noc, ale do tej pory nie miałem wielkiego pojęcia, do czego może być zdolny. Teraz zobaczyłem to na własne oczy.

- Nie zamierzasz chyba rzucić w diabły tej sprawy i uciec gdzie pieprz rośnie? - zaniepokoił się Nathan.

- Mallory nigdy czegoś takiego nie zrobi! - zapewnił żarliwie McGuire. - To facet, który postawił się samemu Grundy'emu, najpotężniejszemu demonowi Wschodniego Wybrzeża.

- Mallory? - zdziwił się smok. - Powiedz, co masz zamiar teraz zrobić?

- Nie mogę walczyć z tym wampirem gołymi rękami - powiedział detektyw. - Muszę się uzbroić.

- Przecież już masz broń - zaprotestował Nathan. - Pamiętasz, pokazywałeś mi swój pistolet.

- Ale nadal niewiele wiem o naszym przeciwniku - wyjaśnił Mallory. - Pistoletami na pewno go nie powstrzymamy. Zwykłe pociski mogą go tylko jeszcze bardziej wkurzyć. Muszę uzbroić się w wiedzę!

- Gdzie można się takich rzeczy dowiedzieć? -zapytał Nathan.

- Kiedy potrzebowałem wiedzy o jednorożcach, znalazłem ją w Muzeum Historii Naturalnej - odparł Mallory.

- Ale o Władzie to tam raczej nic nie będą mieli -wtrącił McGuire.

- Wiem - mruknął detektyw i spojrzał w górę. -Po drugiej stronie ulicy jest stacja benzynowa. Poczekać tutaj, chłopaki, pożyczę stamtąd książkę telefoniczną.

- Po co?

- Jeśli mamy Muzeum Historii Naturalnej, powinno być też Muzeum Historii Nienaturalnej - powiedział Mallory, ruszając w kierunku stacji benzynowej. - Tam znajdziemy odpowiedzi na wszystkie pytania.

Rozdział dwudziesty piąty

03-55 - 04.26

Nigdy nie słyszałem o takim miejscu - powiedział Nathan, gdy znaleźli się na Lexington Avenue, w połowie drogi pomiędzy Village a centrum. -Ja też nie - przyznał Mallory - ale znam ten Manhattan na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż musi istnieć tutaj coś takiego albo podobnego.

- Pytanie tylko, czy powiedzą ci tam coś o wampirach, czego nie mógłbyś usłyszeć ode mnie - wtrącił McGuire. - W końcu znam ten problem, jak to mówią, dogłębnie i od środka.

- A możesz mi określić limit siły Włada? - zapytał detektyw.

- Na pewno ma jej tyle, żeby rzucić ciężkim biurkiem albo szafką na akta.

- Czyli jest silniejszy od wystraszonego dziecka czy też staruszki-sekretarki - przerwał mu Mallory. -Tyle to i ja wiem. Ale jak mam go obezwładnić albo przynajmniej obronić się, kiedy na mnie naskoczy? - No... to... wiesz...

- I dlatego musimy iść do tego muzeum - powiedział detektyw i rozejrzał się po opustoszałej ulicy. - Jest później, niż sądziłem. Minęliśmy ze cztery przecznice, a żaden goblin nie próbował nam niczego sprzedać.

- Ktoś o mnie pytał? - z ciemności po lewej natychmiast dobiegł chrapliwy głos.

- Wiedziałem, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe - mruknął Mallory.

- Ja niczego nie sprzedaję - zastrzegł goblin, wychodząc z mrocznej alejki. - Żadnych oryginalnych obrazów znanych

mistrzów, żadnych rasowych dżdżownic, na wypadek gdybyście chcieli po drodze do domu nałowić ryb, nawet nie stręczę nieletnich napalonych goblinich dziewczynek.

- Jaka miła odmiana - stwierdził detektyw. -A teraz spływaj, kolego.

- Ty jesteś John Justin Mallory?

- I co z tego?

- Tropisz wampira, który nazywa siebie Władem Drabułą?

- Tak.

- Zostałem upoważniony przez Kościół Bezwzględnie Skruszonych Grzeszników do odpuszczenia ci wszystkich grzechów za siedemnaście dolarów i trzydzieści jeden centów, co, musisz przyznać, jest naprawdę niską ceną za miejsce w jednej z najspokojniejszych podmiejskich dzielnic nieba, zwłaszcza że w cenie mieszczą się także codzienne darmowe herbatki podczas bezpłatnego kursu golfa.

- Zapomnij.

- Już zapomniałem, panie Mallory - odparł goblin. -Skoro jest pan zdecydowany stawić czoła Władowi Drabuli bez zagwarantowania sobie miejsca w naszym niebie, pozwolę sobie zaproponować panu, oczywiście za równie rozsądną cenę, jedne z najlepszych maści i środków przeciwbólowych, jakie można znaleźć na rynku, które mogą okazać się niezwykle przydatne na zakończenie każdego dnia mąk w piekielnej otchłani.

- Łuskowaty Jimie, byłbyś tak uprzejmy i dziabnął go dzidą, jeśli wypowie jeszcze jedno słowo? -zapytał Mallory.

- Z największą przyjemnością - odparł smok.

Goblin natychmiast zaczął oferować kolejne produkty i odpusty przy pomocy języka migowego, a nawet typowych

zgadywanek, kiedy to wskazuje się ilością wyprostowanych palców, z ilu sylab składa się nazwa przedmiotu, a potem robi się przeróżne miny i gesty, by naprowadzić widownię na właściwą odpowiedź. Wykrzywił się tak do kolejnej przecznicy, gdzie stracił zainteresowanie zbawianiem Mallory'ego i porzucił go dla brodatego męża w długiej szacie, który dźwigał wielką tablicę głoszącą, że koniec świata nastąpi już następnego ranka o godzinie ósmej czterdzieści trzy, oczywiście czasu obowiązującego na Wschodnim Wybrzeżu.

- Dlaczego zwolniłeś? - zapytał chwilę później McGuire.

- Jesteśmy już na miejscu - odparł Mallory.

- Co ty mówisz? - zaprotestował mały wampir. - Jesteśmy gdzieś pomiędzy Dwudziestą Ósmą a Dwudziestą Siódmą Ulicą.

- Postępuję zgodnie z informacjami otrzymanymi przez telefon - wyjaśnił detektyw. Właśnie dotarli do wąskiego przejścia pomiędzy budynkami. Mallory spojrzał w górę i zobaczył tabliczkę informującą, że tutaj krzyżują się aleje Lexington i Zapomniana. - Teraz musimy skrócić w lewo.

- Nigdy nie słyszałem o takiej alei - przyznał Mc-Guire.

- Bo pewnie nigdy wcześniej nie chciałeś się na niej znaleźć - odparł detektyw i nagle wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak bawi? - zapytał mały wampir.

- Po raz pierwszy odezwałem się jak tutejszy - wyjaśnił Mallory. - Kilka lat temu za każdym razem, kiedy o coś pytałem, otrzymywałem odpowiedź w podobnym stylu.

Aleja robiła się coraz szersza i lepiej oświetlona. Mallory dostrzegł w oddali stadko gnomów z metra wynurzające się z pobliskiej stacji. Wielkie bestie natychmiast zaczęły buszować w pojemnikach na śmieci. W końcu wygrzebały z nich pomiętą

gazetę, która nie różniła się niczym od setek innych papierów, i oddaliły się z nią wolnym krokiem.

- I gdzie to muzeum? - zapytał McGuire.

- Gdzieś przy tej alei - odparł Mallory. - Nie jest zbyt długa, a budynek ciągnie się na przestrzeni dwóch, może trzech przecznic. Na pewno je znajdziemy.

Minęli bar wypełniony goblinami, potem drugi, pełen elfów, i trzeci, w którym dominowały gremliny. Kolejny lokal miał na drzwiach napis informujący, że jest zarezerwowany dla gentlemanów i dam gadziego rodzaju, a występować w nim będzie Zmysłowo Oślizgła Sally, która potrafi zrzucić ciuszki i skórę trzy razy jednego wieczora, a w soboty nawet i cztery razy.

W końcu stanęli przed niewielką budowlą ozdobioną granitowym posągami lamii stojącej nad kwadratowym światem, z którego krawędzi spadały maleńkie żaglowce.

- To chyba tutaj - powiedział Mallory.

- Tak, ten posąg stanowi kwintesencję nienaturalności - przyznał McGuire. - Wyobrażacie sobie, że ktoś może nadal sądzić, iż Ziemia jest kwadratowa? - Aż zachichotał z rozbrawienia. - Przecież to oczywiste, że ma kształt trapezu.

Mallory wspiął się na trzy szerokie stopnie prowadzące do wejścia.

- Felino, pamiętaj, nie wolno ci niczego dotykać!

- Nie ma sprawy - odparła. - Chyba. O ile to nie będzie smaczne. Albo małe i bezbronne. Albo...

- Dość tego. Poczekasz na mnie na zewnątrz.

- Może poczekam, a może nie poczekam.

- Niech i tak będzie - zgodził się detektyw. - Może i ja kiedyś jeszcze cię nakarmię, a może i nie nakarmię aż do śmierci.

- Będę tu czekała - zapewniła go natychmiast.

Mallory podszedł do drzwi.

- A wy? - zapytał Nathana i Kijaszka. - Nie idziecie ze mną?

- Nie - odparł McGuire. - Nie chcę oglądać wampirów traktowanych jako dziwy natury.

- Słusznie - odparł detektyw. - Przecież nie ma niczego nienaturalnego w byciu nieumarłym i przebywaniu na ścisłej diecie z krwi.

- Cieszę się, że mnie rozumiesz - powiedział mały wampir. - Będę miał oko na kotowate.

- A ja pójdę - oświadczył Nathan. - Muszę podążać wszędzie tam, gdzie idzie moje źródło literackie... - zamilkł i zamyślił się głęboko. - Korzystałeś z toalety od czasu rozpoczęcia tej sprawy? - zapytał po chwili Mallory'ego.

- Raczej nie. A dlaczego pytasz?

- Bo to bardzo istotna sprawa - oświadczył smok.

- Jeśli musisz, to leć - odparł detektyw. - Na pewno mają tam jakieś toalety. Nie potrzebujesz do tego mojego pozwolenia ani towarzystwa.

- Ja wcale nie muszę iść do toalety.

- Więc w czym problem?

- Muszę zobaczyć, jak ty tam idziesz. Chcę wiedzieć, jak się zachowujesz w takiej sytuacji. Oczywiście wyłącznie na potrzeby książki. Muszę opisać wszystko w najmniejszym szczególe.

- Załatwiam te potrzeby jak każdy człowiek - odparł Mallory.

- Problem w tym, że jeśli zacznę obserwować wszystkich ludzi w toaletach, to wsadzą mnie do paki za obrazę moralności - powiedział Nathan.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Mallory z uśmiechem na ustach.

- Chyba dam sobie spokój z detalami w tym przypadku.
- Bardzo rozsądna myśl - uznał detektyw.

Mallory i smok weszli do muzeum. Znaleźli się w niewielkim przedsionku, z którego odchodziło kilka korytarzy. Właśnie się zastanawiali, od którego powinni zacząć, gdy zbliżył się do nich siwawy mężczyzna w białym kitlu.

- Witam w Muzeum Historii Nienaturalnej - powiedział.
- Wszystkiego najlepszego. Wesołej wigilii Wszystkich Świętych. Hurra! - zamilkł na moment. - Czy to już wam wystarczy?

- Co wystarczy? - zapytał Nathan.

- Szefostwo kazało mi radować się ze święta, jeśli w pobliżu znajdą się zwiedzający. Pozwolą panowie, że się przedstawię. Jestem profesor Seldon Hari, główny kustosz. Moją specjalnością jest dewolucja, ale mogę oprowadzić panów po wszystkich działach.

- Dewolucja? - zdziwił się Mallory. - A cóż to takiego?

- Antyteza ewolucji, a cóż by innego - odparł profesor Hari. - Weźmy na przykład nasze dzieci. Siedemdziesiąt pięć lat temu wsłuchiwały się w wyrafinowane brzmienia jazzowych standardów Benny'ego Goodmana, a kiedy zaczynały mówić o zespołach, miały na myśli przeważnie albo Tommy'ego albo Jimmy'ego Dorsey'a. Pięćdziesiąt lat temu ich uwagę przykuwały przeboje Little Richarda i Screamin' Jaya Hawkinsa. Kolejny etap dewolucji zaprowadził je przed ołtarze The Kiss. A dzisiaj wszelkie oznaki prawdziwej muzyki zniknęły i zostało tylko to coś, co nazywa się rapem. - Naukowiec pokręcił głową. - Od Beethovena do czegoś takiego w zaledwie dwieście lat. Czyż to nie dewolucja w najczystszej postaci?

Mikę Resnick

- Przedstawił nam pan zmiany tylko w jednym obszarze kultury - powiedział Nathan. - Nie sądzi pan, że to zbyt wąski wycinek rzeczywistości, aby móc wyciągać tak daleko idące wnioski?

- Weźmy zatem masową rozrywkę - odparł profesor Hari. - Nasze poczucie humoru dewoluowało od występów Morta Sahla przez braci Marx aż do Adama Sandlera i Andrew Dice'a Claya. A bohaterowie kina? Dewolucja z Johna Wayne'a do Sena Penna. Im bardziej maleją mózgi naszych aktorek, tym większe mają biusty. Czysta dewolucja. Weźmy też literaturę. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym największymi przebojami rynku były „Zdrowy rozsądek” Thomasa Paine'a i „Przygody Hucka” Marka Twaina. Przejdźmy teraz do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. Analogiczne miejsca zajmują „Dolina lalek” i „Miasteczko Peyton Place”. Czy muszę coś jeszcze dodawać? Chcecie porozmawiać o programach telewizyjnych?

- Obawiam się, że nie mamy na to czasu - odparł Mallory. - Podążam tropem istoty, która nie dewoluowała, chociaż ma kilkaset lat.

- Aha! - zawołał profesor Hari. - Chodzi o mistyczną i zapewne nadnaturalną istotę! - Zmarszczył brwi. - Albo o pannę Morgan, która uczyła mnie angielskiego w gimnazjum. Ta wiedźma terroryzowała uczniów od ostatniej epoki lodowcowej.

- Nie szukam pańskiej nauczycielki - zapewnił go Mallory.

- To dobrze. Była jedyną osobą na tym świecie, która naprawdę mnie przerażała. Oczywiście za wyjątkiem siedemnastego dołka na Peeble Beach, który chociaż należy bez-

względnie do kategorii miejsc nieożywionych, potrafił połykać moje piłeczki golfowe. Dałbym głowę, że tak było.

- Tropię wampira z Transylwanii - wyjaśnił Mallory. - Używał w historii wielu nazwisk, wśród nich było też Wład Drabula. Sądziłem, że jeśli mogę się gdzieś dowiedzieć czegoś na jego temat, to tylko tutaj.

- Wampiry, aha! - zawołał profesor Hari i klasnął w dłoń z radości. - Prawdziwi gwiazdorzcy nienaturalnej historii. Fascynujące stworzenia!

- Może mi pan coś o nich powiedzieć?

- Mogę panu opowiedzieć o nich niemal wszystko, młody człowieku. Dla przykładu: czy wiedział pan, że do połowy dwudziestego stulecia nazywano je powszechnie wampyrami?

- Nie wiedziałem.

- Albo że były także określane mianem Nosferatus?

- Jestem pewien, że pochodzenie ich kolejnych nazw musi być naprawdę fascynujące, ale powinienem schwytać tego wampira jeszcze przed świtem i potrzebuję wiedzy na temat ewentualnych zabezpieczeń na wypadek walki z nim.

- Oczywiście, oczywiście - odparł profesor Hari. - Dawno, dawno temu uważano, że najlepszym sposobem na obronę przed wampyrami jest zamieszkanie na maleńkiej wysepce albo nawet łodzi wiosłowej, ponieważ stworzenia te panicznie boją się wody. Ale to bujdy, proszę pana.

- To już wiem.

Mikę Resnick

- Powiadano także, że wampir nie może przekroczyć progu domostwa, o ile ktoś go tam nie zaprosi. Milczenie wydawać by się mogło najlepszym sposobem obrony przed wampyrami. - Profesor westchnął ciężko. - To też nie działa, szanowny panie.

- Co w takim razie działa?
 - Srebrna kula może zabić wilkołaka, ale na wampirze nie robi najmniejszego wrażenia - kontynuował tymczasem profesor Hari, robiąc zaniepokojoną minę. - Czy to nie dziwne?
 - A co pan powie na kołki? - zapytał Mallory.
 - Ma pan kilka do sprzedania? - zainteresował się kustosz.
 - Chodzi mi o wbijanie ich w serca śpiących wampirów.
 - Tak, tak, wszyscy wiemy, że to je może zabić. Problem tylko w tym, że aby to zrobić, trzeba podejść na wyciągnięcie ręki, a wie pan, oni są... niech policzę... szesnaście przecinek dziewięćdziesiąt siedem razy silniejsi niż ludzie.
 - A co z krzyżami i święconą wodą?
 - Zdecydowanie nie radzę używać krzyża przeciw wampirom wyznania mojżeszowego, podobnie jak przeciwko mużłmańskim czy hinduistycznym - odparł profesor. - Z drugiej jednak strony istnieje sporo opinii na temat wysokiej skuteczności czosnku.
 - Naprawdę?
- Profesor Hari wzruszył ramionami.
- Ja uważam, że to zależy od samych wampirów. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że kiedy zionąłem czosnkiem, Emmylou Goldberg nie podeszła do mnie przez cały wieczór ani razu, ale to wydarzyło się niemal czterdzieści siedem lat temu i do dzisiaj mogła przewyciężyć tę awersję.
- Mallory spojrział na zegarek.
- Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek przydatnego o walce z wampirami?
 - A co ja robię przez cały czas?
 - Skoro nie potrafi mi pan powiedzieć, jak je zabić albo chociaż utrzymać na dystans, może uda się panu przedstawić

mi ich zwyczaje? Czy one wszystkie śpią w dzień? Czy światło słoneczne naprawdę może zamienić je w proch?

- Ich skóra jest bardzo czuła na promienie słoneczne, dlatego szybko się opalają, ale to na pewno nie doprowadzi do śmierci wampira, no chyba że położy się takiego osobnika na plaży, gołego, powiedzmy, na tydzień. Co do drugiej kwestii. One lubią spać w dzień, ale nie jest to jakiś przymus, jeśli sytuacja tego wymaga, potrafią się dostosować i sypiać w nocy. Jedynie, co muszą, to spać w ojczyściej ziemi.

- I nie ma żadnych odstępstw od tej reguły?

- Nie ma. Ani jednego - odparł profesor Hari. - Swoją drogą, to dość obrzydliwy nawyk. Pomyślałby pan, że spędzają potem kilka godzin pod prysznicem, ale nic bardziej mylnego, szanowny panie. Czy wie pan - ciągnął dalej kustosz - że jedną z największych tajemnic wampirów jest to, że nie mają pod pazurami więcej brudu niż przeciętny człowiek?

- Dziękuję panu, profesorze - powiedział Mallory. - Jestem wdzięczny za poświęcenie nam tak dużej ilości pańskiego cennego czasu, ale to właśnie jego zaczyna mi coraz bardziej brakować. Niestety, muszę już iść.

- Jest pan tego pewien? - zapytał Hari. - Mamy nowiusieńkiego yeti na pierwszym piętrze, tuż obok wystawy o globalnym ociepleniu.

- Może innym razem - odparł detektyw. - Chodźmy, Jim.

Nathan odwrócił się i ruszył za nim w stronę drzwi.

- O mój Boże! Stałeś tutaj i słuchałeś mnie przez cały czas? - jęknął profesor. - A ja myślałem, że jesteś jednym z eksponatów!

- Pomylił mnie pan z ciocią Maude - odparł smok. - Trzymacie ją gdzieś na zapleczu.

- Czy oni naprawdę pokazują tam którąś z twoich ciotek? - zaniepokoił się Mallory, gdy wyszli już z budynku.

- A gdzie tam. Dwadzieścia minut temu nie miałem nawet pojęcia, że takie muzeum istnieje.

- Zatem dlaczego to powiedziałeś?

- Bo ciocia Maude nigdy nie dała mi prezentu na Gwiazdkę. I uciekła z jakimś przygodnym komiwojażerem trzydzieści dwa lata temu. Chciałbym, żeby skończyła w takim miejscu, wypchana i wystawiona ku uciesze gawiedzi.

McGuire i Felina czekali na nich w tym samym miejscu, w którym Mallory ich zostawił.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał mały wampir.

- Nawet sporo - odparł detektyw. - Ale raczej nic użytecznego.

- Jakie będzie nasze następne posunięcie?

Mallory po raz kolejny spojrzał na zegarek.

- Jest już prawie wpół do piątej. Słońce wzejdzie za jakieś dwie i pół godziny. Na razie Wład nie zostawił po sobie tylu śladów, żebym mógł odnaleźć jego trumnę do tego czasu, dlatego uważam, że musimy przejąć inicjatywę. Może dzięki temu popełni w końcu jakiś błąd.

- Ale jak chcesz to zrobić? - zapytał Nathan.

- Zamierzam udać się ponownie do Alberta Feinsteina i poprosić go o zablokowanie tej transylwańskiej karty kredytowej. Kiedy Wład spróbuje z niej skorzystać następnym razem, zrozumie, że ktoś go ściga. To będzie także oznaczało, że zmusimy go do korzystania wyłącznie z gotówki. A z tego, co wiemy, on jej nie posiada. Nie będzie też używał kart, które moglibyśmy bez trudu wyśledzić. Ale pieniądze będą mu bardzo potrzebne.

- Czyli?

- Będzie musiał działać ostrożniej. Jeśli obrobi sklep albo jakiegoś obywatela, gliniarze zaraz siądą mu na karku - na dodatek, o czym chyba zdążył się już dowiedzieć, wszystkie interesy w tym mieście płacą za ochronę Grundy'emu. Nie sądzę, żeby chciał ryzykować taki konflikt. Jedynym sposobem na szybkie zdobycie gotówki będzie zastawienie czegoś w lombardzie, a jeśli to zrobi, znam gościa, który przekaże nam wszystkie dane z jego kwitów - wyjaśni Mallory.

Rozdział dwudziesty szósty

04.26 - 05.07

Gdy dotarli pod całonocną kawiarnię, Mallory zatrzymał się, a potem wszedł do środka. - Wydawało mi się, że czas gra dla ciebie najważniejszą rolę - powiedział McGuire, gdy usiadł wraz z resztą zespołu przy stoliku detektywa.

- Dzwoniłem do Feinsteina nie dalej niż dwie minuty temu. W tym momencie karta kredytowa Wład powinna już być zablokowana. Musimy dać mu teraz trochę czasu na skorzystanie z niej i odkrycie tego faktu. - Do stolika zbliżyła się kelnerka, młoda meduza w przeciwsłonecznych okularach. - Trzy kawy - zamówił detektyw.

- I słonia - dodała Felina.

- Czyli szklanek mleka - uściślił Mallory.

- A co zrobimy, jeśli Wład nie skorzysta z karty przed świtem? - zapytał Nathan.

- Postaramy się wytropić jego trumnę za dnia. A jeśli i to nie przyniesie rezultatów, będziemy czekali, aż użyje karty następnej nocy.

- I to wszystko?

- Mamy problem z dostępem do informacji - wyjaśnił Mallory. - Nasze działania ogranicza poziom posiadanej wiedzy, a przyznacie, że nie wiemy prawie nic.

- W takich sytuacjach jak ta Skrzydlaty O'Ban-non odświeżał swoje niezwykle ostre zmysły detektywistyczne - wtrącił Nathan.

- Z brunetką czy blondynką? - zapytał Mallory.

- Najpierw z tą pierwszą, potem odbywał trening na strzelnicy, a na koniec figlował z blondynką - wyjaśnił smok.

- Sam już nie wiem, skąd ten twój Skrzydlaty O'Bannon bierze siły na przeżycie całego dnia -stwierdził Mallory.

- Hej, przecież on jest detektywem! - rzucił Nathan, jak-by to zdanie miało cokolwiek wyjaśnić.

- Pozwól, że ci coś powiem, Łuskowaty Jimie -zaczął Mallory. - Uprawianie zawodu detektywa przypomina trochę wielkie polowania. To całe dnie żmudnego tropienia i podążania za ofiarą, a na koniec zaledwie kilka sekund nerwowego uniesienia, podczas których marzysz wyłącznie o powrocie do tych nudnych chwil tropienia, które, niestety, masz już za sobą.

- Ale to zaprzeczenie wszystkiego, co możesz znaleźć w powieściach o Skrzydlatym O'Bannonie -zaprotestował Nathan.

- Które piszesz, wykorzystując swoje bogate doświadczenia z pracy na polu detektywistycznym.

- Nie musisz mnie od razu obrażać - odparł smok urażonym tonem.

- Chcesz pisać o tym, jak zachowuję się w toalecie, a zaraz potem twierdzisz, że obrażam cię stwierdzeniem, że nie wiesz o pracy detektywa?

- Tam chodziło o kwestie zawodowe.

- Tu też o nie chodzi! - odparł ostro Mallory. - Tropimy istotę, która zabija z zimną krwią, i musimy teraz poczekać na jej pierwszy błąd.

- Rujnujesz mi tym sposobem wszystkie koncepcje - narzekał Nathan. - Następnym razem, gdy Skrzydlaty O'Bannon będzie miał załatwić tuzin oprychów przy pomocy dedukcji i gołych pięści, sam nie będę wierzył, że mógłby tego dokonać.

- Przecież ma brygadę swoich pomocnic, jeśli nie całą dywizję - przypomniał mu Mallory. - One mogą mu w tym pomóc.

- Nie bądź śmieszny - zachnął się smok.

- Słusznie. Urealnianie treści twoich książek nie ma najmniejszego sensu.

- Cieszę się, że to rozumiesz.

Meduza wróciła, niosąc ich zamówienie. W czasie gdy podawała kawę, Felina zręcznie zabrała z tacy swoje mleko. Mallory pociągnął łyk czarnego napoju, potem skrzywił się i dolał więcej śmietanki. Spróbował raz jeszcze, ale kawa nie smakowała mu zupełnie, więc dosypał więcej słodziku. To także nie pomogło.

- Może powinieneś dodać ketchupu? - zaproponował McGuire.

- Raczej nie - odparł Mallory, obserwując, jak mały wampir siłuje się z zakrętką na butelce. - Chyba nie masz zamiaru wlać ketchupu do swojej kawy?

- Jest czerwony - stwierdził McGuire.

- I co z tego? - zapytał Nathan.

- Czuję potrzebę konsumowania czerwonych napojów.
- Tym sposobem nie oszukasz żołądka, nie wmówisz mu, że ma do czynienia z prawdziwą krwią -stwierdził smok.
- Mów za siebie - odparł mały wampir. - Mój żołądek jest niezwykle naiwny i łatwowierny... - nagle zamilkł na moment.
- Ale po chwili namysłu mogę powiedzieć, że w tej sytuacji zupa pomidorowa poskutkowałaby o wiele lepiej.
- Dlaczego najzwyczajniej w świecie nie napijesz się krwi? - zapytał Nathan.
- Bo jej nie cierpię - odparł McGuire.
- Cholernie dziwne słowa jak na wampira -oznajmił smok.
- Czyja ci każe ganiać po ulicach i zabijać rycerzy w lśniących zbrojach? - zapytał urażony Kijaszek. -Nie ucz mnie, jak być wampirem.
- Dajcie już spokój, obaj - skarcił ich Mallory. -Spróbujcie nie zapominać, kto jest naszym prawdziwym wrogiem.

Spędzili kolejne dwadzieścia minut w milczeniu, zastanawiając się, co przypomina im smak tej kawy. W końcu detektyw wstał i położył odliczone pieniądze na stole.

- Wydaje mi się, że wystarczy tego czekania. Chodźmy sprawdzić, czy Wład już zauważył, że jego karta jest zablokowana.

Wrócili na zewnątrz. Gdy Mallory skręcał w pierwszą uliczkę, zaczęło mżyć. Przeszli kilka przecznic i dotarli do gigantycznego, ukrytego w mroku budynku.

- Dlaczego się tu zatrzymujemy? - zapytał Mc-Guire.
- Jesteśmy na miejscu - wyjaśnił detektyw.
- Ale to tylko jakiś stary magazyn.
- Masz rację - odparł Mallory. - Ściślej rzecz biorąc, to najprawdziwszy Stary Opuszczony Magazyn.

- Słyszałem kiedyś o tym miejscu - oznajmił Nathan. - Zarządza nim jakiś ksiązę czy diuk czegoś tam.

- Ksiązę Waleni, największy lichwiarz w naszym mieście - wyjaśnił Mallory. - I mój stary znajomy.

- Zdaje się, że twój ksiązę nie lubi towarzystwa - oznajmił McGuire, wskazując na cztery krasnoludki pilnujące wejścia do magazynu.

- Stać! - wrzasnął zaraz potem pierwszy z pokurczów. - Kto idzie?

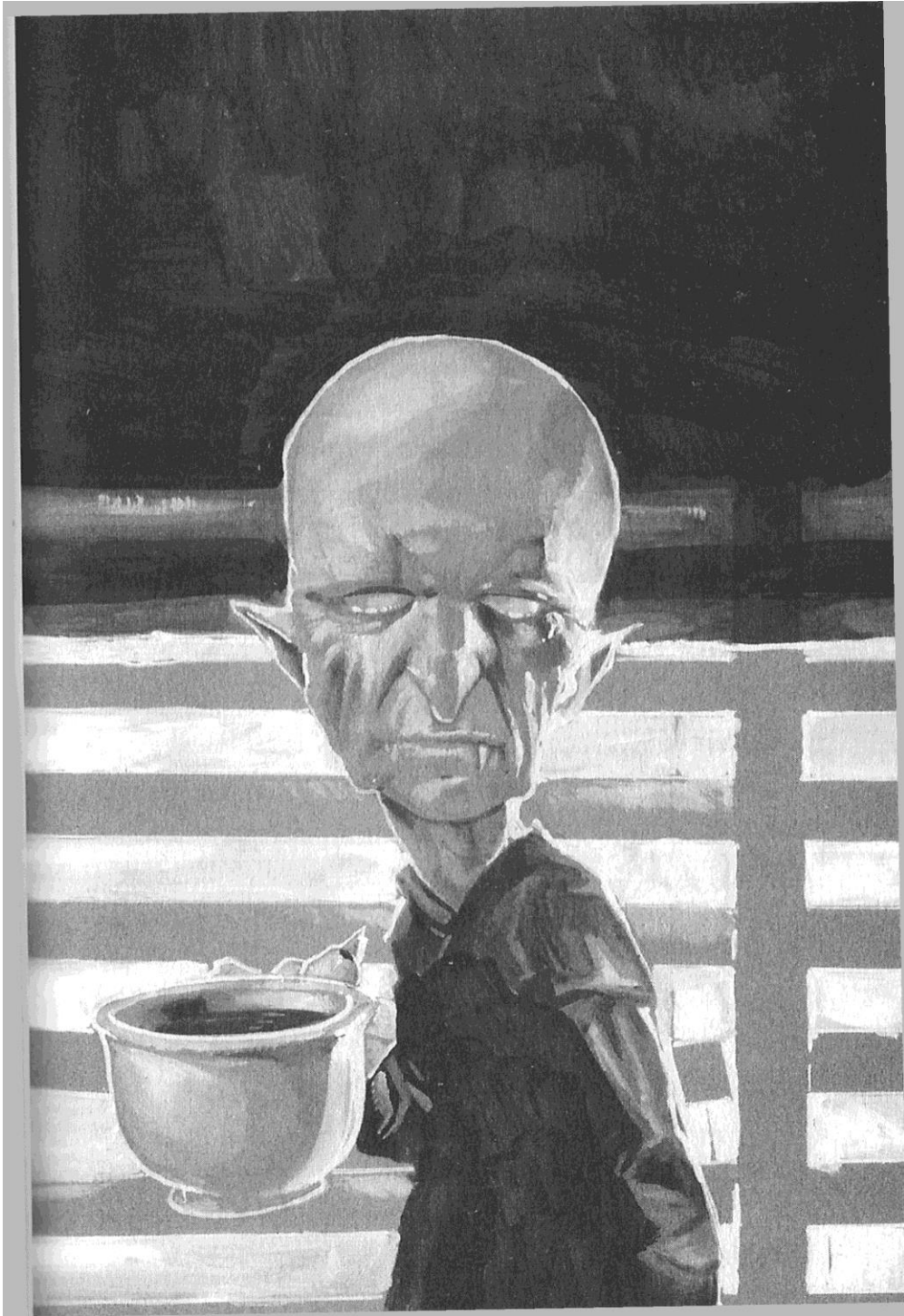
Mallory wysunął się przed przyjaciół.

- Wiecie, kim jestem. Odsuńcie się i pozwólcie mi przejść.

- Nikt nie może wejść do środka! - wydarł się krasnoludk.

- Nie mam czasu na wasze zabawy - odparł detektyw. - Niech który skoczy i powie szefowi, że John Justin Mallory czeka tutaj na niego.

- Wyglądasz jak John Justin Mallory - przyznał kolejny kurdupelek. - Mówisz jak John Justin Mallory. Jesteś też chamski, agresywny i źle wychowany jak on. Ale skąd mamy wiedzieć, że jesteś naprawdę Johnem Justinem Mallorym?



- Przestań mi tu pieprzyć. Przyszedłem na spotkanie z Księciem.

- Jedynym sposobem na sprawdzenie, czy jesteś naprawdę Mallorym, będzie podanie prawidłowego hasła.

- Felino - powiedział Mallory - możesz sobie zabić tego krasnoludka, który będzie próbował mnie zatrzymać.

- No i o co tyle krzyku! - zawołał zaraz mały strażnik. - Felino, możesz sobie zabić krasnoludka, który będzie próbował mnie zatrzymać. Dokładnie tak brzmi nasze hasło. Możesz wejść.

Krasnoludki wpadały na siebie, usiłując zejść z drogi detektywa i jego pomocników. Mallory poprowadził swój zespół pomiędzy niekończącymi się rzędami regałów do dobrze mu znanego biura.

- Twoja ochrona jest szczelna jak zawsze - powiedział, wchodząc do wnętrza.

Ogromny mężczyzna o błękitnej skórze, odziany w purpurowy garnitur z rekiniej skóry, jasnoniebieską koszulę, fioletowy krawat i granatowe buty, z których wystawały o cień tylko ciemniejsze skarpetki, wstał ciężko zza biurka. Miał przynajmniej siedem stóp wzrostu i ważył najmarniej pięćset funtów.

- Mallory! - odezwał się głębokim głosem. - Jak się cieszę, że znowu cię widzę! - Spojrzał przelotnie na towarzyszące detektywowi osoby. - Widzę, że nadal nie potrafisz pozbyć się tej kotki. A kimże są pozostali twoi przyjaciele?

- Kijaszek McGuire i Łuskowaty Jim Chandler - przedstawił ich Mallory. - Pracują ze mną przy pewnej sprawie.

- Łuskowaty Jim Chandler? - powtórzył Książę Waleni. - Mam tu chyba z trzysta egzemplarzy twojej ostatniej książki.

- Naprawdę? - zapytał szczerze zaskoczony smok.

- Tak. Jakiś idiota pomylił cię z tym drugim Chandlerem i zwinął je z księgarni. Coś ci powiem, tak długo, jak będziesz przyjacielem Mallory'ego, będziesz mógł tutaj przychodzić i brać, ile ich zechcesz.

- Naprawdę? - ucieszył się smok. - To bardzo szczodre z pana strony.

- Wszyscy przyjaciele Mallory'ego są moimi przyjaciółmi - odparł Książę. - A poza tym to tylko makulatura. Nie potrafiłem sprzedać ani jednego egzemplarza. Ludzie dzisiaj chcą więcej seksu i przemocy. - Odwrócił się do detektywa. - A co ciebie tutaj sprowadza?

- Potrzebuję przysługi.

- Dla faceta, który wsadził mojego złego bliźniaka Skippy'ego za kratki, zrobię wszystko. Mów, czego ci trzeba.

- Tropię wampira, który nazywa się Wład Drabula. Udało mi się zablokować jego kartę kredytową, sądzę więc, że w najbliższym czasie będzie próbował zastawić coś swojego albo i kradzionego.

- Drabula, Drabula - powtarzał zamyślony Książę Waleńi. - Nie, u nas raczej nikogo takiego nie było.

- Znasz wszystkich lichwiarzy i właścicieli lombardów w tym mieście - powiedział Mallory. - Mógłbyś sprawdzić, czy nie zastawił czegoś u któregoś z nich w ciągu ostatniej półgodziny?

- Spróbuję.

- Poczekamy.

- Czy to wszystko, co chcesz wiedzieć? - zapytał Książę. - Mam sprawdzić tylko to, czy coś zastawił?

- Przydałby mi się też adres z kwitu.

- No widzisz. - Księżę uśmiechnął się. - Pozwól mi się tym zająć.

Dał im odpowiedź zaledwie cztery minuty później.

- Zastawił aksamitną pelerynę u Stelli Houston - oznajmił.

- Jakiej znowu Stelli Houston?

- Kiedyś nazywała się Stella Dallas, ale po tej pamiętnej wpadce z całą drużyną teksaskich Nafciarzy musiała zmienić nazwisko - wyjaśnił Księżę. - Tamto krążyło po wszystkich tabloidach. W każdym razie twój wampir mieszka w hotelu o nazwie „Przytulisko Kringlemana”. Mówi ci to coś?

- Tak - odparł detektyw. - To taka przechowalnia dla Świętych Mikołajów. Wiesz, tych śmiesznych grubych dziadków, którzy stoją na każdym rogu w czerwonych kubrakach tuż przed Bożym Narodzeniem, dzwoniąc i prosząc o datki na biednych... -Zmarszczył brwi. - Przecież to nie ma sensu. Wyróżniałby się spośród nich jak wszyscy diabli.

- Może są dwa hotele o tej samej nazwie? - wtrącił Nathan.

- Nie ma szans - powiedział Mallory. - Jest tylko jeden. Kiedyś trafiłem tam, prowadząc inną sprawę. Właścicielem jest Nick Święty, jakiś waśniak z Północy.

- Znam gościa - przyznał Księżę. - Ma renifera z niebieskim nosem i potrafi się targować jak nikt inny.

- Tak, to on - powiedział detektyw. - Mam przeczucie, że pakujemy się w kolejny ślepy zaułek, ale musimy to sprawdzić. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma sprawy - odparł Księżę, odprowadzając ich do drzwi.

- Pojedziemy tam metrem - wyjaśnił Mallory swoim towarzyszom. - To jakieś pięćdziesiąt przecznic stąd. Na piechotę raczej nie dojdziemy.

Stację znaleźli na najbliższym skrzyżowaniu. Zjechali na peron ruchomymi schodami, tam musieli poczekać około minuty na kolejny pociąg.

- Gdzie siadamy? - zapytał McGuire. - W wagonie panoramicznym czy restauracyjnym?

- Jedziemy ekspresem - uspokoił go Mallory. - Wsiadamy na następnym przystanku. Znajdź sobie zwykłe siedzenie i nie marudź.

- Wiecie co? - wtrącił Nathan. - Jeszcze nigdy nie korzystałem z sauny w pociągu metra. Nie mają tam chyba podziału na płcie? Będę musiał to sprawdzić tak na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że w następnej książce muszę wysłać tam Skrzydlatego O'Bannona.

- Jeśli w saunach siedzą gołe baby, to nie musisz niczego sprawdzać - uspokoił go Mallory. - I tak go w niej umieścisz.

- To prawda - przyznał Nathan. - Dzięki temu facet zrzuci z siebie cały ciężar zmęczenia i napięcia, jaki spowodował pościg, który doprowadził go do tego pociągu.

- Ja tam wolę wagony panoramiczne - wtrącił McGuire. - Po co się pocić, skoro i tak za dwie minuty trzeba wsiadać?

- Kijaszek, jesteśmy w metrze - przypomniał mu Mallory. - Tu nie ma nic do oglądania.

- Wiem - przyznał mały wampir. - Ale z wagonu panoramicznego lepiej to widać.

- Ty gap się, na co tam chcesz, a Skrzydlaty O'Bannon będzie robił to, co lubi najbardziej - zgasił go Nathan.

Koła składu wydały z siebie przeraźliwy pisk i metro zaczęło zwalniać.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył detektyw, sprawdzając za oknem nazwę stacji. - Wsiadamy.

- Czas jazdy minuta i trzydzieści sekund - notował Nathan, wychodząc tuż za Mallorym na peron. - Skrzydlaty O'Bannon będzie się musiał pospieszyć.

- W półtorej minuty raczej nie da się zaspokoić partnerki - zauważył detektyw.

- Mówisz o Skrzydlatym O'Bannonie - odparł dumnie smok. - Bycie z nim jest już wystarczającą satysfakcją dla każdej kobiety.

- Wybacz - mruknął Mallory. - Coś mi się musiało pokręcić.

Wyjechali we czwórkę na poziom ulicy i stanęli w marznącym deszczu.

- To tam, po drugiej stronie ulicy - poinformował detektyw.

- Wygląda przytulnie - uznał McGuire.

- I jest przepelniony - dodał zaraz Nathan.

- Mikołajowie muszą gdzieś mieszkać, zwłaszcza gdy miną święta Bożego Narodzenia - powiedział Mallory. - Chodźcie, sprawdzimy, czy nasz wampir też tam jest.

Przeszli na drugą stronę ulicy i wkroczyli do zaniedbanego holu. Detektyw zatrzymał się przy kontuarze, zza którego powitał go wielce znudzony młody człowiek.

- Dobry wieczór, witajcie w „Przytulisku Krin-glemana”, ho, ho, ho! - powiedział. - Czym mogę państwu służyć?

- Szukam jednego z waszych gości - odparł Mallory. - Nazywa się Wład Drabula.

- Nikt taki u nas nie mieszka, ho, ho, ho! - odparł recepcjonista.

- A macie tu Włada Dłaciulę?

- Nie.

- A może hrabiego Draculę?

Recepcjonista spoglądał na niego przez dłuższą chwilę.

- Dobra, gdzie ona jest?

- Gdzie co jest?

- Daj pan spokój - powiedział recepcjonista. - To „Ukryta kamera”, prawda? Kto inny wypytywałby ludzi o hrabiego Draculę? - Rozejrzyał się dokładnie po holu. - Gdzie ukryliście tę cholerną kamerę?

- Widzę, przyjacielu, że jesteś za cwany jak dla mnie. Schowaliśmy ją w gałce od drzwi - odparł Mallory i opuścił wraz z resztą zespołu pomieszczenia hotelu, podczas gdy recepcjonista obciągał koszulę, poprawiał krawat i uśmiechał się głupio w stronę wskazanej gałki.

- Chyba powiedział nam prawdę - stwierdził Nathan.

- Tak - przyznał Mallory. - Jest za głupi, żeby kłamać.

- Zatem zgubiliśmy ostatni trop. I co teraz zrobimy?

- Będziemy czekać na przełom w sprawie - odparł detektyw. - To może potrwać godzinę, dzień, a może i miesiąc.

Mylił się. Przełom nastąpił po dziewięćdziesięciu sekundach.

Rozdział dwudziesty siódmy

05.07 - 05.33

A jeśli ten przełom nie nastąpi? - zapytał Nathan.

- Wtedy on wygra, a my przegramy - odparł Mallory. - W przeciwieństwie do twoich książek dobrzy faceci nie zawsze są po zwycięskiej stronie.

- To niedopuszczalne - powiedział smok. - Jak mam zakończyć „Na tropie wampira”, jeśli go nie złapiemy?

- Może powinien porwać kilka pańienek O'Ban-nona? - stwierdził detektyw. - Romanse o wampirach sprzedają się dwudziestokrotnie lepiej niż twarde kryminały o detektywach.

- Nie zrobię niczego takiego - zapewnił Nathan. - Mam swoją dumę... - zamilkł na moment, zamyślił się. - Chociaż mógłbym go przerobić na detektywa, kogoś w typie naszego McGuire'a, ale przystojniejszego i atrakcyjniejszego seksualnie.

Nagle rozległ się odgłos grzmotu, a zaraz potem pojawił się dym, z którego wyszedł Grundy. Przerażony Nathan odskoczył w tył, McGuire zemdlał i rymsnął jak długi, a Felina swoim zwyczajem nie zwróciła na nowo przybyłego żadnej uwagi.

- Jeśli przyszedł pan rozkoszować się moją porażką, zrobił pan to na próżno. Jest piąta rano, a ja nie mam ochoty na durne pogaduchy - stwierdził poirytowany detektyw.

- Przybywam, aby wyświadczyć panu przysługę - odparł demon.

- Dotyczącą sprawy Włada?

- Tak.

- Wydawało mi się, że natura nie pozwala panu wtrącać się w takie sprawy - stwierdził podejrzliwie Mallory.

- Albert Feinstein i tak pana znajdzie prędzej czy później i przekaże tę wiadomość. Ja tylko przyspieszam nieco bieg rzeczy, nie mieszając się i niczego nie zmieniając.

- Skoro już się pan tu pofatygował, może przekaże mi pan jej treść i oszczędzi szukania telefonu?

- Nie mogę.

- Tak, wiem - powiedział Mallory. - Wszystkie te ograniczenia, które jednakowoż według pana nie istnieją. Ale tak czy inaczej spełnił pan dzisiaj jeden dobry uczynek. Będę pańskim dłużnikiem.

- Nie jestem w stanie czynić dobra, panie Mallory - odparł Grundy, wzdrygając się na samą myśl. - Oddałem tylko malutką przysługę liczącemu się przeciwnikowi.

- Przeciwnikowi? - powtórzył detektyw, marszcząc brwi.

- Rywalowi, jeśli pan woli.

- Dobrze. Gdzie znajdę najbliższy automat telefoniczny?

- Nie sądzi pan chyba, że ja go panu wskażę? - obruszył się demon.

- Nie. Nie sądzę. Ale i tak dziękuję za przysługę. Sam go sobie znajdę. I jeszcze jedno, miał pan całkowitą rację.

- Niewątpliwie. - Grundy uśmiechnął się. - A o co konkretnie panu teraz chodzi?

- Sprawa okazała się o wiele bardziej skomplikowana niż samo odnalezienie Arystotelesa Draconisa.

- Chyba dlatego on właśnie pana szukał.

- Co takiego?

- Każde zwierzę ma swojego arcywroga, drapieżnika, który posiada idealne cechy albo narzędzia potrzebne do jego upolowania i zabicia. Jeśli jest jang, musi być także odpowiadające mu jin. Tak samo jest z zagadkami kryminalnymi: istnieje tylko jeden detektyw, który może je rozwiązać.

- Zdaje się, że pan wciąż zakłada, iż uda mi się go jednak przyszpilić - zauważył Mallory. - Ten wampir zabił dzisiejszej

nocy już dwoje ludzi, a mnie zostały niespełna dwie godziny na znalezienie jego kryjówki i nie mam już ani jednego tropu, który by do niej prowadził - gdy skończył mówić, okazało się, że gada sam do siebie.

- Gdzie on się podział? - zapytał Felinę.

- Zniknął - odparła.

- Jesteś pewna, że nie ukrył się gdzieś w pobliżu i nadal nas nie obserwuje?

Pokręciła głową.

- Dobra. Lepiej będzie, jeśli szybko skontaktujemy się z Feinsteinem. - Rozejrzał się nerwowo. -Gdzieś tu musi być całodobowa knajpka albo chociaż bar z automatem telefonicznym.

- Dlaczego nie skorzystasz ze swojej komórki? - zaciekawił się Nathan.

- Bo jej nie mam - odparł detektyw. - Cenię sobie prywatność i nie cierpię, kiedy ktoś do mnie wydzwaniał.

- Przecież możesz ją wyłączyć - oświecił go smok. - Nikt nigdy nie twierdził, że telefony komórkowe muszą być bez przerwy włączone.

- Jeśli ma być bez przerwy wyłączona, to po cholere mi ona?

- Jak ja nie cierpię takich pytań - syknął smok i znów się głęboko zamyślił.

- Skoro jesteś takim wielbicielem komórek, to może pożyczysz mi swoją? - zaproponował Mallory.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Zostawiłem ją w domu - wyjaśnił Nathan, wiercąc się nerwowo. - Wiesz, nie pasuje mi do image'u... Twardy smok z wielką dzidą gadający przez komórkę?

- Zatem jeśli pozwolisz, udam się na poszukiwanie automatu telefonicznego, bo to właśnie zamierzałem zrobić, zanim nie zajęł mi czasu tą idiotyczną wymianą zdań.

Mallory ruszył wzdłuż ulicy. Mniej więcej w połowie drogi do następnej przecznicy trafił na niewielki, ale wciąż otwarty bar.

- „Kretchma” - odczytał napis widoczny w oknie. - Knajpa jak każda inna - dodał i spojrzał na resztę kompanii. - Poczekaście na mnie tutaj.

Wszedł do wnętrza baru. Zastał tam pianistę grającego wyłącznie posępne rosyjskie melodie, barmana płaczącego jak bóbr przy każdej z nich i kelnera, który niechętnie podszedł do niego z menu wetkniętym pod pachę.

- Mam wam podać wódeczkę, towarzyszu? - zapytał.

- Nie, dziękuję. Chciałbym tylko skorzystać z telefonu - odparł Mallory. - Gdzie mogę znaleźć jakiś aparat?

- W sklepach z elektroniką, w większości kuchni, nawet w niektórych sypialniach, czasem też w innych pomieszczeniach, nie mówiąc już o poczekalniach na dworcach autobusowych i kolejowych... Towarzyszu, miejsca, w których znajdziecie telefon, mógłbym wam wymieniać do rana.

- A tu macie jakiś?

- Tu, gdzie teraz siedzicie? - zapytał. - Nie, nie widzę żadnego.

- Nie, tutaj w „Kretchmie” - poprawił go Mallory.

- Jeden jest za kontuarem, a drugi przy męskiej toalecie - powiedział kelner, wyciągając rękę po napiwek.

- Dzięki - odparł detektyw, ujmując jego dłoń i potrząsając nią mocno. - Uwielbiam rozmowy z ludźmi, którzy nie zapominają o dobrych manierach.

Poszedł do dalszego automatu, tego, który wisiał przy toaletach, sądząc, że tam trudniej będzie go podsłuchać, chociaż prawdę mówiąc, nie wiedział, czy kogokolwiek tutaj mógł interesować temat jego rozmowy. Wrzucił monetę i wystukał numer Feinsteina. Kilka sygnałów później haker podniósł słuchawkę.

- Cześć, Albercie, mówi Mallory - zagał detektyw. - Nasz wspólny znajomy zasugerował mi, żebym się z tobą skontaktował.

- Jeśli masz na myśli tego, który odpowiada za wszystkie nieszczęścia, katastrofy i zgony w naszym mieście, wolałbym, abyś nie nazywał go moim znajomym.

- Dość tych przekomarzań - uciął Mallory. - Co masz mi do przekazania?

- Wład skontaktował się około dziesięciu minut temu z siedzibą TransEksu i zgłosił, że karta mu zginęła albo została skradziona - powiedział Feinstejn. - Wysłali mu nową kurierem, ale co chyba jest oczywiste, jeszcze jej nie dostał. Ma za to specjalny numer, dzięki któremu może dokonywać wszystkich transakcji przez telefon.

- On już wie, że depczemy mu po piętach - stwierdził Mallory. - Nie zamawiałby drugiej karty, gdyby nie była mu bardzo potrzebna. Miej na niego oko. Jestem pewien, że wykorzysta ten numer, i to raczej szybko.

- Nie ma sprawy.

- Będę się z tobą kontaktował co kilka minut.

- Może prościej będzie, jeśli dasz mi numer swojej komórki? - zaproponował Feinstejn. - Zadzwoń do ciebie natychmiast, jak będę coś miał.

- Ja zadzwonię do ciebie - odparł detektyw.

- Nie wiedziałem, że masz na karku aż tak wielu wrogów - stwierdził Albert. - Dobra, korzystaj z nienamierzalnych automatów ulicznych.

- A ty nie zajmuj linii - ostrzegł go Mallory.

- O to się nie martw - odparł Feinstein. - I tak tylko ty jeden do mnie dzwonicz. Cała reszta kontaktuje się przez pocztę elektroniczną.

- Do usłyszenia za chwilę - powiedział detektyw i odłożył słuchawkę.

Kelner podszedł do niego, w momencie, gdy Mallory odwracał się od automatu.

- Wasza wódka, towarzyszu - powiedział.

- Ale ja jej nie zamawiałem.

- Kieliszek jest w pakiecie z telefonem.

- Za ile?

- Wódka jest za darmo, skorzystanie z aparatu kosztuje sześć dolarów.

- Za miejscową rozmowę?

- Za miejscową rozmowę i szklaneczkę Wielkiej Rewolucyjnej!

Mallory położył na tacy dwa banknoty, pięć i jednodolarowy, a potem pociągnął łyk ze szklanki.

- I co o niej powiecie? - Kelner przyglądał mu się niezwykle uważnie.

- Cholernie mocna - sapnął Mallory, przekonany, że w jego gardle zapłonął żywy ogień.

- Ten sam gatunek, którym towarzysz Stalin poczęstował Roosevelta tuż przed podpisaniem porozumień jałtańskich.

- No pięknie - powiedział detektyw. - A ja mu miałem za złe, że oddał wam wschodnią Europę i doprowadził do zimnej

wojny. Teraz wiem, że podpisałby wtedy wszystko, byle pozwolono mu dopaść najbliższego naczynia z wodą i przepłukać usta. To wasze kgb nie jest w ciemną bite.

- Nkwid - poprawił go kelner. - Wrogowie z minionej epoki.

Mallory usłyszał, że dzwoni telefon znajdujący się za kon- tuarem. Barman odebrał, słuchał przez chwilę, potem zrobił dziwną minę, podniósł wysoko słuchawkę i zawołał:

- Jest tu jakiś Mallory?
- To ja - zgłosił się detektyw.

Barman podał mu słuchawkę.

- To do was.

Mallory odebrał, patrząc podejrzliwie. W końcu jednak przyłożył ebonit do ucha.

- Halo?

- Cześć, Mallory - z głośnika popłynął znajomy głos. - Mówi Feinstein. Komputer wyszedł, z jakiego numeru do mnie dzwoniłeś.

- Co się dzieje?
- Właśnie zapłacił za pokój w „Waldorfie”.
- Dzięki, Albercie, już tam idziemy.

Mallory oddał słuchawkę barmanowi.

- Mam nadzieję, że otrzymaliście dobre wieści, towarzy- szu Mallory - powiedział kelner.

- Tak, naprawdę dobre - przyznał detektyw. - Miło było panów poznać.

- Już pan nas opuszcza?
- Tak.
- Jaka szkoda. Minie się pan z Nataszą.
- Nataszą?

- Naszą piosenkarką - powiedział kelner. - Każda piosenka, którą śpiewa, jest smutniejsza od poprzedniej.

- Może innym razem - rzucił Mallory.

Już sięgał do klamki, gdy telefon zadzwonił po raz drugi.

- Towarzyszu Mallory, to znowu do was - oznajmił znużonym głosem barman.

Detektyw wyrwał mu słuchawkę z ręki i natychmiast przytknął ją do ucha.

- To znowu ja, Feinstein - usłyszał głos hakera. -Właśnie zameldował się w „Plazie”.

- Nie spodobał mu się „Waldorf”?

- Z „Waldorfa” jeszcze się nie wymeldował - powiedział Albert. - Momencik... A teraz wynajął pokój w „Lemingtonie”.

- Pogrywa sobie z nami - stwierdził Mallory. -Chce, żebym ganiał za nim jak szalony od hotelu do hotelu, po całym mieście. Stary numer.

- Tak - zgodził się Feinstein. - Teraz ma też pokój w „Pierre”. I jeszcze jeden, w „Hyacie”.

- Nie kłopotz się wymienianiem kolejnych nazw - powiedział detektyw. - W żadnym z nich go nie będzie.

- Pewnie siedzi teraz w jakiejś taniej budzie i boki ze śmiechu zrywa, wiedząc, że ganiasz po wszystkich hotelach, w których dokonał rezerwacji.

- Nie, on nie siedzi teraz w żadnym hotelu, ani w luksusowym, ani w tanim - stwierdził Mallory.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytał Feinstein. -Do świtu nie zostało zbyt wiele czasu. Musi sobie znaleźć jakieś miejsce do spania.

- Nie będzie spał w hotelu, bo żaden hotel nie pozwoli mu na wniesienie trumny do pokoju.

- Pozwoli, jeśli odpowiednio posmaruje.

- Nie. Będzie wiedział, że ci ludzie łamią przepisy za pieniądze, a to znaczy, że uczynią to także dla tych, którzy go ściągają, i podadzą im numer pokoju, w którym gość z Transylwanii trzyma własną trumnę.

- Po co więc robi sobie tyle zachodu z tymi rezerwacjami?

- Chce dać nam zajęcie do świtu, kiedy to uda się w miejsce, do którego od początku zmierzał.

- Czyli gdzie? - zapytał Feinstein.

- Do swojej trumny - odparł Mallory.

- No tak, gdzież by indziej miał pójść - mruknął haker. - Ale gdzie ona jest?

- Ty mi to powiesz, Albercie.

- Ja?

- Tak - powiedział Mallory. - Przed chwilą stwierdziłeś, że namierzyłeś ten numer podczas rozmowy ze mną.

- Bo to prawda - przyznał Feinstein. - Łatwizna, jakich mało.

- A możesz sprawdzić, z jakiego numeru Wład zamówił sobie nową kartę w TransEksie?

- Mogę zrobić coś jeszcze lepszego! - wrzasnął uradowany Albert. - Mogę namierzyć miejsce, z którego rezerwował wszystkie te pokoje.

- Świetnie - powiedział Mallory. - A kiedy to zrobisz, poproś swój komputer, żeby sprawdził, gdzie jest najbliższy dom pogrzebowy.

- Nie wychodź z „Kretchmy” - poprosił Feinstein. - To mi zajmie tylko kilka minut.

Mallory odłożył słuchawkę.

- Coś mi się wydaje, że jednak posłucham Nataszy - powiedział do kelnera.

Usiadł na stołku przy barze i odwrócił się w stronę niewielkiej sceny, na którą właśnie wchodziła piosenkarka. Miała nawet niezłą figurę, modną, mocno wydekoltowaną sukienkę, ale śpiewała tak smutne piosenki i tak mocno zalewała się łzami, że Mallory nie odważył się podnieść wzroku ponad linię jej szyi. Dwa pierwsze utwory kończyły się jej samobójstwem, trzeci zabiciem ukochanego, jego rodziców i jej młodszej siostrzyczki. Czwarta piosenka była dla odmiany o wiele weselsza; zginął w niej tylko listonosz, rozszarpany na strzępy przez wiernego psa piosenkarki, który pomylił go ze zniechęconym ojczymem potworem wykorzystującym ją seksualnie w dzieciństwie.

Gdy Natasza ukłoniła się kilka razy głęboko i zeszła ze sceny, barman znów zawołał detektywa do telefonu.

- Dzięki - powiedział Mallory, odbierając słuchawkę.

- Chłopie, nie myślałeś nigdy o kupieniu komórki? - zapytał Rosjanin.

- To już ostatnia rozmowa, obiecuję - zapewnił go Mallory i natychmiast przyłożył słuchawkę do ucha. - Albert?

- Tak, to ja - powiedział haker.

- Udało ci się?

- Powiesz mi, jak dotrzesz na miejsce, a on tam będzie - odparł Feinstein. - Słyszałeś kiedyś o Domu Pogrzebowym, Cmentarzu i Delikatesach na Wzgórzach?

- Takie miejsce naprawdę istnieje?

- Lepiej dla ciebie, żeby istniało - powiedział Albert - bo znajduje się zaledwie dwie przecznice od lokalu, z którego wykonał wszystkie te połączenia, a następny taki przybytek jest dopiero milę dalej.

- Już tam idziemy - zapewnił go Mallory.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Spróbuj skontaktować się z moją współpracownicą, Winnifredą Carruthers, i poproś ją, żeby czekała na mnie w biurze.

- Zrozumiałem, bez odbioru - powiedział haker.

Mallory oddał słuchawkę barmanowi, potem od razu wyszedł na ulicę, gdzie czekała na niego trójka pomocników.

- Dowiedziałeś się czegoś konkretnego? - zapytał Nathan.

- Zaraz się przekonamy - odparł detektyw.

Rozdział dwudziesty ósmy

05.33 - 06.01

Myślisz, że zbliżamy się do niego? - zapytał McGuire, gdy szli skapani siąpiącym z nieba deszczykiem.

- Zostały nam jeszcze dwie przecznice - odparł Mallory.

- Nie miałem na myśli cmentarza, tylko Włada. Mallory wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że nie.

- Co ty mówisz?

- Widziałeś, jakich zniszczeń potrafi dokonać. Jesteś gotów stanąć z nim twarzą w twarz?

- Dlaczego więc nadal go tropimy? - zapytał Nathan.

- Bo to jest jak sport, chociaż może powinienem powiedzieć: jak seks, żebyście mnie lepiej zrozumieli - odparł Mallory. - Wszystko zależy od wyczucia czasu.

- Nic nie rozumiem - zaprotestował smok. - W końcu chcesz go znaleźć czy nie?

- Tak, oczywiście, że chcę.
- Więc dlaczego mówisz takie rzeczy?
- Jeśli czeka na nas przy bramie cmentarza, spotkamy się tam na jego zasadach - powiedział Mallory. - A ja wolałbym walczyć z nim po mojemu.
- Czyli jak? - zapytał smok.
- Właśnie nad tym pracuję.
- Wiem, że musisz być dobry w swoim fachu - stwierdził McGuire. - W przeciwnym razie Grundy zabiłby cię już dawno temu, ale za cholere nie potrafię zrozumieć, jak mógłbyś zmusić Włada do walki na swoich warunkach.
- I dlatego to ja jestem detektywem, a ty moim asystentem - odparł Mallory.
- Czy to będzie jedyna odpowiedź na moje pytanie? - nie ustępował mały wampir.
- Przynajmniej na razie.
- To będzie naprawdę świetne! - zawołał rozentuzjanzmowany Nathan.
- Co takiego? - zdziwił się detektyw.
- Moja książka! - wyjaśnił smok. - To znaczy nasza książka. W tym momencie bohater zna już rozwiązanie zagadki, a czytelnicy zaraz dowiedzą się, czy mieli rację, czy też nie. - Nathan wyjął notes i zaczął w nim gorączkowo pisać.
- Przecież tu nie ma żadnej zagadki - Mallory ostudził jego zapał. - Od dawna wiemy, że to Dłaciula zabił Ruperta Newtona. A ja jestem gotów postawić sporo pieniędzy na to, że odkryliśmy właśnie miejsce spoczynku jego trumny.
- Tak, wszystko się zgadza - odparł Nathan. - Dobrze. Najtrudniejsze mamy już za sobą. Teraz nadchodzi moment, w którym Skrzydlaty O'Bannon po raz ostatni odświeży umysł i...

- Zaciągnie do łóżka kolejną nimfomankę o wymiarach 90-60-90 - wypalił Mallory.

- I z nagą bronią pójdzie załatwić czarny charakter.

- Mówiąc „naga broń”, miałeś na myśli pistolet? -zapytał detektyw. - Przecież wiesz, że pociskami nie da się zabić Włada Dłaciuli.

- A nagim instynktem? - poprawił się Nathan.

- Czy przyjmiesz umiarkowanie łagodną krytykę, Łusko waty Jimie?

- Czyli jaką?

- Nie marnuj całej nocy roboty.

- Dobra, co jeszcze ci zostaje, skoro nie masz zamiaru go zastrzelić, wiesz, że nie możesz pokonać go w otwartej walce, i nie chcesz się z nim mierzyć?

- Będę improwizował.

- Rozmowy z tobą są naprawdę frustrujące -zachnął się Nathan. - Jak mam prowadzić moje badania, skoro o niczym nie chcesz mi opowiedzieć?

Dom Pogrzebowy, Cmentarz i Delikatesy na Wzgórzach wyłoniły się z mroku tuż przed nimi. Po prawej stronie ulicy stał pokaźny budynek, a za nim rozciągał się rozległy cmentarz.

- Sugerowałbym, abyście niezwłocznie rozpoczęli poszukiwania tej trumny - powiedział detektyw.

- Tam są martwi ludzie - wtrąciła Felina, wężąc ostrożnie.

- Na cmentarzach zazwyczaj jest ich sporo - odparł Mallory.

- Ale tutaj nie wszyscy są pod ziemią - dodała.

- Zatem chodźmy tam i sprawdźmy, gdzie podziwia się reszta - zasugerował detektyw, ruszając w stronę budynku

mieszczącego w sobie zarówno zakład pogrzebowy, jak i delikatesy.

- Może ja zostanę na czujce, tu na ulicy - zaproponował podenerwowany McGuire.

- Jak sobie życzysz - odparł Mallory.

- Ale jak coś zaatakuje z tej strony - ciągnął dalej mały wampir - to będę musiał z tym czymś walczyć w pojedynkę?

- A dlaczego ktokolwiek miałby cię atakować? Przecież logicznie rzecz biorąc, jesteś jednym z nich.

- O nie, na pewno nie! - zaprotestował McGuire, zezując w stronę ciemności. - Logicznie rzecz biorąc, jestem z łóżka, spod ciepłej kołderki, gdzie czytam dobrą książkę.

- Będę szczęśliwy, mogąc podarować ci parę doskonałych lektur, jeśli przeżyjemy następne dwie godziny - obiecał mu Nathan. - Same znane tytuły, napisane znakomitym językiem, klasyczne *Je ne sais quoi* z masą broni i kobiet o wielkich biustach.

- Mnóstwo martwych stworzeń - powiedziała Felina, wpatrując się w ukryte w mroku, sobie tylko wiadome miejsce.

- Może jednak wejdę z tobą do środka - zaoferował się McGuire. - W końcu obiecałem cię chronić.

- Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej... - stwierdził Mallory, otwierając drzwi.

- Witajcie w Domu na Wzgórzach - powiedział radośnie siwowłosa staruszek. - Jesteście pogrążonymi w smutku żałobnikami, czy raczej świeżo zmarłymi nieboszczykami? - Przyjrzał się małemu wampirowi. - A może po trochu jednymi i drugimi?

- Przyszedłem tutaj, aby zadać panu kilka pytań - oświadczył Mallory.

- Cudownie - ucieszył się staruszek. - Uwielbiam kwizy! Ale zanim zaczniemy, chciałbym panu zaprezentować tę niezwykle elegancką trumnę wyściełaną atłasami, a może woli pan knyszę albo siekaną wątróbkę, mamy coś na każdy gust... - Spojrzał na Felinę. - Mogę też podać wędzonego łososa.

- Może zacznijmy od pytań - zaproponował Mallory.

- Jestem gotowy - oświadczył staruszek. - Gypsy Rose Lee, godzina i trzynaście minut oraz Butte w stanie Montana, we wrześniu roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego.

- O czym pan mówi? - zapytał zaskoczony Mallory.

- Udzieliłem panu trzech pierwszych odpowiedzi - wyjaśnił staruszek. - A teraz zobaczymy, czy jakość pańskich pytań będzie odpowiadała klasie moich odpowiedzi.

- A może pozwoli mi pan najpierw zadać pytanie, a dopiero później będzie pan na nie odpowiadał? - zasugerował detektyw.

- To takie trywialne - zaprotestował dziadek. - Tak na marginesie, nie zostaliśmy sobie przedstawieni. - Wyciągnął dłoń. - Jestem Hermes.

- Mallory.

- Nie, Hermes.

- Ja jestem Mallory.

- Bardzo mi miło - powiedział Hermes. - Na pewno nie jest pan zainteresowany serowymi blintzami polanymi śmietaną i posypanymi cukrem oraz cynamonem? A może życzy pan sobie ceremonii pogrzebowej w jednym z siedemdziesięciu czterech najpopularniejszych obrządków, z dwustoma gwarantowanymi płaczkami, z czego przynajmniej trzy wpadną w histerię i będą musiały zażyć środki uspokajające?

- Blintze! - zawołała Felina.

- Przecież nie wiesz nawet, jak one wyglądają -skarcił ją detektyw.

- Wystarczy, że będą mniejsze ode mnie - powiedziała dziewczyna-kot i uśmiechnęła się. - One nawet nie są martwe. Przynajmniej na razie.

- Później - rzucił Mallory, a Felina natychmiast odwróciła się do niego plecami i zaczęła ostentacyjnie lizać przedramię.

- Panie Mallory - powiedział staruszek - mam panu podać coś z delikatesów czy dalej gramy w zgadywanki?

- Zacznijmy od zgadywanek - zaproponował detektyw. - Ile wampirów zostawiło u was swoje trumny?

- Żaden - odparł Hermes. - Prędzej czy później wszyscy je zabierają.

- Może wyrażę się bardziej precyzyjnie: ile wampirów trzyma u was trumny? Teraz.

Staruszek podrapał się po głowie.

- Może trzydzieści albo trzydzieści pięć. Ale na pewno nie więcej niż czterdzieści.

- Dlaczego?

- Bo tylko tyle mamy prywatnych mauzoleów. Zakopywanie w ziemi nie wchodzi w grę, bo za każdym razem, gdyby chcieli przyciąć komarka, musielibyśmy im je wykopywać.

- Co to jest komarek? - zapytała Felina. - Czy da się go zjeść?

- Następne pytanie - powiedział Mallory.

- Nie odpowiedział pan jeszcze na pytanie pańskiej dziewczyny - zauważył staruszek.

- To nie jest moja dziewczyna i to ja zadaję tutaj pytania, a nie odpowiadam na nie - powiedział Mallory. - Następne py-

tanie: czy w którymś mauzoleum spoczywa trumna z Transylwanii?

- Czy to gdzieś obok Pensylwanii? - zapytał staruszek.

- Spróbujmy jeszcze inaczej. Wampir, którego poszukuję, przybył tutaj przed niespełna tygodniem. Ile trumien dostarczono wam w ciągu ostatnich sześciu, siedmiu dni?

- Chyba z piętnaście - powiedział Hermes. - Wampiry strasznie dużo podróżują. Gonią za świeżą krwią, jak to się mówi.

- Ma pan może spis tych nowo przybyłych wampirów? - zapytał detektyw.

- Oczywiście.

- Czy mogę rzucić na niego okiem?

- Czemu nie - odparł dziadek. - Jestem otwarty na wszelkie propozycje.

- Ile pan chce?

- Nie mogę przyjmować łapówek w zamian za ujawnianie zastrzeżonych danych osobowych - obruszył się Hermes. - To wbrew prawu.

Mallory zmarszczył brwi.

- Zatem czego pan chce?

- Pańska kotka wygląda na mocno wygłodzoną. Co pan powie na kupienie jej dwóch funtów peklowanych rybek?

- Załatwione - odparł Mallory. - Odbierzemy je przed wyjściem.

- Proszę dać mi minutkę na sporządzenie listy - poprosił staruszek, wyjmując spod kontuaru gruby rejestr, czystą kartkę i pióro.

- Ja chcę moje rybki. Teraz! - powiedziała Felina.

- To będzie zapłata za twoją pomoc - pouczył ją detektyw.

- Najpierw robota, potem jedzenie.

- Ale niedługo? - zapytała.

- Bardzo niedługo.

- Dobrze. Nigdy wcześniej nie miałam peklowanych rybek. Może uda mi się z nimi mądrze porozmawiać, zanim je schrupię.

- Oto pańska lista - oznajmił Hermes, podając Mallory'emu zapisaną kartkę.

- Nic z tego nie rozumiem - zdziwił się detektyw po rzuconiu okiem na papier. - Tu nie ma żadnych numerów.

- Bo mauzolea nie są u nas numerowane. Każde nosi klasyczną lub mitologiczną nazwę. Wypisałem panu tylko te, w których goszczą nowo przybyte wampiry.

- A gdzie je znajdę?

- Na zewnątrz. - Hermes wskazał kierunek. - Nie sposób ich nie zauważyć... Chociaż o tej porze... - Podał Mallory'emu latarkę. - Dzięki niej będzie łatwiej.

- Dziękuję.

Detektyw zaprowadził swoich kompanów pomiędzy równe rzędy kamiennych mauzoleów. Gdy trafiał na takie, którego nazwa znajdowała się na liście, przywoływał Felinę i kazał jej wszystko ob-wąchać.

- Szukamy tego samego wampira, którego czułaś w Centrum Dializ w Village - wyjaśnił jej. - Nie spiesz się i powiedz mi, czy on tutaj mieszka.

Nie mieli specjalnego szczęścia przy pierwszym tuzinie sprawdzanych kwater. Ale gdy dotarli do grobowca oznaczonego napisem „Styks”, a Mallory uchylił jego wrota, Felina nagle zeszywniała.

- To tutaj, prawda? - zapytał detektyw.

Dziewczyna-kot skinęła głową.

- Jest tam teraz?

- Nie.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Mallory, wchodząc do wnętrza małej budowli. Felina, Nathan i McGuire poszli w jego ślady.

Na posadzce mauzoleum leżała solidna drewniana trumna szczelnie pokryta rycinami i napisami, ale detektyw nie zrozumiał ani jednego słowa.

- Otwórzmy ją - powiedział.

- A jeśli Wład jest w środku i go obudzimy? - zapytał mały wampir, nie kryjąc zdenerwowania.

- Nie ma go tam - uspokoił go Mallory. - Felina by go wyczuła.

- A jeśli się pomyliła?

- Nie wiem jak ty - odparł detektyw, chwytając za jeden kraniec wieka - ale ja będę tym naprawdę zawiedziony. Chodź, Nathanie, pomożesz mi.

Wspólnie ze smokiem udało im się podnieść wieko i wreszcie mogli zajrzeć do wnętrza. Na dnie leżała cieniutka warstwa ziemi. Mallory pochylił się i zaczerpnął garść.

- Czysta transylwańska gleba - powiedział, przesypując ją pomiędzy palcami.

- Dobra, mamy jego trumnę - stwierdził Nathan. - Facet powinien do niej wrócić najdalej za pół godziny. Co teraz?

- Teraz weźmiemy się do roboty - powiedział Mallory. - Nathanie, gdzieś tutaj powinna być budka grabarzy. Zajrzyj do niej i przynieś jakiś sprzęt do kopania grobów. Może uda ci się znaleźć przynajmniej dwie łopaty. Jeśli nie będzie tam niczego takiego, załatw chociaż śmietniczkę.

- Dobra - odparł smok.

- Ty, Kijaszk - kontynuował detektyw - zostaniesz tutaj i dasz nam znać, jeśli pojawi się Wład.

- Wydrę się, jakby mnie obdzierali ze skóry - zapewnił go McGuire. - Ale zaraz potem zamieniam się w nietoperza i spieprzam stąd jak wszyscy diabli.

- Felino, ty idziesz ze mną - powiedział Mallory, po czym opuścił razem z dziewczyną-kotem mauzoleum i skierował się ponownie do głównego budynku.

Hermes czekał na nich tam, gdzie go zostawili.

- Przyniosłeś moją latarkę? - zapytał.

- Tak, ale będę jej jeszcze przez chwilę potrzebował - odparł Mallory i podał staruszkowi kilka banknotów, które wyjął z kieszeni. - To za peklowane rybki. Zasłużyła sobie na nie. I dorzuc do zakupów kawałek wędzonego łososa.

- Robić z panem... cokolwiek teraz robimy, młody człowieku, to prawdziwa przyjemność - przyznał Hermes.

- Chciałbym poprosić pana o jeszcze dwie niewielkie przysługi - powiedział detektyw. - Po pierwsze, będę potrzebował kilku wiader, a jeśli ich pan nie ma, to chociaż mocnych worków na śmieci.

- Mam jedne i drugie - odparł staruszek. - Dam ci, co chcesz.

- Dziękuję. Będę też potrzebował telefonu, muszę wykonać kilka rozmów, ale wyłącznie miejscowych.

- Nie ma sprawy.

Dziadek zaprowadził detektywa do telefonu. Mallory wybrał numer własnego biura. Winnifredy jeszcze nie było na miejscu, zostawił jej więc wiadomość, w której szczegółowo opisał, co powinna zrobić. Potem wykonał jeszcze jeden telefon. Gdy skończył rozmawiać, Felina była już syta i zadowolona, a na podłodze kuchni w delikatesach stały dwa spore wiadra, które natychmiast zaniósł do mauzoleum.

- Czy Nathan zdążył już wrócić? - zapytał Mc-Guire'a, który pełnił wartę przy wejściu.

- Tak - odparł mały wampir. - Jest w środku.

- Dobrze. Chodź ze mną i też przydadaj się na coś.

Weszli do wnętrza mauzoleum.

- Znalazłeś coś przydatnego, Nathanie? - zapytał Mallory.

- Jedną łopatę i jedną śmietniczkę - odparł smok. - Mam nadzieję, że nie zamierzałeś wykopywać regularnego grobu, żeby pogrzebać tę trumnę.

- Bez obaw, mam o wiele prostszy plan - stwierdził detektyw, kładąc oba wiadra na posadzce obok trumny. - Chciałbym, abyście we dwójkę wybrali ziemię do ostatniej grudki i umieścili ją w tych wiadrach.

- A co potem?

- Potem powiem wam, co z nią zrobicie.

- Mam nadzieję, że wiesz, na co się porywasz - powiedział McGuire, chwytając zmiotkę i przesypując ziemię do bliższego wiadra.

- To jest nas już dwóch.

Oczyszczenie trumny z ziemi zajęło wampirowi i smokowi prawie pięć minut.

- I co teraz?

Mallory wyjął z portfela dwie wizytówki. Na odwrocie jednej z nich zapisał adres.

- Teraz zaniesiecie oba wiadra w to miejsce - powiedział, podając ją Nathanowi. - Na miejscu będzie ktoś, kto powie wam, co z nimi zrobić.

- A co z Feliną?

- O ile nie padła jeszcze z przeżarcia, wróci ze mną do biura. Jeśli nie da rady, prześpi się tutaj.

- Zamierzasz wrócić do swojego biura? - zapytał Nathan.
- Tak - odparł Mallory. - Twoja książka potrzebuje dobrego zakończenia. A kto powiedział, że nie mogę rozegrać ostatniego rozdziału tej historii tam, gdzie wszystko się zaczęło?
- Sam jeden? - zapytał smok, robiąc niewyraźną minę.
- Nie będę sam - odparł detektyw i pochylił się, aby włożyć do trumny drugą wizytówkę.

Rozdział dwudziesty dziewięty

06.01 - 07.07

Powrót do biura zajął Mallory'emu niecały kwadrans. Felina obżarła się do nieprzytomności rybami i musiał ją zostawić w Domu Pogrzebowym na Wzgórzach.

Zaraz po przyjsciu odsłuchał automatyczną sekretarkę. Wiadomość, którą zostawił Winnifredzie, została skasowana, wiedział więc, że do niej dotarła. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu znaku, którym potwierdziła wykonanie zleconego jej zadania. Znalazł go po chwili. Na karteluszkach leżącym na egzemplarzu „Gońca Wyścigowego” napisała: „Zapłacone”. - Nie śpisz, Barwinku? - zapytał.

- Teraz już nie - wymamrotało magiczne lustro. - A ja przez całą noc nie zmrużyłem nawet oka. Pokaż mi coś, co mnie rozbudzi.

- Mogą być w kusej bieliźnie, czy raczej całkiem nagie? - zapytał Barwinek.

- Daruj sobie te uwagi - poprosił Mallory. - Chcę czegoś ostrego i szybkiego.

- Dlatego pytam: mają być w kusej bieliźnie czy całkiem nagie?

- Obawiam się, że niejaki Skrzydlaty O'Bannon zniechęcił mnie bardzo skutecznie do tego rodzaju rozrywek. Przynajmniej na kilka dni. Może wyświecisz mi jakiś wesoły musical?

- Może być „Pigmalion”? - zapytał Barwinek.

- Masz na myśli „My Fair Lady”.

- Mam na myśli „Pigmalion”, musical, który mieli napisać Rodgers i Hammerstein. Lerner i Loewe napisali „My Fair Lady”, kiedy Rodgers i Hammerstein porzucili ten projekt.

- Tak, to może być interesujące.

- Nie wyglądasz na zbyt uradowanego - zauważyło zwierciadło.

- Chcę tylko wypełnić czymś czas oczekiwania.

- Na co?

- Niedługo sam zobaczysz - odparł Mallory.

- Jeśli chcesz, żebym ci podniósł ciśnienie, to mam w zanadrzu finały zawodów rolkarskich z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, podczas których Tuffy Bresheen posłała trzy zawodniczki drużyny przeciwnej prosto do szpitala.

- To się wydarzyło na długo przed moimi urodzinami - detektyw zaczął kręcić nosem. - Dlaczego wiesz, abym oglądał tę Tuffy Bresheen?

- Bo była moim ideałem - odparł Barwinek. - Sto sześćdziesiąt funtów mięśni i dzikości. Daj mi pięćdziesiąt takich kobiet, a podbiję dla ciebie ten świat.

- Mam przecucie, że przydałyby mi się tu wszystkie, jeszcze przed świtem.

- Zdaje się, że mówiłeś coś o obrzydzeniu tym tematem - zauważyło zwierciadło.

- Ten temat obrzydnie mi od jutra, czyli od momentu, gdy rozpocznę odwyk.

- Ta, jasne. Wiesz co, skoro nie potrafisz zdecydować, co chcesz oglądać, to ja idę spać.

- Nie krępuj się - odparł Mallory. - Przepraszam, że cię obudziłem.

Barwinek nie odpowiedział, więc detektyw uznał, że zwierciadło naprawdę poszło spać. Spojrzał na zegarek. Była szósta dwadzieścia siedem.

Podszedł do biurka Winnifredy, wziął leżącą tam książkę i zaczął przerzucać strony. Rzecz dotyczyła dorastania pewnej dziewczyny w dziewiętnastowiecznym Londynie. Mallory był pewien, że miał do czynienia z prawdziwym dziełem, w którym zgodność z realiami epoki szła w parze z doskonałym językiem, a jednak czuł, że bardziej odpowiadałaby mu teraz jedna z przygód Skrzydlatego O'Bannona.

Wrócił do swojego biurka i ponownie sprawdził czas. Była dopiero szósta czterdzieści jeden. Wyjrzał przez okno, słońce powinno wzejść dopiero za godzinę.

Wyjął jedno z czasopism, przewertował je mało uważnie, skupiając się jedynie na rozkładówce, którą ocenił fachowym okiem, po raz kolejny przyznając, że na pewno nie kupił tego numeru dla zawartych w nim artykułów, a potem wszystkie gołe panie powędrowały z powrotem do szuflady.

Nagle z sąsiedniego pokoju dobiegł cichy trzepot skrzydeł. Mallory nie musiał tam zaglądać, żeby wiedzieć, co oznaczał ten dźwięk. Zostawił uchylone okno, zaledwie na stopę, nie więcej, ale to powinno wystarczyć, aby nawet największy nietoperz mógł dostać się do środka. Moment później usłyszał,

że na podłodze wylądowało coś o wiele większego i cięższego niż istota zdolna przecisnąć się przez tę szparę.

Mallory odwrócił fotel tak, by mieć na oku drzwi. Chwilę później stanął w nich mężczyzna średniej budowy, cały odziany w czerni.

W jego oczach było coś dziwnego, można powiedzieć: martwego. Skórę miał szarą i mocno pomarszczoną, włosy czarne, ale przyprószone siwizną na skroniach, nos orli i wąski. Usta szerokie, ale same wargi bardzo cienkie. Zęby, nie wyłączając długich kłów, były żółte albo ze starości, albo z braku dbałości o higienę. Mężczyzna ten stał i poruszał się w taki sposób, jakby każdy krok kosztował go wiele wysiłku, jeśli nie bólu, aczkolwiek wciąż biła od niego aura wielkiej mocy.

- Przybyłem po to, co należy do mnie - oświadczył głosem, który wydawał się o wiele za silny jak na takie ciało.

- Przybyłeś, bo posłałem po ciebie - odparł Mallory.

- Dlaczego miałbyś po mnie posyłać? Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Do dzisiejszego ranka nie znałem nawet twojego nazwiska.

- Możliwe, ale ja za to wiem doskonale, jak ty się nazywasz. A ściślej mówiąc, znam jedno z wielu twoich nazwisk. Witam w moich skromnych progach słynnego Włada Dłaciulę.

- Zatem już wiesz - stwierdził wampir, a potem wzruszył ramionami. - Ale to niczego nie zmienia. To tylko kolejny okrucuch wiedzy, który przepadnie na wieki wraz z tobą.

Mallory spojrzał za okno.

- Słońce wzejdzie za czterdzieści pięć minut. Ja wiem, gdzie będę dzisiaj spał. - Spojrzał w stronę wampira. - A co ty możesz na ten temat powiedzieć?

- A więc o to ci chodzi - powiedział Wład. - Czego chcesz za zwrot mojej ziemi?

- Nie zamierzam jej sprzedawać.

Dlaciula zachmurzył się.

- Gadaj, o co ci chodzi!

Mallory znieruchomiał na chwilę. A potem rozluźnił się, gdy z sąsiedniego pokoju dobiegł odgłos, na który czekał. Teraz mógł już odwrócić się do wampira.

- Nie chcę twoich pieniędzy - stwierdził stanowczo. - Jesteś złą, nieczystą istotą, która zabiła nie tego, kogo trzeba. Pamiętasz chłopaka, którego ukąsiłeś tamtej nocy na pokładzie „Konającego Manata”?

- Chyba musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy, Johnie Justinie Mallory - powiedział wampir. - Jestem bardzo stary, starszy, niż możesz sobie wyobrazić. Chodziłem po świecie, zanim zbudowano Pragę i Budapeszt, zanim powstał Rzym, a nawet Troja. Spójrz tylko na mnie, człowieku. Skórę mam jak pergamin, kości kruche. Znużyło mnie już to życie, ale wciąż mam w sobie wiele sił witalnych. Od długiego czasu pragnę śmierci, marzę o tym, by paść pod



brzemieniem tych tysiącleci, by przestać istnieć, ale nigdy nie będzie mi to dane. Jestem tym, kim jestem, i pozostanę taki aż po kres czasu, na dobre i na złe.

W czasie gdy przemawiał, jego ciało przechodziło dziwną metamorfozę, a kiedy zamilkł, spoglądał na Mallory'ego tak, jakby był jednocześnie dumny, ale i przerażony mocą, jaka w niego wstąpiła.

- Sztuczki z kartami też pan potrafi robić? - zapytał detektyw, starając się, aby z jego głosu nie dało się zbyt mocno wyczytać podziwu i przerażenia, jakie i w nim się kotłowały.

Wampir ni to syknął, ni ryknął, okazując przepełniającą go wściekłość.

- Wiesz, po co tutaj przyszedłem! Nie można mnie zabić. Oddaj mi więc to, co ukradłeś, albo zaczniesz cierpieć niewysłowione męki.

- Zachowaj te groźby dla siebie - odparł Mallory z wielką pewnością w głosie, chociaż wcale jej nie odczuwał. - I bądź grzeczny, jeśli chcesz się dowiedzieć, gdzie ukryto twoją ziemię. - Detektyw wpatrywał się w wampira. - Przecież tego właśnie chcesz. Po to tutaj przyszedłeś. Nie mam wprawdzie bladego pojęcia, dlaczego ten sen jest dla ciebie taki ważny, ja na ten przykład nie zmrużyłem dzisiaj nawet oka i nie czuję się wcale zmęczony, ale widzę wyraźnie, że ty tego pragniesz z całych sił.

Wład z wielkim trudem starał się zapanować nad przepełniającą go wściekłością.

- Mieszasz się w sprawy, o których nie masz bladego pojęcia, wkraczasz na terytoria, które powinny pozostać dla ciebie obce - powiedział. - Oddaj mi tę ziemię tutaj i teraz, a być może pozwolę ci żyć.

- Nie masz zbyt mocnej pozycji przetargowej - stwierdził Mallory. - Ja posiadam coś, czego pożądasz, ty nie masz nic, czego ja mogę pragnąć.

- Czego więc ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś wrócił do Transylwanii i pozostał tam już na zawsze.

Wład Dłaciula wyprostował się i wyprężył. Wydawał się teraz o wiele wyższy niż jeszcze przed chwilą.

- Chodzę i jeżdżę tam, gdzie mam ochotę.

- Zachowaj takie gadki dla tych, którzy nie mają w ręku żadnego atutu - zgasił go detektyw. - Mam twoją ziemię, a gdyby ci na niej nie zależało, nie przyleciałbyś tutaj. Daj mi znać, jak ci przejdzie ochota na czcze pogrożki i nabierzesz chęci na zrobienie interesu.

- Już powiedziałaś, czego żądasz - odparł Wład. - A ja na to nigdy nie przystanę. Daj mi to, po co tutaj przyszedłem, albo gotuj się na niewysłowione męki.

- Nie mogę oddać ci tej ziemi - powiedział detektyw.

- Dlaczego? - zagrzemiał wampir.

- Bo umieszczono ją w pewnej trumnie na pokładzie statku płynącego do Europy Wschodniej.

Wład Dłaciula wydał okrutny ryk wściekłości. Zmrużył oczy, twarz mu się wydłużyła i nagle obnażył naprawdę imponujące kły.

- Szykuj się na śmierć! - ryknął.

- Jeśli zginę, to nie sam - odparł Mallory. - Lepiej zamknij się i słuchaj.

Wampir wlepił ślepią w detektywa, ale nie ruszył się z miejsca.

- Powiem ci teraz, jakie masz wyjścia z tej sytuacji - kontynuował tymczasem Mallory. - Pierwsze jest następujące: za-

bijasz mnie, ale to oznacza, że nigdy nie dowiesz się, jaki to statek i dokąd płynie. Twoja ziemia przepadnie na zawsze.

- Kiedyś ją znajdę - wycharczał Wład Dłaciula.

Mallory pokręcił głową.

- Nawet z tego biura nie wydostaniesz się bez mojej pomocy. Pamiętasz jeszcze, co czułeś, gdy demolowałeś to Centrum Dializ w Village? Kiedy byłem na cmentarzu, moja współpracowniczka natarła wszystkie drzwi i okna w tym lokalu najsilniejszymi specyfikami produkowanymi przez gentlemiana nazwiskiem Peter Dziwny. Jeśli ja ci nie otworzę drzwi, zostań tutaj na wieki.

- Głupcze - wrzasnął wampir - nie wiesz nawet, którądy tutaj wszedłem!

- Dostałeś się do środka oknem, które zostawiłem niedomknięte specjalnie dla ciebie. Ale moja współpracowniczka czekała na zewnątrz, a kiedy wszedłeś, zamknęła je i zabezpieczyła. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo. Idź sam i przekonaj się na własne oczy, czy nadal jest otwarte.

Wład podbiegł do okna w sąsiednim pokoju. Ryk wściekłości, jaki wydobył się z jego gardła, gdy zrozumiał, że detektyw nie kłamie, był naprawdę ogłuszający.

- Teraz rozważymy drugie rozwiązanie - powiedział Mallory, kiedy wampir wrócił do biura. - Przystajesz na moje warunki. Przysięgasz, że nigdy więcej twoja noga nie postanie w tym kraju, a ja cię wypuszczam. - Spojrzał w stronę okna. - Powinieneś zdążyć na ten statek, zanim słońce wzejdzie.

Wład Dłaciula spoglądał z taką nienawiścią, jakiej Mallory jeszcze nigdy nie widział ani na twarzy człowieka, ani na obliczu innej bestii.

- W czasie gdy będziesz rozważał, które rozwiązanie wybrać, nadmienię tylko, że na owym statku czeka na ciebie

dwoje moich przyjaciół, którym powierzyłem zadanie zapieczętowania trumny zawierającej twoją ziemię, jak tylko się w niej położysz. Załoga statku otrzymała wyraźne instrukcje, aby otworzyć ją dopiero po przybiciu do portu w Transylwanii. - Detektyw spojrzał w oczy wampira. - A teraz decyzja należy do ciebie. Sprawdźmy, czy życie tak bardzo dało ci się we znaki, jak mówiłeś, czy mimo wszystko będziesz wolał powrócić do ojczyzny.

- Jak ty mało o mnie wiesz - wysyczał Wład Dłaciula. - Nie możesz mnie zabić.

- Może tak, może nie - odparł Mallory - ale jestem w stanie więzić cię w moim biurze, przynajmniej do czasu wyburzenia tego budynku. I chociaż nie mam pojęcia, dlaczego ta ojczysta ziemia jest tak ważna, jeśli nasza rozmowa potrwa jeszcze kilka minut, jedno będzie pewne - już nigdy jej nie zobaczysz.

Wampir spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Widzę, że wcale się mnie nie boisz.

- Skrzydlaty O'Bannon by się ciebie nie bał - odparł Mallory - ale on nie przeżyłby pierwszych pięciu minut tej afery. Ja wręcz przeciwnie, mam stracha, i to wielkiego. Dlatego przedsięwziąłem tak wiele środków ostrożności. - Znów przeniósł wzrok za okno. - Słońce wzejdzie za kilka minut. Jaka jest twoja decyzja?

Przez moment wydawało się, że Wład rzuci się na niego i rozerwie na strzępy, ale kilka sekund później cały gniew wampira zniknął i potwór znów stał się przygarbionym starcem, który nie tak dawno wkroczył do tego biura.

- Umowa stoi - powiedział. - A teraz wypuść mnie. Muszę dostać się na ten statek, zanim wzejdzie słońce.

Mallory podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je.

- Leć na to samo nabrzeże, na które przybyłeś w zeszłym tygodniu - detektyw poinstruował wampira, gdy znaleźli się na chodniku. - Przy pirsie numer sześćset sześćdziesiąt sześć znajdziesz statek noszący nazwę „Zagadkowe Zwłoki”. Udaj się prosto do ładowni - jeden z luków został otwarty, żebyś mógł się tam dostać bez przeszkód - i odszukaj trumnę ze swoją ziemią.

- Nie mam zamiaru ci dziękować - stwierdził Wład Dłaciula - ale dam ci za to dobrą radę.

- Słucham.

- Jeśli kiedykolwiek wyjedziesz z tego kraju, trzymaj się jak najdalej od Transylwanii.

- Rzecz warta rozważenia - odparł sardonicznie Mallory.

- Dokładnie - powiedział Wład i nagle do stóp Mallory'ego opadły puste czarne szaty, a w jaśniejsze niebo wzniósł się wielki nietoperz.

Gdy detektyw wracał do biura, usłyszał bezcielesny głos wypowiadający następujące słowa:

- Nieźle, Johnie Justinie Mallory, naprawdę nieźle. Za tydzień znów się zetrzemy, ale dzisiaj dla uczczenia tak błyskotliwego zwycięstwa ogłaszam tygodniowe zawieszenie broni.

- No proszę, nie dość, że pozbyłem się tego wampira, to jeszcze zadziwiłem samego Grundy'ego - powiedział detektyw, siadając za biurkiem. - Ciekawe, jak to rozegra Skrzydlaty O'Bannon?

Rozdział trzydziesty **wschód słońca**

Jak chcesz zmyć z drzwi i okien to świństwo wyprodukowane przez Petera Dziwnego? - zapytała Winnifreda.

- Ja bym go nie usuwał - odparł Mallory. - Działa tylko na wampiry, a Wład miał wielu przyjaciół. Wyglądała na zaskoczoną.

- Naprawdę tak uważasz?

- On i przyjaciele? - Detektyw pokręcił głową. - Wykluczone.

- Nadal czuję się nieswojo na myśl, że go wypuściliśmy - powiedziała Winnifreda. - Powinniśmy go bardziej ukarać.

- Ale jak? - zapytał Mallory. - Zamiast odczuwać smutek, powinnaś się raczej cieszyć, że ty i twoje trolle nie natrafiliście na niego gdzieś w mroku nocy. Z tego, co wiem, kule tylko by go rozdrażniły. Nawet te z nitro ekspresa .550.

- Ale nie te kule. - Sięgnęła do torebki, wyjęła jeden nabój i postawiła go na blacie przed detektywem.

- A niech mnie! - jęknął Mallory. - Słyszałem już o nabojach ze spłaszczonym czubkiem i o srebrnych kulach, ale jeszcze nigdy nie widziałem pocisku z drewna. Nadal jednak nie jestem pewien, czy to by zadziało. W końcu to nie to samo co klasyczny kołek.

- Drewno to drewno i na pewno przebiłoby jego serce.

- Wydawało mi się, że idea kołka polega na tym, iż rana nie może się samoistnie zasklepić. A te pociski pewnie przeleciałyby przez niego na wylot, oczywiście przy założeniu, że byłyby w stanie spenetrować jego skórę. - Skrzywił się na myśl o tym. - Całe to gadanie o zabijaniu wampirów to tylko akademicka dyskusja.

- Chyba nie do końca cię rozumiem, Johnie Justinie.
- On przecież jest już martwy.

Westchnęła ciężko.

- Na śmierć o tym zapomniałam.

Zadzwonił telefon i Mallory natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tak?
- Chciałem złożyć meldunek - powiedział Nathan.
- Pokazał się?
- Niespełna minutę przed wschodem słońca - odparł

smok.

- Zapieczętowaliście trumnę?
- Tak. Co teraz mamy zrobić?
- Co powiecie na wizytę w moim biurze i zjedzenie porządnego śniadania? - zapytał Mallory.

- Nie wiem, gdzie ono jest.

- Kijaszek zna drogę.

- Dobra, ruszymy, jak tylko mój mały kolega skończy się smarować filtrem przeciwsłonecznym i przypomni sobie, gdzie wsadził okulary.

Mallory odłożył słuchawkę.

- Jest już w trumnie.
- Kto dzwonił?
- Luskowaty Jim Chandler.

- Smok - powiedziała, kiwając głową. - A co się stało z tym małym wampirem?

- Chodzi ci o Kijaszkę McGuire'a? - zapytał Mallory. - Jest razem z Nathanem. Powinni już zmierzać w naszą stronę. Spędzili ze mną całą tę noc. Sądzę, że jestem im za to winien przynajmniej jedno dobre śniadanie.

- Z pewnością - przyznała i zaraz zaczęła się rozglądać po biurze. - Nigdzie nie widzę Feliny, czy ona...?

- Ależ skąd - zaprotestował detektyw. - Po prostu przeżarła się peklowanymi rybami.

Moment później zza drzwi wejściowych dobiegło głośne drapanie. Gdy Winnifreda otworzyła, do biura wtoczyła się dziewczyna-kot. Jej brzuch wciąż był wzdęty.

- Ja umieram - jęknęła.

- Daj spokój - poprosił Mallory. - Już dawno powinnaś to wszystko strawić.

- Jak sobie poszliście, pan dał mi tuńczyka, potem sardynki, wędzoną rybkę i jeszcze więcej łososia, a na koniec peklowane ryby... No i umieram.

Zwinęła się na podłodze w niezbyt ciasny kłębek.

- O czym ona mówi, Johnie Justinie? - zapytała pułkownik Carruthers.

- O kocie, który miał większe oczy niż żołądek.

Felina przetoczyła się na plecy i pokazała na wzdęty brzuch.

- Nie ma nic większego od mojego żołądka.

- Cierp, ciało, jak żeś chciało - powiedział Mallory. - Nie trzeba było tyle żreć.

- Nie żartuj sobie ze mnie - jęknęła dziewczyna-kot. - Kogo będziesz smyrał po pleckach, jak ci umrę?

- Nie wybiegam myślami aż tak daleko - odparł detektyw.

- Ona naprawdę marnie wygląda - zauważyła Winnifreda.

- Ty też nie wyglądałabyś najlepiej po przeżuciu połowy mieszkańców Oceanu Atlantyckiego - powiedział Mallory. - Zostaw ją tam, gdzie się położyła. Za miesiąc czy dwa wydobrzeje.

Felina syknęła na niego i zaczęła się czołgać po podłodze.

- Pójdę do sąsiedniego pokoju i tam umrę. A wam będzie przykro.

- Mnie już jest przykro - powiedział detektyw.

- Naprawdę? - zapytała, a twarz jej trochę pojaśniała.

- Tak. Na myśl o rachunku, jaki prześle nam ten facet z delikatesów.

- Jesteś okrutny i nie masz serca - wyszeptała Felina, stając tuż za progiem, ale padła ciężko na podłogę dopiero po wcześniejszym upewnieniu się, że oboje na nią patrzą.

- Coś takiego, a mnie się cały czas wydawało, że to ja uratowałem was wszystkich przed istotą okrutną i pozbawioną serca.

- Nienawidzę cię.

- Przypomnę ci o tym, jak następnym razem przyjdiesz, żeby cię podrapać.

- Posmyrać! - jęknęła.

- Czy nie powinniśmy jej jakoś pomóc? - zapytała poważnie zaniepokojona Winnifreda.

- Może powinnaś jej kupić tablicę szkolną i kazać napisać dwieście razy: „Już nigdy więcej nie zjem siedemdziesięciu trzech funtów ryb za jednym posiedzeniem”. - Za oknem pojawiły się pierwsze promienie jesiennego słońca. - Pozwól, że zmienię temat, czy załatwiłaś już ceremonię pogrzebową dla Ruperta?

- Tak. Zajęłam się tym, jak tylko odebrałam jego ciało z kostnicy... - zamilkła na chwilę. - Możesz mi powiedzieć coś więcej o tym interesie Petera Dziwnego? Nigdy wcześniej nie słyszałam o czymś takim.

Mallory przez kolejne dwadzieścia minut streszczała współniczce wydarzenia minionej nocy, począwszy od wypadu do Vampire State Building, przez wydarzenia w kostnicy, do-

roczny bal zombie, wizyty w „Grzędzie Gryfa” i parku Battery po podróż do Centrum Dializ i odwiedziny u Petera Dziwnego. Właśnie kończył opowieść, gdy w drzwiach stanęli Nathan i McGuire.

- Czym wysmarowałeś te drzwi, do cholery? -zapytał mały wampir, gdy Nathan wpuścił go do biura.

- Małą niespodzianką, którą przygotował dla nas pan Peter Dziwny - wyjaśnił Mallory. - Nie otwieraj okien, to nic ci się nie stanie. A jak będziesz chciał wyjść, poproś, to cię wypuścimy.

- Witam ponownie szanowną panią - powiedział Nathan, rozglądając się ciekawie po kątach. - Gdzie ona jest?

- O kogo ci chodzi?

- Ty naprawdę nie masz seksownej sekretarki imieniem Velma?

Winnifreda i Mallory wymienili znaczące spojrzenia.

- Velma ma teraz urlop - powiedziała pułkownik Carruthers.

- Aha! - zawołał smok. - Wiedziałem, że mnie wrabiasz!

- Jesteście gotowi na śniadanie? - Mallory postanowił zmienić temat.

Wiedział, co się zaraz stanie, dziewięćdziesiąt funtów rozanielonego futra i ciała wylądowało mu na plecach.

- Ja jestem gotowa, Johnie Justinie - powiedziała Felina, tłumiąc ciche beknięcia.

Wyszli w piątkę prosto w słoneczny jesienny poranek.

- Ominęła nas wigilia Wszystkich Świętych - powiedziała Winnifreda, a na jej twarzy pojawił się cień wielkiego zawodu. - Te przyjęcia, przedstawienia, celebracje. Wszelkie duchy i zjawy zniknęły na cały rok. - Westchnęła głośno. - Wszystko wraca do normalności.

- Z drogi, śledzie! - ryknął goblin z wielką torbą przewieszoną przez ramię, siedzący na grzbiecie ogromnego żółtego słonia, który o mały włos rozdeptałby Mallory'ego. - Bo listonosz jedzie!

- O, tak - mruknął detektyw. - Wszystko wraca do normalności.

Dodatek pierwszy

„Na tropie wampira ” Spisane przez pułkownik Winnifredę Carruthers (przemówienie wygłoszone na zebraniu Entuzjastów Sportów Krwawych na Dolnym Południowym Manhattanie)

Wielokrotnie pytano mnie, jaka broń jest najskuteczniejsza w walce z wampirem?

Czy lepszy będzie kolek osikowy, czy może drewniana strzała wystrzelona z kuszy poświęconej uprzednio przez kapłana? Słyszałam nawet o pewnym gentlemanie, który stworzył drewniane naboje do broni palnej. Pomysł wydawał się idealnym rozwiązaniem do momentu pierwszej próby, kiedy to nabój rozszczepił się w lufie i broń eksplodowała w dłoni wynalazcy.

Odpowiedź na pierwsze pytanie można tylko w jeden sposób: najlepszą bronią w walce z wampirami jest wasz umysł. Drewniane kołki, strzały oraz cała reszta tradycyjnego arsenału antywampirzego jest bardzo skuteczna i przydatna, ale nie mówimy tutaj dzisiaj o jakichś głupich roślinożercach, jak gazda czy jednorożec, które potrafią wyłącznie uciekać, gdy dostrzegą niebezpieczeństwo. Nie, moi drodzy przyjaciele,

wampir posiada równie wielki i skuteczny umysł jak wy. I pragnie was zabić nie mniej, niż wy łakniecie jego śmierci. Nigdy nie zapominajcie o podstawowej prawdzie: on nie będzie przed wami uciekał i chociaż możecie go od czasu do czasu przechytrzyć, wiedźcie też, że szanse na to, iż on was pokona tym samym sposobem, są niemal identyczne, jeśli nie większe, ponieważ macie do czynienia z istotą, która żyje o wiele dłużej od was i z pewnością polowała na ludzi znacznie częściej niż wy na wampiry.

Sugeruję więc, abyście przed wyruszeniem na łowy dokładnie poznali zwyczaje wampirów. Dobry drapieżca nigdy nie wybiera najsilniejszego członka stada, podąża za to za najmłodszymi, najbardziej wiekowymi albo chorymi osobnikami. Pamięć o tej zasadzie może się okazać bardzo przydatna także podczas łowów na wampira.

Wprawdzie nie spotkacie żadnego wampirzego szczeniaka, a najstarsze osobniki tego gatunku są zazwyczaj najsilniejsze, ale powyższa zasada nie myli się co do jednego: powinniście atakować najłabszego wampira w stadzie. Tyle tylko, że przed walką nie sposób ocenić siły, jaką dysponuje wasza ofiara, dlatego powinniście starannie wybierać moment starcia, atakując dopiero wtedy, gdy wampiry stają się słabsze niż zwykle, czyli w biały dzień, kiedy zasną już w swoich trumnach.

Skoro każdy drapieżnik dobrze wie, że jego ofiara prędzej czy później musi przyjść do wodopoju, aby ugasić pragnienie, także i łowca wampirów powinien mieć świadomość, że każdego dnia przed świtem ścigani przez niego nieumarli muszą spocząć w swoich trumnach, na warstwie ojczystej ziemi i pozostać tam aż do kolejnego zachodu słońca.

Każdy drapieżnik oznacza granice swojego terytorium, zazwyczaj za pomocą uryny, którą zrasza trawy i drzewa, aby dać innym osobnikom jego gatunku wyraźny znak, do kogo to miejsce należy. Niezwykle istotną rzeczą jest także to, by dobry łowca wampirów oznaczył swoje terytorium, aczkolwiek w jakiś bardziej akceptowany społecznie sposób, ponieważ jego ofiara, która dysponuje przecież o wiele lepiej rozwiniętymi zmysłami, może dużo łatwiej dostrzec w pobliżu siebie obecność trzech czy czterech łowców niż jednego.

Wiemy, że nosorożce żyją w symbiozie z ptaszkami, które ostrzegają je przed zbliżającym się zagrożeniem, podobnie czynią gorgony, otaczając się smerpami, pamiętajcie więc, że i wampiry mają swoich pomocników. Zazwyczaj nazywa się ich reinfeldami, aczkolwiek mogą występować na różnych terytoriach także pod innymi nazwami. Są to ludzie raz albo dwa razy ukąszeni, którzy stali się niewolnikami wampira i strzegą wiernie jego kryjówek, służą za informatorów, czasem też robią za przekąski w późną noc. Bardzo często łączą też w sobie wszystkie te funkcje. Jeśli więc dostrzeżecie reinfeldę idącego przez dom pogrzebowy, nie atakujcie go, dopóki nie przekaże czytelnego znaku swojemu mrocznemu panu i władcy, a jeśli to uczyni, rozsądniej będzie poczekać z ujawnieniem swojej obecności jeszcze przez chwilę, do momentu, w którym wampir spokojnie spocznie w trumnie. Większość reinfeldów to urodzeni tchórze, ale nawet tych, którzy są odważni, można przekupić garścią insektów albo pajaków, które stanowią podstawę ich dziennej diety.

Lepiej jednak poczekać, aż reinfeld sam się oddali, potem szybko dopaść trumny, podnieść jej wieko i wbić kołek we właściwe miejsce. Ja preferuję kołki orzechowe, ale dąb, klon, a nawet sekwoja równie dobrze nadają się do tej roboty. Prze-

strzegam jednak przed używaniem afrykańskiej akacji, nigdy nie wiadomo bowiem, czy nie zaklął jej uprzednio któryś z tamtejszych szamanów.

Widzę na sali kilka niezadowolonych twarzy. Wiem, wiem - moje słowa nie bardzo pasują do waszego instynktu sportowego, przecież nie dajecie tym sposobem wampirowi szans na ucieczkę. Powtórzę więc jeszcze raz i podkreślę, on nie będzie przed wami uciekał. Nie będziecie też mogli podjąć z nim walki jak równy z równym. Powinniście mieć świadomość, że nawet pocisk z niezawodnego nitro ekspresa .550 nie będzie w stanie go powstrzymać. Jeśli uda wam się podejść wystarczająco blisko wampira, aby wbić kołek w jego serce, zabijecie go, ale on wie o tym równie dobrze jak wy, więc będzie się przed tym bronił do upadłego.

Zastanawiacie się teraz pewnie, jak można podejść wampira?

I znowu powtórzę, waszą najlepszą bronią jest rozum. Pozwólcie, że przedstawię wam to na podstawie kilku przykładów.

Wampiry, jak wszyscy dobrze wiecie, nie odbijają się w lustrze. Spójrzcie na podejrzanego osobnika, skrzywcie się i podajcie mu grzebień. To bardzo rozsądne posunięcie, ponieważ wampir nigdy nie wie, jak wygląda, więc ochoczo skorzysta z grzebienia, a podnosząc obie ręce, da wam czas na szybkie wbicie mu kołka w serce.

Jeśli łowca jest atrakcyjną kobietą - pamiętajcie, że ta metoda działa nie tylko na wampiry, ale także na każdą inną humanoidalną istotę, której nie można zabić na odległość - może spojrzeć w okolice krocza ofiary i udawać, że z trudem tłumi chichot. Wampir zacznie się zastanawiać, co jest nie tak, może nawet zapytać o to wprost. W takim wypadku łowczyni musi

odpowiedzieć: „Ależ skąd, nic się nie dzieje”, a potem zakryć dłonią usta, aby ukryć śmiech. Prędej czy później ofiara spojrzy w dół, aby sprawdzić, czyjej rozporek jest dobrze zapięty, i da wam okazję do zadania morderczego uderzenia.

A teraz sposób, który niemal nigdy nie zawodzi. Masz trafić na przyjęcie, wokół będzie tłum ludzi, a tropiony wampir zdążył się już zorientować, że siedzisz mu na ogonie, i ma szczyry zamiar zneutralizować zagrożenie. Udaj się do najbliższego sklepu zoologicznego i nabądź tam mysz. Może być też szczur laboratoryjny. Następnie przekaż ją swojemu pomocnikowi, który także ma być obecny na wspomnianym przyjęciu. Jeśli twój pomagier zauważy, że wampir wyłuskał cię z tłumu i zapędził, jak to się mówi, w kozi róg, wypuszcza mysz. Pierwsza kobieta, która ją zobaczy, narobi - to jest absolutnie pewne - strasznego wrzasku (gdyby z jakichś przyczyn nie udało się uzyskać takiego efektu, pomocnik może wywołać tę reakcję innymi, bardziej konwencjonalnymi metodami). Ty w tym momencie musisz spojrzeć w tamtą stronę z wielkim zdziwieniem i powiedzieć krótko, ale dosadnie, że jakiś wampir właśnie zaatakował niezwykle atrakcyjną kobietę, i to na oczach całego tłumu. Twoja ofiara, jako radosny drapieżca, natychmiast poczuje nieodpartą chęć bronięcia swojego terytorium, odwróci się i... Masz go jak na patelni.

Istnieje jeszcze wiele innych sprawdzonych metod zabijania wampirów, ale wszystkie one sprowadzają się do jednego tylko wspólnego mianownika - wykorzystania własnego umysłu, ponieważ na każdym innym polu, może za wyjątkiem wzroku, gdyż nasze źrenice znacznie lepiej sprawują się w jasnym świetle dnia, wampiry nas przewyższają.

Jest jeszcze jeden sposób, o którym chciałam wam wspomnieć, ponieważ łamię on chyba wszystkie zasady prawdzi-

wego entuzjasty sportów krwawych. Wielu z was nie należy do naszego klubu od tak dawna jak ja, więc może nie znać prawdziwych powodów wydalenia z elitarnego grona entuzjastów sportów krwawych niejakiego doktora Teodora van Rhyslinga. Otóż doktor van Rhysling, o czym wspominam na użytek tych z was, którzy nie mieli okazji zapoznać się z jego sprawą, był jednym z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie rzadkich schorzeń krwi. Kiedy więc odkrył jedną z takich chorób, zupełnie nową, strasznie zakaźną, a do tego nieuleczalną, wysyłał nocami zarażonych nią pacjentów, dopóki wszystkie wampiry terroryzujące dzielnicę, w której podówczas lekarz zamieszkiwał, nie dopadły ich, nie ukąsiły i nie skonały potem w powolnych i straszliwych męczarniach. Jeśli ktoś z was wpadł na podobny pomysł, ostrzegam, że jego zastosowanie będzie was kosztowało utratę członkostwa w naszym elitarnym klubie. Prawdziwy myśliwy nigdy nie używa zatrutej przynęty!

Powiedzmy jednak, że coś pójdzie nie tak, że nadejdzie najgorsze i wasza ofiara zrozumie zbyt szybko, iż znalazła się równie blisko was jak wy jej, skutkiem czego zostaniecie ukąszeni po raz pierwszy. Większość ludzi natychmiast pomyśli o udaniu się do najbliższego szpitala na transfuzję krwi lub plazmy, ale ostrzegam, to będzie zupełnie bezskuteczne, gdyż zaraza roznosi się błyskawicznie po całym organizmie i tym sposobem nie da się jej wyleczyć. Osobiście radziłabym natychmiastowe przyłożenie do rany pijawek. Tu mała uwaga, jeśli zrobicie to choćby dziesięć minut po ukąszeniu, będzie za późno na ratunek. Dlatego polecam noszenie przy sobie przynajmniej kilku pijawek podczas każdego polowania. Jeśli do świtu nie traficie na żadnego wampira, te użyteczne stworzenia mogą posłużyć za przesmaczne śniadanie, zważ-

cza obtoczone w panierce, smażone na wolnym ogniu i podawane w asyście jaj gorgony.

I na koniec ostatnie ostrzeżenie! Przewaga liczebna w tym wypadku nic nie znaczy. Nie zabierajcie więc ze sobą waszych wiernych trolli. Siła także nie ma najmniejszego znaczenia, zatem wasze pantery i lamie również mogą zostać w domu. Jediną waszą przewagą może być umysł, ale na waszym miejscu nie przeceniałabym jego walorów. Spośród dwóch ostatnich wampirów, jakie upolowałam, pierwszy miał tytuł profesora etyki na Harvardzie, a drugi był znanym agentem filmowym z Hollywood. Obaj zresztą okazali się wartymi siebie krwiopijcami.

Zatem studujcie uważnie wasze mapy, naostrzcie dobrze kołki, nałapcie pijawek i darzbór!

Dodatek drugi

" Demaskując wampira " Monografia spisana przez profesora Seldona Hariego, głównego kustosa Muzeum Historii Nienaturalnej

Wokół wampirów narosło wiele mitów. Spora część ma niemal rzeczywiste podłoże mitologiczne. W imieniu Muzeum Historii Nienaturalnej chciałbym obalić niektóre z nich, zde-maskować kryjące się za nimi oszustwa i niedopowiedzenia. Oczywiście tylko w przypadkach, w których mamy do czynienia z tak jawnymi nieprawdami.

Wokół wampirów narosło też całkiem sporo niedomowień. Większość z nas uważa, że odczuwają one ogromną ra-

dość z wgrzyzania się w szyję i picia świeżej krwi. Nic bardziej mylnego. Wampiry robią to instynktownie, podobnie jak lwy pożerające zwierzynę płową wyłącznie po to, aby się pożywić.

Przeciętny wampir śpi w dzień, w ojczystej glebie, przez ponad dziesięć godzin. Nie w łóżku albo jak wielu z was mogłoby sądzić, na rozkładanym fotelu przed telewizorem. Leżą na ziemi, w brudzie, co dodatkowo pogłębia w nich poczucie izolacji i niższości.

Ich skóra jest bardzo czuła na promienie słoneczne. Bardzo łatwo się opala. Dlatego wampiry muszą o wiele bardziej od nas uważać na nowotwory z tym związane. Dlatego też wolą funkcjonować w nocy

i tutaj także dochodzi do wiecznych nieporozumień, bowiem takiego wyboru nie potrafią zrozumieć nawet ci ludzie, którym nieobce są zalety szaleństw po zmierzchu. Pomyślcie sami, i mówię to z całą powagą: ile nocnych klubów otwartych jest w samo południe? Jeśli samotny, sponiewierany życiem wampir szuka towarzystwa, nie znajdzie go w „dzieciach popołudnia”. Słyszał ktoś w ogóle takie wyrażenie? Kryje więc swoją niepewność, nosząc sztywniackie stroje, czasem nawet pelerynki, które wyglądają naprawdę obciachowo, jeśli zobaczy się je o jedenastej trzy, a nawet czternastej czterdzieści pięć.

Skoro więc społeczeństwo odrzuca jego dość skromne przecież próby uzyskania szacunku, zmusza go tym samym do rozwinięcia całej gamy antyspołecznych aspektów w jego typowych zachowaniach. Ale nawet na tej niwie wampiry są oczerniane i pozostają niezrozumiane.

Dla przykładu tylko niewielka ilość mężczyzn i kobiet zdaje sobie sprawę z tego, że wampiry są niesamowicie dalekowzroczne. Potrafią dostrzec piękno kobiety znajdującej się w odległości sześciuset jardów, i to wyłącznie w blasku księ-

życa, ale nie będą w stanie opisać jej wyglądu, jeśli stoi tuż przy nich. Nie widzą szyi kochanej kobiety (no dobrze, powiedzmy to wprost, pożądanej przez nich), kiedy ją kłają. Gdy są brane w ramiona, zamykają oczy, ponieważ i tak nie potrafią skupić wzroku na tak krótkim dystansie, dlatego bardzo często dochodzi do przypadkowego kontaktu ich ust z szyją zamiast z wargami partnerki. Te pomyłki tak bardzo peszą wampira, że zawstydzony instynktownie cofa wargi, zapominając o tym, iż natura wyposażyła go w potężne i niezwykle ostre kły.

Istnieją podania twierdzące, że czosnek potrafi utrzymać wampira na dystans, i w rzeczy samej coś w tym jest - chociaż nie chodzi wcale o obwieszanie się jego naręczami. Jeśli macie nienaturalne uprzedzenia wobec wampirów, przegryźcie sobie ząbek czosnku tuż przed spotkaniem któregoś z nich. Jeśli nie ma pod ręką czosnku, powinna wystarczyć cebula. Możecie też nie umyć zębów przez dobę. Wampiry, jak już o tym wspominałem, są bardzo estetycznymi istotami.

Sugeruje się także czasami, że wampir nie może wejść do czyjegoś domu, dopóki nie zostanie tam zaproszony. To naprawdę śmieszny przesąd. Prawda jest taka, że wszystkie wampiry bez wyjątku cenią sobie savoir vivre i żaden z nich nie zechce was odwiedzić, dopóki go sami nie zaprosicie.

Czy wampiry mogą wejść do wody? Ten przesąd, moim skromnym zdaniem, jest mylnie interpretowaną pozostałością po jakichś dawno poczynionych obserwacjach będących bezsprzecznie dziełem jakiegoś religijnego fanatyka. Kapłani chrzczą nowo narodzone dzieci w wodzie, a Jezus potrafił nawet po niej stąpać, ale za nic nie jestem w stanie powiązać tych faktów z wampiryzmem. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie widziałem, żeby jakiś wampir wsiadał do łodzi, by nią prze-

płynąć staw albo rzekę, ale to wynika raczej z przysłowiowego ubóstwa - wiemy przecież doskonale, że jest zbyt mało stanowisk pracy na nocnych zmianach, aby wszystkie istoty tego gatunku znalazły zatrudnienie - nic więc dziwnego, że wampiry pokonują zbiorniki wodne, idąc pieszo po dnie, oszczędzając w ten sposób na opłatach, jakie trzeba uiścić za przewóz. W końcu są już martwe i nie muszą oddychać. Prawdą jest, że ostatnio na niektórych frachtowcach pobierane są o wiele niższe opłaty za rejs, ale wampiry, jako istoty uwielbiające towarzystwo, niechętnie podróżują w tak wąskim gronie pasażerów.

Istnieje też kolejny mit, o tym, jakoby wampiry nie miały odbicia w lustrze. Nic bardziej mylnego. Wynika on bez wątpienia z tego, że wampiry nie potrafią zobaczyć się w lustrach, ale to przecież wynik ich niesamowitej dalekowzroczności. Prawda natomiast wygląda tak, że każdy wampir przejrzy się w lustrze, jeśli ustawicie je w odległości nie mniejszej niż czterysta kroków od niego. To zresztą wyjaśnia, dlaczego samice tego gatunku wyglądają tak strasznie. Bez dostępu do luster mają zawsze przetłuszczone i zmierzwione włosy, gdyż nie potrafią użyć grzebieni, to samo dotyczy worów pod oczami, z którymi nie sposób sobie poradzić, jeśli się nie ma o nich pojęcia, a gdy dodamy do tego wszystkiego niemożność wyjścia na słońce, które może spowodować mocne poparzenia, nie powinno nikogo dziwić, że nakładają na swoje blade oblicza masy pudru i szminkują usta na karminowo, co sprawia, że wyglądają - nie mając o tym bladego pojęcia - jakby właśnie zjadły kanapkę z wołowiną okraszoną zbyt wielką dawką ketchupu, opiły się soku pomidorowego albo krwi niewinnej dziewicy.

Najbardziej wierutnym kłamstwem rozpowszechnianym na ich temat jest twierdzenie, że wampira można zabić poprzez wbicie kołka osikowego w serce. Mogę zaświadczyć swoim długoletnim i bolesnym doświadczeniem zawodowym, że nie da się tego zrobić. Gdzie więc tkwi błąd? W kilku literkach zaledwie. Kołek ten musi być osikany. Osikany, nie osikowy. Zresztą znam o wiele lepsze sposoby na zabicie wampira niż obsikiwanie jakichś patyków. Niechby jeden z drugim spróbował jambalai przyrządzonej przez moją żonę, zwłaszcza gdy uprzednio doprawi ją zielonym pieprzem.

Mam nadzieję, że udało mi się w tym eseju wyjaśnić choć kilka mitów i wyprostować parę kłamstw na temat wampiryzmu.

Ale czego tak naprawdę pragną wampiry?

Tego samego co wy i ja - pełnego żołądka, bezpiecznego miejsca do snu, kochającego partnera płci przeciwnej, który zawsze będzie obok, gdy zajdzie potrzeba.

W przyszłym tygodniu pogadanka na temat: „Gorgona naszym przyjacielem jest”.

Dodatek trzeci

„Na tropie wampira” napisał: Łuskowaty Jim Chandler (fragment)

Była pierwsza klasa. Miała długie blond włosy, chłodne niebieskie oczy, liczne krągłości w miejscach, w których zwykle lasencje nie mają nic, i tylko podłoga sprawiała, że jej nogi nie ciągnęły się w nieskończoność. Spojrzałem na jej falującą

dekolt i zrozumiałem, że jeśli wahnę się odrobinę mocniej, będę mógł go dosięgnąć, nie wstając z fotela.

- Polecono mi pana, panie O'Bannon - powiedziała.

- Czyżby Fifi? - zapytałem. - A może Fatima? Cycusia? Mitzie?

- Malcolm Burkę - odparła.

- Aha - stwierdziłem. - Zatem to sprawa zawodowa.

- Mam potworne kłopoty, panie O'Bannon!

- Mów mi Skrzydlaty - poprosiłem.

- Jestem szantażowana, panie O'Bannon.

- Skrzydlaty wystarczy - powtórzyłem.

- Niech panu będzie, panie Skrzydlaty - powiedziała. -

Musi mi pan pomóc.

- Na czym polega pani problem? - zapytałem.

- To takie upokarzające.

- Tak, zazwyczaj jest to upokarzające - przyznałem. -

Strzeli se pani jednego głębszego ze służbowej flaszeczki?

Zaprzeczyła mocnym ruchem głowy.

- Jestem żoną Wilbura Carlise'a... - zaczęła.

- Czy my tu mówimy o tym Wilburze Carlisie? - zapytałem.

- O znanym ekscentrycznym milionerze samotniku?

- Tak - odparła. - To znaczy nie. On już jest miliarderem.

Zamyśliłem się.

- Facet ma chyba z siedemdziesiąt osiem lat?

- Dziewięćdziesiąt osiem - poprawiła mnie zaraz.

- Gdyby dodać pani wymiary w calach, i tak zabrakłoby trochę do tej liczby.

- Wilbur i ja bardzo się kochamy - zapewniła mnie.

- Być może dlatego, że myli mu się pani z własną prababcią - zasugerowałem.

- Zamierza mi pan pomóc czy chce mnie pan obrazić? - zapytała.

- Wydawało mi się, że obrażałem pani męża –powiedziałem. - Ale przejdźmy do interesów. Biorę siedemdziesiąt pięć za dzień plus wydatki.

- Zgoda.

- Velma, znaczy moja sekretarka, wyszła właśnie na lunch - wyjaśniłem jej. - Każę jej spisać kontrakt, jak tylko wróci.

Wyjęła z torebki garść studolarówek i podała mi.

- Czy to wystarczy, panie O'Bannon?

- Skrzydlaty - powtórzyłem bezwiednie, biorąc gotówkę i chowając ją od razu do kieszeni. - Tak, powinno wystarczyć. A teraz proszę powiedzieć, w czym problem.

- Byliśmy na jednym z tych przyjęć dla wyższych sfer - zaczęła mówić. - Zna pan może Cuthbertson--Smythów?

- A ilu ich jest? - zapytałem.

- Tylko dwoje.

- Rozumiem - odparłem - proszę kontynuować. Ja raczej obracam się w niższych sferach społeczeństwa.

- Piliśmy, śmialiśmy się, wesoło spędzaliśmy czas - kontynuowała. - Aż tu nagle... cóż, chyba wypiałam nieco za dużo, bo nic więcej nie pamiętam.

- Zdaje się, że ktoś tu miał romansik z Krwawą Mary - powiedziałem.

- Co to za dziwne nazwisko?

- Jakie nazwisko? - zdziwiłem się.

- Chyba muszę panu dokładniej naświetlić tę sprawę. Widzi pan, obudziłam się w dziwnym pokoju hotelowym, a obok mnie na podłodze leżała martwa kobieta. Miała gardło poderżnięte od ucha do ucha. Może to była ta pańska Mary?

- Raczej nie bardzo - uspokoilem ją. - A teraz ktoś panią szantażuje, grożąc, że ujawni panią jako zabójczynię?

Pokręciła głową.

- To nie był nikt znany. Wilbur przekupiłby policję w pięć minut, a nikt inny nie zainteresowałby się tą sprawą.

- Wierzę, że tak by było, pani Carlise.

- Na imię mam Moira - dodała.

- Skoro dzielenie pokoju hotelowego ze sztyw-niakiem nie przeszkadzało ci, Moiro, nie bardzo widzę, w czym może tkwić problem.

- To zdarzyło się wczoraj. - Sięgnęła po torebkę. -A już dzisiaj w poczcie była ta przesyłka. - Wyjęła dużą szarą kopertę, ale nie podała mi jej.

- Dostaję takie duże szare koperty codziennie - zapewniłem ją. - Są w nich przeważnie zaprenumerowane pisma dla panów, czasem jakieś rachunki.

- Ale w tej są zdjęcia przedstawiające mnie z jakimś mężczyzną, którego w życiu nie widziałam - wyszeptła. - Jeśli Wilbur je zobaczy...

- Wydziedziczy cię - domyśliłem się.

Pokręciła głową.

- Raczej przekreśli się na zawał serca.

- Czy mogę je obejrzeć? - zapytałem, wyciągając rękę.

- Są zbyt zawstydzające, żeby mógł je pan oglądać.

- Przecież muszę wiedzieć, co na nich jest, skoro mam się zająć wyjaśnieniem tej sprawy.

Obeszła biurko.

- Tak bardzo wstydzę się tego, co jest na tych zdjęciach. Wolę już pokazać panu, co wtedy robiłam.

- I to będzie mniej zawstydzające niż pokazanie zdjęć? - zdziwiłem się.

- Mam na nich taki straszny nieład na głowie -wyznała, zdejmując sukienkę.

Przygarnąłem jej krągłości i przesunąłem dłonią po plecach, w dół i...

[cenzura]

- Och! - jęknęła. - Nie przestawaj!

[cenzura]

- O Boże, Boże, Boże! - dyszała.

[ocenzurowano - następane trzy strony rękopisu zostały spalone przez osiemdziesięcioletniego redaktora, który wyładował po tym zdarzeniu w szpitalu psychiatrycznym] -
ok, Moiro - powiedziałem, poprawiając krawat. - Zaraz to zrobię.

- Jeszcze raz? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Zaraz zajmę się sprawą - wyjaśniłem.

Gdy opuszczała chwiejnym krokiem mój gabinet, wyglądała jak ktoś, kto właśnie rozjechał swoją ukochaną chimerę - i to co najmniej kabrioletem mercedesa z podnoszonymi drzwiami albo lamborghini, zważywszy na kręgi, w jakich się obracała.

- Czy mogę już wejść? - zza drzwi dobiegł zmysłowy głos Velmy.

- Jasne - odparłem. - Długo tam stałaś?

- Wystarczająco długo, by poczuć zazdrość - powiedziała, wślizgując się do gabinetu.

- Mogłaś się do nas przyłączyć - powiedziałem.

- Masz zbyt brudne myśli, ty skrzydlaty potworze - zbesztła mnie.

- Ale za to mam czyste paznokcie - wypaliłem w odpowiedzi.

- Zatem to twoja nowa klientka? - zapytała.

- Na to wygląda.
- Na czym polega jej problem?
- Chodź, to ci pokażę - powiedziałem, łapiąc ją za rękaw.

Materiał został mi w dłoni.

- Zaczepiam je teraz na rzepy - wyjaśniła. - Wiesz, ile kosztowały te ubrania, które ze mnie zdzieraleś?

- Popatrz, a niektórzy ludzie myślą, że nie zatrudniłem cię wyłącznie dla tak błyskotliwego umysłu - powiedziałem, gdy już udało mi się ją złapać i przytulić mocno.

Godzinę później zaczęliśmy się ubierać.

- Ojej! - powiedziała Velma z wciąż płonącymi policzkami.
- Ona chyba ma nielichy problem.

- Dlatego przyszła właśnie do mnie - odparłem. -Ktoś ją szantażuje.

- Szantaż to takie brzydkie słowo - powiedziała Velma, wzruszając ramionami w taki sposób, że większość facetów oszalałaby na ten widok.

- Podobnie jak myxophycea - odparłem. - Tyle że myxophycea nie jest zabroniona prawem, przynajmniej poza Albanią.

Zadzwoił telefon, więc podniosłem słuchawkę. Przez moment było w niej słycać wyłącznie czyjś ciężki oddech.

- To chyba do ciebie - stwierdziłem, chcąc oddać słuchawkę Velmie.

- Nie, łapsie, dzwonię do ciebie! - odezwał się głos po drugiej stronie linii. - Chyba z minutę zajęło mi odzyskanie tchu. Musiałem sprać jakąś staruszkę, żeby dostać się do tej budki telefonicznej.

- Nie prościej było kupić komórkę?

- Masz zamiar mnie krytykować czy chcesz posłuchać, co mam do powiedzenia?

- A z kim rozmawiam? - zapytałem.
- Tym się na razie nie przejmuj - powiedział głos. - Mam dla ciebie bardzo ważną wiadomość.
- Skoro to takie ważne, mogłeś skorzystać z Western Union, tam nie musiałbyś kopać babinek, które chcą tylko porozmawiać z ukochanym wnusiem.
- Słuchaj mnie, łapsie, i to uważnie! - powiedział głos. - Będziemy obserwowali każdy twój ruch. Jeśli przyjmiesz sprawę Carlise, załatwimy cię na amen.
- Czyją sprawę? - zapytałem.
- Przecież wiesz - powiedział tajemniczy rozmówca. - To ta babka, która... - Opisanie tego, co było na zdjęciach, zajęło mu kolejne pół godziny. W tym czasie dyszałem równie szybko jak on. Facet zaczął się w końcu tak ślinić, że musiał odłożyć słuchawkę.
- Kto dzwonił? - zapytała Velma zza swojego biurka, przy którym przeglądała jakiś plotkarski magazyn.
- Nikt. Znowu ktoś groził mi śmiercią - odparłem, wzruszając ramionami.
- To już dziewiąty raz w tym tygodniu - podliczyła.
- Tak - przyznałem. - Ostatnio gorzej nam idzie. - W tym momencie zacząłem się poważnie zastanawiać. - Słuchaj, aniołku - powiedziałem. - Muszę popracować nad sprawą tej Carlise, zanim zażąda zwrotu zaliczki, ale wolałbym nie mieć na karku bandy napalonych cyngli, więc będziemy musieli ich jakoś przechytrzyć.
- Ciekawe, jak to zrobisz? - zapytała, podnosząc oczy znad pisma.
- Mam w szafie dodatkowy garnitur - wyjaśniłem. - Założysz go i mój kapelusz, a potem zrobisz sobie naprawdę długi spacer po parku. Będą myśleli, że to ja, ale nie zaczną strze-

lać, dopóki nie zajmę się sprawą tej Carlise. Tym sposobem zyskam możliwość swobodnego operowania przez jakiś czas.

- To się nigdy nie uda - powiedziała Velma.

- Dlaczego?

- Bo mam zbyt wielki biust - odparła, a potem zrobiła głęboki wdech i odchyliła ramiona do tyłu.

- Nie szkodzi - stwierdziłem. - Ja też mam solidną klatę, przy wdechu nawet większą od twojej.

- Błę! - powiedziała, uśmiechając się szeroko. -Może masz rację co do tego kamuflażu.

- Wiem - odparłem. - Jeśli ktoś do ciebie podejdzie, odchrząknij i powiedz coś niskim głosem, najlepiej o baseballu. Nikt nie wychwyci różnicy.

- Jesteś geniuszem, wiesz? - powiedziała z uznaniem.

- Zarabiam na życie myśleniem - odparłem. -A te strzelaniny to tak tylko, żeby nie wyjść z wprawy.

Przebranie się w mój garnitur zajęło jej około pięciu minut, a gdy opuściła biuro, odczekałem jeszcze dwa razy tyle i wymknąłem się tylnym wyjściem.

Wiedziałem, że moją pierwszą powinnością jest odnalezienie faceta, który trzasnął te fotki. W Nowym Jorku mieszka sześć, góra siedem tysięcy zawodowych fotografów plus jakieś dwanaście tysięcy utalentowanych amatorów, a to oznaczało niekończące się wędrówki po studiach porno i zagadywanie tych wszystkich napalonych dzierlatek, aby zabić czas, zanim któryś z fotografów znajdzie chwilę, byśmy mogli porozmawiać. I tu się rodził problem, mogłem tam spotkać ze dwadzieścia lasek, których jeszcze nie znałem, co znacznie wydłużyłoby czas potrzebny na zdobycie informacji.

Zacząłem liczyć i nagle dotarło do mnie, iż nie zdołam przepytąć tych wszystkich fotopstryków w czasie, za jaki mi

zapłacono. Zdecydowałem więc, chociaż nie za bardzo mi się to podobało, że jedynym sposobem na załatwienie tej sprawy będzie rozmowa ze Ślepym Bennym, który przesiadywał w najbardziej uritzowionej części miasta z papierowym kubkiem w ręku.

Dwadzieścia minut zajęło mi dotarcie do miejsca, z którego mogłem słyszeć jego skamlenie o datek i złorzeczenia, jeśli na banknocie nie było portretu Benjamina Franklina albo przynajmniej Andy'ego Jacksona.

- Witaj, Benny - powiedziałem, klepiąc przyjaźnie po głowie Bustera, jego psa przewodnika.

- Siema, Skrzydlaty - odparł, przyglądając mi się spod lustrzanych okularów. - Świetnie wyglądasz.

- Wiem - odparłem. - W tym tygodniu jeszcze nikt do mnie nie strzelał. Jak interesy?

- Staram się przyzwyczać do tego nowego psa - odparł Ślepy Benny.

- To nie jest Buster?

- Nie. Sprzedałem go jakiemuś facetowi, który potrzebował zwierząt do filmu artystycznego.

- Wydawało mi się, że kochałeś tego zwierzaka - powiedziałem.

- Psy kocha się w innej branży - poprawił mnie żebrak. - Ja go tylko lubiłem. W każdym razie facio nieźle mi za niego zapłacił. Zdaje się, że miał zamiar zaciukać tę sukę od Carlise'a i...

- Masz na myśli Moirę Carlise? - przerwałem mu.

- Mam na myśli te dwa wielkie cycki, które wyszły za starego miliardera - odparł Benny.

- Gdzie mogę znaleźć tego facia?

- Carlise'a? Pewnie w jego penthousie na Diamond Tower.

- Pytałem o gościa, który kupił twojego psa.

- To może być trudne - ostrzegł żebrak, wyciągając z kieszeni pióro i kartkę. - Lepiej narysuję ci mapę.

- Nie będzie mu potrzebna - powiedział ktoś stojący za moimi plecami.

Odwróciłem się na pięcie i spojrzałem prosto w twarze dwóch wypasionych cyngli.

- Nie zauważyłem, że mam ogon - powiedziałem ze zdumieniem.

- Bo nie szliśmy za tobą - odparł ten wyższy.

- Więc jak się tu znaleźliście?

- Przyjechaliśmy taksówką - powiedział wysoki. - Wszyscy wiedzą, że kiedy potrzebujesz informacji, walisz jak w dym do Ślepego Benny'ego.

- Zgadza się - dodał niższy. - Myślisz, że nie czytamy książek o tobie?

- Naprawdę je czytacie? - zapytałem szczerze zdumiony.

- Wszyscy je czytają - odparł ten niższy, wyciągając z kieszeni egzemplarz „Zakrwawione ciało cuchnie przeraźliwie”, i podszedł do mnie. - Dasz mi autograf?

- Jasne - odparłem, sięgając po pióro.

- Mógłbyś napisać: „Vinniemu, jedynemu facetowi, którego się wystrachałem”?

- Musisz wybaczyć mojemu partnerowi - wtrącił ten wyższy. - Skończył edukację na trzeciej klasie podstawówki. Chciał powiedzieć „jedynemu facetowi, którego się strachałem”.

- Podobało mi się w tej trzeciej klasie - stwierdził obronnym tonem Vinnie.

Wpisałem mu autograf i oddałem książkę.

- Nie potrafię tego odczytać - pożalił się Vinnie, wlepiając oczy w kartkę.

- Nic nie szkodzi - odparłem. - To i tak nie moja książka. Sądziłem, że wszyscy wiedzą, iż to Łuskowaty Jim Chandler jest autorem.

- Chyba dlatego jest taka dobra - wtrącił wyższy cyngiel.

- Naprawdę dziękuję ci, Skrzydlaty - dodał Vin-nie. - Będę bardzo żałował tego, co muszę teraz z tobą zrobić.

Walnął mnie w brzuch, a gdy się zgiąłem wpool, dostałem w głowę pałą, której wcześniej nie zauważyłem w jego ręce.

Splunąłem krwią. Miała cholernie słony smak. Sól zawsze dodawała mi wigoru. Zaprawiłem Vinniego z lewego haka, ale zanim zdążyłem poprawić, jego kompan przyłożył mi z tyłu. Zobaczyłem przed oczami Velmę, ale była kompletnie ubrana, więc zrozumiałem, że ze mną nietęgo. Odwinąłem się, trafiając prawą ręką w szczękę Vinniego, a lewą strącając Benny'emu okulary.

- Dlaczego mnie bijesz, do jasnej cholery!?! - zapytał.

- Bo nie bardzo mam czas na zadawanie dobrze wymierzonych ciosów - wycharczałem przez rozbite wargi.

Po raz kolejny dostałem pałą w bok głowy, a gdy padłem na ziemię, Vinnie i jego wysoki kompan zaczęli mnie kopać gdzie i ile wlezie. Przez dłuższą chwilę czułem się jak piłka na meczu ligowym. Co parę sekund stopa któregoś z nich wbijała mi się w twarz. Usłyszałem, że przegroda w nosie poddaje się z cichym chrzęstem, a zaraz potem z głośniejszym trzaskiem pękła mi szczeka.

W końcu Vinnie wyjął pistolet i wymierzył we mnie.

- Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem, łapsie - wysapał, pociągając za spust. Pięć pocisków przebiło moja wątrobę i śledzionę.

Przesadził. Do tej pory tylko mnie irytowali. Teraz wkurzyłem się nie na żarty.

Halloween. Winnifreda, partnerka Johna Malloryego, zbladła, a nawet zasłabła. Aż tak przejęła się przygotowaniami do najważniejszego (w każdym razie na TYM Manhattanie) święta — pomyślałby detektyw, gdyby nie ślad ukąszenia na jej szyi...